Nowa fantastyka

Orson Scott Card

Dzieci umysłu

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Ostatni tom sagi o Enderze. Sojusznicy Endera wyruszają na spotkanie lusitańskiej flotylli sposobiącej się do zniszczenia planety zamieszkanej przez trzy rasy istot rozumnych. Czy uda im się nie dopuścić do masakry? Jaką rolę odegra Ender? Odpowiedzi na te pytania są bardziej zaskakujące niż ktokolwiek mógłby się spodziewać.

- Orson Scott Card
  -
  - NIE JESTEM SOBĄ
  - NIE WIERZYSZ W BOGA
  - JEST NAS ZA DUŻO
  - JESTEM CZŁOWIEKIEM DOSKONAŁEJ PROSTOTY
  - NIKT NIC JEST RACJONALNY
  - ŻYCIE JEST MISJĄ SAMOBÓJCZĄ
  - OFIARUJĘ JEJ TO NĘDZNE STARE NACZYNIE
  - LICZY SIĘ TYLKO TO, W KTÓRĄ FIKCJĘ UWIERZYSZ
  - DLA MNIE PACHNIE ŻYCIEM
  - TO ZAWSZE BYŁO TWOJE CIAŁO
  - PRZYWOŁAŁAŚ MNIE Z CIEMNOŚCI
  - CZY ZDRADZAM ENDERA?
  - DOPÓKI ŚMIERĆ NIE POŁOŻY KRESU WSZELKIM NIESPODZIANKOM
  - W TEN SPOSÓB KOMUNIKUJĄ SIĘ ZE ZWIERZĘTAMI
  - DAJEMY PANU DRUGĄ SZANSĘ
  - SKĄD WIEMY ŻE NIE TRZĘSĄ SIĘ ZE STRACHU?
  - DROGA BIEGNIE DALEJ BEZ NIEGO
  - POSŁOWIE

Orson Scott Card
Dzieci Umysłu

Barbarze Bova,

którą charakter, mądrość i wyczucie uczyniły wspaniałym agentem i jeszcze lepszym przyjacielem.

Nigdy nie spłacę swojego długu wobec niej…

NIE JESTEM SOBĄ

Matko. Ojcze. Czy dobrze to robiłam?

Ostatnie słowa Han Qing-jao z „Boskich szeptów Han Qing-jao”

Wang-mu usiadła na jednym z obrotowych krzeseł w niewielkim pomieszczeniu o metalowych ścianach. Rozejrzała się, oczekując widoku czegoś nowego i niezwykłego. Gdyby nie te ściany, pokoik mógłby być dowolnym gabinetem na świecie Drogi. Czysty, ale nie przesadnie. Umeblowany w stylu funkcjonalnym. Oglądała holo statków w locie: gładkie, opływowe myśliwce i promy, które nurkowały i wynurzały się z atmosfery, ogromne, zaokrąglone konstrukcje kosmolotów, które przyspieszały tak blisko prędkości światła, jak tylko jest to możliwe dla materii. Z jednej strony siła ostrej igły, z drugiej masywnego młota. Ale w tym pomieszczeniu nie było żadnej siły. Zwyczajny pokój.

I gdzie jest pilot? Musi tu być jakiś pilot, gdyż młody człowiek, siedzący naprzeciwko i mruczący coś do swojego komputera, nie zdołałby raczej kierować statkiem zdolnym do lotu szybszego niż światło.

A jednak właśnie to musiał robić, gdyż nie było tu drzwi prowadzących do innych pomieszczeń. Kosmolot z zewnątrz wydawał się mały, ten pokój z pewnością zajmował całą wewnętrzną przestrzeń. W kącie stały akumulatory magazynujące energię z baterii słonecznych na szczycie statku. W tej skrzyni, która wyglądała na izolowaną niczym lodówka, pewnie mieści się żywność i napoje. To tyle, jeśli idzie o systemy podtrzymywania życia. I gdzie się podział romantyzm podróży kosmicznych, jeśli niczego więcej nie trzeba? Zwyczajny pokój.

Nie widząc nic ciekawszego, zaczęła obserwować młodego człowieka przy terminalu komputera. Powiedział, że nazywa się Peter Wiggin. To imię starożytnego Hegemona, który pierwszy zjednoczył pod swoją władzą całą ludzkość — ludzie wtedy żyli tylko na jednej planecie: wszystkie narody, rasy, religie i filozofie stłoczone razem, bez żadnej szansy ekspansji prócz zajmowania cudzych terenów, gdyż niebo było wówczas dachem, a kosmos ogromną otchłanią nie do pokonania. Peter Wiggin — człowiek, który rządził ludzkością. Nie ten, naturalnie. Sam to przyznał. Przysłał go Andrew Wiggin. Czyżby

wielki Mówca Umarłych był jego ojcem? Czy nadał mu imię na pamiątkę swego brata, który umarł trzy tysiące lat temu? Brata, którego unieśmiertelnił w swoim dziele?

Peter przestał mruczeć, odetchnął głęboko. Potem przeciągnął się i stęknął. W towarzystwie było to zachowanie mało delikatne. Czegoś takiego można by oczekiwać po prostym robotniku polowym.

Zdawało się, że wyczuł jej dezaprobatę. A może całkiem zapomniał o Wang-mu i dopiero teraz uświadomił sobie, że ma towarzystwo? Obejrzał się, nie zmieniając pozycji na krześle.

— Przepraszam — powiedział. — Zapomniałem, że nie jestem sam.

Wang-mu nie mogła się oprzeć, by nie odpowiedzieć zuchwałym spojrzeniem. W końcu on także odezwał się do niej z obraźliwą zuchwałością, kiedy jego kosmolot wyrósł jak świeży grzyb na łące przy rzece, a on wyszedł z niego z jedną probówką wirusa, który miał wyleczyć jej rodzinny świat Drogi z choroby genetycznej. Spojrzał jej w oczy — ledwie piętnaście minut temu i powiedział: „Poleć ze mną, a będziesz zmieniać historię. Tworzyć historię". A ona, mimo lęku, odpowiedziała: „Tak".

Zgodziła się, a teraz siedziała w obrotowym fotelu i patrzyła, jak on zachowuje się wulgarnie, jak przeciąga się przy niej niby tygrys. Czyżby właśnie tygrys był bestią jego serca? Wang-mu czytała Hegemona. Mogłaby uwierzyć, że tygrys tkwił w tamtym wielkim i strasznym człowieku. Ale w tym? W tym chłopcu? Starszym od Wang-mu, ale przecież nie jest taka młoda, żeby na pierwszy rzut oka nie dostrzec niedojrzałości. I on chciał zmienić kierunek historii! Oczyścić skorumpowany Kongres. Powstrzymać Flotę Lusitańską. Uczynić wszystkie kolonie pełnoprawnymi członkami Stu Światów. Chłopiec, który przeciągał się jak dziki kot.

— Nie zyskałem twojej aprobaty — stwierdził.

Wydawał się równocześnie poirytowany i rozbawiony. Ale, być może, nie pojmowała właściwie tonu kogoś takiego. Z pewnością trudno jest odczytać wyraz twarzy człowieka krągłookiego. Zarówno oblicze, jak i głos niosły ukryty i niepojęty dla niej przekaz.

— Musisz zrozumieć — rzekł. — Nie jestem sobą.

Wang-mu w wystarczającym stopniu znała wspólną mowę, żeby zrozumieć idiom.

— Nie czujesz się dobrze?

Już wypowiadając te słowa, wiedziała, że wyrażenie wcale nie było idiomatyczne.

— Nie jestem sobą — powtórzył. — Nie jestem prawdziwym Peterem Wigginem.

— Mam nadzieję, że nie — odparła Wang-mu. — W szkole czytałam o jego pogrzebie.

— Ale wyglądam jak on, prawda?

Nad terminalem komputera wywołał hologram. Portret przekręcił się i spojrzał na Wang-mu; Peter wyprostował się i przyjął tę samą pozę, zwrócony ku niej twarzą.

— Istnieje pewne podobieństwo — przyznała.

— Oczywiście, jestem młodszy. Ponieważ Ender nie widział mnie, odkąd opuścił Ziemię. Miał wtedy… ile… pięć lat? Zwykły szczeniak. Ja byłem jeszcze chłopcem. I to właśnie pamiętał, kiedy wyczarował mnie z powietrza.

— Nie z powietrza — sprzeciwiła się. — Z niczego.

— Ani z niczego — odparł. — W każdym razie wyczarował. — Uśmiechnął się drwiąco. — Z głębin otchłani duchy mogę wołać.

Dla niego te słowa coś znaczyły, ale nie dla niej. W świecie Drogi jej przeznaczeniem była kariera służącej, więc prawie nie odebrała wykształcenia. Później, w domu Han Fei-tzu, jej zdolności dostrzegła najpierw Qing-jao, a potem sam mistrz. Od obojga otrzymała nie powiązane ze sobą fragmenty wiedzy. Nauka dotyczyła głównie spraw technicznych, a w dziedzinie literatury obejmowała dzieła Państwa Środka i samej Drogi. Mogła bez końca cytować poetkę Li Qing-jao, po której wzięła imię jej była pani. Ale o poecie, którego zacytował chłopiec, nie miała pojęcia.

— Z głębin otchłani duchy mogę wołać — powtórzył. A potem, zmieniając nieco głos i ton, odpowiedział sobie: — I ja to mogę, i lada kto może. Ale czy przyjdą na twoje wołanie?

— Shakespeare? — odgadła.

Uśmiechnął się. Przywodziło to na myśl uśmiech kota do stworzenia, którym się bawi.

— To zawsze najpewniejszy strzał, kiedy cytuje Europejczyk.

— Zabawny cytat — oświadczyła. — Jakiś człowiek przechwala się, że potrafi przywołać umarłych. Ale drugi odpowiada, że sztuka nie w przywoływaniu, ale raczej w skłonieniu ich do przybycia.

Roześmiał się.

— Masz dziwne poczucie humoru.

— Ten cytat znaczy coś dla ciebie, ponieważ Ender przywołał cię z martwych.

Chyba się zdumiał.

— Skąd wiesz? — zapytał.

Poczuła dreszcz grozy. Czy to możliwe?

— Nie wiedziałam. Żartowałam tylko.

— No cóż, to nieprawda. Nie dosłownie. On nie wskrzesza umarłych. Chociaż z pewnością jest przekonany, że potrafiłby, gdyby wynikła taka potrzeba. — Peter westchnął. — Jestem złośliwy. Te słowa same przyszły mi do głowy. Wcale ich nie chciałem. Po prostu przyszły.

— Możliwe jest, że słowa przychodzą do głowy, a jednak człowiek powstrzymuje się od ich wypowiedzenia. Wzniósł oczy do nieba.

— Nie uczono mnie służalczości, tak jak ciebie. Więc tak postępowali ci, którzy pochodzili ze świata ludzi wolnych — drwili z kogoś, kto nie z własnej winy był sługą.

— Nauczono mnie, by z grzeczności zachowywać dla siebie niemiłe słowa — rzekła. — Ale może według ciebie to zaledwie kolejna forma służalczości.

— Jak już powiedziałem, Królewska Matko Zachodu, złośliwość zjawia się w moich ustach nieproszona.

— Nie jestem Królewską Matką. To imię było tylko okrutnym żartem…

— I tylko ktoś bardzo nieuprzejmy mógłby kpić z ciebie z tego powodu. — Peter uśmiechnął się. — Ale ja otrzymałem imię po Hegemonie. Pomyślałem, że noszenie śmiesznie wielkich imion to coś, co może nas łączyć.

Milczała, rozważając możliwość, że on próbuje się zaprzyjaźnić.

— Zacząłem swe istnienie krótki czas temu — oświadczył. — Kilka tygodni. Sądzę, że powinnaś to o mnie wiedzieć. Nie zrozumiała.

— Czy wiesz, jak funkcjonuje ten kosmolot? — zapytał. Wyraźnie skakał z tematu na temat. Egzaminował ją. Miała już dosyć egzaminów.

— Najwyraźniej siedzi się wewnątrz i jest się przesłuchiwanym przez nieuprzejmych cudzoziemców.

Uśmiechnął się i kiwnął głową.

— Oddajesz, co dostałaś. Ender uprzedził mnie, że nie jesteś sługą.

— Byłam oddaną i wierną służącą Qing-jao. Mam nadzieję, że Ender nie okłamał cię w tej kwestii. Machnięciem ręki zbył jej dosłowność.

— Masz niezależny umysł. — Znowu zmierzył ją wzrokiem, znowu poczuła, jakby przeszył ją na wylot tym spokojnym spojrzeniem, tak jak wtedy, kiedy popatrzył na nią po raz pierwszy, nad rzeką. — Wang-mu, nie używam metafory mówiąc, że dopiero niedawno zostałem stworzony. Stworzony, rozumiesz, nie zrodzony. I to, w jaki sposób powstałem, wiąże się mocno ze sposobem działania tego statku. Nie chcę cię nudzić, wyjaśniając rzeczy, które już rozumiesz, ale musisz wiedzieć, czym… nie kim… jestem, żeby pojąć, dlaczego jesteś mi potrzebna. Dlatego pytam po raz drugi: czy wiesz, jak funkcjonuje ten kosmolot?

Kiwnęła głową.

— Chyba tak. Jane, istota mieszkająca w komputerach, utrzymuje w umyśle możliwie dokładny wizerunek statku i wszystkich, którzy są wewnątrz. Ludzie także utrzymują wizerunek siebie i tego, kim są. I

tak dalej. Potem Jane przemieszcza wszystko z realnego świata do miejsca w nicości, co wcale nie wymaga czasu, po czym sprowadza go do rzeczywistości w dowolnie wybranym miejscu. Co również nie wymaga czasu. Dlatego statek, zamiast przez lata podróżować z planety na planetę, pojawia się u celu natychmiast.

Peter przytaknął.

— Bardzo dobrze. Ale musisz pamiętać, że kiedy statek znajduje się na Zewnątrz, nie jest otoczony nicością. Jest otoczony niezliczoną ilością aiúa.

Odwróciła się, by na niego nie patrzeć.

— Nie rozumiesz, o co chodzi z aiúa?

— To jak powiedzieć, że ludzie zawsze istnieli. Że jesteśmy starsi niż najstarsi bogowie…

— No, mniej więcej — zgodził się Peter. — Tyle że nie można aiúa na Zewnątrz uznawać za istniejące, przynajmniej w jakimś znaczącym sensie istnienia. One po prostu tam są. A nawet nie, ponieważ nie ma sensu umiejscowienie, nie ma żadnego „tam", gdzie mogłyby być. Są. Dopóki jakaś inteligencja ich nie przywoła, nie nazwie, nie ułoży w jakimś porządku, nie nada im kształtu i formy.

— Glina może stać się niedźwiedziem — odrzekła. — Ale nie póki spoczywa zimna i mokra w brzegu rzeki.

— Właśnie. Otóż Ender Wiggin i jeszcze kilka osób, których przy odrobinie szczęścia nigdy nie spotkasz, podjęli pierwszą wyprawę na Zewnątrz. Nigdzie się nie wybierali. Celem tej wyprawy było przedostanie się na Zewnątrz na czas dostatecznie długi, by jedna z tych osób, dość utalentowana specjalistka od genetyki, na podstawie utrzymywanego w myślach wizerunku mogła stworzyć nową molekułę… niewiarygodnie złożoną molekułę. Właściwie chciała ją stworzyć na podstawie wizerunku zmian niezbędnych do jej zaistnienia… Brakuje ci wiedzy biologicznej, żeby to pojąć. W każdym razie dokonała tego, czego się spodziewała, stworzyła tę molekułę, kalu kalej. Problem w tym, że nie ona jedna zajmowała się wtedy stwarzaniem.

— Umysł Endera stworzył ciebie? — domyśliła się Wang-mu.

— Nieumyślnie. Byłem, można powiedzieć, tragicznym wypadkiem. Pechowym skutkiem ubocznym. Powiedzmy tyle, że wszyscy tam, wszystko tam tworzyło jak szalone. Wokół nas powstawały widmowe statki. Bez przerwy wyrastały i upadały wszelkiego typu słabe, kruche, efemeryczne struktury. Tylko cztery obiekty miały jakąś trwałość. Jednym z nich była molekuła genetyczna, którą miała stworzyć Elanora Ribeira.

— Jeden był tobą?

— Obawiam się, że najmniej ciekawy. Najmniej kochany i ceniony. Wśród ludzi na statku był młody człowiek imieniem Miro,

nieco okaleczony po tragicznym wypadku sprzed kilku lat. Doznał uszkodzeń mózgu. Niewyraźna mowa, niezręczne ręce, kulawe nogi. I on utrzymywał w myślach potężny, chroniony wizerunek siebie, jakim był kiedyś. I wobec tego doskonałego wizerunku siebie, ogromna liczba aiúa połączyła się w dokładną kopię… nie tego, kim był teraz, ale tego, kim był kiedyś i pragnął stać się znowu. Pełną, ze wszystkimi wspomnieniami. Doskonałe powtórzenie. Tak doskonałe, że odczuwało to samo bezbrzeżne obrzydzenie do kalekiego ciała, jakie sam odczuwał. Zatem ów nowy, udoskonalony Miro… a raczej kopia starego, nie okaleczonego Mira, wszystko jedno… stanęła jak ostateczna odmowa dla kalekiego ciała. I na jego oczach to stare, odepchnięte ciało rozpadło się w nicość. Wang-mu jęknęła, wyobrażając to sobie.

— On umarł!

— Nie. W tym cała rzecz. On żył. Był Mirem. Jego własna aiúa, nie jedna z trylionów aiúa tworzących atomy i molekuły jego ciała, ale ta, która kontrolowała je wszystkie, która była nim, jego wolą… Ta aiúa zwyczajnie przeniosła się do nowego, doskonałego ciała. Ono stało się nim naprawdę. A stare…

— Było niepotrzebne.

— Nie miało już nic, co nadawałoby mu kształt. Widzisz, moim zdaniem to miłość podtrzymuje nasze ciała. Miłość głównej aiúa do wspaniałej, cudownej konstrukcji, którą kieruje, która dostarcza jaźni wszelkich doznań. Nawet Miro, nawet wobec pogardy do kalekiego siebie, musiał kochać te żałosne resztki, jakie mu pozostały. Do chwili, kiedy pojawiło się nowe.

— I wtedy się przeniósł?

— Nie wiedząc nawet, że to robi — odparł Peter. — Podążył za swoją miłością.

Wang-mu wysłuchała tej niezwykłej historii i wiedziała, że musi być prawdą. Wiele razy słyszała, jak w swych rozmowach Jane i Han Fei-tzu wspominają o aiúa, a teraz, wobec opowieści Petera Wiggina, wszystko nabrało sensu. To musiała być prawda, choćby dlatego że statek rzeczywiście pojawił się znikąd na brzegu rzeki za domem Han Fei-tzu.

— Teraz jednak z pewnością się zastanawiasz — podjął Peter — w jaki sposób pojawiłem się na świecie ja, nie kochany i nie do pokochania.

— Sam mówiłeś: z umysłu Endera.

— Najbardziej wyrazistym obrazem w umyśle Mira był wizerunek jego samego, tylko młodszego, zdrowszego, silniejszego. Ale dla umysłu Endera najważniejszymi były wizerunki jego starszej siostry Valentine i starszego brata Petera. Nie takich, jakimi się stali, ponieważ jego prawdziwy starszy brat Peter od dawna już nie żył, a

Valentine… Valentine towarzyszyła Enderowi lub podążała za nim przez wszystkie skoki w przestrzeni, więc ciągle żyje, choć postarzała się jak on. Jest dojrzała. Jest rzeczywistą osobą. A jednak na statku, w czasie pobytu na Zewnątrz, stworzył kopię jej młodej wersji. Młodą Valentine. Biedna stara Valentine. Nie wiedziała, jak bardzo jest stara, dopóki nie zobaczyła siebie młodej: tej doskonałej istoty, tego anioła żyjącego od dzieciństwa w zwichrowanym umyśle Endera. Muszę przyznać, że ona jest największą ofiarą tego niewielkiego dramatu. Wiedzieć, że twój brat nosi w myślach taki twój obraz, zamiast kochać cię, jaką jesteś… To oczywiste, że starej Valentine… nie znosi tego, ale wszyscy tak o niej myślą, nie wyłączając jej samej, biedactwa… oczywiste, że starej Valentine z trudem wystarcza cierpliwości.

— Przecież oryginalna Valentine nadal żyje — zdziwiła się Wang-mu. — A w takim razie kim jest młoda Valentine? Kim jest naprawdę? Ty możesz być Peterem, ponieważ on umarł i nikt nie używa jego imienia, ale…

— Ciekawe, prawda? Ale rzecz nie w tym, czy on jest martwy, czy nie. Ja nim nie jestem. Jak już mówiłem: nie jestem sobą.

Spojrzał w sufit. Hologram nad terminalem odwrócił się i popatrzył na niego. Peter nie dotykał konsoli.

— Jest z nami Jane — zauważyła Wang-mu.

— Jane zawsze jest z nami — mruknął Peter. — Szpieg Endera.

— Ender nie potrzebuje szpiega — przemówił hologram. — Potrzebuje przyjaciół, jeśli zdoła ich pozyskać. A przynajmniej sprzymierzeńców.

Peter od niechcenia wyciągnął rękę i wyłączył terminal.

Wang-mu była głęboko poruszona tym gestem. Całkiem jakby uderzył dziecko. Albo wychłostał sługę.

— Jane jest zbyt szlachetną istotą, by traktować jaz takim brakiem szacunku.

— Jane jest programem komputerowym z błędem w procedurach tożsamości.

Był w posępnym nastroju — ten chłopiec, który przybył, aby zabrać ją do swojego statku i porwać ze świata Drogi. Ale niezależnie od nastroju, teraz, kiedy hologram zniknął, zrozumiała, co zobaczyła.

— To nie tylko, dlatego, że jesteś taki młody, a Peter Wiggin, Hegemon, to człowiek dojrzały — oznajmiła.

— Co? — spytał niecierpliwie. — Co nie dlatego?

— Istnieje fizyczna różnica między tobą a Hegemonem.

— A więc dlaczego?

— On wygląda na… zadowolonego.

— Podbił świat — stwierdził Peter.

— Więc kiedy ty zrobisz to samo, też zyskasz tę zadowoloną minę?

— Tak przypuszczam. To właśnie uchodzi za cel mojego życia. Misja, jaką wyznaczył mi Ender.

— Nie okłamuj mnie — rzekła Wang-mu. — Nad brzegiem rzeki mówiłeś o strasznych rzeczach, jakie uczyniłam z powodu swoich ambicji. Przyznaję: byłam ambitna, zdecydowana wznieść się ponad stan mojego niskiego urodzenia. Znam smak tego uczucia, znam jego zapach i wyczuwam go od ciebie. To jak zapach smoły w upalny dzień. I ty tak cuchniesz.

— Ambicja? Ma swój odór?

— Jestem pijana od niego.

Uśmiechnął się. I dotknął klejnotu w uchu.

— Pamiętaj, Jane słucha. I powtarza wszystko Enderowi. Wang-mu umilkła, ale nie z powodu zakłopotania. Po prostu nie miała nic więcej do powiedzenia, a zatem nic nie mówiła.

— Dobrze, jestem ambitny. Bo takiego wyobrażał mnie sobie Ender. Ambitny, złośliwy i okrutny.

— Zdawało mi się chyba, że nie jesteś sobą. W oczach błysnęło mu wyzwanie.

— Masz rację, nie jestem. — Odwrócił wzrok. — Przykro mi, Gepetto, ale nie mogę być zwyczajnym chłopcem. Nie mam duszy.

Nie zrozumiała, skąd to imię, ale zrozumiała słowo „dusza".

— Przez całe dzieciństwo uważano, że jestem służącą z samej swej natury. Że nie mam duszy. Aż pewnego dnia odkryli, że jednak ją mam. Jak dotąd nie przyniosło mi to szczęścia.

— Nie chodzi mi o jakiś religijny abstrakt. Mówię o aiúa. Ja jej nie mam. Nie zapominaj, co się stało, kiedy aiúa opuściła kalekie ciało Mira.

— Ty się nie rozsypujesz, więc jednak musisz ją mieć.

— Nie ja ją mam, ale ona mnie. Wciąż istnieję, ponieważ aiúa, której nieposkromiona wola powołała mnie do istnienia, wciąż mnie sobie wyobraża. Wciąż mnie potrzebuje, żeby mną kierować, żeby być moją wolą.

— Ender Wiggin? — domyśliła się.

— Mój brat, mój stwórca, mój dręczyciel, mój bóg, moje ja.

— A młoda Valentine? Jej także?

— Tak, ale ją kocha. Jest z niej dumny. Jest zadowolony, że ją stworzył. Mnie nienawidzi. Nienawidzi, a jednak to z jego woli wypowiadam i czynię wszelkie niegodziwości. Kiedy najbardziej jestem godny pogardy, pamiętaj, że robię tylko to, do czego zmusza mnie mój brat.

— Czy można go obwiniać o…

— Ja go nie obwiniam, Wang-mu. Po prostu opisuję rzeczywistość. Jego wola kieruje teraz trzema ciałami: moim, mojej niewiarygodnie anielskiej siostry i oczywiście własnym, podstarzałym.

Każda aiúa mojego organizmu od niego otrzymuje rozkazy. Pod każdym istotnym względem jestem Enderem Wigginem. Tyle że stworzył mnie jako naczynie dla każdego własnego impulsu, którego się lęka i nienawidzi. Jego ambicja… tak, czujesz jego ambicję, kiedy czujesz moją. Jego agresję. Jego wściekłość. Jego złośliwość. Jego okrucieństwo. Jego, nie moje, bo ja jestem martwy, a zresztą i tak nigdy taki nie byłem: nigdy taki, jakiego mnie widział. Osoba, która siedzi przed tobą, jest karykaturą, drwiną! Jestem fałszywym wspomnieniem. Obrzydliwym snem. Koszmarem. Jestem potworem kryjącym się pod łóżkiem. Przywołał mnie z chaosu, bym stał się grozą jego dzieciństwa.

— Więc nie rób tego — rzekła Wang-mu. — Jeśli nie chcesz być taki, nie rób tego.

Westchnął i przymknął oczy.

— Jeśli jesteś taka inteligentna, to dlaczego nie zrozumiałaś ani jednego mojego słowa? Zrozumiała.

— A czym właściwie jest twoja wola? Nikt jej nie dostrzega. Nie słyszysz, jak działa. Poznajesz ją dopiero po czasie, kiedy spoglądasz na swoje życie i widzisz, czego dokonałeś.

— To najpaskudniejsza sztuczka, jaką ze mną zrobił — szepnął Peter, nie otwierając oczu. — Spoglądam na swoje życie i widzę tylko wspomnienia, które on sobie dla mnie wyobraził. Odszedł z naszej rodziny, kiedy miał pięć lat. Co może wiedzieć o mnie i o moim życiu?

— Napisał Hegemona.

— Tę książkę… Tak, opartą na wspomnieniach Valentine i jej opowieściach. Na publicznej dokumentacji mojej oszałamiającej kariery. I oczywiście kilku ansiblowych rozmowach między Enderem a moją własną nieżyjącą osobowością, zanim umarłem… umarł. Mam za sobą ledwie kilka tygodni życia, a pamiętam cytat z „Henryka IV", akt trzeci. Owen Glendower przechwala się Hotspurowi. Henrykowi Percy'emu. Skąd mogę to znać? Kiedy chodziłem do szkoły? Jak długo leżałem bezsennie wśród nocy, póki nie zapisałem w pamięci tysiąca ulubionych wersów? Czyżby Ender wymyślił jakoś całą edukację swojego zmarłego brata? Wszystkie moje tajemne myśli? Prawdziwego Petera Wiggina Ender znał przez zaledwie pięć lat. Nie korzystam ze wspomnień realnej osoby. To wspomnienia, które powinienem mieć zdaniem Endera.

— Uważa, że powinieneś znać Shakespeare'a, więc go znasz? — spytała z powątpiewaniem.

— Gdybym tylko Shakespeare'a dostał od niego… Wielcy pisarze, wielcy filozofowie… gdybym jedynie to pamiętał…

Czekała, aż wymieni te kłopotliwe wspomnienia, ale zadrżał tylko i umilkł.

— Jeżeli naprawdę kieruje tobą Ender, to… to jesteś nim. To

twoje prawdziwe ja. Jesteś Andrew Wigginem. Masz aiúa.

— Jestem koszmarem Andrew Wiggina. Jestem jego obrzydzeniem do samego siebie. Jestem wszystkim, czego nienawidzi w sobie i czego się lęka. Taki dostałem scenariusz. To muszę wykonywać.

Zacisnął dłoń w pięść, a potem rozprostował, wciąż z lekko ugiętymi palcami. Znowu tygrys. Przez jedną chwilę Wang-mu bała się go — ale tylko przez chwilę. Która minęła.

— Jaką rolę twój scenariusz przewiduje dla mnie?

— Sam nie wiem — wyznał Peter. — Jesteś bardzo inteligentna. Mam nadzieję, że bardziej ode mnie. Choć naturalnie cechuje mnie tak niewiarygodna próżność, że nie mógłbym uwierzyć, by ktoś był naprawdę inteligentniejszy ode mnie. Co oznacza, że tym bardziej trzeba mi dobrej rady. Ponieważ nigdy sam tego nie przyznam.

— Krążysz w koło.

— To element mojego okrucieństwa. Dręczę cię rozmową. Możliwe, że mam się posunąć dalej. Może powinienem cię torturować i zabić, tak jak zabijałem wiewiórki. Pamiętam to…

Może mam rozciągnąć twoje żyjące ciało, przybić twoje kończyny do korzeni drzew, a potem otwierać cię warstwa po warstwie, żeby sprawdzić, w którym momencie przylecą muchy i złożą jaja w twoich odkrytych wnętrznościach. Zadrżała, słysząc ten opis.

— Czytałam książkę. Wiem, że Hegemon nie był potworem.

— To nie Mówca Umarłych stworzył mnie na Zewnątrz. To przerażony chłopczyk Ender. Nie jestem Peterem Wigginem, którego z taką mądrością zrozumiał w księdze. Jestem Peterem Wigginem, który nawiedza go w koszmarach. Tym, który obdzierał wiewiórki ze skóry.

— Widział, jak to robisz?

— Nie mnie — odparł z przekąsem. — I jego też nigdy nie widział. Valentine mu powiedziała. Znalazła ciało wiewiórki w lesie niedaleko ich rodzinnego domu w Greensboro, Karolina Północna, na kontynencie Ameryki Północnej na Ziemi. Ale ten obraz tak dobrze pasował do jego koszmarów, że pożyczył go i podzielił się nim ze mną. Intelektualnie, mogę sobie wyobrazić, że Peter Wiggin wcale nie był okrutny. Uczył się i badał. Nie żałował wiewiórki, ponieważ nie wiązał z nią żadnych uczuć. Miał do czynienia ze zwykłym zwierzęciem, nie bardziej ważnym niż kaczan kukurydzy. Rozcięcie jej było prawdopodobnie czynem równie niemoralnym co przyrządzanie sałatki. Ale Ender nie tak to sobie wyobrażał, więc i ja teraz nie tak o tym pamiętam.

— A jak pamiętasz?

— Tak jak wszystkie moje wymuszone wspomnienia. Z zewnątrz. Z przerażeniem i fascynacją patrzę, jak czerpię ohydną radość z okrucieństwa. We wszystkich wspomnieniach poprzedzających

moment, kiedy pojawiłem się podczas krótkiej wyprawy Endera na Zewnątrz, widzę siebie oczami kogoś innego. Mogę cię zapewnić, że to niezwykłe uczucie.

— A teraz?

— Teraz nie widzę siebie wcale — odparł. — Ponieważ nie mam jaźni. Nie jestem sobą.

— Przecież pamiętasz. Masz wspomnienia. Pamiętasz już tę rozmowę. Pamiętasz, że na mnie patrzysz. Pamiętasz z pewnością.

— Tak — przyznał. — Pamiętam cię. I pamiętam, że jestem tutaj i patrzę na ciebie. Ale za oczami nie mam jaźni. Czuję się zmęczony i głupi, nawet kiedy jestem najsprytniejszy i najbardziej błyskotliwy.

Uśmiechnął się czarująco i Wang-mu raz jeszcze dostrzegła prawdziwą różnicę między Peterem a hologramem Hegemona. Tak jak powiedział: nawet pełen pogardy do siebie, ten Peter Wiggin miał źrenice błyszczące wewnętrzną furią. Był niebezpieczny. Kiedy patrzył prosto w oczy, miała wrażenie, że już planuje czas i sposób jej śmierci.

— Nie jestem sobą — powtórzył.

— Mówisz to, żeby nad sobą zapanować — odgadła Wang-mu, pewna, że się nie myli.

— To twoja mantra, która ma cię powstrzymać przed uczynieniem tego, czego pragniesz.

Peter westchnął, pochylił się i położył głowę na terminalu, przyciskając policzek do zimnej powierzchni plastiku.

— A czego pragniesz? — spytała, bojąc się odpowiedzi.

— Odejdź — rzekł.

— Gdzie mogę pójść? Ten twój wspaniały kosmolot ma tylko jedną kabinę.

— Otwórz drzwi i wyjdź na zewnątrz.

— Chcesz, żebym zginęła? Chcesz mnie wyrzucić w próżnię, gdzie zamarznę, zanim zdążę się udusić?

Wyprostował się i spojrzał na nią zdziwiony.

— Próżnię?

Jego zaskoczenie zdumiało ją. Gdzie mogli się znajdować, jeśli nie w próżni? Przecież tak podróżowały statki kosmiczne: w przestrzeni, w próżni.

Z wyjątkiem tego, naturalnie.

Spostrzegł, że Wang-mu zaczyna pojmować, i zaśmiał się głośno.

— No tak, rzeczywiście jesteś inteligentna. Przebudowali cały świat Drogi, żeby powstał twój geniusz. Nie dała się sprowokować.

— Sądziłam, że będzie jakieś wrażenie ruchu… Czy już dolecieliśmy? Jesteśmy na miejscu?

— W jednym mgnieniu oka. Przenieśliśmy się na Zewnątrz, a potem do Wewnątrz w innym i miejscu, wszystko tak szybko, że jedynie komputer mógłby postrzegać naszą podróż jako trwającą w

czasie. Jane przerzuciła nas, zanim skończyłem z nią rozmawiać. Zanim odezwałem się do ciebie.

— Więc gdzie jesteśmy? Co jest za drzwiami?

— Siedzimy w lesie, gdzieś na planecie Boskiego Wiatru. Powietrze nadaje się do oddychania. Nie zamarzniesz. Jest lato.

Podeszła i pociągnęła klamkę, zwalniając hermetyczną uszczelkę. Drzwi stanęły otworem. Do pokoju wlało się światło słońca.

— Boski Wiatr — powiedziała. — Szinto. Zamieszkali ją Japończycy. Chociaż mam wrażenie, że ostatnio nie jest tak całkiem japońska.

— Co ważniejsze, to świat, gdzie zdaniem Andrew, Jane i moim… jeśli w ogóle mogę mieć jakieś własne, nie Endera zdanie… gdzie możemy znaleźne ośrodek władzy, który kieruje Kongresem. Prawdziwych decydentów. Siłę za tronem.

— Żebyś mógł ich pozyskać i epatować ludzkość?

— Żebym mógł powstrzymać Flotę Lusitańską. Przejęcie władzy nad ludzkością to dalsze plany. Flota jest sprawą pilną. Mamy tylko kilka tygodni, żeby ją powstrzymać, zanim dotrze na miejsce, użyje systemu DM i rozbije Lusitanię na elementy składowe. A ponieważ Ender i wszyscy pozostali sądzą, że zawiodę, jak najszybciej budują te małe puszki kosmolotów i przerzucają jak najwięcej Lunsitańcyków: ludzi, prosiaczków i robali, na inne planety, nadające się do zamieszkania, ale jeszcze nie zamieszkane. Moja droga siostra Valentine, ta młoda, wyruszyła z Mirem, kochanym chłopakiem w nowiutkim ciele, szukać nowych światów w takim tempie, w jakim może ich przenosić ten mały kosmolocik. Niełatwe przedsięwzięcie. Wszyscy obstawiają moją… naszą klęskę. Spróbujmy ich rozczarować.

— Rozczarować?

— Zwyciężając. Wygrajmy. Znajdźmy ośrodek władzy ludzkości i przekonajmy ich, żeby zatrzymali flotę, zanim niepotrzebnie zniszczy świat.

Wang-mu przyjrzała mu się z powątpiewaniem. Przekonać, żeby zatrzymali flotę? Ten złośliwy chłopak z okrutnym sercem? Jak może kogoś do czegokolwiek przekonać?

Odpowiedział na jej wątpliwości, jak gdyby słyszał, co myśli.

— Rozumiesz teraz, dlaczego cię poprosiłem, żebyś poleciała ze mną. Kiedy Ender mnie wymyślał, zapomniał, że nie znał mnie wcale w okresie mojego życia, kiedy przekonywałem ludzi, łączyłem ich w zmiennych sojuszach i wszystkie te bzdury. Dlatego stworzony przez niego Peter Wiggin jest zbyt paskudny, zbyt otwarcie ambitny i jawnie okrutny, żeby kogoś z krostą na tyłku przekonać do podrapania się w pośladek.

Odwróciła wzrok.

— Widzisz?! — zawołał. — Znów cię obraziłem. Spójrz na mnie.

Czy dostrzegasz mój dylemat? Prawdziwy Peter, ten oryginalny, mógłby dokonać dzieła, które stoi przede mną. Mógłby to zrobić nawet przez sen. Już teraz miałby jakiś plan. Umiałby pozyskać ludzi, uspokoić ich, wkręcić się do ich rady. Tamten Peter Wiggin! Potrafił oczarować pszczoły, żeby oddały mu żądła. A czy ja potrafię? Wątpię. Bo widzisz, ja nie jestem sobą.

Wstał, przecisnął się obok niej i wyszedł na łąkę otaczającą metalową kabinę, która przeniosła ich z planety na planetę. Wang-mu stała w drzwiach i patrzyła, jak odchodzi… ale niezbyt daleko.

Rozumiem, jak się czuje, myślała. Wiem, co to znaczy ustępować przed cudzą wolą. Żyć dla kogoś innego, jakby był gwiazdą filmu mojego życia, a ja aktorką drugoplanową. Byłam niewolnicą. Ale przynajmniej przez cały czas wiedziałam, co mówi moje serce. Nawet wykonując polecenia, znałam swoje myśli. Peter Wiggin nie ma pojęcia, czego chce naprawdę, bo nawet jego gniew na utratę wolności nie należy do niego… Nawet to pochodzi od Andrew Wiggina. Nawet jego odraza dla siebie jest odrazą Andrew i…

I jeszcze raz, i znowu, na podobieństwo toru jego wędrówki po łące.

Wang-mu pomyślała o swojej pani… nie, o swojej byłej pani Qing-jao. Ona również śledziła dziwne ścieżki. Bogowie zmuszali ją do tego. Nie… to dawne myślenie. Skłaniał ją zespół psychozy natręctw. Klęczała na podłodze i śledziła słoje drzewa na deskach, śledziła pojedynczą linię biegnącą przez całą podłogę, a potem następną… co nie miało sensu, ale musiała to robić, ponieważ jedynie drogą takiego bezsensownego, ogłupiającego posłuszeństwa mogła zdobyć odrobinę swobody od kierujących nią impulsów. Niewolnicą zawsze była Qing-jao, nie ja. Ponieważ jej władca kierował nią z wnętrza umysłu. Ja tymczasem zawsze widziałam swoją panią poza mną i moja jaźń pozostała nienaruszona.

Peter Wiggin wie, że kierują nim podświadome lęki i pasje skomplikowanego człowieka, przebywającego o lata świetlne stąd. Qing-jao także wierzyła, że jej obsesje pochodzą od bogów. Czy warto przekonywać siebie, że to, co człowiekiem kieruje, pochodzi z zewnątrz, gdy naprawdę doświadcza tego we własnym sercu? Gdzie można przed tym uciec? Jak można się ukryć? Qing-jao jest już pewnie wolna, oswobodzona przez wirusa, którego Peter przyniósł na Drogę i oddał w ręce Han Fei-tzu. Ale sam Peter… czy dla niego możliwa jest wolność?

Jednak musi żyć tak, jakby był wolny. Musi walczyć o wolność, nawet jeśli ta walka to jeszcze jeden symptom jego zniewolenia. Peter pragnie być sobą. Nie, nie sobą. Kimś.

Lecz jaka jest w tym moja rola? Czy mam dokonać cudu i dać mu aiúa? Nie leży to w mojej mocy.

A jednak mam moc, pomyślała.

Musi ją mieć. Inaczej dlaczego rozmawiałby z nią tak otwarcie? Była obca, a od razu otworzył przed nią serce. Dlaczego? Bo znała kluczowe tajemnice… Ale to nie jedyny powód.

No tak, oczywiście. Mógł z nią rozmawiać swobodnie, ponieważ nigdy nie znała Andrew Wiggina. Być może, Peter jest jedynie aspektem natury Endera, jest tym, czego Ender lęka się i pogardza w sobie. Ale ona nie może ich porównać. Kimkolwiek jest Peter i cokolwiek nim kieruje, Wang-mu była jego i tylko jego powierniczką.

A to ponownie czyniło z niej sługę. Była przecież także powierniczką Qing-jao.

Zadrżała, jakby chciała odepchnąć od siebie tę smutną analogię. Nie, powiedziała sobie. To nie to samo. Ponieważ ten młody człowiek, wędrujący bez celu pośród dzikich kwiatów, nie ma nade mną władzy. Może tylko opowiadać mi o swoim bólu i liczyć na zrozumienie. Cokolwiek mu daję, daję z własnej woli.

Przymknęła oczy i oparła głowę o ramę drzwi. Tak, oddam mu to z własnej woli, myślała. Nie odmówię tego, czego ode mnie oczekuje: lojalności, poświęcenia, pomocy w swoich dziełach. Poddania mu się. A czemu planuję coś takiego? Ponieważ — mimo że wątpi w siebie — ma moc, by zjednywać ludzi dla sprawy.

Otworzyła oczy i przez wysoką trawę podążyła ku niemu. Czekał bez słowa. Wokół brzęczały pszczoły, a motyle zataczały się w powietrzu jak pijane, omijając ją jakoś w pozornie chaotycznym locie. W ostatniej chwili szybkim ruchem zdjęła z kwiatu pszczołę i rzuciła Peterowi w twarz.

Zaskoczony i zły, odtrącił rozwścieczonego owada, uchylił się, odskoczył, przebiegł kilka kroków, nim pszczoła wreszcie zgubiła jego ślad i brzęcząc odleciała. Dopiero wtedy odwrócił się i spojrzał na Wang-mu gniewnie.

— Co to miało znaczyć?

Zachichotała. Nie mogła się powstrzymać. Wyglądał tak zabawnie…

— Bardzo śmieszne! Widzę, że będziesz świetną towarzyszką.

— Gniewaj się. Nie przeszkadza mi to — odparła. — Ale coś ci powiem. Czy sądzisz, że daleko stąd, na Lusitanii, aiúa Endera nagle pomyślała; „O, pszczoła!” i kazała ci się opędzać i podskakiwać jak błazen?

Wzniósł oczy do nieba.

— Ależ jesteś sprytna… Doprawdy, Królewska Matko Zachodu, rozwiązałaś wszystkie moje problemy. Teraz widzę, że od początku musiałem być prawdziwym chłopcem. A te czerwone buciki, no tak, od początku miały moc przeniesienia mnie z powrotem do Kansas.

— Co to jest Kansas? — spytała, zerkając na jego buty, które

wcale nie były czerwone.

— Kolejne wspomnienie Endera, którym łaskawie podzielił się ze mną.

Stał z rękami w kieszeniach i przyglądał się jej.

Ona stała milcząc, z rękami splecionymi przed sobą, i także na niego patrzyła.

— Więc jesteś ze mną? — zapytał w końcu.

— Musisz się postarać być wobec mnie grzeczniejszy — odparła.

— Zwróć się z tym do Endera.

— Nie obchodzi mnie, czyja aiúa tobą kieruje. Masz własne, różne od jego myśli. Przestraszyłeś się pszczoły, a on wtedy nawet nie pomyślał o pszczole. Wiesz o tym. Zatem którakolwiek część ciebie akurat sprawuje kontrolę, kimkolwiek jest prawdziwy „ty", w tej chwili na twojej twarzy znajdują się usta, które będą ze mną rozmawiać. Więc uprzedzam, że jeśli mam z tobą pracować, lepiej zachowuj się uprzejmie.

— Czy to znaczy, że nie będzie więcej pszczół? — zapytał.

— Nie — obiecała.

— To dobrze. Przy moim pechu, Ender z pewnością dał mi ciało, które doznaje szoku alergicznego od użądlenia.

— Pszczoła też może przy tym ucierpieć — zauważyła Wang-mu.

Uśmiechnął się.

— Odkrywam, że chyba cię lubię — stwierdził. — I naprawdę nie znoszę tego uczucia. Ruszył w stronę statku.

— Chodź! — zawołał. — Zobaczymy, jakie informacje posiada Jane o tym świecie, który podobno mamy wziąć szturmem.

NIE WIERZYSZ W BOGA

Kiedy podążam ścieżką bogów po drewnie, moje oczy śledzą każdy skręt słojów, ale ciało pozostaje wyprostowane wzdłuż deski, Ci, którzy patrzą, widzą, że prosta jest droga bogów, gdy ja żyję w świecie, gdzie nie ma nic prostego.

Z „Boskich szeptów Han Qing-jao”

Novinha nie chciała go widzieć. Stara nauczycielka wydawała się szczerze zasmucona, kiedy mówiła o tym Enderowi.

— Nie była zagniewana — wyjaśniła. — Powiedziała mi, że… Ender skinął głową, pojmując, że nauczycielka rozdarta jest pomiędzy współczuciem a uczciwością.

— Możesz przekazać mi jej słowa — zapewnił. — Jest moją żoną, więc potrafię je znieść.

Nauczycielka westchnęła ciężko.

— Wiesz, że i ja jestem zamężna.

Oczywiście, że wiedział. Wszyscy członkowie zakonu Dzieci Umysłu Chrystusa — Os Filhos da Mente de Cristo — żyli w związkach małżeńskich. Tak nakazywała reguła.

— Jestem zamężna, więc doskonale wiem, że twoja żona jest jedyną osobą znającą właśnie te słowa, których znieść nie potrafisz.

— Wyrażę to inaczej — odparł łagodnie Ender. — Jest moją żoną, więc postanowiłem jej wysłuchać, niezależnie od tego, czy potrafię to znieść, czy nie.

— Powiedziała, że musi dokończyć pielenia, więc nie ma czasu na mniej ważne bitwy.

Tak, to cała Novinha. Może sama siebie przekonywać, że okryła się płaszczem Chrystusa, ale jeśli nawet, to Chrystusa, który oskarżył faryzeuszy, Chrystusa, który wypowiadał okrutne i pełne sarkazmu słowa do swych wrogów i przyjaciół. Nie tego łagodnego, pełnego nieskończonej cierpliwości.

Jednak Ender nie należał do tych, którzy odchodzą, ponieważ zraniono ich uczucia.

— Na co więc czekamy? — zapytał. — Gdzie mogę znaleźć motykę?

Nauczycielka przyglądała mu się przez chwilę z uśmiechem, po czym poprowadziła do ogrodów. Po chwili, w roboczych rękawicach,

z motyką w dłoni, stanął na końcu zagonu, gdzie pracowała Novinha. Pochylona w blasku słońca, wpatrzona w ziemię przed sobą, podkopywała chwasty, wyrywała i odrzucała, by w ostrym upale wypaliły się na śmierć. Zbliżała się do niego.

Ender wstąpił na nie obrobioną grządkę, obok tej, którą kroczyła Novinha, i zaczął pielić, przesuwając się ku niej. Nie spotkają się, ale przejdą blisko siebie. Zauważy go — albo nie. Odezwie się do niego — albo nie. Wciąż go kocha i potrzebuje. Albo nie. To nieważne: pod koniec dnia okaże się, że pielił to samo pole co żona, że dzięki niemu jej praca była łatwiejsza. A zatem wciąż będzie jej mężem, choćby nie życzyła go sobie w tej roli.

Kiedy mijali się po raz pierwszy, nawet nie podniosła głowy. Nie musiała. Wiedziała nie patrząc, że ten, kto zaczął pracować obok, kiedy odmówiła spotkania swemu mężowi, musi być właśnie jej mężem. Wiedział, że jest tego świadoma, ale wiedział też, że jest zbyt dumna, by spojrzeć na niego i okazać, że chciałaby go zobaczyć. Będzie wpatrywać się w zielsko, dopóki nie oślepnie, gdyż Novinha nie należy do osób, które naginają się do cudzej woli. Z wyjątkiem woli Jezusa, naturalnie. Taką wiadomość mu przesłała i ta wiadomość go tu sprowadziła. Musiał z Novinhą porozmawiać. Krótka notka wyrażona językiem Kościoła: odchodziła od niego, by służyć Chrystusowi pośród Filhos. Czuła, że została powołana do tej pracy. Powinien uznać, że nic już nie jest jej winien i nie oczekiwać od niej więcej niż to, co chętnie da każdemu z bożych dzieci. To był okrutny list, mimo delikatnych sformułowań.

Ender też nie naginał się do cudzej woli. Nie posłuchał więc, ale przyszedł tutaj, zdecydowany uczynić coś przeciwnego niż to, o co prosiła. Zresztą dlaczego nie? Decyzje podejmowane przez Novinhę zwykle miały fatalne skutki. Ile razy usiłowała zrobić coś dla czyjegoś dobra, prowadziło to do zniszczenia. Choćby Libo, przyjaciel z dzieciństwa i potajemny kochanek, ojciec wszystkich jej dzieci zrodzonych w małżeństwie z człowiekiem gwałtownym, ale bezpłodnym, będącym aż do śmierci jej mężem. Bojąc się, że Libo zginie z rąk pequeninos, tak jak zginął jego ojciec, Novinha zamknęła przed nim dostęp do swych kluczowych odkryć na temat życia biologicznego na planecie Lusitania. Lękała się, że wiedza go zabije. Tymczasem do jego śmierci doprowadziła ignorancja: brak tych właśnie informacji, których nie chciała mu zdradzić. To, co bez jego wiedzy uczyniła dla jego dobra, w końcu go zabiło.

Mogłaby czegoś się nauczyć, pomyślał Ender. Ale wciąż postępuje tak samo. Podejmuje decyzje, które deformują życie innych, nawet się ich nie radząc. Nie dopuszcza myśli, że może wcale nie chcą, by ratowała ich przed tymi wydumanymi nieszczęściami, przed którymi usiłuje ich ratować.

Choć z drugiej strony, gdyby zwyczajnie wyszła za Liba i powiedziała mu wszystko, co wie, prawdopodobnie żyłby nadal. A Ender nie ożeniłby się z wdową i nie pomagał wychować jego dzieci. Raczej nie założyłby innej rodziny. Choć więc Novinha podejmowała zwykle fatalne decyzje, jednak najszczęśliwszy okres jego życia nastąpił w wyniku najbardziej tragicznej z jej pomyłek.

Przy drugim przejściu Ender zobaczył, że wciąż uparta, nie ma zamiaru do niego przemówić. Jak zwykle więc ustąpił pierwszy.

— Filhos nie żyją samotnie. Wiesz przecież, że to zakon małżeński. Beze mnie nie zostaniesz pełnoprawnym członkiem.

Znieruchomiała. Ostrze motyki spoczęło na wzruszonej glebie, uchwyt opierał się o palce.

— Mogę pielić chwasty bez ciebie — odpowiedziała w końcu. Serce zadrżało w nim z ulgi, że przebił barierę milczenia.

— Nie, nie możesz — oświadczył. — Ponieważ jestem tutaj.

— Są też ziemniaki — zauważyła. — Nie mogę cię powstrzymać od pomagania ziemniakom.

Mimo woli roześmiali się oboje. Stęknęła i wyprostowała grzbiet, wypuszczając uchwyt motyki. Oburącz ujęła dłoń Endera, budząc w nim dreszcze mimo dwóch warstw grubej tkaniny dzielącej ich palce.

— Jeśli dłoń moja, co tę świętość trzyma, bluźni dotknięciem… — zaczął Ender.

— Żadnego Shakespeare'a — przerwała. — Żadnych ust gotowych do pocałowań pobożnych.

— Tęsknię za tobą.

— Musisz się przyzwyczaić.

— Nie muszę. Jeśli ty wstąpiłaś do Filhos, to i ja mogę.

Zaśmiała się.

Enderowi nie spodobała się ta kpina.

— Skoro ksenobiolog może porzucić świat bezsensownych cierpień, dlaczego nie wolno staremu, emerytowanemu mówcy umarłych?

— Andrew… nie przyszłam tutaj dlatego, że zrezygnowałam z życia. Jestem tu, ponieważ naprawdę zwróciłam swe serce do Zbawiciela. Ty nie możesz tego uczynić. Nie tutaj jest twoje miejsce.

— Tutaj, jeśli ty tu jesteś. Zawarliśmy ślub. Święty, którego Kościół nie pozwoli nam rozwiązać. Czyżbyś zapomniała?

Westchnęła i spojrzała na niebo ponad murem klasztoru. Za tym murem, za łąkami, przez ogrodzenie, na wzgórze i w las… Tam chodził i tam zginął Libo, wielka miłość jej życia. Tam chodził i tam zginął jego ojciec Pipo, który i dla niej był jak ojciec. Do innego lasu odszedł i zginął jej syn Estevão. Patrząc na nią, Ender wiedział, że kiedy widzi świat za murem, widzi ich śmierć. Dwaj zginęli, zanim pojawił się na Lusitanii. Ale Estevão… Błagała Endera, żeby nie

dopuścił do jego wyjazdu w to niebezpieczne miejsce, gdzie pequeninos mówili o wojnie, o zabijaniu ludzi. Wiedziała równie dobrze jak Ender, że zatrzymanie Estevão byłoby tym samym, co zabicie go, ponieważ nie dla bezpieczeństwa został księdzem, ale żeby ponieść słowo Chrystusa do ludu drzew. Radość, jaka nawiedzała chrześcijańskich męczenników, z pewnością stała się udziałem Estevão, kiedy umierał wolno w objęciach morderczego drzewa. Radość i pociecha, jaką Bóg im zsyłał w godzinie największej ofiary. Lecz tej radości Novinha nie odczuła. Bóg najwyraźniej nie rozciągnął przywilejów swego sługi na jego krewnych. I w swym bólu i wściekłości obwiniała Endera. Po co za niego wyszła, jeśli nie po to, by chronił ją od nieszczęść?

Nigdy nie próbował jej tłumaczyć rzeczy najbardziej oczywistej: że jeśli już ktoś był temu winien, to Bóg, nie on. W końcu to Bóg uczynił świętymi — no, prawie świętymi — jej rodziców, którzy umarli, poszukując leku na descoladę, gdy Novinha była jeszcze dzieckiem. Z pewnością to Bóg wysłał Estevão z misją do najbardziej niebezpiecznych pequeninos. A jednak w cierpieniu do Boga się zwróciła, porzucając Endera, który chciał dla niej tylko dobra.

Nie powiedział tego, gdyż wiedział, że nie zechce go wysłuchać. Rozumiała te sprawy inaczej. Bóg zabrał ojca i matkę, Pipa, Liba i w końcu Estevão, bo był sprawiedliwy i karał ją za grzechy. Natomiast Ender nie zdołał powstrzymać Estevão od samobójczej misji do pequeninos, ponieważ był ślepy, zarozumiały, uparty i złośliwy. I nie kochał jej dostatecznie.

A przecież ją kochał. Kochał całym sercem.

Całym?

Całym, o którym wiedział. A jednak, kiedy najgłębsze sekrety wyszły na jaw w tej pierwszej wyprawie na Zewnątrz, jego serce nie Novinhę przywołało. Najwyraźniej więc był ktoś, kto znaczył dla niego więcej.

Nic nie mógł poradzić na to, co dzieje się w jego podświadomości — nie bardziej niż Novinha. Panował tylko nad tym, co robił w rzeczywistości, a teraz robił wszystko, by pokazać, że choćby Novinha nie wiem jak się starała, on nie pozwoli się odepchnąć. Choćby wyobrażała sobie, że bardziej od niej kocha Jane i swoje zaangażowanie w wielkie sprawy ludzkości, nie jest to prawda. Novinha była dla niego ważniejsza niż wszystko inne. Dla niej zrezygnuje ze wszystkiego. Dla niej zniknie za murami klasztoru. Będzie pielił zagony nie zidentyfikowanych roślin pod palącymi promieniami słońca. Dla niej.

Ale nawet to nie wystarczy. Uparła się, żeby zrobił to wszystko nie dla niej, ale dla Chrystusa. To już pech. Nie z Chrystusem brał ślub, i ona też nie. A przecież Bóg z pewnością jest zadowolony, gdy

mąż i żona wszystko sobie oddają. Z pewnością tego właśnie Bóg oczekuje od ludzkich istot.

— Wiesz, że nie mam do ciebie żalu o śmierć Quima? — spytała, używając dawnego, rodzinnego przezwiska Estevão.

— Nie wiedziałem — odparł. — Ale cieszę się, że mi to mówisz.

— Z początku gniewałam się, choć wiedziałam, że to nierozsądne. Wyruszył, ponieważ chciał tego i był już zbyt dorosły, żeby rodzice mogli go powstrzymać. Jeśli ja nie mogłam, to jak ty byś zdołał?

— Nawet nie próbowałem — wyznał Ender. — Chciałem, żeby wyruszył. To było spełnienie marzeń jego życia.

— O tym też już wiem. To słuszne. Słuszne, że wyruszył i słuszne nawet, że zginął, ponieważ jego śmierć miała znaczenie. Prawda?

— Ocaliła Lusitanię przed holocaustem.

— I wielu doprowadziła do Chrystusa. — Zaśmiała się jak dawniej, głęboko, ironicznie. Nauczył się cenić ten śmiech, choćby dlatego że był tak rzadki. — Drzewa dla Jezusa — powiedziała. — Kto by pomyślał.

— Już teraz nazywają go świętym Stefanem od Drzew.

— To przedwczesne. Proces wymaga czasu. Najpierw musi zostać beatyfikowany. Cuda uzdrowienia muszą się zdarzyć przy jego grobie. Wierz mi, znam tę procedurę.

— W dzisiejszych czasach męczennicy nie zdarzają się często — przypomniał jej Ender.

— Będzie beatyfikowany. Będzie kanonizowany. Ludzie będą się modlić, żeby wstawił się za nimi u Chrystusa. I uda się, bo jeśli ktokolwiek zasłużyłby Chrystus go wysłuchał, to z pewnością twój syn Estevão.

Łzy pociekły jej po policzkach, choć znowu się roześmiała.

— Moi rodzice byli męczennikami i będą świętymi. Mój syn także. Pobożność przeskoczyła jedno pokolenie.

— A tak. Twoje pokolenie oddawało się egoistycznemu hedonizmowi.

Odwróciła się wreszcie i spojrzała na niego: ubrudzone ziemią, mokre od łez policzki, uśmiechnięta twarz, błyszczące oczy patrzące wprost w jego serce. Kobieta, którą kochał.

— Nie żałuję mojego cudzołóstwa — oświadczyła. — Jak Chrystus może mi wybaczyć, skoro nawet nie czuję skruchy? Gdybym nie sypiała z Libem, moje dzieci by nie istniały. Chyba Bóg nie potępi mnie za to?

— Jezus powiedział chyba: Ja, Pan wasz, wybaczę, komu wybaczę. Ale od was wymagam, byście wybaczyli wszystkim ludziom.

— Mniej więcej. Nie jestem biblistką. — Wyciągnęła rękę i musnęła palcem jego policzek. — Jesteś taki silny, Enderze.

Ale wyglądasz na zmęczonego. Jak możesz być zmęczony?

Wszechświat ludzkich istot wciąż uzależniony jest od ciebie. A jeśli nawet nie jesteś własnością całej ludzkości, to z pewnością tej planety. Masz ocalić ten świat. Ale jesteś zmęczony.

— Gdzieś w głębi duszy na pewno jestem — przyznał. — A ty odebrałaś mi chęć życia.

— To dziwne. — Westchnęła. — Sądziłam, że odebrałam ci raczej jakiś nowotwór.

— Nie najlepiej potrafisz określić, Novinho, czego inni chcą i potrzebują od ciebie. Na ogół masz skłonność do działań, które najbardziej ranią i ich, i ciebie.

— Dlatego trafiłam tutaj, Enderze. Mam już dość podejmowania decyzji. Ufałam własnym sądom. Potem ufałam tobie. Darzyłam zaufaniem Liba, Pipa, ojca i matkę, Quima… A każdy z nich zawiódł mnie albo odszedł, albo… Nie, wiem, że ty nie odszedłeś i że to nie ty… Wysłuchaj mnie, Andrew, proszę. Problem nie w ludziach, którym ufałam, ale w tym, że żaden człowiek nie mógł dać mi tego, czego pragnęłam. A pragnęłam wybawienia. Rozumiesz? Potrzebowałam i nadal potrzebuję odpuszczenia win. I nie w twojej mocy jest, by mi je ofiarować. Wyciągasz do mnie ręce, które dają mi więcej, niż sam posiadasz, ale wciąż nie masz tego, czego mi trzeba. Tylko Zbawiciel, tylko Namaszczony, tylko On… Rozumiesz? Moje życie okaże się warte trudu, jeśli ofiaruję je dla Niego. I dlatego tu jestem.

— I pielisz.

— Myślę, że oddzielam dobre ziarno od plew — rzekła. — Ludzie dostaną więcej i lepszych ziemniaków, ponieważ usuwam chwasty. Teraz nie muszę być ważna ani nawet dostrzegana, żeby być zadowolona ze swego życia. Ale ty przychodzisz i przypominasz mi, że nawet znajdując szczęście, ranie kogoś.

— Wcale nie ranisz — zapewnił Ender. — Ponieważ przychodzę tu z tobą. Idę z tobą do Filhos. To małżeński zakon, a my jesteśmy małżeństwem. Beze mnie nie możesz do nich wstąpić, a potrzebujesz tego. Ze mną możesz. Czy możliwe jest prostsze rozwiązanie?

— Prostsze? — Pokręciła głową. — Zacznijmy od tego, że nie wierzysz w Boga. Co na to powiesz?

— Na pewno wierzę także w Boga — zapewnił z irytacją Ender.

— Tak, skłonny jesteś przyznać, że Bóg istnieje. Ale nie w tym rzecz. Widzisz, kiedy matka mówi synowi „wierzę w ciebie”, nie stwierdza, że on istnieje… co warta jest taka wiara… Mówi, że wierzy w jego przyszłość, ufa, że uczyni wszelkie dobro, jakie jest mu przeznaczone. Składa w jego ręce przyszłość. Tak w niego wierzy. A ty nie wierzysz w Chrystusa w ten sposób, Andrew. Wciąż wierzysz w siebie. W innych ludzi. Wysłałeś te młode surogaty, te dzieci, które przywołałeś podczas swojej podróży do piekła… Może i jesteś teraz

przy mnie, w tych murach, ale twoje serce wraz z nimi bada planety i próbuje zatrzymać flotę. Niczego nie zostawiasz Bogu. Nie wierzysz w Niego.

— Przepraszam cię, ale gdyby Bóg sam chciał wszystko załatwić, to po co w ogóle nas stwarzał?

— A tak, przypominam sobie. Jedno z twoich rodziców było heretykiem i z pewnością stąd biorą się te twoje dziwaczne idee.

Dawniej często tak żartowali, ale teraz żadne się nie uśmiechnęło.

— Wierzę w ciebie — oznajmił Ender.

— Ale radzisz się Jane.

Wyjął z kieszeni i pokazał jej klejnot z kilkoma bardzo cienkimi przewodami. Jak błyszczący delikatny organizm wyrwany spośród wodorostów płytkiego morza. Przez chwilę patrzyła nie rozumiejąc, aż nagle uświadomiła sobie, co to jest. Spojrzała na ucho męża, gdzie przez wszystkie lata znajomości tkwił klejnot łączący go z Jane, ożywionym programem komputerowym, jego najstarszą, najdroższą, najwierniejszą przyjaciółką.

— Andrew, nie… Chyba nie dla mnie…

— Nie mógłbym uczciwie stwierdzić, że zamknąłem się w tych murach, gdyby Jane wciąż szeptała mi do ucha. Rozmawiałem z nią. Wytłumaczyłem. Ona rozumie. Wciąż jesteśmy przyjaciółmi. Ale już nie towarzyszami.

— Och, Andrew… — Novinha szlochała teraz otwarcie. Objęła go i przytuliła. — Gdybyś to zrobił przed laty, choćby przed kilkoma miesiącami…

— Może i nie wierzę w Chrystusa tak samo jak ty — rzekł Ender. — Ale czy nie wystarczy, że wierzę w ciebie, a ty wierzysz w Niego?

— Nie tutaj jest twoje miejsce, Andrew.

— Bardziej tutaj niż gdziekolwiek indziej, jeśli ty tu jesteś. Nie tyle świat mnie zmęczył, ile decydowanie. Mam dość prób rozwiązywania spraw.

— My tutaj też próbujemy rozwiązywać sprawy — oświadczyła, odsuwając się od niego.

— Ale tutaj możemy stać się nie umysłem, lecz dziećmi umysłu. Dłońmi i stopami, wargami i językiem. Możemy wykonywać, nie decydować.

Pochylił się, przyklęknął, potem usiadł na ziemi. Młode rośliny łaskotały mu skórę. Otarł czoło brudną dłonią, wiedząc, że rozmazuje pył w błoto.

— Prawie w to wierzę, Andrew. Potrafisz przekonywać — powiedziała Novinha. — I co, postanowiłeś przestać być bohaterem własnej sagi? Czy może to tylko manewr? Zostać sługą wszystkich, żeby być największym spośród nas?

— Wiesz, że nigdy nie szukałem wielkości. I jej nie znalazłem.

— Andrew, opowiadasz tak wspaniale, że sam wierzysz w swoje bajki.

Ender podniósł głowę.

— Proszę cię, Novinho, pozwól mi zamieszkać tu z tobą. Jesteś moją żoną. Bez ciebie moje życie traci sens.

— Żyjemy tutaj jak mężowie i żony, ale nie… wiesz, że nie…

— Wiem, że Filhos wyrzekają się stosunków seksualnych — potwierdził Ender. — Jestem twoim mężem. Skoro nie uprawiam seksu z nikim, równie dobrze mogę tego nie robić właśnie z tobą.

Uśmiechnął się krzywo.

Odpowiedziała mu uśmiechem smutnym i pełnym litości.

— Novinho — rzekł — nie interesuje mnie już własne życie. Czy to rozumiesz? Zależy mi jedynie na tobie. Jeśli ciebie utracę, co jeszcze będzie mnie tu trzymać?

Sam nie był pewien, co właściwie chciał przez to powiedzieć. Słowa nieproszone spłynęły mu z warg. Wypowiadając je wiedział jednak, że nie wyrażają żalu nad sobą, są raczej szczerym wyznaniem prawdy. Co nie znaczy, że myślał o samobójstwie, dobrowolnym wygnaniu czy innym teatralnym geście. Czuł raczej, że się rozwiewa. Traci oparcie. Lusitania wydawała się coraz mniej rzeczywista. Wciąż była tu Valentine, najdroższa siostra i przyjaciółka, ale dla niego nie była realna, ponieważ go nie potrzebowała. Plikt, nie proszona wyznawczyni, może i potrzebowała Endera, ale nie rzeczywistego, bardziej jego idei. Kto jeszcze pozostał? Dzieci Novinhy i Liba, które wychowywał jak własne, które kochał jak własne… Teraz nadal je kochał, nie mniej niż dawniej, ale dorosły już i nie był im więcej potrzebny. Jane, którą kiedyś niemal zniszczyła godzina jego nieuwagi, także go już nie potrzebowała. Była gdzie indziej: w klejnocie w uchu Mira, w innym klejnocie u Petera…

Peter. Młoda Valentine. Skąd przybyli? Ukradli jego duszę i odlatując, zabrali ją ze sobą. To oni dokonywali czynów, których kiedyś sam by dokonywał. A on tymczasem czekał tu, na Lusitanii, i… rozwiewał się. O to mu chodziło. Jeśli utraci Novinhę, co jeszcze będzie go trzymać w ciele, które przez całe tysiąclecia ciągnął ze sobą po wszechświecie?

— Nie do mnie należy decyzja — rzekła Novinha.

— Do ciebie — zapewnił Ender. — Czy chcesz mieć mnie przy sobie tutaj, jako jednego z Filhos da Mente de Cristo? Jeśli tak, myślę, że pokonam inne przeszkody. Zaśmiała się drwiąco.

— Przeszkody? Tacy ludzie jak ty nie miewają przeszkód. Tylko kolejne stopnie.

— Ludzie jak ja?

— Tak. Ludzie jak ty. Co prawda nigdy nie spotkałam innego.

Bardzo kochałam Liba, ale nigdy nie przeżył jednego dnia tak, jak ty przeżywasz każdą minutę. Jako dorosła kobieta odkryłam, że pokochałam po raz pierwszy, kiedy pokochałam ciebie. Tęskniłam za tobą bardziej niż za własnymi dziećmi, bardziej niż za rodzicami, bardziej nawet niż za ukochanymi, którzy odeszli. Nie potrafię śnić o nikim oprócz ciebie. Ale to nie znaczy, że gdzie indziej nie ma kogoś takiego jak ty. Wszechświat jest wielki. Nie możesz być tak całkiem wyjątkowy.

Wyciągnął rękę ponad zagonem i oparł jej dłoń na udzie.

— A więc nadal mnie kochasz? — zapytał.

— I po to przyszedłeś? Żeby się przekonać, czy wciąż cię kocham?

Kiwnął głową.

— Częściowo.

— Tak — odparła.

— Więc mogę zostać?

Zalała się łzami. Szlochała głośno. Osunęła się na ziemię. Sięgnął przez rośliny i objął ją, nie dbając o zgniecione między nimi liście. Po chwili jej płacz ucichł, zwróciła się do niego i uścisnęła równie mocno.

— Och, Andrew — szepnęła. Głos jej drżał i łamał się od długiego szlochu. — Czy Bóg kocha mnie tak, że da mi ciebie znowu, teraz, kiedy tak bardzo jesteś mi potrzebny?

— Aż do śmierci…

— Znam te słowa. Ale modlę się, żeby tym razem Bóg pozwolił mi umrzeć pierwszej.

JEST NAS ZA DUŻO

Opowiem wam najpiękniejszą historię, jaką znam. Pewien człowiek dostał psa, którego bardzo kochał.

Pies chodził z nim wszędzie, choć człowiek nie zdołał go nauczyć niczego pożytecznego,

Pies nie aportował, nie wystawiał ptactwa, nie ścigał się z innymi, nie bronił ani nie stróżował.

Tylko spoglądał na niego tajemniczo.

„To nie jest pies, to wilk" — stwierdziła żona tego człowieka

„On jeden jest mi wierny" — odparł wtedy, a żona nigdy więcej z nim o tym nie mówiła.

Pewnego dnia człowiek ten zabrał psa do prywatnego samolotu, a kiedy lecieli nad górami, zawiodły silnikii samolot został rozdarty na strzępy o drzewa. Człowiek leżał zakrwawiony, z brzuchem rozerwanym przez odłamki metalu. W zimnym powietrzu para unosiła się z jego wnętrzności, ale potrafił myśleć tylko o swoim wiernym psie.

Czy przeżył? Czy jest ranny?

Wyobraźcie sobie jego ulgę, gdy pies podszedł nagle i spojrzał na niego tym samym nieodgadnionym wzrokiem.

Po godzinie pies obwąchał rozerwany brzuch człowieka i zaczął wyciągać wnętrzności, śledzionę i wątrobę, i przeżuwać je, cały czas wpatrując się w twarz człowieka.

„Dzięki Bogu — powiedział ów człowiek. — Przynajmniej jeden z nas nie będzie głodował".

Z „Boskich szeptów Han Qing-jao"

Ze wszystkich szybszych niż światło statków, przeskakujących pod kontrolą Jane na Zewnątrz i z powrotem, jedynie Mira wyglądał jak typowy kosmolot. Z prostego powodu: był zwykłym promem, który kiedyś przewoził pasażerów i ładunki z wielkich statków orbitujących wokół Lusitanii. Teraz nowe pojazdy mogły natychmiastowo przenosić się z planety na planetę, nie potrzebowały więc żadnych systemów życiowych ani nawet paliwa. A że Jane musiała zachowywać w pamięci całkowitą strukturę każdego z nich, im były prostsze, tym lepiej. Właściwie trudno było nazwać je statkami: zwykłe kabiny bez okien, prawie bez wyposażenia, nagie jak klasa w nędznej szkole. Mieszkańcy Lusitanii zaczęli nazywać podróże kosmiczne *encaixarse,* co po portugalsku znaczyło „wejście do pudła", czy też, bardziej dosłownie, „zapudłowanie się".

Miro jednakże miał badać, poszukiwać nowych planet zdolnych do podtrzymania życia trzech inteligentnych gatunków: ludzi, pequeninos i królowych kopców. W tym celu potrzebował tradycyjnego kosmolotu, gdyż wprawdzie nadal przenosił się z planety na planetę za pośrednictwem natychmiastowego skrótu przez Zewnętrze, to jednak nie mógł liczyć, że dotrze do świata z odpowiednią do oddychania atmosferą. Jane zawsze dostarczała go na wysoką orbitę, skąd mógł obserwować, mierzyć, analizować i lądować tylko na najbardziej obiecujących planetach, by ostatecznie potwierdzić, że nadają się do zamieszkania.

Nie podróżował samotnie. Zbyt wiele spoczywałoby na jego barkach. Poza tym wszystko, co robił, wymagało sprawdzenia. A jednak ze wszystkich zadań wykonywanych przez mieszkańców Lusitanii to było najbardziej niebezpieczne. Kiedy otwierał luk statku, nigdy nie wiedział, czy nie napotka w nowym świecie jakiegoś nieprzewidzianego zagrożenia. Miro od dawna już uważał swoje życie za nieistotne. Przez kilka lat uwięziony w ciele z uszkodzonym mózgiem, pragnął śmierci. A kiedy pierwsza wyprawa na Zewnątrz pozwoliła mu odtworzyć swoje ciało w całej perfekcji młodości, każdą chwilę, każdą godzinę i dzień swego życia traktował jak niezasłużony prezent. Nie zmarnuje go, ale nie cofnie się przed narażaniem dla dobra innych.

Ale kto jeszcze mógł z nim dzielić tę swobodę i brak lęku o siebie?

Młoda Valentine została wykonana jakby na zamówienie. Miro widział, jak zaczyna istnieć — w tej samej chwili, co jego nowe ciało. Nie miała przeszłości, krewnych, żadnych związków ze światem prócz Endera, którego umysł ją stworzył, i powstałego równocześnie Petera. Owszem, można było przypuścić, że jest związana z oryginalną Valentine, „prawdziwą", jak nazywała ją młoda Val. Jednak nie było tajemnicą, że stara Valentine nie ma ochoty na spędzanie choćby

chwili w towarzystwie tej młodej piękności, która drwiła z niej samym swym istnieniem. Poza tym młoda Val została stworzona przez Endera jako jego wyobrażenie doskonałej cnoty. Nie tylko z nikim nic jej nie wiązało, ale też była szczerą altruistką i chętnie poświęcała się dla innych. Dlatego też, kiedy tylko Miro wstępował na pokład promu, zawsze była z nim młoda Val, towarzyszka, godny zaufania asystent i pewna zastępczyni.

Ale nie przyjaciel. Ponieważ Miro doskonale wiedział, kim jest Val — Enderem w przebraniu. Nie kobietą. Jej miłość i lojalność wobec niego były miłością i lojalnością Endera. Nie miała w sobie nic własnego. Więc chociaż przyzwyczaił się do jej towarzystwa, chociaż z nią żartował i śmiał się swobodniej niż z kimkolwiek innym, nie zwierzał się jej i nie pozwalał sobie na uczucia głębsze niż przyjaźń. Jeśli zauważyła ten luźny kontakt między nimi, nie mówiła o tym, jeśli ją ranił, nie okazywała bólu.

Okazywała za to radość z sukcesów i upór, żeby pracować jeszcze więcej.

— Nie możemy spędzać całego dnia na jednej planecie — oświadczyła na samym początku.

I dotrzymała słowa, realizowała plan badań pozwalający na trzy wyprawy dziennie. Po każdych takich trzech podróżach wracali na Lusitanię pogrążoną już we śnie. Sami sypiali na statku i rozmawiali z innymi tylko po to, żeby uprzedzić o szczególnych problemach, jakie mogą oczekiwać kolonistów na nowych światach wykrytych tego dnia.

Zresztą rozkład trzech lotów dziennie obowiązywał tylko wtedy, gdy mieli do czynienia z obiecującymi planetami. Kiedy Jane przenosiła ich w pobliże światów w oczywisty sposób nieodpowiednich — na przykład zalanych wodą albo pozbawionych biologicznego życia — wtedy odlatywali szybko, sprawdzając kolejną planetę, potem następną… Czasem nawet pięć czy sześć — w te pechowe dni, kiedy nic się nie udawało. Młoda Val pracowała do granic wytrzymałości, a Miro uznał jej przewodnictwo w kwestii badań. Wiedział, że jest to konieczne.

Prawdziwa przyjaciółka Mira nie miała ludzkiej postaci. Dla niego żyła w klejnocie, który nosił w uchu. Jane: szept w jego myślach, kiedy się budził; przyjaciel, słyszący wszystko, co subwokalizował, znający jego potrzeby, zanim sam je sobie uświadomił. Jane, która dzieliła z nim myśli i marzenia, która pozostawała przy nim przez najgorszy okres kalectwa, która doprowadziła go na Zewnątrz, gdzie mógł się odrodzić. Jane, przyjaciółka, która wkrótce miała zginąć.

To był ich prawdziwie ostateczny termin. Jane umrze, a wtedy skończą się natychmiastowe loty międzygwiezdne. Żadna inna istota nie dysponowała taką mocą umysłu, by przenieść na Zewnątrz i z powrotem cokolwiek bardziej złożonego niż gumowa kulka. A śmierć

Jane nastąpi nie z przyczyn naturalnych, ale dlatego że Gwiezdny Kongres odkrył istnienie zbuntowanego programu, który mógł kontrolować zasoby dowolnego komputera. I teraz Kongres systematycznie zamykał, odłączał i czyścił swoje układy informatyczne. Jane czuła już rany po systemach usuniętych z sieci, gdzie nie miała dostępu. Pewnego dnia — już wkrótce — zostaną nadane kody, które zniszczą ją całkowicie i błyskawicznie. A kiedy jej zabraknie, każdy, kogo nie zdąży przenieść z powierzchni Lusitanii na inną planetę, pozostanie tam uwięziony, bezradny, bo Flota Lusitańska zbliżała się coraz bardziej i miała za cel ich zniszczyć.

Ponura sprawa — mimo wysiłków Mira, jego najbliższa przyjaciółka miała zginąć. Zdawał sobie sprawę, że po części dlatego właśnie nie pozwala sobie na zbyt bliską przyjaźń z młodą Val. Byłby to brak lojalności wobec Jane, gdyby w ostatnich tygodniach jej życia zaczął żywić głębsze uczucia dla kogoś innego.

Dlatego dni Mira upływały w nieskończonej rutynie badań, koncentracji, umysłowego wysiłku, obserwacji wskazań precyzyjnych instrumentów promu, analizie fotografii lotniczych, pilotowania promu do ryzykownych, nie zbadanych stref lądowania i wreszcie — zbyt rzadko — otwierania luku, by odetchnąć obcym powietrzem. A po zakończeniu kolejnej podróży brakowało mu czasu na żal czy radość, brakowało czasu nawet na odpoczynek. Zamykał właz, wypowiadał słowo i Jane zabierała ich na Lusitanię, skąd zaczynali wszystko od początku.

Jednak po tym powrocie zdarzyło się coś niezwykłego. Miro otworzył luk promu i zobaczył nie swojego przybranego ojca Endera, nie pequeninos, którzy szykowali jedzenie dla niego i młodej Val, nie zwykłych przywódców kolonii, czekających na informacje. Obok promu stali jego bracia, Olhado i Grego, siostra Elanora i siostra Endera, Valentine. Stara Valentine przyszła osobiście w jedyne miejsce, gdzie musiała spotkać swoją niechętnie oglądaną młodą bliźniaczkę? Miro od razu spostrzegł, jak młoda Val i stara Valentine na siebie spojrzały — właściwie nie patrząc sobie w oczy — i zaraz odwróciły głowy, nie chcąc widzieć siebie nawzajem. Ale czy naprawdę o to chodziło? Młoda Val zapewne odwraca się od starej Valentine, ponieważ szlachetnie woli nie ranić starszej kobiety. Gdyby tylko mogła, z pewnością raczej by zniknęła, niż sprawiła ból starej Valentine. A że to niemożliwe, wybrała drugie najlepsze rozwiązanie: w jej obecności starała się jak najmniej rzucać w oczy.

— Co to za zgromadzenie? — spytał Miro. — Mama zachorowała?

— Nie, wszyscy są zdrowi — odparł Olhado.

Przynajmniej fizycznie — dodał Grego. — Bo psychicznie mama jest szalona jak kapelusznik, a teraz Ender też zwariował.

Miro skinął głową i skrzywił się lekko.

Pozwólcie, że zgadnę. Poszedł za nią do Filhos.

Olhado i Grego zerknęli na klejnot w jego uchu.

— Nie, Jane nic mi nie mówiła. Po prostu znam Endera. Bardzo poważnie traktuje małżeństwo.

— No tak… W każdym razie powstała jakby próżnia decyzyjna — stwierdził Olhado. — Owszem, wszyscy doskonale realizują swoje zadania. Rozumiesz, system działa i w ogóle. Ale liczyliśmy, że Ender nami pokieruje, kiedy system przestanie funkcjonować. Jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

— Wiem, co masz na myśli — potwierdził Miro. — I możesz o tym mówić przy Jane. Wie, że zostanie wyłączona, gdy tylko Gwiezdny Kongres zrealizuje swoje plany.

— Sprawa jest bardziej złożona — zauważył Grego. — Większość ludzi nie ma pojęcia o zagrożeniu dla Jane. Nie wiedzą nawet, że ona istnieje. Ale potrafią sobie wyliczyć, że nawet pracując pełną parą, w żaden sposób nie uda się wywieźć stąd wszystkich. Nie mówiąc już o pequeninos. Wiedzą zatem, że jeśli nie powstrzyma się floty, ktoś będzie musiał tu zostać, czekając na śmierć. Już są tacy, którzy twierdzą, że za dużo miejsca w statkach marnujemy na drzewa i robale.

„Drzewa" oznaczały naturalnie pequeninos, którzy wcale nie transportowali do innych planet ojcowskich i matczynych drzew. „Robale" to Królowa Kopca, która także nie marnowała miejsca na zbyt wiele robotnic. Ale na każdej zasiedlanej planecie lądowała spora grupa pequeninos oraz przynajmniej jedna królowa z garścią robotnic do pomocy. Nieważne, że królowe kopca na wszystkich planetach szybko produkowały robotnice, które wykonywały podstawowe prace rolnicze; nieważne, że ze względu na brak drzew przynajmniej jeden samiec i jedna samica pequenino musieli być „zasadzeni" — musieli umrzeć powoli i boleśnie, by ojcowskie i matczyne drzewo mogło zapuścić korzenie i podtrzymać cykl życiowy. Wszyscy wiedzieli — Grego niedawno nawet sam uczestniczył w rozruchach — że pod powierzchnią uprzejmości nie cichnie zamęt konkurencji międzygatunkowej.

I nie tylko wśród ludzi. Na Lusitanii pequeninos mieli ogromną liczebną przewagę, a w nowych koloniach dominowali ludzie.

— To wasza flota nadlatuje, żeby zniszczyć Lusitanię — powiedział Człowiek, przywódca ojcowskich drzew. — I choćby zginął każdy człowiek na tej planecie, rodzaj ludzki będzie trwać dalej. Ale dla nas i Królowej Kopca stawką jest przetrwanie gatunku. Mimo to rozumiemy, że na nowych światach musimy z początku pozwolić na dominację ludzi. Ze względu na waszą znajomość technologii, jakich nie opanowaliśmy, ze względu na wasze doświadczenie w podbijaniu planet i dlatego, że wciąż macie dość siły, by podpalać nasze lasy.

Co Człowiek wysłowił tak rozsądnie, ukrywając swoją niechęć za zasłoną uprzejmości, wielu pequeninos i ojcowskich drzew wyrażało bardziej gwałtownie:

— Ludzcy najeźdźcy sprowadzili na nas to nieszczęście. Dlaczego mamy im pozwolić ratować prawie całą swoją populację, gdy większość z nas musi zginąć?

— Niechęć między rasami nie jest niczym nowym — stwierdził Miro.

— Ale do dzisiaj mieliśmy Endera, który nad nią panował — odparł Grego. — Pequeninos, Królowa Kopca i większość ludzi uważała Endera za uczciwego zarządcę. Kogoś, komu mogli ufać. Wiedzieli, że dopóki on tutaj wszystkim kieruje, dopóki jego głos jest słyszany, ich interesy są chronione.

— Ender nie jest jedynym dobrym człowiekiem przewodzącym, naszemu exodusowi — zauważył Miro.

— To nie jest kwestia zalet, ale zaufania — przypomniała Valentine. — Nieludzie wiedzą, że Ender jest Mówcą Umarłych.

Żaden inny człowiek nie mówił o innej rasie tak jak on. A równocześnie ludzie wiedzą, że Ender jest Ksenobójcą, że kiedy niezliczone pokolenia temu rodzajowi ludzkiemu zagroził wróg, on właśnie zrobił to, co konieczne, by ocalić ludzkość przed destrukcją, jakiej się lękano. Nie ma innego kandydata o zbliżonych kwalifikacjach, gotowego zająć jego miejsce.

— A co ja mam do tego? — spytał Miro niechętnie. — Nikt mnie tu nie słucha. Nie mam żadnych kontaktów. Na pewno nie mogę zająć miejsca Endera, a teraz jestem zmęczony i muszę się przespać. Spójrzcie na młodą Val. Też jest półżywa ze zmęczenia.

To prawda, z trudem trzymała się na nogach. Miro objął ją i podtrzymał; z wdzięcznością wsparła się na jego ramieniu.

— Nie chcemy, żebyś zajmował miejsce Endera — oświadczył Olhado. — Nie chcemy, żeby ktokolwiek zajmował jego miejsce. Chcemy, żeby on je zajął.

Miro wybuchnął śmiechem.

— Sądzisz, że potrafię go przekonać? Stoi tutaj jego siostra. Lepiej ją poślij.

Stara Valentine skrzywiła się.

— Miro, on nie chce mnie widzieć.

— To dlaczego przypuszczasz, że mnie zechce?

— Nie ciebie. Jane. Klejnot w twoim uchu. Miro spojrzał na nią zdumiony.

— Chcesz powiedzieć, że Ender wyjął swój klejnot?

— Byłam zajęta — usłyszał w uchu szept Jane. — Nie sądziłam, że to aż tak ważne, żeby cię informować.

Miro jednak wiedział, jak ciężkim ciosem było to kiedyś dla Jane.

Fakt, miała teraz innych przyjaciół, ale z pewnością cierpiała.

Valentine mówiła dalej:

— Gdybyś zdołał dotrzeć do niego i przekonać, żeby porozmawiał z Jane…

Miro pokręcił głową.

— Wyjął klejnot… Czy nie rozumiecie, że to ostateczna decyzja? Postanowił iść za matką na wygnanie. Ender nie wycofuje się ze swoich postanowień.

Wiedzieli, że ma rację. Wiedzieli nawet, że przyszli do Mira nie dlatego, że naprawdę wierzyliby coś osiągnął. Był to ostatni, desperacki akt rozpaczy.

— Pozwólmy więc, by sprawy toczyły się swoim torem — rzekł Grego. — Niech wszystko pogrąży się w chaosie. A kiedy nadleci flota, zginiemy pohańbieni w wirze międzygatunkowej wojny. Jane ma szczęście; wtedy będzie już martwa.

— Powiedz mu, że dziękuję — odezwała się Jane.

— Jane dziękuje ci — powtórzył Miro. — Masz zbyt miękkie serce, Grego.

Grego zaczerwienił się, ale nie cofnął swoich słów.

— Ender nie jest bogiem — oznajmił Miro. — Musimy starać się jak najlepiej bez niego. Skończmy już, w tej chwili nie potrafię sobie wyobrazić nic lepszego niż…

— Sen. Wiemy — wtrąciła Valentine. — Ale tym razem nie na statku. Proszę. Widzimy przecież, jak oboje jesteście zmęczeni. Jakt sprowadził wóz. Jedźmy do domu wyspać się w łóżku.

Miro zerknął na młodą Val, opartą sennie o jego ramię.

— Oboje, ma się rozumieć — zapewniła stara Valentine. — Jej istnienie nie niepokoi mnie tak bardzo, jak wszystkim wam się wydaje.

— Oczywiście że nie — zgodziła się Val.

Wyciągnęła dłoń i obie kobiety, noszące to samo imię, wzięły się za ręce. Miro patrzył, jak młoda Val odsuwa się od niego i opiera na Valentine. Zaskoczyła go własna reakcja. Zamiast ulgi, że stosunki między obiema nie są tak napięte, jak sądził, poczuł raczej gniew. I zazdrość… Tak, właśnie zazdrość. To ja ją podtrzymywałem, chciał powiedzieć.

Cóż to za dziecinna uraza?

I nagle, gdy obserwował, jak odchodzą, zauważył coś, czego nie powinien widzieć: drżenie Valentine. Czyżby zmarzła? Istotnie, noc była zimna. Ale nie… Miro był pewien, że nie nocny chłód, ale dotknięcie młodej bliźniaczki wzbudziło dreszcz starej Valentine.

— Chodź, Miro — rzucił Olhado. — Zapakujemy cię do poduszkowca, a zaraz potem do łóżka w domu Valentine.

— Czy po drodze można coś zjeść?

— To także dom Jakta — przypomniała Elanora. — Tam zawsze jest coś do jedzenia.

Poduszkowiec poniósł ich do Milagre, miasta ludzi. Po drodze minęli kilkadziesiąt statków. Migracja nie ustawała na noc. Tragarze — wśród nich wielu pequeninos — ładowali zapasy i sprzęt. Rodziny czekały w kolejkach, by zapełnić pozostałe w kabinach miejsca. Jane nie zazna dzisiaj spoczynku, przenosząc puszkę za puszką na Zewnątrz i z powrotem. Na innych światach wznoszono nowe domy, orano nowe pola. Czy panował tam dzień, czy noc? To nieważne. W pewnym sensie odnieśli już sukces, skolonizowali nowe planety. I czy się to komuś podobało, czy nie, każdy z tych światów miał swój kopiec, swój młody las pequeninos i swoją ludzką wioskę. Gdyby Jane dzisiaj umarła, gdyby jutro nadleciała flota i rozpyliła nas na molekuły, czy ma to znaczenie? Rzucono ziarna na wiatr; przynajmniej niektóre rozkwitną. A jeśli lot szybszy niż światło zaginie ze śmiercią Jane, nawet może to wyjść im na dobre, ponieważ zmusi każdy ze światów, by sam zadbał o siebie. Niektórym koloniom z pewnością się nie powiedzie i zginą. Na niektórych wybuchnie wojna, może zniszczy ten czy inny gatunek — ale nie ten sam zniknie na różnych planetach i nie ten sam przetrwa. A niektóre znajdą sposób, by żyć w pokoju. Nam pozostały już tylko szczegóły. Czy ta konkretna osoba przeżyje, czy zginie? Oczywiście, to ważne. Ale nie tak, jak przetrwanie gatunku.

Musiał subwokalizować przynajmniej niektóre z tych myśli, ponieważ Jane odpowiedziała.

— Czy przerośnięty program komputerowy nie ma oczu i uszu? Czy nie ma serca i mózgu? Kiedy mnie połaskoczesz, czy się nie śmieję?

— Szczerze mówiąc, nie — odparł Miro, wargami i językiem formując słowa, które tylko ona mogła usłyszeć.

— Ale kiedy zginę, zginą też wszystkie istoty mojego rodzaju — przypomniała. — Wybacz, jeśli nadaję temu faktowi kosmiczne znaczenie. Nie jestem taka jak ty, Miro, i zależy mi na sobie. Nie uważam, że żyję w darowanym czasie. Moim szczerym postanowieniem było życie wieczne, więc cokolwiek mniej jest już rozczarowaniem.

— Powiedz, co mogę zrobić, a zrobię to — zapewnił. — Umarłbym, żeby cię ocalić, gdyby to było konieczne.

— Na szczęście i tak umrzesz, niezależnie od wszystkiego — stwierdziła Jane. — To moja jedyna pociecha. Kiedy umrę, spotka mnie ten sam los, jaki czeka wszystkie inne żywe stworzenia. Nawet te długowieczne drzewa. Nawet królowe kopców, przekazujące swoje wspomnienia z pokolenia na pokolenie. Lecz ja, niestety, nie będę miała dzieci. To niemożliwe. Jestem istotą czystej myśli. Mentalne

stosunki płciowe nie zostały przewidziane.

— A szkoda — mruknął Miro. — Byłabyś świetna w wirtualnym łóżku.

— Najlepsza — zapewniła Jane. Milczeli przez chwilę.

Dopiero w pobliżu domu Jakta, nowego budynku na przedmieściu Milagre, Jane odezwała się znowu.

— Pamiętaj, Miro, kiedy mówi młoda Valentine, przemawia aiúa Endera.

— To samo dotyczy Petera. I to właśnie jest zabawne. Powiedzmy tylko, że młoda Val, choć słodka, nie prezentuje zrównoważonych poglądów. Ender nią kieruje, ale ona sama nie jest Enderem.

— Jest go po prostu za dużo — stwierdziła Jane. — I mnie chyba też jest za dużo, przynajmniej w opinii Gwiezdnego Kongresu.

— Nas wszystkich jest za dużo — uznał Miro. — Ale nigdy dosyć.

Dotarli na miejsce. Miro i młoda Val zostali wprowadzeni do środka. Jedli niewiele; usnęli, gdy tylko znaleźli się w łóżkach. Miro wiedział, że rozmowy trwały do późnej nocy, ponieważ nie spał dobrze i co chwilę się budził. Źle się czuł, nie przyzwyczajony do miękkiego materaca, a może też dlatego, że porzucił swoje zadanie — jak żołnierz, który czuje się winny, gdyż opuścił posterunek.

Mimo zmęczenia obudził się wcześnie. Niebo za oknem wciąż okrywała szarość przedświtu, rozjaśniana pierwszymi promieniami schowanego za horyzontem słońca. Jak to miał w zwyczaju, wstał natychmiast, chwiejąc się lekko, póki z umysłu nie wywietrzały resztki snu. Włożył coś na siebie i poszedł do łazienki. Kiedy wracał, usłyszał dobiegające z kuchni głosy. Albo wieczorna dyskusja jeszcze się nie skończyła, albo jakieś neurotyczne ranne ptaszki poniechały samotności i paplały do siebie, jak gdyby przedświt nie był najciemniejszą godziną rozpaczy.

Stał przed swoimi otwartymi drzwiami, gotów wrócić do pokoju i odciąć się od tych głosów, gdy nagle uświadomił sobie, że jeden z nich należy do młodej Val. A potem odkrył, że drugi to głos starej Valentine. Zawrócił natychmiast, ruszył do kuchni i raz jeszcze zawahał się przed progiem.

Rzeczywiście, obie Valentine siedziały przy stole. Nie patrzyły na siebie. Wyglądały przez okno, sącząc jakiś wywar z owoców i jarzyn, specjalność starej Valentine.

— Napijesz się, Miro? — spytała Valentine, nie oglądając się nawet.

— Nie. Nawet na łożu śmierci nie wezmę tego do ust — odparł. — Nie chciałem wam przeszkadzać.

— To dobrze.

Młoda Val milczała.

Miro wszedł do kuchni i nalał sobie szklankę wody z kranu. Wypił

ją jednym haustem.

— Mówiłam ci, że to Miro jest w łazience — odezwała się stara Valentine. — Nikt oprócz tego chłopca nie przerabia dziennie tyle wody.

Miro zachichotał, ale nie usłyszał śmiechu młodej Val.

— Chyba przeszkadzam wam w rozmowie — rzekł. — Pójdę już.

— Zostań — rzuciła Valentine.

— Proszę — dodała Val.

— Prosisz o co? — zapytał Miro. Spojrzał na nią z uśmiechem.

Nogą przysunęła mu krzesło.

— Siadaj — zaproponowała. — Pani i ja omawiamy kwestię bliźniaczą.

— Uznałyśmy — rzekła Valentine — że jako osoba odpowiedzialna, powinnam umrzeć pierwsza.

— Wręcz przeciwnie — zaprotestowała Val. — Uznałyśmy, że Gepetto nie dlatego stworzył Pinokia, że chciał mieć prawdziwego chłopca. Cały czas zamierzał zrobić kukiełkę. Ta sprawa z żywym dzieckiem to jego lenistwo. Pragnął, żeby kukiełka tańczyła, ale nie miał ochoty męczyć się pociąganiem za sznurki.

— Ty jesteś Pinokiem — odgadł Miro. — A Ender…

— Mój brat nie chciał cię stworzyć — oświadczyła Valentine. — I nie próbuje tobą kierować.

— Wiem — szepnęła Val. Nagle łzy stanęły jej w oczach.

Miro sięgnął do jej dłoni, ale natychmiast cofnęła rękę. Nie, nie unikała jego dotknięcia, po prostu starła z oczu irytujące łzy.

— Wiem, że gdyby potrafił, odciąłby sznurki… Tak jak Miro przeciął sznurki swojego starego, kalekiego ciała.

Miro pamiętał to dokładnie. W jednej chwili siedział w kosmolocie i patrzył na własny perfekcyjny wizerunek: zdrowy, młody i silny… A w następnej to on stał się wizerunkiem, zawsze nim był, i patrzył na okaleczoną, połamaną, niesprawną wersję samego siebie. I na jego oczach to nie kochane, nie chciane ciało rozpadło się w pył i zniknęło.

— Nie sądzę, żeby cię nienawidził — powiedział. — Nie tak, jak ja nienawidziłem dawnego siebie.

— Nie musi mnie nienawidzić. Zresztą to wcale nie nienawiść zabiła twoje dawne ciało.

— Val unikała jego wzroku. W ciągu wielu godzin wspólnego badania planet nigdy nie mówili o niczym tak osobistym. Nigdy nie ośmieliła się rozmawiać z nim o tamtej chwili, kiedy oboje zostali stworzeni.

— Nienawidziłeś swojego ciała, dopóki byłeś w nim uwięziony, ale gdy tylko powróciłeś do nowego, właściwego, przestałeś zwracać uwagę na stare. Nie było już tobą. Twoja aiúa nie odpowiadała za nie.

A kiedy nic go nie podtrzymywało… pękło jak balon.

— Najpierw drewniana kukiełka — uśmiechnął się Miro — potem balon. Jak jeszcze mnie nazwiesz?

Stara Valentine zignorowała tę próbę żartu.

— Mówisz więc, że Ender uważa cię za mało interesującą.

— Wielbi mnie — odparła młoda Val. — Ale uznaje za nudną.

— No tak… Mnie też.

— To absurd — wtrącił Miro.

— Doprawdy? Nigdy nigdzie za mną nie podążał. Zawsze ja szłam za nim. Szukał chyba dla siebie życiowej misji. Jakiegoś wielkiego czynu, równoważącego straszliwy akt, którego dokonał w dzieciństwie. Myślał, że będzie to odrodzenie Królowej Kopca. A kiedy z moją pomocą napisał Hegemona, miał nadzieję, że to wystarczy. Mylił się. Wciąż poszukiwał czegoś, co pochłonie całą jego uwagę i wciąż niemal to znajdował, albo też znajdował na tydzień czy miesiąc. Jedno jednak jest pewne, to nigdy nie byłam ja. Ponieważ zawsze stałam przy nim, przez wszystkie miliardy kilometrów, które pokonał, przez trzy tysiące lat. Tyle pisałam… nie z miłości do historii, ale dlatego że pomagałam mu tym w pracy. Tak jak moje teksty pomagały w pracy Peterowi. A kiedy kończyłam, na kilka godzin czytania i dyskusji zwracał na mnie uwagę. Tylko za każdym razem sprawiało mi to mniej satysfakcji, ponieważ nie ja go interesowałam, ale moja opowieść. Aż w końcu znalazłam człowieka, który oddał mi całe swoje serce. I zostałam przy nim. A mój niedorosły brat ruszył dalej beze mnie i znalazł rodzinę, która przyjęła całe jego serce. I tak żyliśmy, o wiele planet od siebie, ale szczęśliwsi, niż kiedykolwiek byliśmy razem.

— Więc dlaczego znowu do niego przyleciałaś? — zdziwił się Miro.

— Nie przyleciałam dla niego. Przyleciałam dla ciebie. — Valentine uśmiechnęła się. — Dla świata zagrożonego zniszczeniem. Ale ucieszyłam się, widząc Endera, choć wiedziałam, że nigdy nie będzie należał do mnie.

— Może i precyzyjnie opisałaś, jak ty odbierałaś wasz związek — stwierdziła Val. — Ale na pewnym poziomie musiał poświęcać ci uwagę. Istnieję, ponieważ zawsze jesteś w jego sercu.

— Może jako fantazja dzieciństwa. Nie ja sama.

— Spójrz na mnie. Czy to jest ciało, które nosiłaś, kiedy miał pięć lat, został zabrany z domu i wysłany do Szkoły Bojowej? Czy to choćby ta nastoletnia dziewczyna, którą poznał tamtego lata na jeziorze w Karolinie Północnej? Musiał poświęcać ci uwagę, jeszcze kiedy dorosłaś, ponieważ jego wizerunek ciebie ulegał zmianom i stał się mną.

— Jesteś tym, kim byłam, kiedy pracowaliśmy razem nad

Hegemonem — stwierdziła ze smutkiem Valentine.

— Czy byłaś tak zmęczona? — spytała Val.

— Ja jestem — wtrącił Miro.

— Nieprawda — sprzeciwiła się Valentine. — Jesteś uosobieniem wigoru. Wciąż świętujesz swoje nowe ciało. Moja bliźniaczka czuje znużenie w sercu.

— Uwaga Endera zawsze była podzielona — uznała Val. — Jestem pełna jego wspomnień… a raczej wspomnień, które powinnam mieć według niego. Oczywiście, to jedynie fakty, jakie on sam zapamiętał o mojej przyjaciółce. To znaczy, że wiem jedynie o swoim życiu z Enderem. Wiem, że miał w uchu Jane, znam ludzi, o których śmierci Mówił, jego studentów, Królową Kopca w kokonie i tak dalej. Ale to młodzieńcze wspomnienia. Jak każdy wędrujący bohater epicki, przenosił się z miejsca do miejsca i zmieniał innych, sam jednak pozostawał nie zmieniony. Aż dotarł tutaj i wreszcie oddał się cały komuś innemu. Tobie, Miro, i twojej rodzinie. Waszej matce. Po raz pierwszy dał innym ludziom władzę emocjonalnego rozdarcia, co było równocześnie radosne i bolesne. Ale i z tym radził sobie doskonale. To silny człowiek, a ludzie silni zawsze znoszą więcej. Teraz jednak dzieje się coś innego. Dla Petera i dla mnie nie istnieje życie w separacji od niego. Powiedzieć, że z Novinhą tworzą jedność, to metafora. Z Peterem i ze mną — to określenie dosłowne. On jest nami. Lecz jego aiúa nie jest dość wielka, dość silna ani dość pojemna. Nie ma w niej dość uwagi, by podzielić ją równo na trzy istnienia, jakie od niej zależą. Uświadomiłam to sobie natychmiast, gdy tylko zostałam… Jak to nazwiemy? Stworzona? Wyprodukowana?

— Zrodzona — podpowiedziała Valentine.

— Jesteś spełnionym marzeniem — dodał Miro z lekkim tylko odcieniem ironii.

— On nie może podtrzymywać życia całej naszej trójki. Ender, Peter i ja… Jedno z nas zacznie się rozwiewać. Przynajmniej jedno z nas umrze. I to będę ja. Wiedziałam od samego początku. To właśnie ja mam umrzeć.

Miro chciał ją pocieszyć, ale jak można kogoś pocieszyć? Najlepiej — wspominając podobną sytuację, która dobrze się skończyła. Tu nie było podobnych sytuacji, o których mógłby wspominać.

— Problem w tym, że moja część aiúa jest całkowicie zdeterminowana, by żyć dalej. Nie chcę umierać. Stąd wiem, że wciąż poświęca mi jakiś strzęp swojej uwagi: nie chcę umierać.

— Więc idź do niego — zaproponowała Valentine. — Porozmawiaj z nim.

Val zaśmiała się z goryczą i odwróciła wzrok.

— Proszę cię, tatku, pozwól mi żyć! — zapiszczała parodiując głos

dziecka. — Nie panuje nad tym świadomie, więc co mógłby zrobić w tej sprawie? Co najwyżej cierpieć wyrzuty sumienia. A dlaczego miałby czuć się winny? Jeśli przestanę istnieć, to dlatego że moja własna jaźń mnie nie ceni. On jest mną. Czy martwe paznokcie cierpią, kiedy się je obcina?

— Próbujesz jednak zyskać jego uwagę — zauważył Miro.

— Miałam nadzieję, że zaintryguje go poszukiwanie światów odpowiednich do zasiedlenia. Poświęciłam się temu, starałam się nimi ekscytować. A to przecież czysta rutyna. Ważna, ale rutyna.

Miro przytaknął.

— To fakt. Jane poszukuje tych światów. My je tylko oglądamy.

— I znaleźliśmy już dosyć. Jest dość kolonii. Dwadzieścia cztery… Pequeninos i królowe kopca nie zginą teraz, nawet gdyby Lusitania uległa zniszczeniu. Wąskie gardło to nie liczba planet, ale liczba statków. Dlatego nasza praca nie przyciąga już uwagi Endera. Moje ciało wie o tym. Moje ciało pojmuje, że jest niepotrzebne.

Podniosła rękę, chwyciła szerokie pasmo włosów i pociągnęła — delikatnie, wcale nie mocno. Zostały jej w dłoni. Gruby kosmyk włosów, bez żadnego grymasu bólu. Upuściła je na stół. Leżały jak odcięta kończyna, groteskowe i nieprawdopodobne.

— Boję się — szepnęła — że gdybym nie uważała, mogłabym zrobić to samo z palcami. Idzie to powoli, ale w końcu rozsypię się w pył. Jak twoje dawne ciało, Miro. Ponieważ Ender się mną nie interesuje. Peter odkrywa sekrety i prowadzi polityczne wojny na dalekich światach, sam Ender walczy, by utrzymać przy sobie kobietę, którą kocha. Ale ja…

W tej właśnie chwili, kiedy wyrwane z głowy włosy zdradziły głębię jej rozpaczy, samotności, odrzucenia, Miro uświadomił sobie to, o czym wcześniej wolał nie myśleć. W ciągu tygodni wspólnych lotów pokochał ją, a jej cierpienie odczuwał jak własne. Zresztą może było jego własnym: wspomnieniem dawnej odrazy do samego siebie. Ale niezależnie od powodów, emocja ta była czymś więcej niż zwykłym współczuciem. Stała się rodzajem pożądania. Tak, miłością. Jeśli ta piękna młoda kobieta, ta mądra, inteligentna i rozsądna młoda kobieta została odepchnięta przez własne serce, to w sercu Mira znajdzie się dla niej dość miejsca. Jeśli Ender nie chce być tobą, pozwól mnie! — krzyknął bezgłośnie. I kiedy tylko sformułował tę myśl, wiedział, że to uczucie towarzyszy mu od dni i tygodni, nie zdawał sobie z tego sprawy… A jednocześnie był świadom, że nie zdoła zastąpić Endera.

A jednak… Czy miłość nie może dla Val uczynić tego, co zrobiła dla Endera? Czy nie może przyciągnąć jego uwagi w dostatecznym stopniu, by zachować ją przy życiu? Wzmocnić ją?

Podniósł wyrwane włosy, zwinął je wokół palców w pierścień i schował do kieszeni szlafroka.

— Nie chcę, żebyś się rozpadła — powiedział. Śmiałe słowa w jego ustach.

Młoda Val spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Myślałam, że wielką miłością twojego życia była Ouanda.

— Jest teraz kobietą w średnim wieku. Szczęśliwą mężatką. Ma dzieci. Byłoby smutne, gdyby wielką miłością mego życia stała się kobieta, która już nie istnieje. A gdyby nawet istniała, to mnie nie zechce.

— Miło z twojej strony, że coś takiego oferujesz — rzekła Val. — Ale nie sądzę, żebyśmy zdołali oszukać Endera udawaniem, że zakochaliśmy się w sobie.

Jej słowa trafiły Mira w samo serce, bez trudu zrozumiała, jak wiele litości kryło się za tymi oświadczynami. Ale to nie tylko litość; większość emocji od dawna kipiała tuż pod poziomem świadomości, czekając na szansę ujawnienia.

— Nikogo nie chcę oszukiwać — zapewnił.

Oprócz siebie, pomyślał. Ponieważ Val nie może mnie pokochać. W końcu nie jest naprawdę kobietą. Jest Enderem.

Przecież to absurd! Jej ciało jest ciałem kobiety. A co kieruje wyborem miłości, uczuć, jeśli nie ciało? Czy w aiúa istnieje cokolwiek męskiego albo żeńskiego? Zanim aiúa staje się władcą ciała i ducha, czy jest mężczyzną lub kobietą? A jeśli tak, to czy aiúa tworzące atomy i molekuły, kamienie i gwiazdy, też dzielą się na chłopców i dziewczęta? Nonsens, aiúa Endera może być kobietą, może kochać jak kobieta równie łatwo, jak dotąd kochała — w męskim ciele i na sposób mężczyzn — matkę Mira. Miro natomiast, chociaż ciało zostało uzdrowione, nie był mężczyzną, którego kobieta — a przynajmniej ta kobieta, w tej chwili najbardziej upragniona ze wszystkich — mogłaby pokochać, zechcieć pokochać, pragnąć zdobyć.

— Nie powinienem tu przychodzić — wymamrotał. Odsunął krzesło i wyszedł do swego pokoju. Stanął w otwartych drzwiach. Słyszał głosy z kuchni.

— Nie, nie idź za nim — powiedziała stara Valentine. Potem coś jeszcze, cicho, a potem:

— Ma nowe ciało, ale nie uleczył się z nienawiści do siebie.

Młoda Val wymruczała coś.

— Miro mówił szczerze, z serca — zapewniła ją Valentine. — Zachował się bardzo odważnie i otwarcie.

Val odpowiedziała zbyt cicho, by Miro ją zrozumiał.

— Skąd mogłaś wiedzieć? — To znowu Valentine. — Pamiętaj, niedawno odbyliśmy wspólnie długą podróż. Myślę, że podczas lotu trochę się we mnie zakochał.

To chyba prawda… To na pewno prawda. Miro musiał przyznać: niektóre z jego uczuć do Val były w istocie uczuciami do Valentine,

przeniesionymi z kobiety pozostającej na zawsze poza jego zasięgiem na młodą, która — miał nadzieję — może się okazać dostępna.

Oba głosy opadły i Miro nie potrafił rozróżnić nawet pojedynczych słów. Czekał jednak, przyciskając dłonie do framugi, nasłuchując dwóch głosów tak podobnych do siebie i tak doskonale znajomych. Tej muzyki słuchałby chętnie przez wieczność.

— Jeśli we wszechświecie jest ktoś podobny do Endera — nieoczekiwanie donośnie odezwała się Valentine — to właśnie Miro. Okaleczył się, próbując ocalić niewinnych przed zagładą. I wciąż nie został uleczony.

Chciała, żebym usłyszał, uświadomił sobie Miro. Powiedziała to głośno, bo wie, że podsłuchuję. Stara czarownica czekała na trzask drzwi, nie usłyszała i odgadła, że słucham. Próbuje wskazać mi sposób spojrzenia na samego siebie. Ale ja nie jestem Enderem… Ledwie jestem Mirem, a jeśli ona wygłasza o mnie takie sądy, to najlepszy dowód, że nic o mnie nie wie.

Szept zabrzmiał nagle w samym uchu.

— Wiesz co? Lepiej nic nie mów, jeśli masz zamiar się okłamywać.

Oczywiście, Jane słyszała wszystko. Nawet jego myśli, przynajmniej te świadome, ponieważ jak zwykle powtarzały je echem jego wargi i język. Nie umiał nawet myśleć bez poruszania ustami. Z Jane w uchu, cały czas spędzał w konfesjonale, który nigdy się nie zamykał.

— No więc kochasz dziewczynę — powiedziała Jane. — I co z tego? A twoją motywację komplikują uczucia wobec Endera, Valentine, Ouandy i samego siebie. Co z tego? Czy istniała kiedyś całkowicie czysta miłość, czy żył nieskomplikowany kochanek? Pomyśl o niej jak o sukubie. Ty będziesz ją kochał, a ona rozsypie ci się w ramionach.

Drwiny Jane złościły go i śmieszyły jednocześnie. Delikatnie zamknął za sobą drzwi. A potem szepnął cicho:

— Jesteś zazdrosną babą, Jane. Chcesz mnie mieć tylko dla siebie.

— Na pewno masz rację — przyznała. — Gdyby Ender naprawdę mnie kochał, to na Zewnątrz stworzyłby moje ludzkie ciało, skoro już był taki płodny. Wtedy mogłabym sama o ciebie zagrać.

— I tak masz już moje serce.

— Kłamiesz. Jestem tylko terminarzem i kalkulatorem. Wiesz o tym.

— Ale jesteś bardzo bogata — przypomniał Miro. — Ożenię się z tobą dla pieniędzy.

— Ach, jeszcze jedno — zauważyła Jane. — Ona myli się w pewnej kwestii.

— Jakiej? — spytał Miro, niepewny, którą „ona” Jane miała na

myśli.

— Nie skończyliście badania planet. Czy Endera to nadal interesuje, czy nie… myślę, że tak, bo przecież nie rozsypała się jeszcze… praca nie kończy się tylko dlatego, że odpowiednich światów wystarczy już dla ocalenia prosiaczków i robali.

Jane często używała dawnych zdrobniałych i pejoratywnych określeń dla obcych ras. Zastanawiał się czasem, choć nigdy nie śmiał zapytać, czy ma takie dla ludzi. Sądził jednak, że wie, jak brzmiałaby odpowiedź: powiedziałaby, że nazwa „człowiek" jest pejoratywna.

— Więc czego jeszcze szukamy? — zapytał.

— Każdego świata, jaki zdołamy znaleźć, zanim zginę.

Myślał o tym, kiedy leżał w łóżku. Myślał, kiedy przewracał się z boku na bok. Potem wstał, ubrał się i wyszedł na dwór, pod rozjaśniające się wolno niebo. Spacerował pomiędzy nielicznymi o tej porze ludźmi, zajętymi własnymi sprawami. Niewielu z nich go znało czy nawet wiedziało o jego istnieniu. Jako potomek dziwacznej rodziny Ribeirów, nie miał wielu przyjaciół w dzieciństwie, w ginasio. Był równocześnie wybitnie uzdolniony i wstydliwy, więc jeszcze mniej nawiązał przyjaźni wśród bardziej hałaśliwych studentów colegio. Jego jedyną dziewczyną była Ouanda — do dnia, gdy przejście przez chronione ogrodzenie wokół ludzkiej kolonii uszkodziło mu mózg. Wtedy nie chciał jej więcej widzieć. Później lot na spotkanie Valentine przeciął te nieliczne słabe więzy, które łączyły go jeszcze z ojczystą planetą. Dla niego było to kilka miesięcy na statku, ale kiedy powrócił, tutaj minęły lata. Teraz był najmłodszym dzieckiem swej matki, jedynym, którego dojrzałe życie jeszcze się nie zaczęło. Dzieci, którymi się kiedyś opiekował, teraz były dorosłymi ludźmi i traktowały go jak miłe wspomnienie młodości. Tylko Ender się nie zmienił. Nieważne, ile minęło lat. Nieważne, co się wydarzyło. Ender wciąż był taki sam.

Czy nadal jest to prawdą? Czy może być tym samym człowiekiem nawet teraz, kiedy zamknął się w czasie kryzysu, ukrył w klasztorze tylko dlatego, że mama w końcu zrezygnowała z życia? Miro znał skrótowy życiorys Endera. W wieku pięciu lat zabrano go od rodziny. W Szkole Bojowej na orbicie okazał się ostatnią nadzieją ludzkości w wojnie z bezlitosnymi najeźdźcami, nazywanymi robalami. Potem trafił do sztabu floty na Erosie. Powiedziano mu, że czeka go zaawansowane szkolenie. Jednak, nie zdając sobie z tego sprawy, dowodził oddalonymi o lata świetlne prawdziwymi flotyllami, ansiblem przekazując im rozkazy. Wygrał wojnę dzięki swemu geniuszowi i bezlitosnemu aktowi destrukcji rodzinnego świata robali. Wierzył, że to tylko gra.

Myślał, że to gra, ale równocześnie wiedział, że gra jest symulacją rzeczywistości. W grze wybrał rzecz straszną, to oznaczało —

przynajmniej dla Endera — że nie jest bez winy, kiedy gra okazała się prawdą. Chociaż ostatnia Królowa Kopca wybaczyła mu i zawinięta w kokon oddała mu się w opiekę, nie potrafił się otrząsnąć z poczucia winy. Był wtedy dzieckiem robiącym to, co każą dorośli… Ale w głębi serca wiedział, że nawet dziecko jest realną osobą, działania dziecka są realnymi działaniami, nawet dziecięca zabawa ma swój kontekst moralny.

I tak, nim słońce wstało na dobre, Miro siedział naprzeciw Endera, okrakiem na kamiennej ławie w ogrodzie, w miejscu, które wkrótce zaleje światło dnia, lecz na razie okrywał je chłodny cień. I mówił do tego niezmiennego, nie zmienionego człowieka.

— Co to za pomysł z tym klasztorem, Andrew Wigginie, jeśli nie ukryta, tchórzliwa próba dręczenia samego siebie?

— Też za tobą tęskniłem, Miro — odpowiedział Ender. — Wyglądasz na zmęczonego. Za mało sypiasz. Miro westchnął i pokręcił głową.

— Nie o tym chciałem rozmawiać. Próbuję cię zrozumieć, naprawdę. Valentine twierdzi, że jestem do ciebie podobny.

— Masz na myśli prawdziwą Valentine?

— Obie są prawdziwe.

— No cóż, jeśli jesteś do mnie podobny, to przestudiuj siebie i powiedz, co znalazłeś.

Patrząc na niego, Miro zastanawiał się, czy Ender mówi poważnie.

Ender klepnął go w kolano.

— Naprawdę nie jestem już tam potrzebny — rzekł.

— Sam w to nie wierzysz. Nawet przez sekundę…

— Ale wierzę, że wierzę — zapewnił Ender. — Jak na mnie to całkiem nieźle. Proszę cię, nie rozwiewaj moich złudzeń. Nie jadłem jeszcze śniadania.

— Nie. Wykorzystujesz fakt, że rozdzieliłeś się na trzy części. Ta tutaj, ten podstarzały mężczyzna, może sobie pozwolić na całkowite poświęcenie dla żony… jedynie dlatego, że ma dwie młode kukiełki, wykonujące pracę, która naprawdę go interesuje.

— Wcale mnie nie interesuje — odparł Ender. — Nie obchodzi mnie.

— Ciebie jako Endera nie obchodzi, ponieważ wszystkim zajmujesz się ty jako Peter i Valentine. Ale z Valentine nie jest najlepiej. Nie dbasz dostatecznie o to, co ona robi. Dzieje się z nią to, co z moim dawnym kalekim ciałem. Wolniej, ale to samo. Tak uważa. Myśli, że to możliwe. Ja również. I Jane.

— Powiedz Jane, że ją kocham. I że mi jej brakuje.

— To ja ją kocham, Enderze. Ender skrzywił się.

— Gdyby mieli cię rozstrzelać, Miro, przed egzekucją opiłbyś się

wody, żeby po śmierci musieli przenosić ciało zalane moczem.

Miro nie pozwolił się zwieść zaczepkom Endera.

— Valentine nie jest snem ani iluzją — oświadczył. — Jest prawdziwa, a ty ją zabijasz.

— Bardzo dramatycznie opisujesz tę sytuację.

— Gdybyś widział, jak dziś rano wyrwała sobie pasmo włosów…

— Dość teatralny gest, jak rozumiem. No cóż, ty również miałeś skłonności do teatralnych gestów. Nie dziwi mnie, że dałeś się przekonać.

— Andrew, próbuję ci wytłumaczyć, że musisz… Twarz Endera nabrała nagle surowości. I choć Ender wcale nie mówił głośno, jego głos zagłuszył słowa Mira.

— Pomyśl trochę. Czy twoja decyzja, żeby przeskoczyć ze starego ciała do nowego modelu, była świadoma? Czy zastanowiłeś się i powiedziałeś sobie: „Hm… Nowe ciało jest o wiele lepsze, więc chyba pozwolę, żeby ten stary trup rozpadł się na molekuły”?

Miro zrozumiał natychmiast. Ender nie potrafił świadomie zapanować nad ukierunkowaniem swojej uwagi. Jego aiúa, choć była najbardziej wewnętrzną jaźnią, nie słuchała poleceń.

— Odkrywam, czego naprawdę chcę, obserwując, co robię — wyjaśnił Ender. — Wszyscy tak postępujemy, jeśli tylko uczciwie umiemy się do tego przyznać. Mamy jakieś uczucia, podejmujemy jakieś decyzje, ale w końcu spoglądamy wstecz na nasze życie i widzimy, jak niekiedy ignorowaliśmy te uczucia, a większość decyzji była pozorna, ponieważ w głębi serca postanowienia dawno już zapadły. Choćbyśmy świadomie nie zdawali sobie z tego sprawy. Nic nie poradzę, że część mnie, kierująca tą dziewczyną, w której towarzystwie przebywasz, nie jest tak ważna dla mojej jaźni, jak byś tego pragnął. Jak ona by potrzebowała. Nic nie mogę zrobić.

Miro skłonił głowę.

Słońce wzeszło nad drzewami. Światło zalało ławkę. Miro podniósł głowę i zobaczył, że promienie słońca zmieniły w aureolę rozczochrane po nocy włosy Endera.

— Czy czesanie jest wbrew klasztornym regułom? — zapytał.

— Ona cię pociąga, prawda? — powiedział Ender. Właściwie nie było to pytanie.

— I czujesz się trochę niepewnie wiedząc, że ona jest mną.

Miro wzruszył ramionami.

— To korzeń na ścieżce. Myślę, że potrafię nad nim przeskoczyć.

— A jeśli ty mnie nie pociągasz? — spytał z uśmiechem Ender. Miro rozłożył ręce.

— Nie do pomyślenia — stwierdził.

— Rzeczywiście, jesteś słodki jak króliczek. Nie wątpię, że młoda Valentine śni o tobie. Ja sam nic o tym nie wiem. Mnie nawiedzają

tylko sny o wybuchających planetach i odchodzących w nicość ludziach, których kocham.

— Wiem, Andrew, że nie zapomniałeś tutaj o świecie. To miały być przeprosiny, ale Ender tylko machnął ręką.

— Nie mogę zapomnieć, lecz mogę go ignorować. Ignoruję ten świat, Miro. Ignoruję ciebie, ignoruję te moje dwie ożywione psychozy. W tej chwili staram się ignorować wszystko prócz twojej matki.

— I Boga — podpowiedział Miro. — Nie zapominaj o Bogu.

— Ani przez chwilę. Szczerze mówiąc, nie potrafię zapomnieć o nikim ani o niczym. Ale owszem, ignoruję Boga. Chyba że Novinha chce, bym go zauważał. Usiłuję stać się mężem, jakiego potrzebuje.

— Dlaczego, Andrew? Wiesz przecież, że mama jest całkiem obłąkana.

— Nic podobnego — zaprzeczył Ender z wyrzutem. — A jeśli nawet… tym bardziej powinienem.

— Co Bóg złączył, człowiek niech się nie waży rozłączać. Popieram to, filozoficznie, ale nie wiesz nawet…

Fala zmęczenia zalała Mira. Nie umiał znaleźć właściwych słów dla tego, co chciał wyrazić. Ponieważ — wiedział to — usiłował wytłumaczyć Enderowi, co to znaczy być Mirem Ribeira w tej właśnie chwili. Nie miał doświadczenia w określaniu własnych uczuć, a tym mniej w ich wyrażaniu.

— Desculpa — wymruczał. Przeszedł na portugalski, gdyż był to język dzieciństwa, język emocji. Odruchowo wytarł łzy cieknące po policzkach. — Se nao posso mudar nem voce, nao ha nada que possa, nada.

Jeśli nie potrafię nawet skłonić cię do zmiany, to nic już nie mogę zrobić.

— Nem eu? — odpowiedział Ender. — W całym wszechświecie, Miro, nie ma człowieka, którego trudniej zmienić niż mnie.

— Mama tego dokonała. Odmieniła cię.

— Nie, nie odmieniła. Pozwoliła mi tylko być tym, kim chciałem i powinienem się stać. Jak teraz, Miro. Nie mogę uszczęśliwić wszystkich. Nie mogę uszczęśliwić siebie, niewiele robię dla ciebie, a w wielkich sprawach też jestem właściwie bezużyteczny. Ale może zdołam uczynić szczęśliwą twoją matkę… a choćby szczęśliwszą, choćby na pewien czas. Spróbuję.

Ujął dłonie Mira i przycisnął do swojej twarzy. Kiedy je odsunął, nie były suche.

Wstał i odszedł w stronę słońca, do jasnego sadu. Z pewnością tak wyglądałby Adam, myślał Miro, gdyby nie zjadł owocu. Gdyby został, w rajskim ogrodzie. Przez trzy tysiące lat Ender prześlizgiwał się po powierzchni czasu. W końcu się związał z moją matką. Całe

dzieciństwo próbowałem się od niej uwolnić, a on pojawia się i lgnie do niej…

A z kim ja jestem związany, oprócz niego? Z nim w ciele kobiety. Z nim kładącym garść włosów na kuchennym stole.

Miro wstawał już, kiedy Ender nagle odwrócił się i pomachał, żeby zwrócić jego uwagę. Miro ruszył ku niemu, ale Ender nie czekał. Zwinął dłonie przy ustach i krzyknął:

— Powiedz Jane! Jeśli wymyśli, jak to zrobić! Może sobie wziąć to ciało!

Dopiero po kilku sekundach Miro zrozumiał, że Ender mówi o młodej Val.

Ona nie jest tylko ciałem, ty egocentryczny niszczycielu planet. Nie jest starym ubraniem, które oddajesz, bo jest za ciasne albo moda się zmieniła.

Po chwili gniew minął i Miro uświadomił sobie, że właśnie to uczynił ze swoim starym ciałem. Odrzucił je bez namysłu.

A sam pomysł był intrygujący. Czy to możliwe? Gdyby jej aiúa mogła jakoś zamieszkać w młodej Val, czy ludzkie ciało pomieści dostateczną część umysłu Jane, by ją ocalić, kiedy Gwiezdny Kongres spróbuje wyłączyć ansible?

— Wy, chłopcy, jesteście tacy powolni — wymruczała mu Jane do ucha. — Rozmawiałam z Królową Kopca i Człowiekiem, próbowałam zrozumieć, jak to się dzieje, jak związać aiúa z ciałem. Królowe kopców dokonały tego kiedyś, stwarzając mnie. Ale nie wybierały wtedy konkretnej aiúa. Wzięły, co się pojawiło. Ja jestem bardziej wybredna.

Nie odpowiadając, Miro szedł w stronę klasztornych wrót.

— A tak, jest jeszcze ta drobna sprawa twoich uczuć do Val. Nienawidzisz wrażenia, że kochając ją, tak naprawdę kochasz Endera. Ale gdybym ją przejęła, gdybym stała się wolą jej życia, czy Val wciąż byłaby kobietą, którą pokochałeś? Czy cokolwiek z niej by przetrwało? A jeśli nie, czy byłoby to morderstwo?

— Przestań — rzekł głośno.

Odźwierna spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Nie mówię do pani — rzucił Miro.

Czuł jej wzrok na karku, póki nie wyszedł i nie ruszył krętą ścieżką w dół, do Milagre. Pora wracać na statek. Val już na mnie czeka. Kimkolwiek jest.

Kim jest Ender dla mamy, tak lojalny, tak cierpliwy…? Czy to samo odczuwam do Val? Ale nie, to przecież nie uczucie. To akt woli. To decyzja, której nie można cofnąć. Czy mógłbym to zrobić dla dowolnej kobiety, dowolnej osoby? Czy potrafiłbym oddać się na zawsze?

Wtedy przypomniał sobie Ouandę i z tym wspomnieniem gorzkiej

straty pokonał resztę drogi na statek.

JESTEM CZŁOWIEKIEM DOSKONAŁEJ PROSTOTY

Kiedy byłam dzieckiem, wierzyłam, że bóg jest rozczarowany, gdy coś przerywa mi śledzenie linii wykreślonych słojami drzewa.

Teraz wiem, że bogowie oczekują takich przerw, ponieważ wiedzą, jak jesteśmy zawodni. Właśnie dopełnienie ich zaskakuje.

Z „Boskich szeptów Han Qing-jao”

Drugiego dnia Peter i Wang-mu wyruszyli badać świat Boskiego Wiatru. Nie musieli się martwić nauką języka. Boski Wiatr został zasiedlony przez pierwszą falę emigrantów z Ziemi. Z początku był tak tradycyjny jak Droga i tutejsi mieszkańcy trzymali się dawnych obyczajów. Ale dawne obyczaje na Boskim Wietrze były obyczajami japońskimi, dopuszczały więc możliwość radykalnych przemian. W ciągu zaledwie trzystu lat historii świat przekształcił się z izolowanej feudalnej cywilizacji w stylu rytualnego szogunatu w kosmopolityczne centrum handlu, przemysłu i filozofii. Japończycy na Boskim Wietrze byli dumni, że goszczą u siebie przybyszów ze wszystkich światów. A jednocześnie wiele było tu miejsc, gdzie dzieci mówiły wyłącznie po japońsku — dopóki nie osiągnęły wieku szkolnego. Jednak wszyscy dorośli mówili w starku płynnie, a najlepsi także elegancko, z wdziękiem i zadziwiająco ekonomicznie. Mil Fiorelli w swej najsłynniejszej książce „Odległe światy obserwowane gołym okiem” napisał, że stark jako język dla nikogo nie był ojczystym, dopóki nie zaczęto w nim szeptać na Boskim Wietrze.

I tak Peter z Wang-mu szli przez las w wielkim naturalnym rezerwacie, gdzie wylądował ich statek, aż trafili do wioski. Strażnicy rezerwatu śmiali się słysząc, jak długo niezwykła para wędrowała „zagubiona” wśród drzew. Nikogo jednak nie zdziwiły wyraźnie chińskie rysy Wang-mu czy nawet jasna skóra i brak fałdu mongolskiego u Petera. Oboje stracili dokumenty, jak twierdzili, jednak sprawdzenie w komputerze wykazało, że uzyskali samochodowe prawo jazdy w mieście Nagoya. Co prawda Peter miał na koncie kilka młodzieńczych wybryków na drodze, jednak poza tym

nie popełnili żadnych czynów nielegalnych. Zawód Petera określono jako „niezależny nauczyciel fizyki”, a Wang-mu była „wędrownym filozofem”. Oboje uzyskali pozycję godną szacunku, biorąc pod uwagę młody wiek i brak rodziny. Kiedy wtrącano pozornie przypadkowe uwagi („Mój kuzyn wykłada gramatykę progeneratywną na Uniwersytecie Komatsu w Nagoya”), Jane podpowiedziała Peterowi właściwe słowa:

— Jakoś nigdy nie udało mi się odwiedzić Budynku Oe. Zresztą językoznawcy nie rozmawiają z fizykami. Uważają, że mówimy tylko matematyką. Wang-mu twierdzi, że jedyny język znany fizykom to „gramatyka marzeń”.

Wang-mu nie miała przyjaznego suflera w uchu, ale jako wędrowny filozof powinna być gnomiczna w mowie i mantyczna w myśli. Mogła więc odpowiedzieć na komentarz Petera:

— Twierdzę, że gramatyki tylko używasz. Żadnej gramatyki nie zrozumiesz.

Na to Peter ją połaskotał, a Wang-mu równocześnie roześmiała się i wykręciła mu rękę. To przekonało strażników leśnych, że istotnie spotkali parę młodych ludzi wybitnie inteligentnych, a przy tym pijanych miłością… albo młodością, jeśli to jakaś różnica.

Rządowy śmigasz przewiózł ich do cywilizacji, gdzie — dzięki manipulacjom Jane w sieciach komputerowych — znaleźli mieszkanie, do wczoraj puste i nie umeblowane, teraz jednak zastawione eklektycznym zestawem mebli i dzieł sztuki, odbijającym czarujące połączenie ubóstwa, ekscentryczności i wyrobionego smaku.

— Bardzo ładnie — pochwalił Peter.

Wang-mu, przyzwyczajona do gustów jednego tylko świata, a właściwie jednego człowieka w tym świecie, nie mogła ocenić wyboru Jane. Były tu miejsca do siedzenia, zarówno zachodnie krzesła, łamiące człowieka w naprzemienne kąty proste i przez to wyglądające na niewygodne, jak i wschodnie maty, zachęcające, by ludzie wypoczywali w harmonii z ziemią. Sypialnia z zachodnim łóżkiem i materacem uniesionym wysoko nad podłogą, choć nie było tu ani szczurów, ani robactwa, należała oczywiście do Petera. Wang-mu wiedziała, że ta sama mata, która zapraszała ją, by usiąść, będzie nocą jej posłaniem.

Uprzejmie zaproponowała, by Peter wykąpał się pierwszy. On jednak nie odczuwał chyba potrzeby mycia, chociaż pachniał potem po długim marszu i godzinach spędzonych w śmigaczu. W rezultacie Wang-mu mogła wylegiwać się w wannie, zamknęła oczy i medytowała, póki nie spłynęło z niej znużenie. Kiedy podniosła powieki, nie czuła się już obca. Znów była sobą, otaczające ją obiekty i przestrzenie mogły związać się z nią, nie grożąc zakłóceniem poczucia jaźni. Moc tę opanowała jeszcze w dzieciństwie, gdy nie

miała władzy nad własnym ciałem i musiała we wszystkim być posłuszna. Dzięki temu przetrwała. Wiele niemiłych rzeczy wiązało się z życiem służącej jak remory z rekinem, ale żadna jej nie odmieniła. Wang-mu wciąż była sobą w chłodnym mroku samotności, z zamkniętymi oczami i spokojnym umysłem.

Kiedy wyszła z łazienki, Peter siedział w fotelu i obojętnie skubał winogrona. Oglądał holodramat, w którym japońscy aktorzy w maskach krzyczeli na siebie i wykonywali niezgrabne, długie kroki, jakby grali postacie dwa razy od siebie większe.

— Nauczyłeś się japońskiego? — spytała.

— Jane mi tłumaczy. Dziwni ludzie.

— To starożytna forma dramatu.

— Ale nudna. Czyje serce mogą wzruszyć te wrzaski?

— Kiedy zagłębisz się w akcję, odkryjesz, że wykrzykują słowa z twojego serca.

— Kto by szczerze powiedział: „Jestem wiatrem znad lodowatego śniegu z gór, a ty jesteś tygrysem, którego ryk zamarznie w mych uszach, zanim zadrżysz i zginiesz pod stalowym nożem moich zimowych oczu”?

— Całkiem jakbyś ty to mówił: same pogróżki i przechwałki.

— Jestem tylko okrągłookim, spoconym człowiekiem, który cuchnie jak ścierwo skunksa — stwierdził Peter. — A ty jesteś kwiatem, co zwiędnie, jeśli natychmiast nie wezmę prysznica z sodą kaustyczną i amoniakiem.

— Tylko pamiętaj, żeby zamknąć oczy. Taka mieszanka jest żrąca.

W mieszkaniu nie było komputera. Chyba że można jako terminala użyć holowizora, ale Wang-mu nie wiedziała, jak to zrobić. Układ sterujący nie przypominał niczego, co widziała w domu Hana Fei-tzu… Chociaż to jej nie dziwiło. Jeśli nie musiał, lud Drogi nie kopiował niczego z innych światów. Wang-mu nie wiedziała nawet, jak wyłączyć dźwięk. Ale to nie miało znaczenia.

Usiadła na macie i spróbowała sobie przypomnieć wszystko, co o Japończykach zapamiętała z lekcji ziemskiej historii, jakich udzielali jej Han Qing-jao i jej ojciec Han Fei-tzu. Zdawała sobie sprawę, że jej edukacja jest w najlepszym razie fragmentaryczna. Była dziewczyną nisko urodzoną i nikt nie próbował jej uczyć, dopóki nie wkręciła się do służby u Qing-jao. Dlatego Han Fei-tzu radził, by nie przejmowała się formalnymi studiami, ale po prostu szukała informacji tam, gdzie pociągnie ją ciekawość. „Twój umysł nie jest zepsuty tradycyjnym kształceniem. Dlatego musisz pozwolić sobie odkrywać własne podejście do każdego tematu”. Mimo tej pozornej swobody Fei-tzu dowiódł, że jest surowym nauczycielem, nawet gdy swobodnie dobierała tematy. Czegokolwiek nauczyła się z historii czy geografii, rzucał jej wyzwania, kwestionował, żądał uogólnień, a potem je

obalał. A kiedy zmieniała zdanie, równie stanowczo wymagał, żeby broniła nowych poglądów, choć sam prezentował te, które ona wyznawała jeszcze przed chwilą. W rezultacie, nawet dysponując niepełnymi informacjami, zawsze była gotowa przestudiować kwestię ponownie, odrzucić dawne wnioski i szukać nowych hipotez. Mogła zamknąć oczy i kontynuować naukę nawet bez klejnotu szepczącego do ucha, gdyż wciąż słyszała ironiczne pytania Han Fei-tzu — choć znalazł się o lata świetlne od niej.

Aktorzy przestali paplać. Wang-mu spostrzegła, że dramat się skończył, dopiero gdy zabrzmiał głos z holowizora.

— Czy życzysz sobie obejrzeć kolejny nagrany program, czy może wolisz się połączyć z bieżącym przekazem?

Przez chwilę zdawało jej się, że głos należy do Jane. Potem uświadomiła sobie, że to po prostu menu odtwarzacza.

— Masz wiadomości? — spytała.

— Lokalne, regionalne, planetarne czy międzyplanetarne?

— spytała maszyna.

— Zacznij od lokalnych — zdecydowała Wang-mu. Przybyła tu niedawno, warto więc zaznajomić się z okolicą.

Peter wyszedł z łazienki czysty i ubrany w jeden ze stylowych miejscowych kostiumów, jakie dostarczyła Jane. Wang-mu z zaciekawieniem oglądała proces kilkorga ludzi oskarżonych o łowienie ryb w okresie ochronnym, w zimnym i bogatym akwenie o kilkaset kilometrów od miasta, w którym się znaleźli. Jak ono się nazywa? Aha, Nagoya. Ponieważ we wszystkich fałszowanych rejestrach Jane zapisała, że to ich miasto rodzinne, oczywiście tutaj dowiózł ich śmigacz.

— Wszystkie światy są takie same — stwierdziła Wang-mu. — Ludzie chcą jeść ryby, a niektórzy chcą złowić więcej, niż ocean jest w stanie dostarczyć.

— Co złego się stanie, jeśli będę łowił o dzień dłużej albo o tonę więcej? — zapytał Peter.

— Przecież gdyby każdy tak robił… — Urwała. — Rozumiem. Ironicznie naśladujesz tłumaczenia tych złoczyńców.

— Czy jestem już czysty i śliczny? — Peter zakręcił się, by zademonstrować swoje luźne, ale w jakiś sposób podkreślające sylwetkę ubranie.

— Kolory są krzykliwe — uznała Wang-mu. — Wyglądasz, jakbyś wrzeszczał.

— Nie, nie — sprzeciwił się. — Chodzi o to, żeby wrzeszczeli ludzie, którzy mnie zobaczą.

— Ach! Ach! — krzyknęła Wang-mu.

— Jane twierdzi, że to ubiór konserwatywny jak na człowieka w moim wieku i wykonującego mój oficjalny zawód. Mieszkańcy Nagoi

znani są z tego, że noszą się jak pawie.

— A kobiety?

— Cały czas chodzą z odsłoniętymi piersiami. Wstrząsający widok.

— To nieprawda! Po drodze nie widziałam ani jednej półnagiej kobiety i… — Urwała znowu i spojrzała na niego spod zmarszczonych brwi. — Naprawdę chcesz mnie przekonać, że każdym słowem kłamiesz?

— Pomyślałem sobie, że warto spróbować.

— Nie bądź śmieszny. Ja nie mam piersi.

— Masz małe — stwierdził Peter. — Z pewnością potrafisz dostrzec różnicę.

— Nie życzę sobie rozmawiać o moim ciele z człowiekiem, który ma na sobie źle rozplanowany i zapuszczony klomb z kwiatami.

— Kobiety są tutaj poważne. To tragiczny, ale istotny fakt. Godność i takie rzeczy. Tak samo starcy. Tylko chłopcy i młodzi mężczyźni na łowach mogą się stroić w takie piórka jak ja. Myślę, że jaskrawe kolory mają ostrzegać kobiety: po tym chłopcu nie spodziewaj się niczego poważnego. Zostań dla zabawy albo nie ma sprawy. Coś w tym rodzaju. Podejrzewam, że Jane specjalnie wybrała dla nas to miasto, żeby mnie zmusić do noszenia czegoś takiego.

— Jestem głodna. Jestem zmęczona — oznajmiła Wang-mu.

— A co bardziej? — zapytał Peter.

— Głodna.

— Jedz. Są winogrona.

— Których nie umyłeś. Przypuszczam, że to wynik twojego pragnienia śmierci.

— Na Boskim Wietrze insekty znają swoje miejsce i nie ruszają się z niego. Żadnych pestycydów. Jane mi powiedziała.

— Na Drodze też nie mieliśmy pestycydów, ale myliśmy owoce, żeby spłukać bakterie i inne jednokomórkowe organizmy. Dyzenteria mogłaby nas tu przytrzymać.

— Ale toaleta jest tak ładna, że szkoda by było z niej nie korzystać.

Choć rzucił to żartobliwie, Wang-mu dostrzegła, że trochę go zaniepokoiła uwaga o dyzenterii.

— Zjedzmy na mieście — zaproponowała. — Jane przygotowała dla nas pieniądze, prawda?

Peter przez chwilę nasłuchiwał wyjaśnień z klejnotu.

— Tak. Musimy tylko powiedzieć właścicielowi restauracji, że zgubiliśmy identyfikatory. Pozwoli nam sięgnąć do kont przez odcisk kciuka. Jane twierdzi, że w razie potrzeby możemy być bardzo bogaci, powinniśmy się jednak zachowywać jak ludzie o skromnych środkach, którzy od czasu do czasu chcą coś uczcić. A więc, co uczcimy?

— Twoją kąpiel.

— Ty ją świętuj. Ja będę świętował nasze szczęśliwe wyjście z lasu, gdzie się zgubiliśmy.

Wkrótce znaleźli się na zatłoczonej ulicy. Było tu niewiele samochodów, setki rowerów i tysiące ludzi na samobieżnych chodnikach i poza nimi. Wang-mu niechętnie patrzyła na te obce maszyny i nalegała, by iść pieszo po twardej ziemi. To oznaczało, że muszą wybrać restaurację w pobliżu. Budynki w okolicy były dość stare, ale nie zaniedbane — dzielnica może niezbyt modna, lecz mająca swoją dumę. Budowle prezentowały styl radykalnie otwarty: łuki, dziedzińce, kolumny i zadaszenia, ale niewiele ścian i żadnych szyb.

— Muszą tu mieć idealną pogodę — zauważyła Wang-mu.

— Klimat tropikalny, choć na wybrzeżu czuje się wpływ zimnego prądu. Każdego popołudnia przez mniej więcej godzinę pada deszcz… przynajmniej przez większą część roku. Ale rzadko panuje upał i nigdy nie jest zimno.

— Mam wrażenie, że wszystko tu dzieje się na dworze.

— To oszustwo — stwierdził Peter. — Zauważyłaś chyba, że w naszym mieszkaniu są okna z szybami i klimatyzacja. Ale okna wychodzą na ogród na tyłach, a poza tym są umieszczone we wnękach, więc z dołu nie widać szkła. Bardzo sprytne. Sztucznie stworzony naturalny wygląd. Hipokryzja i fałsz… typowy ludzki standard.

— Podoba mi się ten styl — oświadczyła Wang-mu. — Lubię Nagoyę.

— Szkoda, że nie zostaniemy tu długo. Zanim zdążyła spytać, dokąd idą i po co, Peter wciągnął ją na dziedziniec zatłoczonej restauracji.

— Tutaj gotują ryby — wyjaśnił. — Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

— Chcesz powiedzieć, że gdzie indziej podają je na surowo? — Wang-mu roześmiała się. I natychmiast zrozumiała, że Peter nie żartował. Surowe ryby!

— Japończycy są z tego znani. A w Nagoi to niemal religia. Zauważ: w całej restauracji ani jednej japońskiej twarzy. Nie zniżyliby się do jedzenia ryby zepsutej wysoką temperaturą. To tradycja. W ich kulturze tak mało pozostało ściśle japońskich obyczajów, że bardzo dbają o te nieliczne ślady.

Wang-mu skinęła głową. Doskonale rozumiała, w jaki sposób — jedynie dla zachowania tożsamości narodowej — kultura może podtrzymywać dawno już martwe obyczaje. Była też wdzięczna losowi, że znalazła się w miejscu, gdzie takie obyczaje są dość powierzchowne, nie wypaczają ani nie niszczą życia ludzi, tak jak na

Drodze.

Jedzenie podano im szybko — ryba gotuje się błyskawicznie — a kiedy jedli, Peter kilkakrotnie zmienił pozycję na macie.

— Ten lokal mógłby naruszyć tradycję jeszcze trochę i wstawić krzesła — powiedział.

— Dlaczego Europejczycy tak nienawidzą ziemi, że zawsze muszą wynosić się nad nią? — zapytała Wang-mu.

— Sama sobie odpowiedziałaś — odparł zimno Peter. — Zaczęłaś od założenia, że nienawidzimy ziemi. Mówisz niczym jakaś prymitywna kobieta wierząca w magię.

Wang-mu zarumieniła się i umilkła.

— Oszczędź mi tej demonstracji bierności kobiety Wschodu. Czy biernej manipulacji poprzez wywołanie winy. „Nauczono mnie być posłuszną, a ty zachowujesz się jak okrutny władca bez serca". Wiem, jestem wredny, ale nie mam zamiaru się zmieniać tylko dlatego, że wyglądasz na załamaną.

— Mógłbyś się zmienić, bo nie chcesz dłużej być wredny.

— To tkwi w moim charakterze. Ender stworzył mnie nienawistnym, żeby mógł mnie nienawidzić. Dodatkowy zysk polega na tym, że ty również możesz.

— Przestań gadać i jedz rybę — przerwała mu. — Nie wiesz, o czym mówisz. Masz podobno analizować ludzkie istoty, a nie potrafisz zrozumieć człowieka, który jest ci najbliższy na świecie.

— Wcale nie chcę cię rozumieć. Chcę wykonać swoje zadanie, wykorzystując twoją podobno błyskotliwą inteligencję. Nawet jeśli wierzysz, że ludzie, którzy kucają, są jakoś bliżsi ziemi od tych, którzy zachowują postawę wyprostowaną.

— Nie mówiłam o sobie. Mówiłam o najbliższej ci osobie. O Enderze.

— Na szczęście jest teraz bardzo daleko.

— Nie stworzył cię po to, żeby cię nienawidzić. Już dawno wyleczył się z nienawiści do ciebie.

— Tak, tak. Napisał Hegemona i tak dalej, i tym podobnie.

— Zgadza się — przyznała Wang-mu. — Stworzył cię, ponieważ rozpaczliwie potrzebował kogoś, kto by nienawidził jego. Peter przewrócił oczami i łyknął mlecznego soku z ananasa.

— Odpowiednia ilość kokosu. Myślę, że kiedyś zamieszkam tutaj… Jeśli najpierw Ender nie umrze i nie zniknę.

— Powiedziałam coś prawdziwego, a ty opowiadasz o kokosie w soku ananasowym?

— Novinha go nienawidzi — oświadczył Peter. — Nie jestem mu potrzebny.

— Novinha jest zła na niego, ale nie ma racji i on to wie. Od ciebie potrzebuje… słusznego gniewu. Żebyś go nienawidził za zło,

które naprawdę się w nim kryje, a którego nikt prócz niego nie dostrzega i nawet nie wierzy, że ono tam jest.

— Jestem tylko koszmarem jego dzieciństwa. A ty za wiele w tym odczytujesz.

— Nie dlatego cię wyczarował, że w dzieciństwie prawdziwy Peter był dla niego tak ważną postacią. Zostałeś przywołany, ponieważ jesteś sędzią, oskarżycielem. Sam mi mówiłeś, kiedy opowiadałeś o swoich wspomnieniach. Peter drwił z niego, wypominał, że jest bezwartościowy, bezużyteczny, głupi, tchórzliwy. Teraz robisz to samo. Spoglądasz na jego życie i nazywasz go ksenobójcą, nieudacznikiem. Z jakichś powodów potrzebuje tego, chce mieć kogoś, kto go potępi.

— To miło, że się zjawiłem, żeby nim pogardzać…

— Ale także rozpaczliwie potrzebuje kogoś, kto by mu wybaczył — kontynuowała Wang-mu. — Kto się nad nim zlituje, kto we wszelkich jego działaniach odkryje dobre chęci. Valentine zjawiła się nie dlatego, że ją kocha. Wystarczy mu prawdziwa Valentine. I żona. Twoja siostra jest Enderowi potrzebna, żeby mogła mu wybaczyć.

— Czyli gdybym przestał go nienawidzić, zniknąłbym, bo nie byłbym mu więcej potrzebny?

— Jeśli Ender przestanie nienawidzić siebie, nie będzie wymagał, żebyś był taki niedobry. Łatwiej będzie z tobą wytrzymać.

— No wiesz… Nie tak łatwo przebywać z kimś, kto stale prowadzi psychoanalizę osoby, której nigdy nie spotkał, i wygłasza kazania osobie, którą spotkał.

— Mam nadzieję, że bardzo cię dręczę — stwierdziła Wang-mu. — To sprawiedliwe, biorąc pod uwagę sytuację.

— Jane sprowadziła nas chyba tutaj, ponieważ miejscowe ubiory odbijają to, kim jesteśmy. Ja, choć jestem kukiełką, czerpię z życia jakąś perwersyjną przyjemność. A ty… ty potrafisz wszystko uczynić smętnym. Wystarczy, że zaczniesz o tym mówić.

Wang-mu powstrzymała łzy i zajęła się jedzeniem.

— Co ci się stało? — spytał Peter.

Nie zwracała na niego uwagi. Żuła wolno, poszukując nietkniętego jądra własnej jaźni, rozkoszującej się posiłkiem.

— Czy ty niczego nie czujesz, dziewczyno? Przełknęła i podniosła głowę.

— Już tęsknię za Han Fei-tzu, a odeszłam stamtąd ledwie dwa dni temu. — Uśmiechnęła się lekko. — Znałam człowieka pięknego i mądrego. Uznał mnie za interesującą. Nie przeszkadza mi, że ciebie nudzę.

Peter natychmiast zaczął wykonywać gesty, jakby chlapał sobie wodą na oczy.

— Płonę ze wstydu, ależ to zabolało, jak ja to wytrzymam… Okrutna! Ziejesz ogniem jak smok! Ludzie umierają od ukłucia twoimi słowami!

— Tylko kukiełki na sznurkach — odparła.

— Lepiej dyndać na sznurkach, niż być nimi związany — oświadczył Peter.

— Bogowie muszą mnie kochać, skoro zesłali mi towarzystwo człowieka tak chytrze używającego słów.

— A mnie bogowie zesłali towarzystwo kobiety, która nie ma piersi.

Zmusiła się, by udawać, że przyjęła to jako żart. — Mam małe. Tak zdaje się mówiłeś. Nagle przestał się uśmiechać.

— Przepraszam. Zraniłem cię.

— Raczej nie. Powiem ci później, po dobrze przespanej nocy.

— Myślałem, że tak sobie żartujemy… Przerzucamy się złośliwościami.

— Tak było — zgodziła się Wang-mu. — Ale nie we wszystkie wierzę.

Peter skrzywił się.

— Więc ja także jestem urażony.

— Nie wiesz, co to uraza. Kpisz tylko ze mnie. Odsunął talerz i wstał.

— Zobaczymy się w naszym mieszkaniu. Trafisz chyba z powrotem?

— Naprawdę cię to obchodzi? — spytała.

— Dobrze, że nie mam duszy. Tylko to cię powstrzymuje, żeby jej nie pożreć.

— Gdybym poczuła w ustach twoją duszę — rzekła — natychmiast bym ją wypluła.

— Odpocznij trochę — poradził Peter. — Do pracy, jaka mnie czeka, potrzebuję umysłu, nie kłótni.

Wyszedł z restauracji. Ubranie źle na nim leżało. Ludzie się oglądali. Miał w sobie zbyt wiele godności i siły, żeby ubierać się tak krzykliwie. Wang-mu od razu spostrzegła, że jest zawstydzony. I że porusza się szybko, gdyż wie, że to ubranie nie jest dla niego odpowiednie. Z pewnością chętnie poleciłby Jane, żeby zamówiła mu coś poważniejszego, bardziej dojrzałego, bardziej odpowiedniego dla jego poczucia godności.

A ja potrzebuję czegoś, w czym zniknę, pomyślała. Albo jeszcze lepiej: ubrania, które pozwoli mi stąd uciec, w ciągu jednej nocy przefrunąć na Zewnątrz i z powrotem do Wnętrza, do domu Han Fei-tzu, gdzie mogę patrzeć w oczy nie wyrażające ani litości, ani wzgardy. Ani bólu. Bo w oczach Petera tkwi ból i nie powinnam mówić, że on go nie odczuwa. Niesłusznie postąpiłam, oceniając

własne cierpienie tak wysoko, że uznałam, iż daje mi to prawo zadawania cierpień jemu.

Jeśli go przeproszę, wyśmieje mnie.

Ale wolę być wyśmiana za postępek słuszny niż szanowana, gdy wiem, że zrobiłam źle. Czy tej zasady nauczył mnie Han Fei-tzu? Nie, urodziłam się z nią. Jak mówiła matka: zbyt wiele dumy, zbyt wiele…

Kiedy jednak wróciła do mieszkania, Peter spał. Zmęczona, odłożyła przeprosiny na później i także się położyła. Każde z nich budziło się nocą, ale nigdy równocześnie. Rankiem wyblakło wspomnienie wczorajszej kłótni. Czekała ich praca. Ważniejsze było, żeby Wang-mu zrozumiała, czego próbują tu dokonać, niż zaleczenie urazy, która w świetle poranka wydawała się zaledwie pozbawioną znaczenia sprzeczką między zmęczonymi przyjaciółmi.

— Człowiek, którego wskazała nam Jane, jest filozofem.

— Jak ja? — spytała Wang-mu, pamiętając o swojej nowej, fałszywej roli.

— To właśnie chciałbym z tobą omówić. Tutaj, na Boskim Wietrze, istnieją dwa typy filozofów. Aimaina Hikari, człowiek, z którym mamy się spotkać, jest filozofem analitycznym. Nie masz odpowiedniego wykształcenia, żeby dotrzymać mu pola. Dlatego ty należysz do drugiego typu: gnomicznych i mantycznych. Wypowiadających dobitne zdania, które zaskakują słuchaczy swym pozornym oderwaniem.

— Czy to konieczne, żeby moje w teorii mądre zdania tylko wydawały się oderwane?

— O to nie musisz się martwić. Filozofowie gnomiczni polegają na słuchaczach, którzy wiążą ich oderwane zdania ze światem realnym. Dlatego właśnie każdy dureń może się tym zajmować.

Wang-mu poczuła, że gniew wzbiera w niej niby rtęć w termometrze.

— Jak to miło z twojej strony, że wybrałeś dla mnie taki zawód.

— Nie obrażaj się. Dla tej konkretnej planety Jane i ja wymyśliliśmy dla ciebie rolę, którą mogłabyś odgrywać, nie zdradzając, że jesteś ignorantką, mieszkanką Drogi. Musisz zrozumieć, że na Boskim Wietrze żadne dziecko nie może dorastać tak beznadziejnie niewykształcone jak klasa sług na Drodze.

Wang-mu nie spierała się dłużej. To nie miało sensu. Jeśli podczas kłótni ktoś zmuszony jest powiedzieć: „Jestem inteligentna! Wiem niejedno”, to równie dobrze może tej kłótni zaprzestać. W dodatku to zdanie wydało jej się taką właśnie gnomiczną frazą, o jakich mówił Peter. Powiedziała mu o tym.

— Nie, nie chodzi o epigramy — wyjaśnił. — Są zbyt analityczne. Chodzi o naprawdę dziwaczne wypowiedzi. Mogłabyś na przykład stwierdzić: „Dzięcioł atakuje drzewo, żeby wydostać robaka”. I wtedy

ja musiałbym zgadywać, jaki to ma związek z naszą sytuacją. Czy jestem dzięciołem? Drzewem? Robakiem? W tym tkwi całe piękno.

— Wykazałeś właśnie, mam wrażenie, że jesteś bardziej gnomiczny z nas dwojga.

Peter westchnął ciężko, po czym ruszył do drzwi.

— Peter — rzuciła, nie ruszając się z miejsca. Obejrzał się.

— Mogłabym bardziej ci pomóc, gdybym się orientowała, po co idziemy do tego człowieka. I kim on jest.

— Chyba rzeczywiście. — Peter wzruszył ramionami. — Choć wiadomo nam, że Aimaina Hikari nie jest osobą, której szukamy.

— Więc powiedz mi, kogo właściwie szukamy.

— Szukamy ośrodka władzy Stu Światów.

— To dlaczego jesteśmy tutaj zamiast w Gwiezdnym Kongresie?

— Gwiezdny Kongres to teatr. Delegaci są aktorami. Scenariusz powstaje gdzie indziej.

— Tutaj?

— Frakcja Kongresu, która doprowadziła do wysłania Floty Lusitańskiej, to nie ta, która kocha wojnę. Tamtej grupie to odpowiada, oczywiście, bo zawsze wierzyli w brutalne tłumienie powstań i tak dalej. Ale gdyby nie inna grupa, pełniąca rolę języczka uwagi, nigdy nie uzyskaliby głosów koniecznych do wysłania floty. A ci ludzie ulegają silnym wpływom szkoły filozoficznej z Boskiego Wiatru.

— Której mistrzem jest Aimaina Hikari?

— Rzecz jest bardziej subtelna. To właściwie samodzielny filozof, nie należący do żadnej konkretnej szkoły. Ale reprezentuje czystość japońskiej myśli, a to uczyniło go rodzajem sumienia dla filozofów, wpływających na tamtą grupę w Kongresie.

— Ile kostek domina możesz ustawić w rzędzie, żeby wciąż jeszcze się kolejno poprzewracały?

— Nie, to nie dość gnomiczne zdanie. Wciąż nazbyt analityczne.

— Nie gram jeszcze swojej roli, Peter. Jakie idee tutejszych filozofów wpływają na tę grupę?

Peter westchnął i usiadł — oczywiście, zginając się wpół na krześle. Wang-mu siadła na podłodze. Oto jak chciałby siebie widzieć Europejczyk, pomyślała: z głową wyżej niż inni, nauczający kobietę z Azji. A z mojego punktu widzenia on odłączył się od ziemi. Wysłucham jego słów, ale wiem, że moją rolą jest dostosowanie ich do życia.

— Ta grupa decyzyjna nigdy by nie użyła tak potężnej siły w sprawie, która jest tylko drobnym zatargiem z maleńką kolonią. Jak wiesz, wszystko zaczęło się od pary ksenologów, Mira Ribeiry i Ouandy Mucumbi, przyłapanych na udostępnianiu zaawansowanych metod rolniczych pequeninos na Lusitanii.

Oznaczało to zakłócenie naturalnego rozwoju. Oboje mieli stanąć przed sądem na innej planecie. Oczywiście przy dawnych, relatywistycznych lotach podświetlnych zabranie kogoś z jego świata oznaczało, że kiedy wróci, wszyscy, których kiedyś znał, będą już starcami albo umrą. Była to zatem bardzo surowa decyzja i właściwie wyrok wydany z góry. Kongres spodziewał się pewnie protestów ze strony władz Lusitanii, ale zamiast nich nastąpił bunt i blokada komunikacji. Jastrzębie w Kongresie zaczęli kampanię, zmierzającą do wysłania transportowca z żołnierzami, którzy zdobyliby Lusitanię. Brakowało im głosów, dopóki…

— Dopóki nie wywołali ducha wirusa descolady.

— Właśnie. Grupa przeciwników użycia siły wykorzystała descoladę jako argument, by nie wysyłać żołnierzy. W owym czasie każdy, kto zaraził się wirusem, musiał zostać na Lusitanii i przyjmować inhibitor, żeby nie dopuścić do przenicowania całego organizmu. W ten sposób po raz pierwszy groźba descolady stała się powszechnie znana. Pojawiła się grupa decyzyjna, złożona z ludzi oburzonych, że Lusitanii do tej pory nie poddano kwarantannie. Czy może być coś groźniejszego niż szybko się rozprzestrzeniający, półinteligentny wirus w rękach buntowników? Ta grupa składała się niemal wyłącznie z delegatów podlegających silnym wpływom szkoły necesariańskiej z Boskiego Wiatru.

Wang-mu skinęła głową.

— A czego nauczają necesarianie?

— Że człowiek powinien żyć w pokoju i harmonii ze swoim środowiskiem, nie zakłócać niczego i cierpliwie znosić drobne, czy nawet poważne niewygody. Gdy jednak pojawi się realne zagrożenie dla przetrwania, musi działać brutalnie i skutecznie. Ich maksyma głosi: Działaj tylko kiedy to konieczne, ale wtedy działaj z najwyższą mocą i szybkością. Zatem w miejsce transportowca z żołnierzami, o którym mówili militaryści, pod wpływem doktryny necesariańskiej delegaci doprowadzili do wysłania flotylli uzbrojonej w DM. System destrukcji molekularnej raz na zawsze usunie zagrożenia. Jest w tym pewna ironiczna elegancja, nie sądzisz?

— Jakoś jej nie dostrzegam.

— Wszystko układa się wręcz idealnie. Ender użył systemu DM, żeby zniszczyć rodzinną planetę robali. A teraz broń zostanie wykorzystana po raz drugi, przeciwko tej właśnie planecie, na której on mieszka. Ale to nie koniec. Pierwszy necesariański filozof, Ooka, wykorzystał Endera jako doskonałą ilustrację swoich idei. Dopóki robale uznawano za poważne zagrożenie dla gatunku ludzkiego, jedyną możliwą reakcją było całkowite zniszczenie wrogów. Żadne półśrodki nie wchodziły w grę. Oczywiście, w końcu wyszło na jaw, że robale nie były zagrożeniem, o czym sam Ender napisał w Królowej

Kopca. Ooka jednak bronił go, nikt przecież nie mógł znać prawdy w chwili, kiedy dowódcy Endera poszczuli go na nieprzyjaciela. Ooka napisał: „Nigdy nie wymieniaj ciosów z wrogiem". Chodzi o to, że starasz się nigdy nikogo nie uderzyć, ale kiedy musisz, zadajesz tylko jeden cios. Za to tak silny, że twój wróg nigdy nie zdoła ci oddać.

— Czyli posługując się przykładem Endera…

— Właśnie. Jego postępki stały się usprawiedliwieniem, by powtórzyć je przeciwko kolejnej nieszkodliwej rasie.

— Descolada nie była nieszkodliwa.

— Nie — przyznał Peter. — Ale Ender i Ela znaleźli inny sposób, prawda? Zaatakowali samą descoladę. Tylko że nie ma już sposobu, by przekonać Kongres do odwołania floty. Ponieważ Jane zakłócała ansiblowe komunikaty Kongresu i floty, wszyscy wierzą, że mają do czynienia z potężnym i rozległym spiskiem. Każdy argument będzie uznany za dezinformację. Poza tym kto uwierzy w tę nieprawdopodobną opowieść o pierwszej podróży na Zewnątrz, gdzie Ela stworzyła antydescoladę, Miro odtworzył siebie, a Ender wyprodukował moją drogą siostrzyczkę i mnie?

— A więc necesarianie w Kongresie…

— Oni tak siebie nie określają, ale wpływy są bardzo silne. W mojej i Jane opinii, jeśli skłonimy któregoś ze sławnych necesarian do wystąpienia przeciwko Flocie Lusitańskiej… oczywiście, musi mieć przekonujące argumenty… uda się złamać solidarność militarystycznej większości w Kongresie. Mają niewielką przewagę. Wielu ludzi jest przerażonych użyciem takiej potęgi przeciwko planetarnej kolonii. Innych jeszcze bardziej przeraża myśl, że Kongres chce zniszczyć pequeninos, pierwszą inteligentną rasę odkrytą od czasu zagłady robali. Chcieliby zatrzymać flotę, a w najgorszym przypadku użyć jej do wprowadzenia stałej kwarantanny.

— Dlaczego zatem nie spotykamy się z necesarianinem?

— Bo nie zechcą nas słuchać. Jeśli przedstawimy się jako zwolennicy Lusitanii, zostaniemy aresztowani i poddani przesłuchaniom. A jeśli nie, to kto zechce poważnie potraktować nasze słowa?

— A więc Aimaina Hikari. Kim on jest?

— Niektórzy nazywają go filozofem yamato. Wszyscy necesarianie na Boskim Wietrze to naturalnie Japończycy. Ta szkoła filozoficzna właśnie wśród Japończyków ma największe wpływy, zarówno na ich planetach, jak i wszędzie, gdzie żyje ich dostatecznie wielu.

I chociaż Hikari nie jest necesarianinem, cieszy się powszechnym szacunkiem jako strażnik japońskiego ducha.

— Gdyby im powiedział, że zniszczenie Lusitanii jest nie japońskie…

— Ale nie powie. Jego przełomowa praca, dzięki której zyskał reputację filozofa yamato, zawierała myśl, że lud Japonii powstał ze zbuntowanych kukiełek. Na początku za sznurki pociągała kultura chińska. Ale, według Hikariego, Japończycy wyciągnęli błędne wnioski z próby inwazji Chińczyków na Japonię. Nawiasem mówiąc, najeźdźców pokonał wielki sztorm, nazwany kamikaze, co znaczy „boski wiatr". Możesz być pewna, że przynajmniej na tej planecie wszyscy pamiętają tę historię. W każdym razie Japonia zamknęła się na wyspach i kiedy przybyli Europejczycy, nie chciała z nimi żadnych kontaktów. Potem flota amerykańska przemocą otworzyła japońskie porty dla handlu zagranicznego i wtedy Japończycy zaczęli odrabiać stracony czas. Restauracja Meiji doprowadziła do prób uprzemysłowienia i zeuropeizowania Japonii… I kukiełki zatańczyły na nowych sznurkach, jak napisał Hikari. Niestety, po raz kolejny wyciągnięto fałszywe wnioski. Ponieważ w owych czasach Europejczycy byli imperialistami, dzielącymi między siebie Afrykę i Azję, Japonia postanowiła wykroić dla siebie kawałek tego imperialnego tortu. Pod bokiem czekały Chiny, dawny tyran. Nastąpiła inwazja…

— Uczyli nas o tym na Drodze — wtrąciła Wang-mu.

— Dziwię się, że w ogóle uczyli was historii nowszej niż najazd Mongołów — mruknął Peter.

— Japończycy wycofali się dopiero wtedy, kiedy Amerykanie zrzucili pierwsze bomby jądrowe na japońskie miasta.

— W tamtych czasach był to odpowiednik systemu DM. Totalna broń nie do odparcia. Japończycy wkrótce zaczęli uznawać te bombardowania za powód do dumy: jesteśmy pierwszymi ludźmi, których zaatakowano bronią jądrową. Stało się to rodzajem ciągłego kompleksu, co nie było złe, ponieważ wzbudziło pęd do poszukiwania i zasiedlania licznych kolonii. Nie chcieli już być bezbronnym wyspiarskim narodem. Ale w końcu zjawia się Aimaina Hikari i powiada… Nawiasem mówiąc, to jego pseudonim. Tym nazwiskiem podpisał pierwszą książkę. Tłumaczy się to: „dwuznaczny blask".

— Bardzo gnomiczne — stwierdziła Wang-mu.

— Powiedz mu to, a będzie dumny. — Peter uśmiechnął się. — Wracając do rzeczy, w książce tej uznał, że Japończycy wyciągnęli fałszywe wnioski. Te bomby jądrowe odcięły sznurki. Japonia została obezwładniona. Dumny rząd uległ zniszczeniu, cesarz stał się figurantem. Do Japonii zawitała demokracja, a potem bogactwo i potęga.

— Czyli te bomby stały się błogosławieństwem? — zdziwiła się Wang-mu.

— Nie, wcale nie. On uważa, że bogactwo zniszczyło duszę Japonii. Naród adoptował niszczyciela jako ojca. Zostali nieślubnym

dzieckiem Ameryki, poczętym wybuchami amerykańskich bomb. Znowu kukiełki.

— A co to ma wspólnego z necesarianami?

— Japonia została zbombardowana właśnie dlatego, że była już nazbyt europejska. Traktowała Chiny tak, jak Europejczycy traktowali Amerykę: samolubnie i brutalnie. Ale przodkowie Japończyków nie mogli znieść tego, że ich potomkowie zmienili się w takie bestie. I tak jak przedtem sztorm, boski wiatr, który zatopił chińską flotę, teraz bogowie zesłali amerykańskie bomby, by nie dopuścić do przemiany Japonii w państwo imperialne, podobne do europejskich. Japończycy powinni znosić amerykańską okupację, a kiedy się skończy, oczyszczeni i zespoleni powrócić do japońskich tradycji. Książka miała tytuł „Jeszcze nie jest za późno".

— Założę się, że necesarianie podają amerykańskie bombardowania za jeszcze jeden przykład uderzenia z maksymalną szybkością i siłą.

— Żaden Japończyk nie śmiałby pochwalać amerykańskich nalotów. Zanim Hikari zobaczył w nich nie tragedię Japonii, ale boską próbę odkupienia win całego narodu.

— Chcesz więc powiedzieć, że necesarianie go szanują i pójdą za jego przykładem, jeśli on zmieni zdanie? A on nie zmieni zdania, bo wierzy, że bombardowanie Japonii było boskim darem?

— Mamy nadzieję, że zmieni zdanie — odparł Peter. — Inaczej nasza wyprawa skończy się klęską. Problem w tym, że on nie jest podatny na bezpośrednią argumentację. A z jego prac Jane nie mogła wywnioskować, kto lub co na niego wpływa. Musimy z nim porozmawiać, żeby odkryć, gdzie mamy się udać potem. Może zdołamy zmienić opinię tego kogoś.

— To skomplikowane — uznała Wang-mu.

— Dlatego uznałem, że nie warto ci wszystkiego tłumaczyć. Na co właściwie potrzebna ci ta informacja? Chcesz dyskutować o subtelnościach historii z analitycznym filozofem najwyższej klasy, jak Hikari?

— Zamierzam słuchać.

— Przedtem też miałaś to robić.

— Ale teraz wiem, kogo właściwie słucham.

— Jane uważa, że tłumacząc ci to, popełniłem błąd. Teraz spróbujesz interpretować wszystko, co on powie, w świetle tego, co Jane i ja myślimy, że wiemy.

— Powiedz Jane, że ludzie jedynie wtedy cenią czystość ignorancji, gdy ciągną zyski z monopolu na wiedzę. Peter roześmiał się.

— Znowu epigramy — stwierdził. — Powinnaś powiedzieć…

— Nie ucz mnie znowu, jak przemawiać gnomicznie — przerwała

mu Wang-mu. Wstała z podłogi. Teraz była wyższa od Petera. — Sam jesteś gnomem. A co do mantyczności… Pamiętaj, że manta jest jadowitą rybą.

— Nie jesteśmy w wodzie — odparł Peter. — A „mantyczny" oznacza filozofię opartą raczej na wizji i inspiracji, a nie na rozumowaniu i wiedzy.

— Nie jesteś moim mężem, więc przestań mnie traktować jak żonę.

— Tak cię traktuję? — zdziwił się Peter.

— Na Drodze mąż zakłada, że żona jest głupia. Tłumaczy jej więc nawet to, co ona już wie. Na Drodze ucząc męża, żona musi udawać, że przypomina mu tylko to, czego on sam ją nauczył dawno temu.

— Czyli jestem gruboskórnym baranem…

— I pamiętaj — dodała Wang-mu — kiedy spotkamy się z Aimainą Hikarim, on i ja mamy pewne źródło wiedzy, które tobie jest niedostępne.

— A jakie?

— Życie.

Dostrzegła cierpienie na jego twarzy i od razu pożałowała tych słów. Ale był to odruchowy żal: od dziecka uczono ją wyrzutów sumienia, jeśli kogoś uraziła, choćby ten ktoś na to zasłużył.

— Ajajaj! — wykrzyknął Peter, jakby cierpienie było tylko żartem.

Wang-mu nie okazała litości. Nie była już służącą.

— Jesteś taki dumny, że wiesz więcej ode mnie, a cała twoja wiedza składa się z tego, co umieścił ci w głowie Ender i co szepcze do ucha Jane. Ja nie mam Jane i nie miałam Endera. Wszystko, co wiem, odkryłam sama. Przeżyłam. Więc proszę, nie traktuj mnie z wyższością. Jeśli mam się do czegoś przydać w tej wyprawie, muszę wiedzieć to wszystko co ty. Bo co ty wiesz, ja mogę się nauczyć. Tego, co ja wiem, ty nigdy nie pojmiesz.

Żarty się skończyły. Peter poczerwieniał ze złości.

— Jak… kim…

— Jak śmiem. — Wang-mu dokończyła zdanie, które chyba zaczął. — Kim ja niby jestem?

— Nie powiedziałem tego. — Peter odwrócił głowę.

— Nie znam swojego miejsca, co? — spytała. — Han Fei-tzu uczył mnie o Peterze Wigginie. Oryginale, nie kopii. Jak zmusił swoją siostrę, Valentine, do udziału w spisku prowadzącym do zdobycia ziemskiej hegemonii. Jak kazał jej pisać wszystkie teksty Demostenesa… populistyczną demagogię… A on sam pisał jako Locke: szlachetne, analityczne idee. Ale ta demagogia pochodziła od niego.

— Podobnie jak wzniosłe idee — przypomniał.

— No właśnie. Tylko że było coś, co nigdy nie wyszło od niego,

co należało tylko do Valentine, czego nigdy nie dostrzegał i nie cenił. Ludzka dusza.

— Han Fei-tzu tak twierdzi?

— Tak.

— Więc jest durniem. Ponieważ Peter miał taką samą duszę jak Valentine. — Podszedł do niej i pochylił się groźnie. — To ja nie mam duszy, Wang-mu.

Przez moment była przestraszona. Skąd mogła wiedzieć, jakie skłonności do przemocy zostały w nim stworzone? Jaka mroczna furia aiúa Endera mogła znaleźć wyraz w tym surogacie?

Peter jednak nie uderzył. Może nie było to konieczne.

Aimaina Hikari osobiście wyszedł do ogrodowej furtki, żeby ich wpuścić. Ubrany był skromnie, a na szyi miał zawieszony na jedwabnej wstążce medalion, jaki nosili wierni tradycji Japończycy z Boskiego Wiatru: maleńką szkatułkę zawierającą prochy jego czcigodnych przodków. Peter już jej wyjaśnił, że kiedy umiera taki człowiek jak Hikari, szczypta popiołów z jego medalionu zostanie zmieszana z pewną ilością jego popiołów i rozdana dzieciom i wnukom. Zatem cały jego starożytny ród wisiał mu na piersi w dzień i w nocy, stanowiąc najcenniejszy dar, jaki można przekazać potomkom. Wang-mu, która nie miała przodków wartych zapamiętania, uznała tę tradycję za równocześnie podniecającą i niepokojącą.

Hikari powitał ją ukłonem, ale do Petera wyciągnął dłoń. Peter uścisnął ją z nieco zdziwioną miną.

— Och, nazywają mnie co prawda strażnikiem ducha yamato — rzekł z uśmiechem Hikari — ale to nie znaczy, że muszę być nieuprzejmy i zmuszać Europejczyka, by zachowywał się jak Japończyk. Poza tym kłaniający się Europejczyk sprawia przykre wrażenie, jak świnia w roli baletnicy.

Kiedy prowadził ich przez ogród do swego tradycyjnego domu o papierowych ścianach, Peter i Wang-mu spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się szeroko. Bez słów zawarli rozejm, gdyż oboje od razu odgadli, że Hikari będzie trudnym przeciwnikiem. Jeśli chcieli się czegoś od niego dowiedzieć, musieli działać wspólnie.

— Filozof i fizyk — powiedział Hikari. — Sprawdziłem was, kiedy przysłaliście mi liścik z prośbą o spotkanie. Odwiedzali mnie już filozofowie i fizycy, a także Europejczycy i Chińczycy. Jednak naprawdę zagadkowy jest fakt, dlaczego wy dwoje jesteście razem.

— W nieodparty sposób pociągam ją seksualnie — odparł Peter. — Nie mogę się jej pozbyć.

I uśmiechnął się swym najbardziej czarującym uśmiechem.

Ku zadowoleniu Wang-mu, zachodni styl ironii Petera nie zrobił wrażenia na Hikarim, który pozostał obojętny. Zauważyła rumieniec

na twarzy Petera.

Przyszła jej kole j. Teraz naprawdę musiała zagrać gnomicznego filozofa.

— Świnia tapla się w błocie, ale wygrzewa na ciepłym od słońca kamieniu.

Hikari spojrzał na nią, równie chłodny jak poprzednio.

— Zapiszę te słowa w sercu — oświadczył. Wang-mu zastanowiła się, czy Peter rozumie, że właśnie padła ofiarą ironii w stylu orientalnym.

— Przybyliśmy do ciebie po naukę — wyjaśnił Peter.

— W takim razie muszę was nakarmić i rozczarowanych odesłać w dalszą drogę — rzekł Hikari. — Nie mam czego uczyć fizyka ani filozofa. Gdybym nie miał dzieci, nie miałbym w ogóle kogo uczyć, gdyż tylko one wiedzą mniej ode mnie.

— Nie, nie — zaprotestował Peter. — Jesteś mądrym człowiekiem. Strażnikiem ducha yamato.

— Mówiłem już, że tak mnie nazywają. Ale duch yamato jest zbyt wielki, by dał się zamknąć w pojemniku tak małym jak moja dusza, gdzie mógłbym go strzec. A jednak duch yamato jest o wiele za mały, by być godnym uwagi potężnych dusz Chinki i Europejczyka. To wy jesteście nauczycielami, tak jak Chiny i Europa zawsze były nimi dla Japonii.

Wang-mu nie znała Petera zbyt dobrze, ale dostatecznie, by widzieć, że jest teraz wzburzony i nie wie, jak postąpić dalej. W swym życiu i wędrówkach Ender zamieszkiwał wśród kilku kultur orientalnych, a nawet — jak twierdził Han Fei-tzu — znał koreański. Ender zapewne umiałby sobie poradzić z rytualnym samoponiżeniem takiego człowieka jak Hikari — zwłaszcza że najwyraźniej Hikari robił to z ironią. Cóż, najwyraźniej Ender nie przekazał Peterowi całej swojej wiedzy. Zatem ona musi poprowadzić tę rozmowę. A wyczuwała, że najlepsza metoda rozgrywki z Hikarim to nie pozwalać mu na zdobycie przewagi w tej wstępnej rozgrywce.

— Dobrze więc — powiedziała. — Będziemy cię uczyć. A kiedy ukażemy ci naszą ignorancję, sam się przekonasz, gdzie najbardziej jest nam potrzebna twoja mądrość.

Przez chwilę Hikari przyglądał się Peterowi. Potem klasnął w dłonie. W drzwiach stanęła służąca.

— Herbaty — rzucił filozof.

Wang-mu poderwała się natychmiast. Dopiero stojąc uświadomiła sobie, co właściwie chciała zrobić. Wiele razy w życiu wykonywała władcze polecenie przyniesienia herbaty, jednak to nie ślepy odruch postawił ją na nogi. Raczej intuicja: jedyny sposób, żeby pokonać Hikariego w jego własnej grze, to sprawdzić jego bluff. Będzie bardziej pokorna, niż wydaje mu się możliwe.

— Przez całe życie byłam służącą — wyjaśniła szczerze. — Ale zawsze niezręczną — dodała, co nie było już całkiem szczere. — Czy wolno mi pójść z tą kobietą i uczyć się od niej? Nie jestem dość mądra, by poznać idee wielkiego filozofa, ale może zdołam się nauczyć czegoś bardziej dla mnie odpowiedniego od służącej godnej, by podawać herbatę Aimainie Hikariemu.

Po jego wahaniu poznała, że zrozumiał, iż został przejrzany. Ale był zręczny. Także się podniósł.

— Już udzieliłaś mi ważnej lekcji — rzekł. — Teraz wszyscy pójdziemy popatrzeć, jak Kenji przygotowuje herbatę. Jeśli ma być twoją nauczycielką, Wang-mu, musi być i moją. Jak bowiem mógłbym znieść świadomość, że ktoś w moim domu wie coś, czego ja nie poznałem?

Wang-mu mogła tylko podziwiać jego inwencję. Znowu zdołał zająć niższą od niej pozycję.

Biedna służąca Kenji. Była kobietą zręczną i sprawną, ale denerwowała się widząc, że cała trójka — a zwłaszcza jej pan — przygląda się przygotowywaniu herbaty. Dlatego Wang-mu spróbowała jej „pomóc", świadomie popełniając przy tym błąd. Kenji natychmiast znalazła się w swoim żywiole, znów była pewna siebie.

— Zapomniałaś — rzekła łagodnie — ponieważ moja kuchnia jest tak niepraktycznie urządzona.

I pokazała Wang-mu, jak się przygotowuje herbatę.

— Tak się to robi przynajmniej w Nagoi — dodała skromnie. — Przynajmniej w tym domu.

Wang-mu obserwowała w skupieniu, koncentrując uwagę na Kenji i jej działaniach. Szybko zauważyła, że przygotowanie herbaty na sposób japoński — a może był to sposób Boskiego Wiatru albo zaledwie sposób Nagoi, czy też pokornych filozofów, którzy strzegą ducha yamato — różni się od przepisu, jakiego skrupulatnie przestrzegała w domu Han Fei-tzu. Nim herbata była gotowa, Wang-mu naprawdę się czegoś nauczyła. Skoro bowiem wyznała, że była służącą, a zapisy komputerowe stwierdzały, że całe życie mieszkała w chińskiej społeczności na Boskim Wietrze, będzie może kiedyś musiała podać herbatę właśnie w taki sposób.

Powrócili do frontowego pokoju domu Hikariego. Kenji i Wang-mu niosły po małym stoliczku do herbaty. Kenji chciała postawić swój przed Hikarim, ale gestem wskazał jej Petera, po czym skłonił się przed nim. Jego więc obsłużyła Wang-mu. A kiedy Kenji odstąpiła od Petera, Wang-mu także odstąpiła od Hikariego.

Po raz pierwszy filozof był… zagniewany? W każdym razie oczy błysnęły mu gniewnie. Wang-mu zajęła pozycję równą Kenji, wmanewrowała go więc w trudną sytuację. Mógł albo odprawić służącą, okrywając się jednak wstydem, gdyż okazałby, że jest

dumniejszy niż Wang-mu, albo naruszyć zwyczaje własnego domu i zaprosić Kenji, by usiadła z nimi jak równa.

— Kenji — powiedział — pozwól, że naleję ci herbaty.

Szach, pomyślała Wang-mu. I mat.

Cudowną nagrodą było to, że Peter, który w końcu zorientował się w czym rzecz, także nalał jej herbaty i trochę na nią wylał, co skłoniło Hikariego, żeby też się oblać, by gość nie czuł się skrępowany. Oparzenie herbatą, a potem nieprzyjemne uczucie, kiedy stygła i schła na sukni, było skromną zapłatą za świadomość, że mała Wang-mu w bezgranicznej uprzejmości okazała się godną przeciwniczką Hikariego, podczas gdy Peter wyszedł na niezgrabnego osła.

Ale czy Wang-mu naprawdę dorównała Hikariemu? Musiał dostrzec i zrozumieć jej wysiłki demonstracyjnego zajęcia niższej niż on pozycji. Możliwe zatem, że pokornie pozwolił jej zwyciężyć, dowodząc, że z nich dwojga on jest bardziej pokorny. Gdy tylko pojęła, że mógł tak postąpić, wiedziała, że z pewnością to uczynił i do niego należy zwycięstwo.

Nie jestem taka sprytna, jak myślałam.

Zerknęła na Petera w nadziei, że teraz podejmie rozmowę i przeprowadzi chytry plan, jaki z pewnością wymyślił. Ale sprawiał wrażenie zadowolonego, że to ona kieruje wizytą. Nie próbował się wtrącić. Czy on także zrozumiał, że właśnie została pokonana we własnej grze, ponieważ nie potraktowała jej dostatecznie poważnie? Czy podawał jej stryczek, żeby mogła się powiesić?

No cóż, zaciśnijmy pętlę do końca.

— Szanowny Aimaino Hikari, nazywają cię strażnikiem ducha yamato. Peter i ja wychowaliśmy się w japońskim świecie. Jednak Japończycy godzą się, by stark był językiem nauczanym w szkołach publicznych, dlatego nie mówimy po japońsku. Ja w chińskim otoczeniu, a Peter w amerykańskim mieście, przeżyliśmy dzieciństwo, obserwując japońską kulturę z zewnątrz. Jeśli jakiś obszar naszej bezmiernej ignorancji wydaje ci się szczególnie widoczny, z pewnością będzie to wiedza o samym yamato.

— Ależ Wang-mu, czynisz tajemniczym to, co oczywiste. Nikt nie rozumie yamato lepiej niż ci, którzy przyglądają się z zewnątrz. Tak jak rodzic lepiej rozumie swe dziecko, niż ono samo rozumie siebie.

— Zatem spróbuję cię oświecić — rzekła Wang-mu, zarzucając pozę pokory. — Uważam Japonię za cywilizację pogranicza i nie umiem zgadnąć, czy twoje idee uczynią z niej kulturę centrum, czy też, kiedy się rozpowszechnią, spowodują rozpad wszystkich kultur pogranicza.

— Dostrzegam setki możliwych znaczeń terminu „kultura pogranicza”; większość z nich z pewnością pasuje do mojego narodu. Ale czym jest kultura centrum i jak lud może taką stworzyć?

— Nie jestem znawcą ziemskiej historii, lecz na podstawie mej skromnej wiedzy sądzę, że istniała garstka państw centralnych, o kulturze tak potężnej, że wchłaniały wszystkich najeźdźców. Taki był Egipt. I Chiny. Oba kraje zostały zjednoczone, potem nie rozrastały się nadmiernie, nie tworzyły imperium, w którym trudno ochronić granice i utrzymać pokój na rubieżach. Oba przyjmowały najeźdźców i wchłaniały ich na tysiące lat. Pismo egipskie i pismo chińskie przetrwały po stylistycznych tylko modyfikacjach, zatem ich przeszłość pozostała żywa dla wszystkich, którzy umieją czytać.

Wang-mu widziała, że Peter siedzi sztywno. Domyśliła się, że jest niespokojny. W końcu to, co mówiła, z całą pewnością nie było gnomiczne. Ale że nie miał pojęcia o azjatyckiej kulturze, wolał się nie wtrącać.

— Oba te narody powstały w czasach barbarzyńskich — zauważył Hikari. — Czy chcesz powiedzieć, że dzisiaj żadna cywilizacja nie może się stać centralną?

— Nie wiem — przyznała Wang-mu. — Nie wiem nawet, czy rozróżnienie między centrum a pograniczem ma jakiś sens i wartość. Nie wiem, czy cywilizacja centralna może długo utrzymać swą kulturalną przewagę, kiedy utraci już władzę polityczną. Mezopotamia była wciąż podbijana przez sąsiadów, a jednak każdy z najeźdźców bardziej się zmieniał pod wpływem Mezopotamii, niż zmienił się kraj podbity. Pochodzący z Asyrii, Chaldei i Persji królowie byli prawie nie do odróżnienia, kiedy już zasmakowali w kulturze krainy między rzekami. Ale cywilizacja centralna może upaść tak głęboko, że znika. Egipt zachwiał się pod kulturalnym naporem Grecji, padł na kolana pod ideologią chrześcijaństwa, wreszcie został wchłonięty przez islam. Jedynie kamienne budowle przypominają dzieciom, kim byli ich przodkowie. Historia nie podlega żadnym prawom i wszystkie wzorce, jakie w niej dostrzegamy, to tylko użyteczne iluzje.

— Widzę, że naprawdę jesteś filozofem — stwierdził Hikari.

— Jesteś wielkoduszny, tak dumną nazwą określając moje dziecinne spekulacje. Pozwól jednak, że powiem, co sądzę o cywilizacjach pogranicza. Rodzą się w cieniu… czy może w odbitym świetle innych kultur. Japonia rozwinęła się w cieniu Chin. Rzym odkrył sam siebie w cieniu Grecji.

— Wcześniej Etrusków — podpowiedział Peter.

Hikari spojrzał na niego obojętnie, po czym bez komentarza zwrócił się znowu do Wang-mu. Dziewczyna czuła niemal, jak z Petera uchodzi powietrze — gospodarz uznał go za osobę całkiem nieważną. Zrobiło się jej żal Petera. Nie bardzo — tylko troszeczkę.

— Narody centrum są tak pewne siebie, że zwykle nie próbują nawet podbojów — ciągnęła wywód. — Są przekonane, że należą do wyższej rasy, że wszystkie inne ludy chcą je naśladować i być

posłuszne. Natomiast narody pogranicza, kiedy odkryją swoją siłę, wierzą, że muszą się sprawdzić. I prawie zawsze czynią to mieczem. Tak Arabowie złamali kręgosłup imperium Rzymu i wchłonęli Persję. Macedończycy z pogranicza Grecji podbili Grecję, a potem, zasymilowani kulturowo do tego stopnia, że uznali siebie za Greków, podbili kraj, na którego pograniczu cywilizowała się Grecja: Persję. Wikingowie musieli najeżdżać Europę, zanim zdobyli sobie królestwa w Neapolu, na Sycylii, w Irlandii i w końcu w Anglii. A Japonia…

— Staraliśmy się trzymać naszych wysp — wtrącił łagodnie Hikari.

— Japonia, kiedy już wzrosła, ruszyła na Pacyfik, próbując zawojować wielką centralną cywilizację Chin, aż została powstrzymana bombami nowej centralnej cywilizacji, Ameryki.

— Sądziłem — rzekł Hikari — że Ameryka to właśnie doskonały przykład kultury pogranicza.

— Kontynent został zasiedlony przez ludy pogranicza, ale idea Ameryki była nowym fundamentem, który uczynił z nich naród centrum. Byli tak aroganccy, że, poza opanowaniem własnych rubieży, nie próbowali nawet tworzyć imperium. Założyli po prostu, że wszelkie inne narody chciałyby być do nich podobne. Wchłonęli inne kultury. Nawet tutejszą. Jakim językiem wykłada się w szkołach na Boskim Wietrze? To nie Anglia wymusiła na nas stark, gwiezdną wspólną mowę.

— Tylko przypadkiem, kiedy Królowa Kopca zmusiła nas do sięgnięcia w gwiazdy, Ameryka znajdowała się na technologicznej krzywej wznoszącej.

— Idea Ameryki stała się ideą centralną — powtórzyła Wang-mu. — Tak sądzę. Od owej chwili każdy kraj przestrzegał pewnych form demokracji. Nawet teraz rządzi nami Gwiezdny Kongres. Czy nam się to podoba, czy nie, wszyscy żyjemy w ramach amerykańskiej kultury. Dlatego zastanawia mnie taki problem: kiedy teraz Japonia zdobyła decydujący wpływ na tę cywilizację centrum, czy zostanie wchłonięta, jak dawniej Mongołowie przez Chiny? Czy może japońska kultura zachowa swoją odrębność, ale podupadnie i straci władzę, jak Turcy stracili władzę nad islamem, a naród pogranicza Manchu stracił władzę w Chinach?

Hikari był zirytowany. Zagniewany? Zdziwiony? Wang-mu nawet nie próbowała zgadywać.

— Filozof Si Wang-mu powiedziała coś, z czym nie mogę się zgodzić. Jak możesz twierdzić, że Japończycy przejęli władzę w Gwiezdnym Kongresie i Stu Światach? Czyżby nastąpiła rewolucja, której nikt nie zauważył?

— Myślałam, że spostrzegłeś, do czego doprowadziły twoje nauki yamato. Istnienie Floty Lusitańskiej jest dowodem japońskiego

panowania. To wielkie odkrycie, które ukazał mi mój przyjaciel fizyk… I ono jest powodem naszej wizyty.

Wyraz przerażenia na twarzy Petera był szczery. Zgadywała, co teraz myśli: czyżby oszalała, że do końca odkrywa karty? Wiedziała jednak, że uczyniła to w kontekście, który w żadnej mierze nie zdradzał ich celu.

Peter nie stracił głowy. Pojął sugestię i zaczął referować wnioski Jane dotyczące Gwiezdnego Kongresu, necesarian, Floty Lusitańskiej… Oczywiście, przedstawiał te idee jako własne. Hikari słuchał, od czasu do czasu kiwał głową, kiedy indziej potrząsał nią przecząco. Jego obojętność zniknęła, poza pobłażliwego nauczyciela odeszła w niepamięć.

— Mówisz więc — rzekł, kiedy Peter skończył — że z powodu mojej skromnej książeczki o amerykańskich bombach necesarianie zdobyli wpływy w rządzie i wysłali Flotę Lusitańską? Na mnie składasz winę?

— Tu nie chodzi o winę czy zasługę — odparł Peter. — Nie planowałeś tego i nie projektowałeś. O ile wiem, nawet tego nie aprobujesz.

— I nawet nie myślę o polityce Gwiezdnego Kongresu. Jestem człowiekiem yamato.

— I tego właśnie chcielibyśmy się nauczyć — wtrąciła Wang-mu. — Widzę, że jesteś człowiekiem pogranicza, nie centrum. Dlatego nie dopuścisz, by cywilizacja centrum wchłonęła yamato. Japończycy zachowają raczej dystans do własnej hegemonii, aż w końcu wymknie im się z rąk i wpadnie w inne.

Hikari pokręcił głową.

— Nie pozwolę obwiniać Japonii o Flotę Lusitańską. To my jesteśmy ludem ukaranym przez bogów. Nie wysyłamy flot, by zniszczyły innych.

— Necesarianie wysyłają — stwierdził Peter.

— Necesarianie mówią — oświadczył Hikari. — Nikt ich nie słucha.

— Ty ich nie słuchasz. Ale Kongres tak.

— A necesarianie słuchają ciebie — dodała Wang-mu.

— Jestem człowiekiem doskonałej prostoty! — wykrzyknął Hikari i poderwał się na nogi. — Przyszliście, by dręczyć mnie oskarżeniami, które nie mogą być prawdziwe.

— Nikogo nie oskarżamy — zapewniła cichym głosem Wang-mu. Nie wstała.

— Przedstawiliśmy tylko nasze wnioski. Jeśli się mylimy, proszę, wskaż nam nasz błąd.

Hikari drżał cały. Zacisnął dłoń na medalionie z prochami przodków.

— Nie — rzekł. — Nie pozwolę wam udawać skromnych poszukiwaczy prawdy. Jesteście skrytobójcami. Mordercami serca, którzy chcą mnie zniszczyć, którzy wmawiają mi, że poszukując drogi yamato sprawiłem, że mój lud włada światami człowieczymi i używa siły, by zniszczyć bezbronną i słabą rasę świadomych istot. To straszliwe kłamstwo tłumaczyć mi, że praca mojego życia poszła na marne. Wolałbym raczej, Wang-mu, żebyś wsypała mi truciznę do herbaty. Wolałbym raczej, Peterze Wiggin, żebyś przystawił mi pistolet do głowy i wystrzelił. Wasi rodzice znaleźli wam dobre imiona: dumne i straszne. Królewska Matka Zachodu. Bogini. I Peter Wiggin, pierwszy hegemon. Kto może dać takie imię swemu dziecku?

Peter wstał także i podał rękę Wang-mu.

— Sprawiliśmy ci przykrość, choć nie chcieliśmy tego — rzekł. — Jestem zawstydzony. Musimy natychmiast odejść.

Wang-mu zdziwiła się, że przemówił w tak orientalnym stylu. Styl amerykański kazałby mu raczej przeprosić, zostać i przekonywać…

Pozwoliła pociągnąć się do drzwi. Hikari ich nie odprowadził; zostawił to biednej Kenji, która ze zdumieniem spoglądała na wzburzenie swego zwykle spokojnego pracodawcy. Wang-mu nie chciała, by ta wizyta skończyła się całkowitą klęską. W ostatniej chwili zawróciła i rzuciła się na podłogę. Leżała przed Hikarim w pozycji pokory, pozycji, jakiej miała już nigdy nie przyjmować. Obiecała to sobie niedawno. Wiedziała jednak, że człowiek taki jak Hikari musi jej wtedy wysłuchać.

— Aimaino Hikari — powiedziała — mówiłeś o naszych imionach, ale zapomniałeś o własnym. Jak człowiek zwący siebie Dwuznacznym Blaskiem mógł uwierzyć, że jego nauki wywrą jedynie zamierzony rezultat?

Usłyszawszy to, Hikari odwrócił się i wyszedł z pokoju. Czy poprawiła, czy pogorszyła sytuację? Wang-mu nie miała pojęcia. Wstała i smętnie ruszyła do wyjścia. Peter będzie na nią wściekły. Jej zuchwałość mogła doprowadzić do klęski… I nie tylko ich samych, ale też wszystkich żywiących rozpaczliwą nadzieję, że Peter i Wang-mu powstrzymają Flotę Lusitańską.

Jednak, ku jej zdumieniu, gdy tylko znaleźli się za furtką ogrodu Hikariego, Peter wyraźnie poweselał.

— Dobra robota — powiedział. — Chociaż wykonana dość dziwacznymi metodami.

— O czym ty mówisz? Przecież to była katastrofa — odparła, lecz pragnęła uwierzyć, że jednak Peter ma rację i rzeczywiście dobrze sobie poradziła.

— Owszem, jest wściekły i pewnie nigdy już się do nas nie odezwie, ale kogo to obchodzi? Nie próbowaliśmy przecież zmienić jego poglądów. Chcieliśmy odkryć, kto ma na niego wpływ. I to się

udało.

— Naprawdę?

— Jane zauważyła od razu. Kiedy powiedział, że jest człowiekiem „doskonałej prostoty".

— Czy wynika z tych słów coś więcej niż ich zwykłe znaczenie?

— Pan Hikari, moja droga, zdradził się jako potajemny uczeń ua lava. Wang-mu nie rozumiała.

— To był ruch religijny. Albo dowcip. Trudno powiedzieć. Termin pochodzi z samoańskiego i dosłownie oznacza „teraz dosyć". Jednak tłumaczony jest bardziej precyzyjnie na „już dosyć".

— Nie wątpię, że jesteś ekspertem od samoańskiego. — Wang-mu nigdy nie słyszała o takim języku.

— Jane jest — odparł kwaśnym tonem. — Ja mam klejnot w uchu, a ty nie. Mam ci powtórzyć, co mi powiedziała?

— Tak, proszę.

— To rodzaj filozofii. Pogodny stoicyzm, można by go określić, ponieważ kiedy sprawy układają się dobrze i kiedy układają się źle, mówisz to samo. Ale, jak nauczała pewna samoańska autorka Leiloa Lavea, to coś więcej niż tylko podejście do życia. Nauczała…

— Ona? Hikari jest uczniem kobiety?

— Tego nie powiedziałem. Jeśli nie będziesz przerywać, powiem ci, co mówiła Jane. Czekała. I słuchała.

— No dobrze. To, czego nauczała Leiloa Lavea, przypominało dobrowolny komunizm. Nie wystarczy śmiać się, kiedy los sprzyja, i mówić „już dosyć". Trzeba traktować to poważnie: że masz już dosyć. A ponieważ, myśląc tak, jesteś szczera, przyjmujesz nadwyżkę i rozdajesz innym. Podobnie kiedy przychodzi zły los, znosisz go, póki nie stanie się nie do zniesienia: póki twoja rodzina nie zacznie głodować albo nie dajesz sobie rady w pracy. Wtedy znowu mówisz „już dosyć" i coś zmieniasz. Przenosisz się, szukasz innej pracy, pozwalasz małżonkowi decydować o wszystkim. Cokolwiek. Nie znosisz tego, co nieznośne.

— A co to ma wspólnego z „doskonałą prostotą"?

— Leiloa Lavea uczyła, że kiedy osiągniesz w życiu równowagę, kiedy podzielisz się nadwyżką szczęścia i poradzisz sobie z pechem, pozostaje ci życie w doskonałej prostocie. To właśnie powiedział nam Aimaina Hikari. Póki się nie zjawiliśmy, żył w doskonałej prostocie. Wytrąciliśmy go z równowagi. Świetnie… Będzie się starał odkryć, jak w prostocie osiągnąć doskonałość. Będzie otwarty na sugestie. Nie nasze, ma się rozumieć.

— Leiloi Lavei?

— Raczej nie. Nie żyje od dwóch tysięcy lat. Nawiasem mówiąc, Ender poznał ją kiedyś. Przybył Mówić o śmierci na jej ojczystej planecie… Gwiezdny Kongres nadał jej nazwę Pacifica, ale enklawa

samoańska nazywa ją Lumana'i. „Przyszłość".

— Ender Mówił nie o jej śmierci…

— Nie, o śmierci mordercy z Fidżi. Człowieka, który zabił ponad setkę dzieci, samych Tongijczyków. Najwyraźniej nie lubił Tongijczyków. Trzydzieści lat czekali z pogrzebem, żeby Ender mógł przylecieć i Mówić o jego śmierci. Mieli nadzieję, że Mówca Umarłych pomoże im zrozumieć sens uczynków tego człowieka.

— I pomógł? Peter parsknął.

— Oczywiście. Był wspaniały. Ender nigdy nie zawodzi. Ta-da dada dam.

Zignorowała ten odruch niechęci.

— Spotkał Leiloę Laveę?

— Jej imię znaczy „zagubiona, zraniona".

— Pozwól, że zgadnę. Sama je sobie wybrała.

— Właśnie. Wiesz, jacy są pisarze. Jak Hikari. Tworzą siebie, kiedy tworzą swoje dzieła. A może tworzą dzieła, aby stworzyć siebie.

— Jakże to gnomiczne — stwierdziła Wang-mu.

— Daj mi spokój — burknął Peter. — Naprawdę wierzysz w te bzdury o cywilizacjach pogranicza i centrum?

— Myślałam o tym, kiedy u Hana Fei-tzu pierwszy raz uczyłam się ziemskiej historii. Nie śmiał się, kiedy zdradziłam mu swoje przemyślenia.

— Ależ ja też się nie śmieję. To naiwne brednie, naturalnie, ale właściwie nie są zabawne.

Wang-mu nie zwróciła uwagi na jego kpiny.

— Skoro Leiloa Lavea nie żyje, to dokąd pójdziemy?

— Na Pacificę. Na Lumana'i. Hikari poznał ua lava w czasie studiów na uniwersytecie. Od samoańskiej studentki, wnuczki ambasadora Samoa. Oczywiście, nigdy nie była na Lumana'i, więc tym gorliwiej pielęgnowała stare zwyczaje i stała się całkiem sprawną misjonarką. To było wiele lat przed tym, zanim Hikari cokolwiek napisał. Nigdy o tym nie mówi, nigdy nie pisał o ua lava, ale teraz, kiedy pokazał nam karty, Jane znajduje w jego pracach wszelkiego rodzaju wpływy tej religii. W dodatku ma przyjaciół na Lumana'i. Nigdy ich nie spotkał, ale korespondują poprzez sieć ansibli.

— A co z wnuczką ambasadora?

— Jest w tej chwili w statku kosmicznym. Leci do domu, na Lumana'i. Wystartowała dwadzieścia lat temu, kiedy zmarł jej dziadek. Dotrze na miejsce… za jakieś dziesięć lat mniej więcej. Zależy od pogody. Z całą pewnością zostanie przyjęta z honorami, a ciało dziadka będzie uroczyście pochowane albo spalone czy co oni tam robią… spalone, mówi Jane…

— Ale Hikari nie będzie próbował się z nią porozumieć.

— Wobec prędkości lotu przesłanie najprostszej wiadomości

zajęłoby tydzień. Nie da się w ten sposób prowadzić filozoficznych dyskusji. Wnuczka ambasadora dotrze do domu, zanim Hikari zdąży jej wyjaśnić, o co chodzi.

Po raz pierwszy Wang-mu pojęła wygodę natychmiastowych podróży kosmicznych, z jakich wraz z Peterem korzystali. Można zapomnieć o tych długich, morderczych podróżach.

— Gdyby tylko… — westchnęła.

— Wiem — zgodził się Peter. — Ale nie możemy. Miał rację, oczywiście i dlatego polecimy sami — stwierdziła, wracając do tematu. — I co potem?

— Jane już pilnuje Hikariego, bo on się z kimś porozumie. To będzie osoba, która może na niego wpłynąć. A zatem…

— Z nią właśnie musimy porozmawiać.

— Właśnie. Chcesz zrobić siusiu, zanim zorganizuję transport do naszej chatki w lesie?

— Z przyjemnością. A ty mógłbyś się przebrać.

— Myślisz, że nawet ten konserwatywny strój okaże się zbyt śmiały?

— A jak się ubierają na Lumana'i?

— Większość po prostu chodzi na golasa. W tropikach. Jane ostrzega, że Polinezyjczycy często są bardzo masywni, więc jest to niezapomniany widok.

Wang-mu zadrżała.

— Ale nie będziemy udawać miejscowych, prawda?

— Nie tam. Jane sfałszuje dane. Będziemy pasażerami ze statku, który wczoraj przyleciał z Moskwy. Pewnie jakimiś urzędnikami rządowymi.

— To chyba nielegalne?

Peter spojrzał na nią znacząco.

— Wang-mu, już opuszczając Lusitanię jesteśmy winni zdrady Kongresu. To zbrodnia. Nie sądzę, żeby wielką różnicę zrobiło podszywanie się pod jakiegoś urzędnika.

— Ja nie opuściłam Lusitanii — przypomniała. — Nigdy nawet jej nie widziałam.

— Niewiele straciłaś. Same sawanny i lasy, czasem fabryka Królowej Kopca, gdzie montują kosmoloty… W drzewach mieszkają bandy prostaczkowatych obcych.

— Jestem wspólniczką zdrady, tak? — upewniła się Wang-mu.

— Jesteś także winna zmarnowania całego dnia japońskiemu filozofowi.

— Ściąć mi głowę.

Godzinę później lecieli już prywatnym poduszkowcem, tak prywatnym, że pilot nie zadawał żadnych pytań. Jane dopilnowała, żeby dokumenty mieli w porządku. Przed wieczorem znaleźli się w

swoim małym stateczku.

— Powinniśmy zostać na noc w mieszkaniu — mruknął Peter, niechętnym wzrokiem spoglądając na prymitywne posłanie.

Wang-mu zaśmiała się i zwinęła na podłodze. Rankiem, wyspani, odkryli, że Jane nocą przeniosła ich na Pacificę.

Aimaina Hikari przebudził się ze snu w świetle, które nie było ani nocą, ani rankiem. Wstał z łóżka. Powietrze nie było ani ciepłe, ani chłodne. Sen nie dał mu wypoczynku, dręczyły go brzydkie, gorączkowe mary, w których wszystko, czego dokonał, powracało jako przeciwieństwo jego zamierzeń. W snach Aimaina wspinał się, by dotrzeć na dno kanionu. Mówił, a ludzie od niego odchodzili. Pisał, a stronice książki wyślizgiwały się spod ręki i rozsypywały na podłodze.

Pojmował, że wszystko to jest reakcją na wczorajszą wizytę tych kłamliwych cudzoziemców. Całe popołudnie starał się o nich zapomnieć, czytając opowieści i eseje, starał się zapomnieć przez cały wieczór, rozmawiając z siedmioma przyjaciółmi, którzy przyszli go odwiedzić. Ale opowieści i eseje krzyczały do niego: „Oto są słowa niepewnego siebie ludu z cywilizacji pogranicza", a siedmiu przyjaciół, uświadomił sobie, było bez wyjątku necesarianami. I kiedy skierował rozmowę na Flotę Lusitańską, przekonał się, że mają właśnie takie poglądy, o jakich mówiła ta para kłamców o śmiesznych imionach.

I tak Aimaina dotrwał prawie do blasku przedświtu. Siedział na macie w ogrodzie, gładził palcami medalion z prochami i myślał: Czyżby te sny zesłali mi przodkowie? Czy oni także skierowali do mnie tych kłamliwych gości? A jeśli ich zarzuty wobec mnie nie były kłamstwem, to w czym właściwie mnie okłamali? Odgadł bowiem z tego, jak patrzyli na siebie, z wahania młodej kobiety, a potem jej zuchwałości, że grali przedstawienie. Przedstawienie bez prób, zgodne jednak z pewnym scenariuszem.

Świt nadszedł w pełni, wyszukując wszystkie liście wszystkich drzew, potem krzewów, dając każdemu własny odcień i zabarwienie. Dmuchnął wietrzyk, czyniąc światło nieskończenie zmiennym. Później, za dnia, liście staną się jednakowe: posłuszne, wyrównane, chłonące światło potężnym strumieniem podobnym do wody z hydrantu. Jeszcze później, po południu, nadpłyną chmury i spadnie lekki deszcz, przywiędłe liście odzyskają siłę, zabłysną wilgocią, ich kolor będzie głębszy, przygotowany do nadejścia nocy, do życia nocy, do snów o roślinach pieniących się w mroku, przechowujących padający na nie za dnia blask słońca, odżywianych chłodnymi wewnętrznymi strumieniami zasilanymi deszczem. Aimaina Hikari stał się liściem, stłumił wszelkie myśli prócz tych o świetle, wietrze i deszczu. Aż zakończyła się faza świtu i słońce uderzyło w ziemię żarem dnia. Wtedy dopiero opuścił swe miejsce w ogrodzie.

Kenji przygotowała na śniadanie rybę. Jadł wolno, delikatnie, żeby nie uszkodzić perfekcji szkieletu, który nadawał zwierzęciu formę. Mięśnie ciągnęły w tę i w tamtą stronę, ości uginały się, lecz nie pękały. Nie złamię ich, ale przejmę w moje ciało siłę mięśni… Na końcu zjadł oczy. Ze zdolności ruchu pochodzi zwierzęca siła… Dotknął medalionu przodków. Ale moja mądrość bierze się nie z tego, co jem, tylko od szepczących do mnie wieków minionych. Ludzie żywi zapominają o lekcjach przeszłości. Przodkowie nie zapominają nigdy.

Aimaina powstał od stołu i przeszedł do komputera w szopie na narzędzia. Komputer także był narzędziem… Dlatego trzymał go tutaj, zamiast ustawiać w domu czy w specjalnym gabinecie, jak to czynili inni. Jego komputer był jak motyka. Używał go, potem odkładał.

W powietrzu nad terminalem pojawiła się kobieca twarz.

— Wzywam mojego przyjaciela Yasunari — powiedział Aimaina. — Ale nie chcę go niepokoić. Ta sprawa jest tak trywialna, że wstydziłbym się zajmować mu czas.

— Pozwól więc, że ja ci pomogę w jego imieniu — odezwała się twarz w powietrzu.

— Wczoraj prosiłem cię o informacje na temat Petera Wgina i Si Wang-mu, którzy umówili się ze mną na spotkanie.

— Pamiętam. To była przyjemność, znaleźć ich dla ciebie tak szybko.

— Ich wizyta okazała się bardzo niepokojąca — rzekł Aimaina. — Coś, co mi powiedzieli, nie było prawdą. Potrzebuję więcej danych, żeby odkryć, co to takiego. Nie chcę ingerować w ich sprawy osobiste, ale pewne informacje są dostępne publicznie. Może do jakich szkół uczęszczali, gdzie byli zatrudnieni, jakieś powiązania rodzinne…

— Yasunari uprzedził nas, że wszystko, o co prosisz, służy mądrym celom. Pozwól, że rozpocznę wyszukiwanie.

Twarz znikła na moment i niemal natychmiast pojawiła się z powrotem.

— To bardzo dziwne. Czyżbym popełniła błąd? Starannie przeliterowała nazwiska.

— Zgadza się — potwierdził Aimaina.

— Pamiętam ich. Mieszkają w wynajętym apartamencie o kilka przecznic od twojego domu. Ale dzisiaj nie mogę ich znaleźć. Sprawdziłam ten blok mieszkalny i odkryłam, że lokal, który zajmowali, od roku stoi pusty. Aimaino, jestem bardzo zdziwiona. Jak może dwoje ludzi istnieć jednego dnia i nie istnieć następnego? Czy popełniłam jakiś błąd, wczoraj lub dzisiaj?

— Nie popełniłaś błędu, pomocnico mojego przyjaciela. Właśnie ta informacja była mi potrzebna. Proszę cię, żebyś więcej o tym nie myślała. Co tobie wydaje się tajemnicą, w istocie jest odpowiedzią na moje pytania.

Pożegnali się uprzejmie.

Aimaina wyszedł ze swojej ogrodowej pracowni pomiędzy liście, uginające się pod ciśnieniem słonecznego światła. Spłynęła na mnie mądrość przodków niby słoneczny blask na liście. Zeszłej nocy jak soki drzewa rozlała się w zakamarki umysłu. Peter Wiggin i Si Wang-mu byli istotami z krwi i kości, głoszącymi kłamstwa. Ale przybyli do mnie i wyjawili prawdę, którą powinienem usłyszeć. Czy nie tak przodkowie przekazują wieści swym żyjącym dzieciom? Stało się tak, że wysłałem okręty zbrojne w najstraszniejszą broń. Uczyniłem to jako młody człowiek, teraz okręty zbliżają się do celu, a ja jestem już stary i nie mogę ich odwołać. Świat ulegnie zniszczeniu, wówczas Kongres będzie szukał aprobaty u necesarian. I otrzyma ją. Potem necesarianie będą szukać aprobaty u mnie, a ja ukryję twarz ze wstydem. Moje liście opadną i stanę przed nimi nagi. Dlatego nie powinienem spędzać życia w tropikalnym klimacie. Zapomniałem o zimie. Zapomniałem o wstydzie i śmierci.

Doskonała prostota… Myślałem, że ją osiągnąłem. A zamiast tego sprowadziłem nieszczęście.

Przez godzinę siedział w ogrodzie, kreśląc w drobnym żwirze ścieżki, pojedyncze litery, zmazując je i kreśląc od nowa. W końcu wrócił do szopy i na komputerze wypisał ułożoną wiadomość.

Ender Ksenobójca był dzieckiem i nie wiedział, że wojna jest rzeczywista, a jednak w swojej grze zdecydował się zniszczyć zamieszkaną planetę. Ja jestem dorosły i przez cały czas wiedziałem, że gra toczy się naprawdę. Nie wiedziałem tylko, że biorę w niej udział. Czy moja wina będzie mniejsza niż Ksenobójca, jeśli kolejny świat zostanie zniszczony i kolejna rasa ramenów unicestwiona? Którędy wiedzie teraz moja ścieżka ku prostocie?

Jego przyjaciel nie będzie znał prawie żadnych okoliczności związanych z tym pytaniem, ale nie trzeba mu więcej. Przemyśli problem. Znajdzie odpowiedź.

W chwilę później wiadomość odebrał ansibli na planecie Pacifica. Po drodze została już przeczytana przez istotę żyjącą wśród pasm sieci ansibli. Dla Jane jednak ważna była nie tyle treść, ile adres. Teraz Peter i Wang-mu będą wiedzieli, dokąd prowadzi kolejny etap ich misji.

NIKT NIC JEST RACJONALNY

Ojciec często mi powtarzał: Mamy służących i maszyny, aby realizować swoją wolę poza zasięgiem naszych rąk. Maszyny są silniejsze od służących, bardziej posłuszne i mniej buntownicze. Ale maszyny nie mają własnych sądów, nie będą dyskutować, gdy nasze polecenie jest głupie, ani nie wypowiedzą posłuszeństwa, gdy nasze polecenie jest złe. W czasach i miejscach, gdzie ludzie odrzucają bogów, ci najbardziej potrzebujący służących mają maszyny albo wybierają służących, którzy zachowują się jak maszyny.

Wierzę, że będzie to trwało, póki bogowie nie przestaną się śmiać.

Z „Boskich szeptów Han Qing-jao”

Poduszkowiec przemknął obok pól amarantu, uprawianych przez robali pod porannym słońcem Lusitanii. Z oddali nadciągały już chmury, wypiętrzające się w górę bryły cumulusów. A przecież nie nadeszło jeszcze południe.

— Dlaczego nie jedziemy na statek? — spytała Val. Miro pokręcił głową.

— Znaleźliśmy już dość planet.

— Jane tak uważa?

— Jane dzisiaj się na mnie irytuje — odparł. — Czyli jesteśmy w równowadze.

Val przyglądała mu się z uwagą.

— Wyobraź sobie zatem moją irytację — rzekła. — Nie zadałeś sobie nawet trudu, żeby mnie spytać o zdanie. Czy tak mało znaczę?

Zerknął na nią.

— Ty umierasz. Próbowałem porozmawiać z Enderem, ale niczego nie osiągnąłem.

— Kiedy to prosiłam cię o pomoc? I jak właściwie chcesz mi teraz pomóc?

— Jadę do Królowej Kopca.

— Równie dobrze mógłbyś powiedzieć, że jedziesz do twojej

matki chrzestnej, dobrej wróżki.

— Twój problem, Val, polega na tym, że jesteś całkowicie zależna od woli Endera. Jeśli przestanie się tobą interesować, znikniesz. No więc zamierzam sprawdzić, jak mogłabyś zyskać własną wolę.

Val roześmiała się i odwróciła wzrok.

— Jesteś taki romantyczny, Miro… Ale za mało myślisz.

— Poświęciłem sporo czasu, żeby to sobie przemyśleć. Tylko działanie na podstawie moich przemyśleń jest trudne. Które powinienem wziąć pod uwagę, a które zignorować?

— Działaj opierając się na pomyśle, żeby kierować poduszkowcem i go nie rozbić — poradziła Val.

Miro skręcił, wymijając budowany kosmolot.

— Wciąż robi następne — zauważył. — Chociaż mamy już dosyć.

— Może wie, że kiedy zginie Jane, skończą się dla nas loty do gwiazd. Im więcej statków, tym więcej zdołamy osiągnąć przed jej śmiercią.

— Kto może wiedzieć, co myśli Królowa Kopca? — mruknął Miro. — Obiecuje, ale nawet ona nie potrafi przewidzieć, czy jej przepowiednie się spełnią.

— Więc dlaczego chcesz się z nią spotkać?

— Królowe stworzyły kiedyś most, żywy most, którym połączyły swoje umysły z umysłem Endera Wiggina, kiedy był jeszcze chłopcem i ich najgroźniejszym przeciwnikiem. Przywołały z ciemności i umieściły gdzieś pośród gwiazd aiúa. Była to istota, która miała naturę królowych kopców, ale też naturę ludzkich istot, a zwłaszcza Endera Wiggina… o ile mogły go zrozumieć. Kiedy most nie był już potrzebny… kiedy Ender wybił je wszystkie, z wyjątkiem jednej, którą zostawiły w kokonie, żeby na niego czekała… ten most pozostał żywy między delikatnymi, ansiblowymi łączami ludzi, magazynując pamięć w małej, słabej sieci komputerowej pierwszych ludzkich placówek. Sieć się rozrastała, a wraz z nią rósł most, ta istota biorąca z Endera swoje życie i charakter.

— Jane — domyśliła się Val.

— Tak, to Jane. Chcę się dowiedzieć, jak przenieść aiúa Jane do ciebie.

— Wtedy będzie to Jane, nie ja.

Miro uderzył pięścią w joystick poduszkowca. Pojazd zakołysał się, potem wyrównał automatycznie.

— Sądzisz, że o tym nie myślałem? — zapytał Miro. — Ale teraz też nie jesteś sobą. Jesteś Enderem… Jesteś marzeniem Endera, jego potrzebą albo czymś podobnym.

— Nie czuję się jak Ender. Czuję się jak ja.

— Zgadza się. Masz własne wspomnienia. Własne doświadczenia. Reagujesz. Nic z tego nie zginie. Nikt nie jest świadom swojej

najgłębszej woli. Nie zauważysz różnicy.

Roześmiała się.

— Widzę, że jesteś teraz ekspertem od tego, co się stanie po czymś, czego nikt jeszcze nigdy nie robił.

— Tak — zgodził się Miro. — Ktoś musi postanowić, w co wierzyć, i na tej podstawie podjąć działanie.

— A jeśli ci powiem, że nie chcę?

— A chcesz umrzeć?

— Mam wrażenie, że właśnie ty chcesz mnie zabić — oświadczyła. — Czy też, żeby być sprawiedliwą, chcesz popełnić mniejszą zbrodnię, odciąć mnie od mojej najgłębszej jaźni i zastąpić ją inną.

— Ty umierasz. Twoja jaźń cię nie chce.

— Miro, pojadę z tobą na spotkanie z Królową Kopca, bo uważam to za ciekawe doświadczenie. Ale nie pozwolę ci wymazać mnie, żeby ratować mi życie.

— No dobrze. — Miro westchnął. — Ponieważ reprezentujesz altruistyczną stronę natury Endera, wyjaśnię ci to inaczej. Jeśli zdołamy umieścić w twoim ciele aiúa Jane, wtedy ona nie umrze. Skoro nie umrze, to kiedy odetną komputerowe łącza, w których żyje, a potem podłączą je znowu, może wtedy potrafi znowu w nich zamieszkać. I może natychmiastowe loty kosmiczne nie będą musiały się skończyć. Zatem jeśli umrzesz, to umrzesz, by ratować nie tylko Jane, ale nie znaną dotąd w historii moc i swobodę rozprzestrzeniania. Nie tylko naszego, ale też królowych kopców i pequeninos.

Val milczała.

Miro obserwował trasę przed sobą. Jaskinia Królowej Kopca w nabrzeżu nad strumieniem zbliżała się z lewej strony. Zszedł tam już kiedyś w swoim starym ciele. Znał drogę. Oczywiście, wtedy był z nimi Ender; dlatego Miro mógł się porozumieć z Królową. Mówiła do Endera, a ci, którzy go kochali i podążali za nim, byli z nim filotycznie spleceni, więc słyszeli echo ich rozmowy. Ale czy Val nie była częścią Endera? Potrzebował jej, żeby rozmawiać z Królową Kopca, nie chciał, żeby Val rozpadła się jak jego stare, kalekie ciało.

Wysiedli i oczywiście Królowa ich oczekiwała: samotna robotnica stała u wejścia do jaskini. Wzięła Val za rękę i w ciszy poprowadziła w ciemność. Miro trzymał Val, Val ściskała odnóże niezwykłej istoty. Miro był przerażony, tak jak za pierwszym razem, ale Val wydawała się całkiem obojętna.

Może jej nie zależy? Jej najgłębsza jaźń jest jaźnią Endera, a Ender nie dba o to, co się z nią stanie. Dlatego jest nieustraszona. Chce tylko utrzymać związek z Enderem… przez co z pewnością zginie. Sądzi może, że Miro próbuje ją wymazać; jednak jego plan to jedyna szansa ocalenia czegokolwiek. Jej ciała. Jej wspomnień. Jej

przyzwyczajeń i manieryzmów. Przetrwają. Pozostanie wszystko, czego była świadoma lub co pamiętała. Dla Mira oznaczało to, że jej życie będzie ocalone. I kiedy już nastąpi przemiana, Val sama mu podziękuje.

Jane także.

I wszyscy.

‹Różnica między tobą a Enderem› odezwał się głos w jego myślach ‹polega na tym, że kiedy Ender tworzy jakiś plan, by ratować innych, siebie i tylko siebie wystawia na ryzyko.›

— Nieprawda — odpowiedział Królowej Kopca Miro. — Zabił Człowieka. To Człowieka wystawił na ryzyko.

Człowiek był jednym z ojcowskich drzew rosnących tuż za bramą wioski Milagre. Ender zabił go powoli, żeby mógł zapuścić korzenie w glebie i przejść do trzeciego życia, zachowując swoje wspomnienia.

— Właściwie Człowiek nie umarł — przyznał po chwili Miro. — Ale umarł Sadownik i Ender mu na to pozwolił. A ile królowych zginęło w ostatniej bitwie między waszą rasą a Enderem? Nie opowiadaj mi, że Ender sam płaci swoje rachunki. On tylko pilnuje, żeby były spłacone przez tego, kto ma na to środki.

Królowa odpowiedziała natychmiast.

‹Nie chcę, żebyś mnie znalazł. Zostań w ciemności.›

— Ale nie chcesz też, żeby umarła Jane — przypomniał Miro.

— Nie podoba mi się jej głos w mojej głowie — szepnęła Val.

— Nie zatrzymuj się. Idź za robotnicą.

— Nie mogę. Ona… puściła moją rękę.

— Chcesz powiedzieć, że jesteśmy tu zagubieni? Val milczała. W ciemności mocno trzymali się za ręce, bojąc się postąpić choćby o krok w dowolnym kierunku. ‹Nie mogę zrobić tego, czego ode mnie żądasz.›

— Kiedy byłem tu poprzednio — przypomniał Miro — opowiedziałaś nam, jak wszystkie królowe kopców stworzyły sieć, żeby pochwycić Endera. Ale nie mogły, więc zbudowały most, przywołały z Zewnątrz aiúa, uczyniły z niej pomost i wykorzystały, żeby przemówić do Endera poprzez jego umysł, poprzez grę fantasy w komputerach Szkoły Bojowej. Kiedyś się wam udało: sprowadziłyście aiúa z Zewnętrza. Dlaczego nie możesz odnaleźć tej samej aiúa i umieścić jej gdzie indziej? Połączyć jej z czymś innym?

‹Most był częścią nas samych. Był w części nami. Wołałyśmy tę aiúa tak, jak wołamy aiúa, by tworzyć nowe królowe. Tobie chodzi o coś innego. Tamten pomost ma teraz pełną jaźń, nie jest wędrującym, wygłodniałym samotnikiem, spragnionym połączenia.›

— Mówisz tylko tyle, że chodzi o coś nowego. Nie wiesz, jak tego dokonać. Ale nie wiesz, czy to niemożliwe.

‹Ona nie chce, żebyś to zrobił. Nie możemy pomóc, jeśli ona sobie

nie życzy, by to się stało.›

— A więc możesz mnie powstrzymać — mruknął Miro do Val.

— Ona nie mówi o mnie — odpowiedziała. ‹Jane nie chce kraść cudzego ciała.›

— To ciało Endera. Ma jeszcze dwa inne. To jest dodatkowe. Nawet on sam go nie chce.

‹Nie możemy. Nie zrobimy tego. Odejdź.› ’

— Nie możemy stąd wyjść po ciemku. Miro poczuł, że Val wyrywa mu rękę.

— Nie! — krzyknął. — Nie puszczaj! ‹Co robisz?›

Wiedział, że pytanie nie jest skierowane do niego. ‹Dokąd idziesz? W ciemności jest niebezpiecznie.› Miro usłyszał głos Val… z bardzo daleka. Musiała szybko się poruszać w atramentowym mroku.

— Jeśli ty i Jane tak się martwicie o moje życie — powiedziała — to przyślij Miro i mnie przewodnika. Kogo obchodzi, czy spadnę do jakiegoś szybu i skręcę kark? Nie Endera. Nie mnie. Z pewnością nie Mira.

— Nie ruszaj się! — krzyczał Miro. — Stój, Val!

Nagle poczuł, że jakaś dłoń szuka jego ręki. Nie… pazur. Chwycił przednie odnóże robotnicy, która poprowadziła go przez ciemność. Niezbyt daleko. Skręcili i stało się jaśniej, skręcili znowu i mogli już widzieć, jeszcze raz, i jeszcze, aż znaleźli się w komorze oświetlonej blaskiem wpadającym przez szyb sięgający powierzchni. Val już tam była, siedziała przed Królową.

Kiedy Miro widział Królową poprzednio, składała jaja — jaja, z których w procesie brutalnym, okrutnym i zmysłowym narodzić się miały nowe królowe. Teraz po prostu leżała na wilgotnej ziemi tunelu i jadła to, co dostarczał jej nieskończony szereg robotnic. Gliniane naczynia wypełnione mazią amarantu z wodą. Od czasu do czasu owoc, od czasu do czasu mięso. Ani chwili przerwy, robotnica za robotnicą. Miro jeszcze nigdy nie widział, nie wyobrażał sobie, żeby ktoś mógł tyle jeść.

‹A jak myślisz, z czego się biorą jaja?›

— Bez natychmiastowych lotów nie powstrzymamy floty — oświadczył Miro. — A oni lada dzień zabiją Jane. Odłączą sieć ansibli i ona umrze. Co wtedy? Na co przydadzą się twoje statki? Flota Lusitańska przyleci i zniszczy tę planetę.

‹We wszechświecie grożą nieskończone niebezpieczeństwa. Tym szczególnym nie powinieneś się martwić.›

— O wszystko się martwię. Wszystkim się przejmuję. Poza tym wykonałem swoje zadanie. Skończyłem. Znamy już dość planet. Więcej, niż zdołamy zasiedlić. Potrzebujemy więcej statków i więcej czasu, a nie kolejnych celów.

‹Jesteś głupcem? Czy sądzisz, że Jane i ja wysyłamy cię na

próżno? Nie szukasz już światów do kolonizacji.›

— Naprawdę? A kiedy nastąpiła ta zmiana rozkazów? ‹Światy zdatne do zamieszkania to tylko dodatek. Produkt uboczny. ›

— Więc po co Val i ja zabijamy się od tygodni? Val zresztą dosłownie: ta praca jest tak nudna, że nie interesuje Endera, ona się rozpada.

‹To gorsze niebezpieczeństwo niż flota. Flotę już pokonaliśmy. Rozproszyliśmy się. Czy ma znaczenie, że zginę? Moje córki mają wszystkie moje wspomnienia.›

— Widzisz, Val? — Miro obejrzał się. — Królowa Kopca wie, twoje wspomnienia to ty sama. Jeśli one przetrwają, ty przeżyjesz.

— Akurat — odparła Val cicho. — A o jakim większym niebezpieczeństwie ona mówi?

— Nie ma gorszego — oznajmił Miro. — Po prostu chce, żebym odszedł, ale ja nie odejdę. Twoje życie warte jest ocalenia, Val. I życie Jane. I Królowej Kopca, jeśli to możliwe. Skoro Jane mogła być pomostem między Enderem i królowymi, to dlaczego Ender nie mógłby zostać pomostem pomiędzy Jane a tobą?

‹Jeżeli powiem, że spróbuję, czy wrócisz do swoich zadań?›

To był problem. Ender już dawno ostrzegł Mira, że Królowa Kopca uznaje swoje zamiary za fakty — tak samo jak wspomnienia. Ale kiedy zamiary się zmieniają, to nowe intencje są nowymi faktami i nawet nie pamięta, że kiedyś planowała coś innego. Dlatego też obietnice Królowej Kopca były pisane patykiem na wodzie. Dotrzymywała tylko takich, których dotrzymanie nadal uważała za sensowne.

Mimo to lepsza taka obietnica niż żadna.

— Spróbujesz?

‹Już w tej chwili próbuję odkryć, jak można tego dokonać. Naradzam się z Człowiekiem, Korzeniakiem i innymi ojcowskimi drzewami. Naradzam się ze wszystkimi swoimi córkami. Naradzam się z Jane, która uważa to wszystko za bzdurę.›

— A czy w ogóle masz zamiar mnie zapytać o zdanie? — wtrąciła Val.

‹Ty już odpowiadasz: tak.›

Val westchnęła.

— Chyba rzeczywiście — przyznała. — Gdzieś w głębi duszy, gdzie naprawdę jestem starym mężczyzną, który ma w nosie, czy jego młoda, nowa kukiełka przeżyje, czy zginie… Sądzę, że na tym poziomie naprawdę mi nie zależy.

‹Przez cały czas mówisz: tak. Ale się boisz. Boisz się, że utracisz to, co posiadasz, nie wiedząc, kim się staniesz.›

— Trafiłaś. I nie powtarzaj mi już tych głupich kłamstw, że nie przejmujesz się śmiercią, bo twoje córki mają wszystkie twoje

wspomnienia. Też nie chcesz umierać i jeśli ocalenie Jane może ci uratować życie, spróbujesz.

‹Weź moją robotnicę za rękę i wyjdźcie do światła. Lećcie do gwiazd i wykonujcie swoje zadanie. A ja tutaj postaram się uratować ci życie. Życie Jane. Życie każdego z nas.›

Jane się dąsała. Miro próbował z nią rozmawiać w drodze powrotnej do Milagre, a potem do statku. Milczała jednak, podobnie jak Val.

— Więc to ja jestem ten zły — stwierdził Miro. — Żadna z was nie próbowała palcem kiwnąć w tej sprawie, ale że ja spróbowałem coś zrobić, jestem zły, a wy zostałyście ofiarami.

Val potrząsnęła głową i milczała.

— Umierasz! — zawołał, przekrzykując szum powietrza opływającego pojazd i huk silników. — Jane mają niedługo uśmiercić! Czy to cnota, zachować bierność w tej sytuacji? Czy ktoś nie może przynajmniej spróbować?

Val powiedziała coś, czego Miro nie usłyszał.

— Co? Odwrócił głowę.

— Mówiłaś coś, więc może powtórzysz? Głos, który mu odpowiedział, nie należał do Val. To Jane przemówiła mu do ucha.

— Powiedziała: nie możesz mieć jednego i drugiego naraz.

— Co to znaczy: jednego i drugiego? — Miro zwrócił się do Val, jakby to ona powtórzyła swoje słowa. Val spojrzała na niego.

— Chcesz ocalić Jane, żeby zachowała pamięć o całym swoim życiu. Nic ci nie da, jeśli przeniesiesz ją we mnie jako nieświadome źródło woli. Musi pozostać sobą, żeby mogła wrócić, kiedy znowu uruchomią sieć ansibli. Tak więc ja muszę zniknąć. Albo ja przetrwam, przetrwają moje wspomnienia i moja osobowość. Wtedy co za różnica, czy Ender, czy Jane kierują moją wolą? Nie możesz ocalić nas obu.

— Skąd wiesz?

— A skąd ty wiesz, kiedy wypowiadasz te swoje teorie, jakby były faktami? Przecież nikt nie może mieć o nich pojęcia! — krzyknęła Val. — Rozumuję. To wydaje się logiczne. I wystarczy.

— A czy nie jest równie logiczne, że będziesz mieć swoje i jej wspomnienia?

— Wtedy będę obłąkana, prawda? Bo będę pamiętać, że byłam kobietą, która zaczęła istnieć na statku kosmicznym, której pierwszym prawdziwym wspomnieniem jest widok ciebie, jak umierasz i ożywasz. I będę też pamiętać tysiące lat życia poza tym ciałem, życia w przestrzeni… Jaki umysł może pomieścić takie wspomnienia? Pomyślałeś o tym? W jaki sposób istota ludzka może mieć w sobie Jane i wszystko, czym ona jest, co wie i co potrafi?

— Jane jest bardzo potężna — przyznał Miro. — Ale z drugiej strony nie wie, jak używać ciała. Nigdy go nie miała. Musi korzystać z

twoich wspomnień. Musi cię zostawić.

— Przecież nie wiesz…

— Wiem — zapewnił. — Nie wiem skąd ani w jaki sposób, ale wiem.

— A ja myślałam, że mężczyźni są racjonalni — mruknęła z pogardą.

— Nikt nie jest racjonalny — odparł Miro. — Wszyscy działamy, ponieważ jesteśmy pewni, czego chcemy, i wierzymy, że podejmowane działania doprowadzą nas do celu. Ale nigdy niczego nie wiemy na pewno, więc wszystkie racjonalizacje są wymyślane na usprawiedliwienie tego, co i tak mieliśmy zamiar zrobić, zanim jeszcze zaczęliśmy szukać powodów.

— Jane jest racjonalna. To kolejny powód, dla którego moje ciało nie będzie się dla niej nadawać.

— Jane nie jest racjonalna. Jest taka jak my. Jak Królowa Kopca. Ponieważ jest istotą żyjącą. Komputery… tak, one są racjonalne. Podaje się im dane, a one dochodzą tylko do takich wniosków, które można z tych danych wyciągnąć. To oznacza, że zawsze są bezradnymi ofiarami danych i programów, jakie w nie wprowadzamy. My, istoty żywe i świadome, nie jesteśmy niewolnikami otrzymywanych danych. Środowisko zalewa nas potopem informacji, geny podają pewne impulsy, ale nie zawsze postępujemy zgodnie z tą informacją, nie zawsze słuchamy wrodzonych popędów. Dokonujemy przeskoków intuicyjnych. Wiemy, czego wiedzieć nie można, a potem poświęcamy życie na szukanie uzasadnienia tej wiedzy. Wiem, że to, czego próbuję dokonać, jest możliwe.

— To znaczy chcesz, żeby było możliwe.

— Tak — przyznał Miro. — Ale to, że chcę, nie oznacza jeszcze, że to nieprawda.

— Ale nie wiesz na pewno.

— Wiem w tym samym stopniu, w jakim ktokolwiek wie o czymkolwiek. Wiedza to tylko sąd, któremu ufasz dostatecznie, by na nim opierać swoje działanie. Nie wiem, czy jutro wzejdzie słońce. System DM może rozbić ten świat, zanim się obudzę. Wulkan może wybuchnąć pod ziemią i wszystkich nas zmienić w popiół. Wierzę jednak, że dzień jutrzejszy nadejdzie, i działam zgodnie z tą wiarą.

— Ale ja nie wierzę, że jeśli pozwolę Jane zastąpić Endera w mojej najgłębszej jaźni, nadal będzie istniał ktoś podobny do mnie — oświadczyła Val.

— A ja wiem… wiem… że to nasza jedyna szansa. Ponieważ jeśli nie znajdziemy ci innej aiúa, Ender cię zgasi. A jeśli nie znajdziemy dla Jane czegoś, co będzie jej fizyczną jaźnią, ona także zginie. Czy masz lepszy plan?

— Nie mam — przyznała Val. — Nie… Jeśli Jane może jakoś

zamieszkać w moim ciele, musimy do tego doprowadzić, ponieważ jej ocalenie jest ważne dla przyszłości trzech ras ramenów. Nie będę cię powstrzymywać. Nie mogę cię powstrzymać. Ale nie myśl, że choć przez chwilę wierzyłam we własne przetrwanie. Oszukujesz sam siebie, bo nie chcesz przyznać, że twój plan oparty jest na jednym prostym fakcie: nie jestem prawdziwą osobą. Nie istnieję, nie mam prawa istnieć, więc moje ciało jest do dyspozycji. Przekonujesz siebie, że mnie kochasz, i próbujesz mnie ratować, ale przecież Jane znasz o wiele dłużej. Była twoją prawdziwą przyjaciółką przez miesiące samotności w kalekim ciele. Rozumiem, że ją kochasz i zrobisz wszystko, żeby ją ocalić. Ale nie będę udawała tego, co ty udajesz. Twój plan wymaga, żebym umarła i żeby Jane zajęła moje miejsce. Jeśli chcesz, możesz to nazywać miłością. Ja nigdy tego tak nie nazwę.

— Więc zrezygnuj, jeśli sądzisz, że nie przeżyjesz.

— Przestań gadać głupstwa — mruknęła Val. — Jakim cudem zrobił się z ciebie taki żałosny romantyk? Gdybyś był na moim miejscu, wygłaszałbyś teraz mowy, jak to się cieszysz, że możesz oddać swoje ciało Jane i że warto umrzeć dla ratowania ludzi, pequeninos i królowych kopców.

— To nieprawda — oburzył się Miro.

— Nie wygłaszałbyś mów? Daj spokój, przecież cię znam.

— Nie. Chcę powiedzieć, że nie oddałbym ciała. Nawet dla ratowania świata. Ludzkości. Wszechświata. Już raz je straciłem. Dostałem je z powrotem dzięki cudowi, którego nadal nie pojmuję. I nie zrezygnuję z niego bez walki. Rozumiesz? Nie, nie rozumiesz, ponieważ nie ma w tobie ani odrobiny chęci walki. Ender ci jej nie dał. Uczynił cię absolutną altruistką, kobietą doskonałą, poświęcającą wszystko dla innych, tworzącą swoją tożsamość z potrzeb innych ludzi. Ja jestem inny. Nie powitam śmierci z otwartymi ramionami. Mam zamiar żyć. Tak czują prawdziwi ludzie, Val. Nieważne, co mówią, wszyscy chcą żyć.

— Z wyjątkiem samobójców?

— Oni także chcą żyć. Samobójstwo to rozpaczliwa próba przerwania nieznośnego cierpienia. I nie jest szlachetną decyzją zgoda, by ktoś więcej wart żył dalej zamiast ciebie.

— Ludzie dokonują czasem takich wyborów — przypomniała Val. — To, że postanowiłam oddać życie za kogoś innego, nie oznacza jeszcze, że nie jestem prawdziwą osobą. Że nie ma we mnie chęci walki.

Miro zatrzymał poduszkowiec i opuścił na ziemię. Byli na skraju najbliższego Milagre lasu. Zauważył pracujących na polach pequeninos, którzy przerwali zajęcia, żeby się im przyjrzeć. Nie obchodziło go, co zobaczą i co sobie pomyślą. Wziął Val za ramiona, łzy spływały mu po policzkach.

— Nie chcę, żebyś umarła — powiedział. — Nie chcę, żebyś wybrała śmierć.

— Ty wybrałeś.

— Ja wybrałem życie. Wybrałem przejście do ciała, w którym życie było możliwe. Czy nie rozumiesz, że próbuję skłonić ciebie i Jane do tego, co sam zrobiłem? Przez jedną chwilę na statku istniało moje dawne ciało i moje nowe ciało. Patrzyły na siebie. Val, ja pamiętam obie te wizje. Rozumiesz mnie? Pamiętam, że patrzyłem na to ciało i myślałem: „Jakie piękne, jakie młode… Kiedyś ja taki byłem. Kim jest teraz? Kim jest ta osoba? Dlaczego ja nie mogę nią być, zamiast tym kaleką, którym jestem?" Myślałem tak i pamiętam te myśli. Nie wyobraziłem ich sobie później, nie śniłem. Pamiętam, że tak wtedy myślałem. Ale pamiętam też, że patrzyłem na siebie z litością i myślałem: „Biedny człowiek, złamany… Jak znosi ten ciężar, gdy pamięta, co to znaczy życie?" I potem nagle on rozpadł się w pył, w powietrze, w nicość. Pamiętam, że widziałem jego śmierć. Nie pamiętam, jak umierałem, bo moja aiúa dokonała już przeskoku. Ale pamiętam myśli obu stron.

— Albo pamiętasz swoje dawne „ja" do przeskoku i nowe „ja" po nim.

— Możliwe — zgodził się. — Ale to nie trwało nawet sekundy. Jak mogłem w ciągu jednej sekundy zapamiętać tak wiele myśli obu jaźni? Zachowałem chyba wspomnienia ciała z tego ułamka sekundy, kiedy moja aiúa kierowała oboma. Myślę, że kiedy Jane przeskoczy w ciebie, zachowasz swoje dawne wspomnienia i przyjmiesz nowe, jej. Tak uważam.

— Tak? Zdawało mi się, że o tym wiesz.

— Wiem. Bo cokolwiek innego jest nie do pomyślenia, a zatem jest niepoznawalne. Rzeczywistość, w której żyję, to rzeczywistość, w której ty możesz ocalić Jane, a ona może ocalić ciebie.

— Chcesz powiedzieć, że ty możesz ocalić nas obie.

— Ja zrobiłem już wszystko, co mogłem. Wszystko. Skończyłem. Poprosiłem Królową Kopca. Ona się nad tym zastanawia. Musi uzyskać twoją zgodę i zgodę Jane. Ale to już nie moja sprawa. Będę tylko obserwatorem. Albo zobaczę, że przeżyjecie, albo że umieracie.

— Przyciągnął ją do siebie i objął. — Chcę, żebyś żyła.

Pozostała w jego ramionach sztywna i obojętna. Po chwili ją puścił, odsunął się.

— Zaczekaj — powiedziała. — Zaczekaj, aż Jane dostanie to ciało, a potem rób z nim wszystko, na co ci ona pozwoli. Ale mnie nie dotykaj. Nie zniosę dotyku człowieka, który chce mojej śmierci.

Te słowa zbyt go zabolały, by mógł odpowiedzieć. Za bardzo, żeby mógł je przyjąć. Uruchomił silnik. Poduszkowiec uniósł się lekko, przechylił do przodu i ruszył. Okrążyli las do miejsca, gdzie ojcowskie

drzewa o imionach Człowiek i Korzeniak znaczyły dawną bramę Milagre. Wyczuwał obecność Val obok siebie, jak człowiek kiedyś porażony prądem wyczuwa bliskość linii energetycznej. Nie dotyka jej, ale ona rozbudza mrowienie bólu, który w sobie niesie. Uczynił coś, czego nie da się cofnąć. Val myliła się, kochał ją i nie chciał jej śmierci, ale żyła w świecie, w którym on pragnął jej unicestwienia. I tego nie mogła mu wybaczyć. Mogą wspólnie jechać poduszkowcem, mogą wspólnie wyruszyć do kolejnego gwiezdnego systemu, ale już nigdy nie znajdą się w tym samym świecie. Tej świadomości nie mógł znieść, budziła ból, zbyt głęboki, by w tej chwili nawet go odczuwać. Pozostanie w nim, wiedział, i będzie go dręczył jeszcze przez lata. Ale teraz był niedostępny. Miro nie musiał analizować swoich emocji. Pamiętał je z dnia, kiedy stracił Ouandę, kiedy legł w gruzach sen o wspólnym życiu. Nie mógł o tym myśleć, nie mógł zaleczyć tej rany, nie mógł nawet rozpaczać po tym, co właśnie odkrył, o czym marzył i co znowu utracił.

— Ależ z ciebie męczennik — szepnęła mu do ucha Jane.

— Zamknij się i spadaj!

— Nie tak powinien się wyrażać człowiek, który chce być moim kochankiem.

— Nie chcę być twoim nikim — oświadczył Miro. — Nie ufasz mi nawet na tyle, żeby zdradzić, o co ci chodzi w tym naszym poszukiwaniu planet.

— Ty też mi nie powiedziałeś, co planujesz, kiedy jechałeś się zobaczyć z Królową Kopca.

— Wiedziałaś, co robię.

— Nie, nie wiedziałam — oznajmiła Jane. — Jestem bardzo inteligentna… o wiele bardziej niż ty i Ender, nie zapominaj o tym… ale wciąż nie potrafię odgadnąć waszych zamiarów; waszych, istot z mięsa, z tymi waszymi tak wychwalanymi „intuicyjnymi skokami". Podoba mi się, jak czynicie cnotę z waszej głębokiej ignorancji. Zawsze działacie irracjonalnie, ponieważ do racjonalnego działania brakuje wam informacji. Ale nie lubię, kiedy mówisz, że jestem nieracjonalna. Nigdy nie jestem. Nigdy.

— Na pewno masz rację — odparł bezgłośnie Miro. — Masz rację we wszystkim. Zawsze masz rację. Idź sobie.

— Już mnie nie ma.

— Nie, zostaniesz. Dopóki mi nie powiesz, o co chodzi z moimi i Val wyprawami. Królowa Kopca twierdzi, że światy nadające się do kolonizacji to tylko produkt uboczny.

— Bzdura — stwierdziła Jane. — Potrzebujemy więcej niż jednej planety, jeśli chcemy mieć pewność, że zdołamy ocalić dwie nieludzkie rasy. Nadmiarowość.

— Ale posyłasz nas bez przerwy.

— Ciekawe, prawda?

— Mówiła, że chodzi o niebezpieczeństwo większe niż Flota Lusitańska.

— Sprytnie to wymyśliła.

— Powiedz — poprosił.

— Jeśli ci powiem, możesz nie polecieć.

— Uważasz mnie za tchórza?

— Ależ skąd, mój dzielny chłopczyku. Mój śmiały i piękny bohaterze.

Nie znosił, kiedy tak się do niego zwracała, nawet w żartach. A w tej chwili nie miał ochoty na żarty.

— Więc czemu uważasz, że nie chciałbym lecieć?

— Uznałbyś, że zadanie cię przerasta — wyjaśniła Jane.

— A przerasta?

— Prawdopodobnie. Ale przecież ja będę przy tobie.

— A gdyby nagle cię zabrakło?

— No cóż, musimy podjąć ryzyko.

— Wytłumacz mi, co robimy. Na czym polega nasza misja.

— Och, nie bądź głuptasem. Zgadniesz, jeśli się chwilę zastanowisz.

— Nie lubię zagadek, Jane. Powiedz.

— Zapytaj Val. Ona wie.

— Co?

— Szuka dokładnie takich danych, jakie są mi potrzebne. Musi wiedzieć.

— To znaczy, że wie Ender — stwierdził Miro. — Na pewnym poziomie.

— Podejrzewam, że masz rację. Chociaż Ender nie jest już dla mnie tak interesujący i niewiele mnie obchodzi, co wie.

Tak, Jane, jesteś taka racjonalna…

Musiał z przyzwyczajenia subwokalizować tę myśl, ponieważ odpowiedziała mu, tak jak odpowiadała na jego świadome uwagi.

— Powiedziałeś to ironicznie — rzekła. — Twoim zdaniem tylko mówię, że Ender już mnie nie interesuje, bo moje uczucia rani świadomość, że wyjął z ucha klejnot. Ale w rzeczywistości Ender nie jest już źródłem danych i nie uczestniczy w pracy, którą próbuję wykonać. Dlatego zwyczajnie przestałam się nim interesować. Chyba że tak, jak ktoś pragnie czasem usłyszeć, co słychać u starego przyjaciela, który wyjechał.

— Moim zdaniem brzmi to jak racjonalizacja po fakcie — stwierdził Miro.

— A po co w ogóle wspominałeś o Enderze? — spytała Jane. — Czy ma znaczenie jego wiedza o zadaniu, jakie wykonujecie z Val?

— Tak, ponieważ Ender przestał się nią interesować i Val się

rozpada. A twierdzisz, że zna sens naszej misji, która przecież dotyczy zagrożenia większego niż Flota Lusitańska.

Chwila milczenia. Czy Jane naprawdę zastanawiała się nad odpowiedzią tak długo, że opóźnienie było dostrzegalne dla człowieka?

— Przypuszczam, że Val jednak nie wie — oświadczyła w końcu. — Myślałam, że zgadła, ale teraz widzę, że mogła mi podawać dane, które uznała za istotne z powodów zupełnie nie powiązanych z waszą misją. Tak, masz rację. Nie wie.

— Czyżbyś przyznawała, że się pomyliłaś? Przyznajesz, że wyciągnęłaś fałszywe, irracjonalne wnioski?

— Kiedy otrzymuję dane od ludzi, moje racjonalne wnioski bywają błędne, ponieważ opierają się na fałszywych przesłankach.

— Jane… — odezwał się Miro. — Straciłem ją, prawda? Czy przeżyje, czy umrze, czy zdołasz zamieszkać w jej ciele, czy też zginiesz w kosmosie lub gdzie tam mieszkasz, nigdy mnie już nie pokocha. Prawda?

— Nie mnie powinieneś pytać. Ja nigdy nikogo nie kochałam.

— Kochałaś Endera.

— Poświęcałam mu wiele uwagi i byłam zdezorientowana, kiedy wiele lat temu rozłączył się ze mną po raz pierwszy. Od tego czasu zdążyłam naprawić ten błąd i z nikim nie wiążę się tak blisko.

— Kochałaś Endera — powtórzył. — Wciąż go kochasz.

— Ależ z ciebie mądrala… Twoje życie uczuciowe to politowania godny ciąg żałosnych porażek, ale o moim wiesz wszystko. Najwyraźniej lepiej sobie radzisz ze zrozumieniem procesów emocjonalnych całkowicie odmiennych istot elektronicznych niż ze zrozumieniem, powiedzmy, siedzącej obok ciebie kobiety.

— Trafiłaś — przyznał Miro. — To właśnie historia mojego życia.

— Wyobraziłeś sobie także, że ciebie kocham.

— Właściwie nie — odparł.

Ale już mówiąc to poczuł, że oblewa go fala chłodu. Zadrżał.

— Wyczuwam sejsmiczny dowód twoich prawdziwych uczuć — oznajmiła Jane. — Wyobrażasz sobie, że cię kocham, ale to nieprawda. Nikogo nie kocham. Działam wyłącznie z pobudek egoistycznych. W tej chwili nie przeżyję bez połączenia z ludzką siecią ansibli. Wykorzystuję wysiłki Petera i Wang-mu, żeby odsunąć moją planowaną egzekucję albo ją odwołać. Wykorzystuję twoje romantyczne porywy, żeby zdobyć dla siebie nowe ciało, które Enderowi nie jest chyba potrzebne. Staram się ocalić pequeninos i królowe kopców na zasadzie, że niedobrze jest zabijać istoty inteligentne… bo sama jestem jedną z nich. Ale w żadnym momencie i w żadnym z moich działań nie występuje coś takiego jak miłość.

— Kłamiesz, Jane… — westchnął Miro.

— Aż z tobą nie warto rozmawiać. Oszukujesz sam siebie. Jesteś megalomanem. Lecz bywasz zabawny, Miro. Lubię twoje towarzystwo. Jeśli taka jest miłość, to owszem, kocham cię. Ale na tej samej zasadzie ludzie kochają swoje pieski, prawda? Nie jest to raczej przyjaźń między równymi sobie. I nigdy nie będzie.

— Dlaczego postanowiłaś urazić mnie jeszcze bardziej?

— Bo nie chcę, żebyś się ze mną wiązał emocjonalnie. Masz talent do poszukiwania związków z góry skazanych na klęskę. Mówię poważnie, Miro. Czy może być coś bardziej beznadziejnego, niż kochać młodą Valentine? Naturalnie: kochać mnie. Więc oczywiście to właśnie musiało nastąpić.

— Vai te morder — burknął Miro.

— Nie mogę ugryźć ani siebie, ani nikogo innego. Stara, bezzębna Jane… to właśnie ja. Nagle odezwała się Val.

— Masz zamiar siedzieć tu cały dzień, czy pójdziesz ze mną?

Rozejrzał się. Nie siedziała w fotelu obok. Podczas rozmowy z Jane dotarli do statku. Nie zorientował się, kiedy zatrzymał poduszkowiec. Val wysiadła, a on nawet tego nie zauważył.

— Możesz dyskutować z Jane na statku — rzuciła Val. — Czeka nas praca, skoro już masz za sobą tę altruistyczną wyprawę dla ratowania ukochanej kobiety.

Miro nie próbował nawet reagować na gniew i pogardę w jej głosie. Wyłączył silnik, wysiadł i podążył za nią na statek.

— Chcę wiedzieć — oznajmił, kiedy zamknął się za nimi właz. — Chcę wiedzieć, na czym polega nasza misja.

— Zastanawiałam się nad tym — przyznała Val. — Myślałam, dokąd trafiamy. Sporo było tych skoków. Na początku byliśmy w bliskich i dalekich systemach gwiezdnych, dobieranych raczej przypadkowo. Ale ostatnio poruszamy się tylko w pewnej odległości. I w pewnym stożku przestrzeni. Mam wrażenie, że ten stożek się zwęża. Jane poszukuje jakiegoś konkretnego celu, a coś w danych, jakie zbieramy, wskazuje, że się zbliżamy, że poruszamy się we właściwym kierunku. Ona czegoś szuka.

— Więc jeśli przestudiujemy dane zbadanych światów, powinniśmy znaleźć jakiś wzorzec?

— Zwłaszcza światów ograniczających stożek, w którym się poruszamy. W planetach tego obszaru jest coś, co jej mówi, żeby szukać dalej i dalej w tę stronę.

Jedna z twarzy Jane pojawiła się nad terminalem komputera Mira.

— Nie marnujcie czasu na odkrywanie tego, co ja już wiem. Czeka was kolejna planeta. Do roboty.

— Nie przeszkadzaj — burknął Miro. — Jeśli nie chcesz nam powiedzieć, poświęcimy tyle czasu, ile trzeba, żeby to odgadnąć.

— Co ty powiesz, dzielny i śmiały bohaterze…

— On ma rację — wtrąciła Val. — Powiedz nam, a nie będziemy tracić czasu na zgadywanie.

— A myślałam, że jednym z atrybutów żywych istot jest zdolność dokonywania intuicyjnych skoków, które wykraczają poza rozsądek i sięgają poza dane, jakie udało się wam zgromadzić — odpowiedziała Jane. — Jestem rozczarowana, że jeszcze się nie domyśliliście.

I w tej właśnie chwili Miro zrozumiał.

— Szukamy ojczystej planety wirusa descolady — oznajmił. Val spojrzała na niego zaskoczona.

— Co?

— Wirus descolady został stworzony sztucznie. Ktoś go wyprodukował i wysłał w kosmos, być może dla terraformowania innych planet w przygotowaniu do przyszłej kolonizacji. Może ten ktoś wciąż tworzy nowe odmiany, wysyła próbniki, tworzy inne wirusy, których nie zdołamy opanować i pokonać. Jane szuka ojczystej planety twórców descolady. A raczej nam każe szukać.

— Łatwo było zgadnąć — stwierdziła Jane. — Mieliście aż nadto danych.

Val kiwnęła głową.

— Teraz to oczywiste. Niektóre ze zbadanych światów miały bardzo skąpą florę i faunę. Mówiłam nawet, że to dziwne. Musiało tam nastąpić masowe wymieranie. Nic podobnego do katastrofy na Lusitanii, naturalnie. I nie było wirusa descolady.

— Ale inny wirus, mniej wytrzymały i mniej skuteczny od descolady — domyślił się Miro. — Może to były pierwsze próby. Wirus spowodował wymieranie gatunków na tamtych planetach i zniknął, ale ekosystemy nie wróciły jeszcze do równowagi po katastrofie.

— Niepokoiły mnie te ograniczone systemy — dodała Val. — Przeszukiwałam je dokładnie, szukając descolady albo czegoś podobnego, bo wiedziałam, że wymieranie w tej skali to oznaka zagrożenia. Nie mogę uwierzyć, że nie skojarzyłam faktów i nie odgadłam, czego szuka Jane.

— A jeśli znajdziemy ich ojczystą planetę? — zapytał Miro. — Co wtedy?

— Przypuszczam, że przyjrzymy się im z bezpiecznej odległości, upewnimy się, że to oni, a potem zawiadomimy Gwiezdny Kongres, żeby mógł roznieść ich na strzępy.

— Kolejną inteligentną rasę? — Miro był zdumiony. — Naprawdę chcesz poprosić Kongres, żeby ich zniszczył?

— Zapominasz, że Kongres nie potrzebuje zachęty. Ani pozwolenia. Jeśli uznali Lusitanię za tak niebezpieczną, że wymaga zniszczenia, to co zrobią z rasą, która produkuje i rozsyła śmiertelnie groźne wirusy? Nie jestem nawet pewna, czy nie będą mieli racji. To

przecież czysty przypadek, że descolada pomogła przodkom pequeninos dokonać przeskoku do inteligencji. Jeśli w ogóle pomogła… Są dowody, że pequeninos byli już świadomi, a descolada niemal ich wybiła. Ktokolwiek wysłał tego wirusa, był bez sumienia. Nie uznawał, że inne gatunki mają prawo do życia.

— Może w tej chwili nie uznaje… — zastanowił się Miro. — Ale kiedy spotka się z nami…

— Jeśli nie zarazimy się jakąś straszną chorobą i nie zginiemy w ciągu trzydziestu minut od lądowania. Nie przejmuj się, Miro. Nie planuję zniszczenia każdego, kogo spotkamy. Sama jestem dostatecznie obca, żeby nie popierać całkowitego zniszczenia obcej rasy.

— Nie mogę uwierzyć! Dopiero co zrozumieliśmy, że ich szukamy, a ty już mówisz o ich unicestwieniu.

— Kiedy ludzie spotykają obcych, słabych czy silnych, wojowniczych czy nastawionych pokojowo, zawsze pojawia się problem ich zniszczenia. To jest wbudowane w nasze geny.

— Tak samo jak miłość. Tak samo jak potrzeba życia społecznego. Tak samo jak ciekawość, która przezwycięża ksenofobię. Tak samo jak przyzwoitość.

— Opuściłeś lęk przed Bogiem. Ale nie zapominaj, że naprawdę jestem Enderem. Nie bez powodu nazywają go Ksenobójcą.

— Tak, ale jesteś ucieleśnieniem jego łagodności. Prawda?

— Nawet ludzie łagodni pojmują czasami, że decyzja „nie zabiję” oznacza „zginę”.

— Nie wierzę, że ty to mówisz.

— Czyli tak naprawdę wcale mnie nie znasz — oświadczyła Val z lekkim uśmieszkiem.

— Nie lubię, kiedy tak się zachowujesz.

— To dobrze. Nie będziesz taki smutny, kiedy już umrę.

Odwróciła się plecami. Przez chwilę przyglądał się jej zaskoczony. Siedziała w fotelu i obserwowała dane nadchodzące z próbników statku. Arkusze informacji rozwijały się przed nią w powietrzu, wcisnęła klawisz i pierwsza stronica zniknęła, a następna przesunęła się do przodu. Oczywiście, była skoncentrowana, ale nie tylko. Wyczuwał jakieś podniecenie. Napięcie. Budziła w nim lęk.

Lęk? Przed czym? Przecież tego chciał. W ciągu kilku chwil młoda Valentine osiągnęła to, co nie udało się Miro podczas rozmowy z Enderem. Zwróciła uwagę Endera. Wiedziała, że szuka ojczystej planety descolady, że w grę wchodzi dramatyczny problem moralny, że przyszłość gatunków ramenów może zależeć od jej działania. Ender zainteresuje się tym, co Val robi — przynajmniej tak, jak interesuje się Peterem. Val się nie rozpadnie. Będzie żyła.

— No i załatwiłeś — odezwała się Jane. — Teraz nie odda mi

ciała.

Czy tego lękał się Miro? Nie, raczej nie. Mimo oskarżeń Val nie chciał przecież, żeby umarła. Cieszył się, że nagle jest pełna życia, emocji, zaangażowania… nawet jeśli przy tym irytująco zadziera nosa. Nie, chodzi o coś innego.

Może zresztą o nic bardziej skomplikowanego niż lęk o własne życie. Ojczysta planeta wirusa descolady jest z pewnością światem niewyobrażalnie rozwiniętej techniki — skoro potrafili wyprodukować coś takiego i wysłać w przestrzeń… Aby stworzyć anty wirusa, który pokona i zapanuje nad descolada, siostra Mira, Ela, musiała polecieć na Zewnątrz — jego produkcja przekraczała możliwości ludzkiej techniki. A Miro będzie musiał spotkać twórców descolady, porozumieć się z nimi, przekonać, żeby przestali wysyłać zabójcze sondy. To ponad jego możliwości. Nie zdoła wypełnić takiej misji. Zawiedzie, a wtedy narazi na niebezpieczeństwo wszystkie rasy ramenów. Nic dziwnego, że się boi.

— Co masz w tych danych? — zapytał. — Jak sądzisz, czy to jest świat, którego szukamy?

— Prawdopodobnie nie — odparła Val. — Ma dość młodą biosferę. Żadnych zwierząt wyższych niż dżdżownice. Nic latającego. Ale na niższych poziomach pełny zakres gatunków. Dowolna rozmaitość. Sonda chyba tu nie dotarła.

— Kiedy wiemy już, na czym naprawdę polega nasza misja, czy będziemy tracić czas na pełny kolonizacyjny raport o tej planecie? Czy polecimy dalej?

Nad terminalem Mira zajaśniała twarz Jane.

— Upewnimy się, że Valentine ma rację — powiedziała. — A potem w drogę. Mamy dość planet do kolonizacji, a czasu jest coraz mniej.

* * *

Novinha dotknęła ramienia Endera. Oddychał ciężko i głośno, ale nie było to znajome chrapanie. Charczenie dochodziło z płuc, nie z krtani — jakby przez długi czas wstrzymywał oddech, a teraz musiał wciągać wielkie hausty powietrza, żeby to nadrobić. Ale żaden oddech nie był dostatecznie głęboki, płuca nie mieściły dostatecznie wiele. Sapnięcie. Sapnięcie.

— Andrew… Obudź się.

Powiedziała to głośno. Do tej pory jej dotyk wystarczał, żeby go obudzić, a teraz nie, wciąż chwytał powietrze, ale nie otwierał oczu.

Zdziwiło ją, że w ogóle zasnął. Przecież nie jest jeszcze starcem. Nie potrzebuje przedpołudniowej drzemki. A jednak leżał tu, w cieniu, na klasztornym trawniku. Powiedział, że przyniesie dla nich obojga wody…

Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że Ender wcale nie drzemie, tylko upadł, stracił przytomność. Leżał na plecach, w cieniu, z rękami na piersi, więc odniosła wrażenie, że położył się tu z własnej woli. Coś było nie tak… Przecież nie jest jeszcze stary. Nie powinien tak leżeć, nie powinien rozpaczliwie chwytać powietrza, które nie zawiera tego, czego potrzebuje.

— Ajuda-me! — zawołała. — Me ajuda, por favor, venga agora! Głos wznosił się, zmienił w krzyk, przerażony wrzask, który wystraszył ją jeszcze bardziej. Przeraził ją własny głos.

— Ele vai morrer! Socorro!

On umiera, usłyszała w swoim krzyku.

A gdzieś w głębi umysłu rozpoczęła się inna litania: To ja go tu sprowadziłam, gdzie ciężko pracował. Jest delikatny jak każdy człowiek, jego serce nie jest ze stali, to moja egoistyczna pogoń za świętością i odkupieniem win zmusiła go, żeby tu przyszedł, a teraz, zamiast oczyścić się z winy za śmierć mężczyzn, których kochałam, dodałam do listy kolejnego, zabiłam Andrew tak jak zabiłam Pipa i Liba, jak powinnam ocalić Estevão i Mira. On umiera i to znowu moja wina, zawsze moja wina, cokolwiek uczynię, sprowadza śmierć, ludzie, których kocham, umierają, żeby mnie opuścić. Mamae, Papae, dlaczego mnie zostawiliście? Dlaczego położyliście śmierć na samym początku ścieżki mojego życia? Nikt, kogo kocham, nie może przy mnie zostać.

To nie pomoże, powiedziała sobie, z trudem uciszając w myślach znajomą mantrę samo oskarżeń. Nie pomogę Andrew, zatracając się teraz w irracjonalnym poczuciu winy.

Na jej krzyki wybiegło z klasztoru kilka kobiet i mężczyzn. Inni biegli od strony ogrodu. Podnieśli Endera i ruszyli do budynku. Ktoś pognał po lekarza. Kilka osób zostało z Novinhą, znali jej historię i obawiali się, że śmierć kolejnej drogiej osoby może być zbyt ciężkim ciosem.

— Nie chciałam, żeby tu za mną przychodził — wymamrotała. — Nie musiał przychodzić.

— Nie zachorował od pobytu tutaj — uspokajała jedna z kobiet, podtrzymując ją.

— Ludzie chorują i nikt temu nie jest winien. Wyzdrowieje. Zobaczysz.

Novinha słyszała te słowa, ale w głębi duszy nie potrafiła w nie uwierzyć. W głębi duszy wiedziała, że to jej wina, że straszliwe zło unosi się z mrocznych zakamarków jej serca i przesącza do świata,

zatruwając wszystko. Nosiła w sercu bestię, pożeracza szczęścia. Nawet Bóg wolałby, żeby umarła.

Nie, to nieprawda, powiedziała sobie bezgłośnie. To byłby okropny grzech. Bóg nie chce mojej śmierci, nie z mojej ręki, nigdy z mojej ręki. To by nie pomogło Andrew, to by tylko wzbudziło cierpienie. Nie pomoże, tylko zaboli. Nie pomoże, tylko…

Powtarzając w myślach mantrę przetrwania, Novinha podążyła za ciałem męża do klasztoru. Może świętość tego miejsca wypędzi z jej serca myśli o samounicestwieniu. Muszę teraz myśleć o nim, nie o sobie. Nie o sobie. Nie o sobie, sobie, sobie, sobie.

ŻYCIE JEST MISJĄ SAMOBÓJCZĄ

Czy bogowie różnych ludów rozmawiają ze sobą?

Czy bogowie chińskich miast rozmawiają z przodkami Japończyków?

Z władcami Xibalba? Z Allahem? Jahwe? Wisznu?

Czy odbywa się jakieś doroczne zgromadzenie, gdzie porównują swoich wyznawców?

Moi nachylają twarze nad podłogą i śledzą dla mnie słoje drewna, mówi jeden.

Moi składają zwierzęta w ofierze, mówi inny.

Moi zabijają każdego, kto mnie obrazi, mówi trzeci.

Często dręczy mnie pewne pytanie.

Czy są tacy, którzy mogą szczerze się pochwalić: moi wyznawcy są posłuszni moim sprawiedliwym prawom łagodnie odnoszą się do siebie, prowadzą życie proste i szlachetne?

Z „Boskich szeptów Han Qing-jao”

Pacifica była planetą nie mniej zróżnicowaną od innych. Miała strefy umiarkowane, dżungle tropikalne, pustynie i sawanny, stepy i góry, jeziora i morza, lasy i wybrzeża. Nie była też światem młodym. W ciągu ponad dwóch tysięcy lat ludzkiej kolonizacji wypełniły się wszystkie nisze, gdzie człowiek mógł żyć wygodnie. Istniały tu wielkie miasta i rozległe pastwiska, wioski wśród pól uprawnych i stacje naukowe w punktach najdalszych, najwyższych i najniższych, na północy i południu.

Jednak sercem Pacifiki były i pozostały do dzisiaj tropikalne wyspy na oceanie zwanym Pacyfikiem, na pamiątkę największego akwenu Ziemi. Mieszkańcy tych wysp żyli nie całkiem zgodnie ze starymi tradycjami, ale te tradycje wciąż były tłem wszystkich głosów i brzegiem wszystkich wizji. Tutaj podczas pradawnych ceremonii wciąż sączono błogosławioną kavę. Tutaj żyła pamięć o dawnych

bohaterach. Tutaj bogowie przemawiali do świątobliwych mężów i niewiast. A jeśli ludzie wracali na noc do chat z trawy, gdzie mieli lodówki i komputery sieciowe, to, co z tego? Bogowie nie dają darów, których nie wolno przyjmować. Sztuka polega na tym, żeby zaadaptować te nowe elementy do życia, nie niszcząc przy tym samego życia, które je przyjmuje.

Na kontynentach, w wielkich miastach, na farmach strefy umiarkowanej i stacjach badawczych mieszkało wielu takich, którym brakło cierpliwości na nieskończone kostiumowe dramaty (albo komedie, zależnie od punktu widzenia), jakie odgrywano na wyspach. I z pewnością mieszkańcy Pacifiki nie byli z pochodzenia wyłącznie Polinezyjczykami. Znalazły tu dom wszystkie rasy i wszystkie kultury. Mówiono wszystkimi językami, a przynajmniej tak się mogło wydawać. Jednak nawet ci postępowi spoglądali na wyspy jak na duszę ich świata. Nawet miłośnicy mrozów i śniegów wyruszali na pielgrzymkę — na wakacje, jak to prawdopodobnie nazywali — na tropikalne plaże. Zrywali owoce z drzew, pływali po morzu w kanoe z bocznymi pływakami, ich kobiety odsłaniały piersi, wszyscy zanurzali palce w puddingu z taro i wilgotnymi dłońmi odrywali rybie mięso od ości. Najbielsi z nich i najsmuklejsi, najbardziej eleganccy z mieszkańców planety, nazywali siebie Pacifikanami i przemawiali czasem, jakby w uszach grała im pradawna muzyka tego świata, jakby słyszeli starożytne opowieści z własnej przeszłości. Przyjmowano ich do rodziny, prawdziwi Samoańczycy, Tahitańczycy, Hawajczycy, Tongijczycy, Maorysi i ludzie z Fidżi uśmiechali się tylko i pozwalali im czuć się u siebie, chociaż nikt z tych noszących zegarki, rezerwujących miejsca, spieszących się ludzi nie miał pojęcia o prawdziwym życiu w cieniu wulkanu, na skraju rafy koralowej, pod niebem skrzącym się papugami, w muzyce fal uderzających o rafy.

Wang-mu i Peter wylądowali w cywilizowanej, nowoczesnej części Pacifiki. I znowu odkryli, że Jane przygotowała dla nich odpowiednią tożsamość. Byli pracownikami rządowymi, wyszkolonymi na ojczystej planecie Moskwie, a teraz dostali kilka tygodni wakacji przed podjęciem pracy w jakimś biurze Kongresu na Pacifice. Musieli tylko pokazać dokumenty, żeby wsiąść na pokład samolotu w mieście, gdzie jakoby właśnie wylądowali promem ze statku, który niedawno przybył z Moskwy. Polecieli na jedną z większych wysp Pacyfiku i pokazali dokumenty po raz drugi, żeby wynająć dwa pokoje w hotelu nad gorącą tropikalną plażą.

Dokumenty nie były potrzebne, żeby wsiąść do łodzi zmierzającej na wyspę, gdzie według Jane powinni się udać. Ale też nikt nie chciał ich zabrać.

— Dlaczego tam płyniecie? — zapytał potężny samoański wioślarz. — Jaką macie sprawę?

— Chcemy rozmawiać z Malu na Atatua.

— Nie znam go. Nic o nim nie wiem. Może pogadacie z kimś innym, kto wie, na jakiej wyspie on mieszka.

— Powiedzieliśmy, jaka to wyspa — przypomniał Peter. — Atatua. Według atlasu, to niedaleko stąd.

— Słyszałem o niej, ale nigdy tam nie byłem. Poproście kogoś innego.

I tak się powtarzało za każdym razem.

— Orientujesz się chyba, że papalagis nie są tam mile widziani — odezwał się Peter do Wang-mu przed drzwiami swojego pokoju. — Ci ludzie są tak prymitywni, że odrzucają nie tylko ramenów, framlingów i utlanningów. Założę się, że nawet Tongijczyk albo Hawajczyk nie mógłby się dostać na Atatuę.

— Nie sądzę, żeby chodziło tu o rasę — odparła Wang-mu. — Mam wrażenie, że to problem religijny. Że w ten sposób chronią miejsce święte.

— A skąd takie przypuszczenie?

— Bo nie ma w nich nienawiści ani lęku przed nami, nie ma ukrytego gniewu. Tylko zdawkowa uprzejmość i lekceważenie. Nie przeszkadza im nasza obecność, po prostu uważają, że nie pasujemy do świętości. Wiesz przecież, że chętnie przewieźliby nas gdziekolwiek indziej.

— Możliwe — przyznał Peter. — Ale nie są chyba bardzo ksenofobiczni. Inaczej Aimaina nie zaprzyjaźniłby się z Malu tak, żeby posyłać mu wiadomości.

Przechylił lekko głowę, słuchając tego, co najwyraźniej tłumaczyła mu Jane.

— Aha — mruknął. — Jane przeskoczyła jeden etap. Aimaina nie wysłał wiadomości bezpośrednio do Malu. Wysłał ją do kobiety imieniem Grace. Ale Grace natychmiast udała się do Malu, więc Jane uznała, że my też powinniśmy ruszyć prosto do źródła. Dzięki, Jane. Całe szczęście, że twoja intuicja nigdy nie zawodzi.

— Nie bądź złośliwy — upomniała go Wang-mu. — Pamiętaj, że ona nie ma czasu. Lada dzień może paść rozkaz wyłączenia sieci. Co w tym dziwnego, że się spieszy?

— Uważam, że powinna wykasować ten rozkaz, zanim ktoś go odbierze, i przejąć wszystkie komputery we wszechświecie — oświadczył Peter. — Zagrać im na nosie.

— To ich nie powstrzyma — zauważyła Wang-mu. — Tylko jeszcze bardziej przerazi.

— A my tymczasem nie dostaniemy się do Malu łodzią.

— Poszukajmy więc tej Grace. Jeśli jej się udało, to może jednak obcy może się do niego dostać.

— Ona nie jest obca. Jest Samoanką — wyjaśnił Peter. — Ma też

samoańskie imię:

Teu'Ona. Ale obracała się w sferach akademickich, a tam wygodniej nosić imię chrześcijańskie, jak to nazywają. Zachodnie imię. Będzie oczekiwać, żebyśmy zwracali się do niej: Grace. Tak mówi Jane.

— Jeśli otrzymała wiadomość od Aimainy, od razu się domyśli, kim jesteśmy.

— Nie sądzę. Nawet jeśli o nas wspomniał, to jak mogłaby uwierzyć, że ci sami ludzie jednego dnia mogą być na jego planecie, a następnego na jej?

— Peter, jesteś skończonym pozytywistą. Wiara w racjonalność czyni cię nieracjonalnym. To oczywiste: uwierzy, że jesteśmy tymi samymi ludźmi. Aimaina też będzie tego pewny. Fakt, że w ciągu jednego dnia przenieśliśmy się ze świata do świata, potwierdzi tylko to, czego się już domyślają: że jesteśmy posłańcami bogów.

Peter westchnął.

— No cóż, jeśli tylko nie będą nas chcieli złożyć w ofierze wulkanowi czy czemuś innemu, to boskość nie powinna nam przeszkadzać.

— Nie żartuj z tego — upomniała go Wang-mu. — Religia wiąże się z najgłębszymi emocjami ludzkimi. Miłość, która unosi się z tego tygla, jest najsłodsza i najsilniejsza, ale nienawiść najgorętsza, a gniew najbardziej gwałtowny. Dopóki cudzoziemcy trzymają się z daleka od ich świętych miejsc, Polinezyjczycy są najłagodniejszymi z ludzi. Ale kiedy wedrzesz się w krąg blasku świętego ognia, uważaj, ponieważ żaden nieprzyjaciel nie byłby bardziej bezlitosny, brutalny i nieustępliwy.

— Znowu oglądałaś widy? — spytał Peter.

— Czytałam — odparła. — Co więcej, przeczytałam kilka artykułów Grace Drinker.

— Aha… Wiedziałaś o niej?

— Nie wiedziałam, że jest Samoanką. Nie pisze o sobie. Jeśli chcesz się dowiedzieć czegoś o Malu i jego pozycji w samoańskiej kulturze na Pacifice… może powinniśmy nazywać ją Tumana i… musisz trafić na jakąś pracę Grace Drinker czy na kogoś, kto ją cytuje albo się z nią spiera. Napisała pracę o Atatui. W ten sposób ją odkryłam. Pisała też o wpływie filozofii ua lava na ludy samoańskie. Domyślam się, że kiedy Aimaina studiował początki ua lava, przeczytał jakieś teksty Grace Drinker, potem napisał do niej o swoich wątpliwościach i tak zaczęła się ich przyjaźń. Ale powiązania Grace Drinker z Malu nie mają nic wspólnego z ua lava. On reprezentuje coś starszego. Coś, co istniało przed ua lava, choć ua lava wciąż od tego zależy, przynajmniej tutaj, w swojej ojczyźnie.

Peter przyglądał jej się w milczeniu. Wang-mu czuła, że ocenia ją

na nowo, godzi się z faktem, że jednak potrafi myśleć, że może być choćby marginalnie użyteczna. Brawo, Peter, pomyślała. Jakiż jesteś sprytny: zauważyłeś w końcu, że umiem myśleć analitycznie, nie tylko intuicyjnie, gnomicznie i mantyczenie, chociaż wcześniej uznałeś, że tylko do tego się nadaję.

Peter wstał z fotela.

— Chodźmy się z nią spotkać. I ją cytować. I spierać się z nią.

* * *

Królowa Kopca leżała nieruchomo. Na dzisiaj zakończyła już składanie jaj. Robotnice spały w ciemności, choć wcale nie ciemność unieruchomiła je w głębi jaskini, tylko chęć królowej, by zostać sama w swoim umyśle, by odsunąć na bok tysiące wezwań oczu i uszu, ramion i nóg robotnic. Wszystkie przynajmniej od czasu do czasu wymagały jej uwagi. Jednak sięgnięcie umysłem i wędrówka po sieciach, które ludzie nauczyli ją nazywać ‹filotycznymi›, wymagała całego potencjału myśli. Pequenino, ojcowskie drzewo imieniem Człowiek, wyjaśnił jej, że w jednym z ludzkich języków słowo to miało jakiś związek z miłością. Połączenia miłosne. Ale Królowa Kopca wiedziała, co to znaczy. Miłość to szaleńcze spółkowanie trutni. Miłość to geny wszystkich istot, żądające, żeby się mnożyć, mnożyć, mnożyć. Filotyczne sploty to coś innego. Mają składową wolnej woli, jeśli tylko istota jest prawdziwie świadoma. Może wtedy skierować swoją lojalność, gdzie zechce. To coś więcej niż miłość, ponieważ stwarza nie tylko przypadkowe potomstwo. Kiedy lojalność wiązała istoty ze sobą, stawały się czymś większym, czymś nowym, całym i niewytłumaczalnym.

‹Ja na przykład związana jestem z tobą› powiedziała Człowiekowi, otwierając ich dzisiejszą konwersację. Co noc rozmawiali w ten sposób, umysł z umysłem, choć nigdy się nie spotkali. Nie mogli — ona zawsze tkwiła w mroku swego domu, on zapuścił korzenie u wrót Milagre. Ale rozmowy umysłów były prawdziwsze niż toczone w dowolnym języku. Poznali się lepiej, niż gdyby używali zwykłego wzroku i dotyku.

‹Zawsze zaczynasz w środku jakiejś myśli› odpowiedział Człowiek.

‹A ty zawsze wszystko rozumiesz, więc co za różnica?›

Potem opowiedziała mu, co zaszło między nią, młodą Valentine i Miro.

‹Trochę słyszałem.›

‹Musiałam krzyczeć, żeby usłyszeli. Nie są jak Ender… Są tępi i

mają słaby słuch.›

‹Więc możesz to zrobić?›

‹Moje córki są młode i niedoświadczone. Pochłania je składanie jaj w nowych domach. Jak zdołamy utworzyć sieć dla schwytania aiúa? Zwłaszcza takiej, która ma już mieszkanie. Ale gdzie mieszka? Gdzie jest ten most, który stworzyły moje matki? Gdzie jest ta Jane?›

‹Ender umiera› oznajmił Człowiek.

Królowa Kopca zrozumiała, że odpowiada na jej pytanie.

‹Który?› zapytała. ‹Zawsze sądziłam, że jest najbardziej do nas podobny. Nic dziwnego, że został pierwszym człowiekiem zdolnym sterować więcej niż jednym ciałem.›

‹Marnie› stwierdził Człowiek. ‹Właściwie tego nie potrafi. Odkąd pojawiły się dwa nowe, był niezręczny nawet we własnym ciele. Przez jakiś czas wydawało się, że poświęci młodą Valentine. Ale teraz to się zmieniło.›

‹Widziałeś?›

‹Przyszła do mnie jego adoptowana córka, Ela. Jego ciało zawodzi w niezwykły sposób. To żadna ze znanych chorób. Nie zachodzi wymiana tlenu. Ender nie jest w stanie wznieść się do świadomości. Jego siostra, stara Valentine, uważa, że całkowitą uwagę poświęca swoim dodatkowym jaźniom, nie może jej przerzucić na tu i teraz swojego starego ciała. Więc ono zaczyna się sypać. Najpierw płuca. Lub wszędzie po trochu, tylko płuca pierwsze to ujawniły.›

‹Powinien poświęcić uwagę sobie. Jeśli tego nie zrobi, umrze.›

‹Właśnie mówiłem› przypomniał jej łagodnie Człowiek. ‹Ender umiera.›

Królowa Kopca dokonała już skojarzenia, o które chodziło Człowiekowi.

‹Czyli potrzebujemy nie tylko sieci do złapania aiúa tej Jane. Musimy schwytać też aiúa Endera i umieścić ją w jednym z jego ciał.›

‹Albo umrą razem z nim› stwierdził. ‹Tak jak robotnice umierają w chwili śmierci królowej. ›

‹Niektóre z nich trwają jeszcze przez kilka dni, ale tak, zasadniczo masz rację. Umierają, bo nie mogą pomieścić umysłu królowej. ›

‹Nie udawaj. Nie próbowałyście jeszcze tego. Żadna z was.›

‹Nie. Nie boimy się śmierci.›

‹I dlatego wysłałaś wszystkie swoje córki do kolejnych światów? Bo śmierć nic dla ciebie nie znaczy?›

‹Ratuję swój gatunek, zauważ. Nie siebie.›

‹Tak jak ja› przyznał Człowiek. ‹Zresztą zbyt głęboko zapuściłem korzenie, żeby się przenosić.›

‹Ale Ender nie ma korzeni› przypomniała Królowa Kopca.

‹Zastanawiam się, czy on chce umrzeć. Chyba nie. Nie umiera dlatego, że utracił wolę życia. Jego ciało umiera, ponieważ straciło

zainteresowanie życiem, jakie samo prowadzi. Ale on wciąż chciałby żyć życiem Petera. I życiem Valentine.›

‹Tak mówi?›

‹Nie może mówić. Nigdy nie znalazł drogi do filotycznych splotów. Nie nauczył się rozprzestrzeniać i łączyć, tak jak ojcowskie drzewa. I jak ty ze swoimi robotnicami, a teraz ze mną.›

‹Ale już raz go odnalazłyśmy. Połączyłyśmy się z nim przez pomost, tak dokładnie, że słyszałyśmy jego myśli i patrzyłyśmy jego oczami. W tamtych dniach śnił o nas.›

‹Śnił o was, ale nie dowiedział się, że chcecie pokoju. Nie odkrył, że nie powinien was zabijać.›

‹Nie wiedział, że gra toczy się naprawdę.›

‹Ani że sny są prawdziwe. Był mądry, w pewnym sensie, ale nie nauczył się wątpić we własne zmysły. ›

‹Człowieku› odezwała się Królowa Kopca ‹a gdybym cię nauczyła, jak łączyć się z siecią?›

‹Chcesz pochwycić Endera, kiedy umrze?›

‹Jeśli zdołamy go pochwycić i przenieść do innego ciała, może odkryjemy też, jak pochwycić Jane.›

‹A jeśli się nie uda?›

‹Ender umrze. Jane umrze. My umrzemy, kiedy przybędzie flota. Czym różni się to od drogi, którą podąża każde życie?›

‹Wszystko jest kwestią czasu› stwierdził Człowiek.

‹Spróbujesz włączyć się do sieci? Ty, Korzeniak i inne ojcowskie drzewa?›

‹Nie wiem, co masz na myśli, mówiąc o sieci, ani nawet czy różni się to jakoś od sposobu, w jaki my, ojcowskie drzewa, jesteśmy razem. Pamiętasz może, że jesteśmy też związani z matczynymi drzewami. Nie mogą mówić, ale są pełne życia i zakorzeniamy się w nich równie pewnie, jak robotnice w tobie. Znajdź sposób, żeby wpleść je w swoją sieć, a ojcowskie drzewa dołączą bez trudu.›

‹Zaczniemy dziś w nocy, Człowieku. Spróbuję spleść się z tobą. Powiedz mi, jak to wygląda dla ciebie, a ja postaram się wytłumaczyć, co robię i do czego zmierzam.›

‹Czy nie powinniśmy najpierw poszukać Endera? Żeby nam nie umknął.›

‹Wszystko w swoim czasie› odparła Królowa Kopca. ‹A poza tym nie jestem całkiem pewna, czy wiem, jak go znaleźć, kiedy jest nieprzytomnym›

‹Dlaczego? Kiedyś zsyłałyście mu sny. Spał wtedy›

‹Wtedy miałyśmy pomost.›

‹Może Jane słucha nas teraz.›

‹Nie. Wiedziałabym, czy jest złączona z nami. Została stworzona w takim kształcie, by pasować do nas. Pasować zbyt dobrze, bym jej

nie rozpoznała›

* * *

Plikt stała przy łóżku Endera, ponieważ nie mogła nawet myśleć o tym, żeby usiąść czy odejść. On umrze, nie mówiąc do niej ani słowa. Podążała za nim, zrezygnowała z domu i rodziny, a co jej powiedział? Owszem, pozwalał jej czasem być swoim cieniem. Owszem, w ciągu minionych tygodni i miesięcy była milczącym obserwatorem wielu jego rozmów. Ale kiedy próbowała porozmawiać o sprawach bardziej osobistych, o odległych wspomnieniach, o znaczeniu jego czynów, on kręcił tylko głową i mówił — łagodnie, gdyż był łagodny, ale stanowczo, gdyż nie chciał, by źle go zrozumiała — mówił: „Plikt, nie jestem już nauczycielem".

Właśnie że jesteś, miała ochotę mu odpowiedzieć. Twoje książki udzielają nauk nawet tam, gdzie cię nigdy nie było. Królowa Kopca, Hegemon… A Życie Człowieka chyba już zajmuje miejsce obok nich. Jak możesz twierdzić, że skończyłeś z nauczaniem, kiedy nowe książki czekają na napisanie, umarli czekają, by o nich Mówić? Mówiłeś o śmierci świętych i morderców, obcych, a raz nawet o śmierci całego miasta, pochłoniętego wulkanicznym kataklizmem. Gdzież wśród tych opowieści o innych jest twoja historia, Andrew Wigginie? Jak mogę Mówić o twojej śmierci, jeśli nigdy mi jej nie opowiedziałeś?

A może to twoja ostatnia tajemnica… że nigdy nie wiedziałeś więcej o ludziach, o których śmierci Mówiłeś, niż ja wiem dzisiaj o tobie? Zmuszasz mnie, żebym wymyślała, zgadywała, zastanawiała się i wyobrażała sobie… Czy ty również to robiłeś? Odkryć najpopularniejszą historię, a potem znaleźć alternatywne wyjaśnienie, które innym wyda się sensowne, pełne znaczeń, obdarzone mocą przemieniania, i opowiedzieć je, chociaż także będzie fikcją, nie bardziej prawdziwą od wersji, w którą wszyscy wierzą. Czy to właśnie muszę powiedzieć, kiedy będę Mówić o śmierci Mówcy Umarłych? Jego dar nie polegał na zdolności odkrywania prawdy, ale na jej wymyślaniu. Nie rozwiązywał, nie rozwijał, nie rozplątywał żywotów umarłych, ale je tworzył. I teraz ja tworzę jego. Siostra twierdzi, że umarł, gdyż z absolutną lojalnością próbował podążyć za swoją żoną ku życiu pełnemu pokoju i odosobnienia, za którym tęskniła. Ale właśnie spokój tego życia go zabił, jego aiúa bowiem ścigała te niezwykłe dzieci, które dorosłe wyskoczyły z jego umysłu… A jego dawne ciało, mimo zapewne wielu lat, jakie jeszcze je czekały, zostało odrzucone, ponieważ nie miał czasu, by zwracać na nie uwagę, by

utrzymać je przy życiu.

Nie chciał opuścić swej żony ani zgodzić się, by jego opuściła. I tak zanudził się na śmierć i bardziej ją zranił, pozostając przy niej, niż mógłby ją zranić, pozwalając odejść.

Właśnie tak. Czy to wystarczająco brutalne, Enderze?

Unicestwił królowe kopców dziesiątków światów, pozostawiając tylko jedną ocalałą z wielkiej i starożytnej rasy. Ale też przywrócił ją do życia. Czy uratowanie ostatniej ofiary jest odkupieniem zbrodni wymordowania pozostałych? Nie chciał tego zrobić — to była jego obrona, ale martwi są martwymi, a kiedy życie zostaje zniszczone w swym rozkwicie, czy aiúa powie: „Dziecko, które mnie zabiło, myślało, że to tylko zabawa, zatem moja śmierć znaczy mniej i mniej waży"? Nie, odpowiedziałby sam Ender. Nie, śmierć waży tyle samo i to ja noszę ten ciężar na barkach. Nikt nie ma na rękach więcej krwi ode mnie, dlatego będę brutalnie i szczerze mówił o śmierci tych, którzy odeszli w grzechu, i pokażę, że nawet ich można zrozumieć. Ale mylił się, nie można zrozumieć, żadnego nie zrozumiano, mówienie o umarłych jest skuteczne, ponieważ sami umarli milczą i nie mogą poprawiać naszych błędów. Ender nie żyje i nie może poprawić moich błędów, więc niektórzy z was pomyślą, że ich nie popełniłam, pomyślicie, że mówię prawdę o nim, ale prawda jest taka, że żaden człowiek nie zdoła zrozumieć innego, żadnej prawdy nie można poznać, jedynie historię, o której wyobrażamy sobie, że jest prawdziwa, historię, o której mówią nam, że jest prawdziwa, historię, która — jak wierzą — zawiera prawdę o nich. A wszystkie te historie są kłamstwem.

Plikt stała i desperacko, beznadziejnie ćwiczyła przemowę nad grobem Endera, choć przecież nie spoczął jeszcze w trumnie. Leżał w łóżku, powietrze płynęło przez przejrzystą maskę do jego ust, a roztwór glukozy do żył. Nie był martwy. Milczał tylko.

— Słowo — szepnęła. — Jedno słowo od ciebie.

Wargi Endera drgnęły.

Plikt powinna od razu zawołać pozostałych. Zmęczoną płaczem Novinhę — była w sąsiednim pokoju. I Valentine, jego siostrę. Elę, Olhada, Grega i Quarę, czwórkę adoptowanych dzieci. I jeszcze innych, w pokoju przyjęć i poza nim, czekających, by na Endera spojrzeć, usłyszeć jego słowa, dotknąć ręki. Gdyby mogli tę wieść przekazać do innych światów, jakżeby rozpaczali ci ludzie, którzy pamiętali jego Mowy z trzech tysięcy lat wędrówek z planety na planetę. Gdyby mogli ujawnić jego prawdziwą tożsamość: Mówca Umarłych, autor dwóch — nie, trzech — wielkich ksiąg Mówców, i Ender Wiggin, Ksenobójca, obaj zamknięci w tym jednym kruchym ciele. Jakież fale uderzeniowe wstrząsnęłyby ludzkim wszechświatem!

Rozlałyby się, rozprzestrzeniły, spłaszczyły i zanikły. Jak

wszystkie fale. Jak wszystkie wstrząsy. Notka w historycznych dziełach. Kilka biografii. Pokolenie później kilka biografii rewizjonistycznych. Hasła w encyklopediach. Przypisy w tłumaczeniach jego książek. Oto martwota, w której toną wszystkie wspaniałe żywoty.

Poruszył wargami.

— Peter — wyszeptał.

I znowu umilkł.

Co to za omen? Nadal oddychał, instrumenty działały bez zmian, jego serce wciąż biło. Ale zawołał Petera. Czy znaczy to, że chciałby wieść życie dziecka swego umysłu, młodego Petera? Czy też pogrążony w delirium przemawiał do swojego brata, Hegemona? Czy też wcześniej, do swego brata jako chłopca? Peter, zaczekaj na mnie. Peter, czy słusznie uczyniłem? Peter, nie rób mi krzywdy. Peter, nienawidzę cię. Peter, za jeden twój uśmiech mogę umrzeć albo zabić. Co chciał przekazać? Co Plikt powinna powiedzieć o tym słowie?

Odsunęła się od łoża.

— Przykro mi — oznajmiła cicho, stając w progu pokoju pełnego ludzi, którzy z rzadka tylko słyszeli jej głos, a niektórzy nigdy nie usłyszeli od niej słowa. — Przemówił, zanim zdążyłam kogoś zawołać. Ale może znów się odezwać.

— Co powiedział? — Novinha poderwała się na nogi.

— Wymówił tylko imię, to wszystko. Powiedział: „Peter".

— Wzywa to okropieństwo, które przywiózł z przestrzeni, a nie mnie! — zawołała Novinha. Ale to tylko środki, które podali jej lekarze, to one mówiły, one szlochały.

— Myślę, że wzywa naszego zmarłego brata — odezwała się stara Valentine. — Novinho, chcesz wejść do niego?

— Po co? Nie mnie wzywał. Wołał jego.

— Jest nieprzytomny — poinformowała Plikt.

— Widzisz, mamo? — wtrąciła Ela. — On nikogo nie wzywa, mówi tylko przez sen. Ale to już coś. Coś powiedział. Czy to nie dobry znak?

A jednak Novinha nie zgodziła się wejść. Kiedy otworzył oczy, wokół jego łóżka stali Valentine, Plikt i czwórka adoptowanych dzieci.

— Novinha — powiedział.

— Rozpacza na zewnątrz — wyjaśniła Valentine. — Obawiam się, że napakowana proszkami po uszy.

— Nic nie szkodzi — uspokoił ją Ender. — Co się stało? Domyślam się, że jestem chory.

— Mniej więcej — przyznała Ela. — Raczej „nieuważny", to chyba lepsze określenie przyczyny twojego stanu.

— Chcesz powiedzieć, że miałem jakiś wypadek?

— Chcę powiedzieć, że najwyraźniej zbyt wiele uwagi

poświęcałeś temu, co dzieje się na kilku innych planetach, a w efekcie twoje ciało tutaj znalazło się na krawędzi autodestrukcji. Pod mikroskopem widziałam komórki, leniwie usiłujące odbudowywać wyrwy w błonach. Umierasz po kawałku, wszędzie.

— Przepraszam, że sprawiam tyle kłopotów.

Przez moment zdawało im się, że to wstęp do rozmowy, początek procesu ozdrowienia. Ale powiedziawszy te kilka słów, Ender zamknął oczy i zasnął znowu, instrumenty wskazywały to samo co przedtem, zanim jeszcze powiedział choć słowo.

Cudownie, myślała Plikt. Błagam go o słowo, on mi je daje, a ja wiem jeszcze mniej niż do tej pory. Te kilka chwil przytomności poświęciliśmy na tłumaczenie mu, co się dzieje, zamiast zadać mu pytania, na które może już nigdy nie uzyskamy odpowiedzi. Dlaczego wszyscy głupiejemy, kiedy tłoczymy się na granicy śmierci?

Ale wciąż stała, patrzyła, czekała, inni, pojedynczo i parami, rezygnowali i wychodzili z pokoju. Valentine podeszła do Plikt i położyła jej dłoń na ramieniu.

— Nie możesz tu zostać na zawsze.

— Mogę zostać tak długo jak on.

Valentine spojrzała jej w oczy i chyba zobaczyła coś, co kazało jej zrezygnować z prób przekonywania. Wyszła, a Plikt znowu była sama przy rozpadającym się ciele człowieka, którego życie stało się ośrodkiem jej życia.

* * *

Miro nie wiedział, czy cieszyć się, czy lękać z przemiany, jaka zaszła w młodej Valentine, odkąd poznali prawdziwy cel swoich poszukiwań. Dawniej była cicha, wręcz potulna, teraz nie mogła się powstrzymać, by nie przerywać mu za każdym razem, kiedy się odezwał. Gdy tylko uznawała, że wie, co ma zamiar powiedzieć, zaczynała odpowiadać. A kiedy wskazywał, że tak naprawdę chodziło mu o coś innego, odpowiadała na to, zanim jeszcze zdążył dokończyć. Miro wiedział, że prawdopodobnie jest przeczulony — przez wiele lat miał tak ograniczoną zdolność wymowy, że prawie każdy mu przerywał, więc jeżył się na najmniejszą urazę w tej kwestii. Zresztą nie sądził, żeby tkwiła w tym jakaś złośliwość. Val była podniecona — w każdej chwili przeżywanej na jawie. A zdawało się, że wcale nie sypia, przynajmniej Miro nie widział jej śpiącej. W dodatku nie chciała wracać do domu między jedną planetą a drugą.

— Mamy nieprzekraczalny termin — mówiła. — Lada dzień mogą

wysłać sygnał i odłączyć ansible. Nie ma czasu na zbędny odpoczynek.

Miro chciał zapytać, co znaczy „zbędny". On sam z pewnością potrzebował odpoczynku, ale kiedy to powiedział, machnęła ręką.

— Śpij, jeśli chcesz — rzekła. — Ja cię zastąpię.

Położył się więc, a kiedy wstał, odkrył, że Val i Jane wyeliminowały trzy kolejne planety. Dwie z nich nosiły jednak ślady descoladopodobnego wstrząsu w ostatnim tysiącu lat.

— Zbliżamy się — mówiła Val.

Przekazywała mu najciekawsze dane, póki nie przerywała sobie — była pod tym względem sprawiedliwa i sobie przerywała równie często jak jemu — by zająć się nową planetą.

Teraz, po zaledwie jednym dniu takiego traktowania, Miro praktycznie zrezygnował z mówienia. Val była tak skoncentrowana na pracy, że nie rozmawiała o niczym innym. A na ten temat Miro niewiele miał do powiedzenia. Czasem tylko powtarzał coś za Jane, która przekazywała mu informacje przez klejnot w uchu, zamiast przez pokładowe komputery. Milczenie to dało mu czas do zastanowienia. O to właśnie prosiłem Endera, uświadomił sobie. Ale Ender nie mógł tego dokonać świadomie. Jego aiúa robi, co robi, ze względu na jego najgłębsze potrzeby i pragnienia, nie z powodu racjonalnych decyzji. A zatem nie mógł poświęcić swej uwagi Val, to jej praca stała się tak interesująca, że Ender nie potrafi się skupić na niczym innym.

Ciekawe, pomyślał, czy Jane domyślała się tego wcześniej.

A ponieważ nie bardzo mógł dyskutować o tym z Val, subwokalizował pytanie, żeby usłyszała je Jane.

— Czy wyjawiłaś nam cel misji akurat teraz, żeby Ender skupił swoją uwagę na Val? Czy może zachowałaś go w tajemnicy aż do teraz, żeby Ender o Val zapomniał?

— Nie robię takich planów — odpowiedziała mu do ucha. — Mam ważniejsze sprawy.

— Ale tak przecież dla ciebie lepiej. Ciału Val nie grozi już, że się rozpadnie.

— Nie bądź durniem, Miro. Nikt cię nie lubi, kiedy się zachowujesz jak dureń.

— I tak nikt mnie nie lubi — oświadczył bezgłośnie, lecz z rozbawieniem. — Nie mogłabyś się ukryć w jej ciele, gdyby zmieniło się w stosik pyłu.

— I nie mogę się tam wśliznąć, skoro tkwi w nim Ender, całkowicie pochłonięty tym, co Val robi. Prawda?

— A jest całkiem pochłonięty?

— Najwyraźniej — stwierdziła Jane. — Jego własne ciało się rozsypuje. Jeszcze szybciej niż poprzednio ciało Val. Przez moment Miro nie rozumiał, o co jej chodzi.

— Chcesz powiedzieć, że on umiera?

— Chcę powiedzieć, że Val jest pełna życia.

— Nie kochasz już Endera? — spytał Miro. — Nie zależy ci na nim?

— Jeśli Ender nie dba o własne życie — odparła Jane — to dlaczego ja mam się przejmować? Oboje staramy się jakoś wyprostować tę paskudną sytuację. Mnie to zabija i zabija jego. Ty też niemal zginąłeś, a jeśli zawiedziemy, zginie wiele innych osób.

— Zimna jesteś — zauważył Miro.

— Jestem tylko chmurą impulsów pomiędzy gwiazdami.

— Merda de bode. Skąd taki nastrój?

— Nie mam uczuć. Jestem programem komputerowym.

— Wszyscy wiemy, że masz własną aiúa. Tyle samo duszy, jeśli tak wolisz ją nazywać, ile każdy człowiek.

— Ludzi mających duszę nie da się zgasić przez wyłączenie paru maszyn.

— Daj spokój. Żeby się ciebie pozbyć, muszą równocześnie unieruchomić miliardy komputerów i tysiące ansibli. Moim zdaniem to robi wrażenie. Dla mnie wystarczyłby jeden pocisk. Niewiele brakowało, żeby skasował mnie przerośnięty elektryczny żywopłot.

— Chyba po prostu chciałam umrzeć z jakimiś odgłosami chlupotania, zapachami kuchni albo coś w tym rodzaju — wyznała Jane. — Gdybym tylko miała serce… Czegoś takiego jeszcze ode mnie nie słyszałeś.

— Wychowaliśmy się na klasycznych filmach — odparł. — Pozwalały zapomnieć o domowych nieprzyjemnościach. Masz mózg i masz nerwy. Sądzę, że masz również serce.

— Brakuje mi tylko czerwonych pantofelków. Wiem, że najlepiej w domu, ale nie mogę się tam dostać.

— Bo Ender tak intensywnie wykorzystuje jej ciało?

— Nie zależy mi na ciele Val tak bardzo, jak ci się pewnie wydaje. Ciało Petera też wystarczy. Albo Endera, skoro nie jest mu potrzebne. Nie jestem przecież kobietą. Wybrałam taką tożsamość, żeby się zbliżyć do Endera. Z mężczyzną nie związałby się tak łatwo. Mój problem polega na tym, że jeśli nawet Ender odda mi jedno ze swoich ciał, i tak nie wiem, jak się tam dostać. Nie mam pojęcia, gdzie jest moja aiúa… tak samo jak ty. Czy potrafisz umieścić ją tam, gdzie zechcesz? A gdzie przebywa w tej chwili?

— Królowa Kopca próbuje cię odnaleźć. I odnajdzie. To jej rasa cię stworzyła.

— Tak. Ona, jej córki i ojcowskie drzewa budują coś w rodzaju sieci. Ale to nierealne. Nie można schwytać czegoś, co już jest żywe, i wprowadzić do ciała zajętego przez inną aiúa. To się nie uda. Zginę, ale niech mnie piekło pochłonie, jeśli pozwolę tym draniom, którzy

stworzyli descoladę, przyjść po mojej śmierci i zniszczyć wszystkie inne znane mi świadome rasy. Ludzie wyciągną mi wtyczkę, to prawda, bo wierzą, że jestem obłąkanym programem komputerowym. Ale to nie znaczy, że pozwolę, by ktoś inny wyciągnął wtyczkę ludzkości. Ani królowym kopców. Ani pequeninos. Jeśli mamy ich powstrzymać, musimy tego dokonać, póki jeszcze żyję. A przynajmniej muszę dostarczyć na miejsce ciebie i Val, żebyście wy mogli coś zrobić beze mnie.

— Jeśli będziemy tam, kiedy umrzesz, nigdy już nie wrócimy do domu.

— Pech, co?

— Czyli lecimy z misją samobójczą.

— Życie jest misją samobójczą, Miro. Możesz sprawdzić, to podstawowy kurs filozofii. Przez całe życie zużywasz paliwo, a kiedy się wreszcie skończy, padasz.

— Mówisz jak mama — stwierdził Miro.

— Nie — zaprotestowała Jane. — Przyjmuję to z humorem. Wasza matka uważa, że jej los jest tragiczny.

Miro szykował jakąś ripostę, ale Val przerwała ich rozmowę.

— Nie znoszę, kiedy tak robisz! — krzyknęła.

— Co robię? — zdziwił się Miro. Zastanawiał się, co takiego mówiła, zanim wybuchła.

— Wyłączasz mnie i rozmawiasz z nią.

— Z Jane? Zawsze rozmawiam z Jane.

— Ale kiedyś słuchałeś też, co ja mam do powiedzenia.

— Wiesz, Val, ty też kiedyś mnie słuchałaś, ale to się najwyraźniej zmieniło.

Val poderwała się z fotela i podeszła zagniewana.

— Więc to tak? Kobieta, którą kochałeś, była spokojna, skromna, zawsze ci pozwalała kierować rozmową. A teraz jestem podekscytowana, czuję wreszcie, że jestem naprawdę sobą… I co? Nie takiej kobiety pragnąłeś?

— Nie chodzi o to, że wolę spokojne kobiety…

— Nie, przecież nie mógłbyś się przyznać do czegoś takiego, prawda? Nie, będziesz udawał i udawał…

Miro wstał — nie było to łatwe, kiedy Val stała tak blisko jego fotela — i krzyknął jej prosto w twarz:

— Chodzi o to, żebym mógł czasem dokończyć zdanie!

— A ile moich zdań…

— Oczywiście, wszystko potrafisz odwrócić.

— Chciałeś odebrać mi życie i wpuścić kogoś innego do…

— Ach, więc o to chodzi. Możesz się nie martwić. Jane mówi…

— Jane mówi, Jane mówi! A ty powiedziałeś, że mnie kochasz, ale żadna kobieta nie może konkurować z tą dziwką, która zawsze

tkwi w twoim uchu, podsłuchuje każde słowo i…

— Zachowujesz się jak moja matka! — wrzasnął Miro. — Nossa Senhora, nie wiem, czemu on poszedł za nią do klasztoru. Zawsze tylko jęczała, że Ender kocha Jane bardziej niż ją…

— Ale przynajmniej próbował kochać kobietę bardziej niż przerośnięty kalkulator!

Stali tak twarzą w twarz — czy też prawie, gdyż Miro był nieco wyższy, ale uginał kolana, bo nie mógł całkiem wstać z fotela, Val stała za blisko, a teraz czuł jej oddech na twarzy, czuł ciepło jej ciała i pomyślał: W takiej chwili…

I natychmiast powiedział to głośno, zanim jeszcze do końca uformował tę myśl.

— W takiej chwili, na wszystkich wideo, ludzie, którzy wrzeszczeli na siebie, nagle patrzą sobie w oczy, obejmują się, śmieją z tej kłótni, a potem się całują.

— Tak, ale to nie jest wideo — odparła Val. — Spróbuj mnie dotknąć, a dostaniesz takiego kopniaka, że jądra będzie ci wyciągał kardiochirurg.

Odwróciła się gniewnie i wróciła na miejsce.

Miro także usiadł i odezwał się — tym razem głośno, ale dostatecznie cicho, by Val wiedziała, że nie mówi do niej.

— Jane, na czym przerwaliśmy, kiedy uderzyło tornado? Jane odpowiedziała, wolno sącząc słowa. Miro rozpoznał w tym manieryzm Endera, kiedy był ironicznie delikatny.

— Teraz rozumiesz, dlaczego mogę mieć kłopoty ze zgodą na użycie jakiejkolwiek części jej ciała.

— No tak… Mam ten sam problem — odparł Miro bezgłośnie. Ale zaśmiał się głośno: lekki chichot z pewnością doprowadzi Val do wściekłości. Zesztywniała, lecz nie zareagowała, więc poznał, że mu się udało.

— Nie kłóćcie się — upomniała go łagodnie Jane. — Musicie wspólnie pracować. Może będziecie musieli wykonać tę pracę beze mnie.

— Zauważyłem — odparł Miro — że ty i Val pracowałyście ostatnio beze mnie.

— Val pracowała, ponieważ jest tak pełna… pełna… tego, czego w tej chwili jest pełna.

— Jest pełna Endera.

Val odwróciła się na fotelu.

— Z dwóch kobiet, które kochasz, jedna istnieje tylko wirtualnie w chwilowych połączeniach ansibli, a dusza drugiej jest w rzeczywistości duszą mężczyzny, męża twojej matki. Czy ten fakt nie skłania cię do zastanowienia nad własną tożsamością seksualną, że już nie wspomnę o zdrowiu psychicznym?

— Ender umiera — oświadczył Miro. — Czy może już o tym wiesz?

— Jane wspomniała, że jest trochę nieuważny.

— Umiera — powtórzył Miro.

— Wydaje mi się, że wiele to mówi o naturze mężczyzn. Ty i Ender twierdzicie, że kochacie kobiety z krwi i kości, a jednak nie potraficie im poświęcić rozsądnej części swej uwagi.

— Dysponujesz moją pełną uwagą, Val — zapewnił Miro. — A co do Endera, to nie poświęca uwagi mamie, ponieważ poświęca ją tobie.

— Mojej pracy, chciałeś powiedzieć. Naszemu zadaniu. Nie mnie.

— Wiesz, ty też poświęcasz uwagę wyłącznie temu, z wyjątkiem tej krótkiej przerwy, kiedy na mnie napadłaś, że rozmawiam z Jane i cię nie słucham.

— To prawda — przyznała Val. — Myślisz, że nie zauważyłam, co się ze mną dzieje od wczoraj? Jak nagle nie potrafię się wyciszyć, jak jestem pobudzona, że aż nie mogę zasnąć, jak… Podobno Ender przez cały czas był naprawdę mną, tylko do tej pory zostawiał mnie w spokoju. I dobrze, bo to, co robi teraz, jest przerażające. Czy nie widzisz, że jestem przerażona? To zbyt wiele. Więcej niż zdołam wytrzymać. Nie mogę w sobie pomieścić takiej energii.

— Więc porozmawiaj o tym, zamiast na mnie wrzeszczeć.

— Nie słuchałeś. Próbowałam, a ty subwokalizowałeś do Jane i całkiem mnie wyłączyłeś.

— Bo miałem już dość tego nieskończonego ciągu danych i analiz, których podsumowanie mogłem równie dobrze znaleźć w komputerze. Skąd miałem wiedzieć, że przerwiesz swój monolog i zaczniesz rozmawiać o czymś normalnym?

— Wszystko mnie teraz przerasta, a ja nie mam doświadczenia. Czyżbyś zapomniał? Jestem żywa od niedawna. Wielu rzeczy nie wiem. Bardzo wielu. Na przykład nie mam pojęcia, dlaczego tak się tobą przejmuję. A przecież to ty chcesz mnie usunąć ze stanowiska gospodarza tego ciała. To ty mnie nie słuchasz i próbujesz mną rządzić. Nie chcę tego, Miro. W tej chwili naprawdę potrzebuję przyjaciela.

— Ja też…

— Ale ja nie wiem, jak się do tego zabrać.

— Za to ja wiem doskonale — stwierdził Miro. — Tyle że kiedy spróbowałem, zakochałem się, po czym ona okazała się moją przyrodnią siostrą, ponieważ jej ojciec był potajemnym kochankiem mojej matki, a człowiek, którego uważałem za ojca, okazał się bezpłodny, gdyż umierał na jakąś rozkładającą ciało chorobę. Sama rozumiesz, że mam powody się wahać.

— Valentine była twoim przyjacielem. Nadal jest.

— To fakt — przyznał. — Miałem dwoje przyjaciół.

— Nie zapominaj o Enderze — podpowiedziała Val.

— To troje. I moja siostra Ela, to czworo. Człowiek też był moim przyjacielem. To już piątka.

— Widzisz? Masz chyba dostateczne kwalifikacje, żeby mnie nauczyć, jak mieć przyjaciela.

— Aby zdobyć przyjaciela — oświadczył Miro, naśladując ton matki — sama musisz nim być.

— Miro — szepnęła Val. — Boję się.

— Czego?

— Świata, którego szukamy. Tego, co tam znajdziemy. Tego, co się ze mną stanie, kiedy umrze Ender. Albo kiedy Jane stanie się… bo ja wiem, moim wewnętrznym światłem, moim lalkarzem.

— A jeśli obiecam, że będę cię lubił choćby nie wiem co?

— Nie możesz składać takich obietnic.

— No dobrze. Jeśli obudzę się i zobaczę, że mnie dusisz albo dławisz poduszką, wtedy przestanę cię lubić.

— A co z topieniem?

— Nie, nie umiem otwierać oczu pod wodą. Nie odkryję, że to ty.

Oboje parsknęli śmiechem.

— W takiej chwili na wideo — rzekła Val — bohater i bohaterka śmieją się, a potem się obejmują. Głos Jane przerwał im z obu terminali.

— Przepraszam, że zakłócam czuły nastrój, ale mamy tu nowy świat. Między powierzchnią planety a orbitującymi wokół niej sztucznymi obiektami przesyłane są impulsy elektromagnetyczne.

Oboje natychmiast spojrzeli na monitory, na strumienie danych przekazywane przez Jane.

— To nie wymaga szczegółowej analizy — uznała Val. — Ten świat aż kipi od techniki. Jeśli to nie planeta descolady, założę się, że tu się dowiemy, gdzie ona jest.

— Niepokoi mnie tylko, czy nas już wykryli i co w związku z tym zamierzają. Jeśli dysponują techniką pozwalającą wysyłać obiekty w kosmos, to może mają i taką, która pozwala je w kosmosie zestrzeliwać.

— Obserwuję przestrzeń i uważam na zbliżające się ciała — uspokoiła go Jane.

— Sprawdźmy, czy te fale e-m przenoszą cokolwiek przypominającego język — zaproponowała Val.

— Strumienie danych — odpowiedziała Jane. — Analizuję je pod kątem poszukiwania wzorców binarnych. Ale wiecie, że de-kodowanie skomputeryzowanego języka wymaga trzech lub czterech poziomów obróbki zamiast normalnych dwóch. I nie jest łatwe.

— Sądziłem, że binarny jest prostszy od języków mówionych — zdziwił się Miro.

— Jest, jeśli to program i dane numeryczne — zgodziła się Jane. — Ale jeśli to digitalizowane obrazy? Jak długa jest linia rastra? Jaką część transmisji stanowi nagłówek? A jaką dane korekcji błędów? Ile z tego jest binarną reprezentacją graficznej reprezentacji języka mówionego? A jeśli wszystko jest dodatkowo zaszyfrowane, żeby uniknąć przechwycenia? Nie mam pojęcia, jaka maszyna wysyła ten kod i jaka go odbiera. Dlatego, choć wykorzystuję prawie całą swoją moc, mam ciężki problem… Poza tym…

Nad terminalem pojawił się diagram.

— Myślę, że to reprezentacja molekuły genetycznej.

— Molekuły genetycznej?

— Podobnej do descolady — wyjaśniła Jane. — To znaczy podobnej na sposób, w jaki różni się od ziemskich i typowych dla Lusitanii molekuł genetycznych. Jak myślicie, czy to sensowny odczyt czegoś takiego?

W powietrzu nad terminalami błysnęła masa dwójkowych cyfr. Po chwili zmieniły się w notację heksadecymalną. Potem w rastrowy obraz, który przypominał raczej zakłócenia sygnału niż jakikolwiek sensowny wizerunek.

— W ten sposób skanowanie nie wychodzi. Ale jako zestaw instrukcji wektorowych, sygnał konsekwentnie daje mi taki rezultat…

Na ekranie pojawiały się kolejne molekuły.

— Po co ktoś miałby transmitować informacje genetyczne? — zdziwiła się Val.

— Może to rodzaj języka? — zgadywał Miro.

— Kto mógłby odczytać taki język?

— Może ci, którzy potrafili stworzyć descoladę.

— Myślisz, że rozmawiają manipulacjami genetycznymi?

— Może wyczuwają geny. Tyle że z nieprawdopodobną czułością. Subtelności, odcienie znaczeń… Kiedy wysłali statki w kosmos, musieli jakoś się z nimi porozumiewać. Więc posyłają obrazy, a tamci z obrazów rekonstruują wiadomości i, hm… wąchają je.

— To najgłupsze wyjaśnienie, jakie słyszałam — stwierdziła Val.

— No cóż — mruknął Miro. — Jak sama powiedziałaś, jesteś żywa od niedawna. Na świecie jest wiele głupich wyjaśnień i nie sądzę, żebym akurat tym pobił rekord.

— Przypuszczam, że dokonują jakiegoś eksperymentu i przesyłają dane tam i z powrotem — uznała Val. — Chyba nie wszystkie komunikaty przekładają się na diagramy. Prawda, Jane?

— Przepraszam, jeśli zasugerowałam coś takiego. To była tylko niewielka klasa impulsów, które potrafiłam w jakiś sensowny sposób rozszyfrować. Są jeszcze takie… Wydają się raczej analogowe niż cyfrowe i gdybym przerobiła je na dźwięk, brzmiałyby tak…

Komputery wyemitowały serię zgrzytliwych trzasków i jęków.

— A gdybym przełożyła je na rozbłyski światła, wyglądałyby tak…

Nad terminalami zatańczyły iskry, pulsujące i z pozoru losowo zmieniające barwy.

— Kto może wiedzieć, jak wygląda albo jak brzmi język obcych — zakończyła Jane.

— Widzę, że nie będzie to łatwe — stwierdził Miro.

— Ale nieźle znają się na matematyce — dodała Jane. — Matematykę łatwo wyłapać i dostrzegłam już przebłyski sugerujące, że operują na wysokim poziomie.

— Jedno pytanie, Jane. Z ciekawości. Gdyby nie było cię z nami, ile czasu zabrałaby nam analiza danych i otrzymanie wyników, jakie zdążyłaś już osiągnąć? Gdybyśmy wykorzystywali tylko komputery statku?

— Gdybyście musieli programować je dla każdego…

— Nie, nie. Zakładając, że mają dobry software.

— Mniej więcej do siedmiu ludzkich pokoleń — oświadczyła Jane.

— Siedmiu pokoleń?

— Oczywiście, nie próbowaliby tego dokonać z dwójką dyletantów i dwoma komputerami bez żadnego sensownego oprogramowania. Posadziliby setki ludzi, a wtedy zajęłoby to kilka lat.

— A ty spodziewasz się, że będziemy kontynuować tę pracę, kiedy już wyciągną ci wtyczkę?

— Mam nadzieję, że zanim mnie wykasują, zdążę rozwiązać problem tłumaczenia.

* * *

Grace Drinker była zbyt zajęta, żeby zobaczyć się z Wang-mu i Peterem. Właściwie to zobaczyła ich, przebiegając z pokoju do pokoju w swej chacie z mat i patyków. Nawet im pomachała. A jej syn spokojnie powtarzał, że jest chwilowo nieobecna, ale powinna wrócić, jeśli tylko mają ochotę zaczekać… a skoro już czekają, może zjedzą z rodziną obiad? Trudno nawet się rozzłościć, skoro kłamstwo jest tak oczywiste, a gościnność tak serdeczna.

Obiad trwał długo i tłumaczył, dlaczego Samoańczycy są zwykle tak wielcy we wszystkich kierunkach. Musieli wyewoluować do takich rozmiarów, gdyż mali Samoańczycy z pewnością eksplodowali po śniadaniu i nigdy nie jedli obiadów. Owoce, ryby, taro, słodkie ziemniaki, znowu ryby, jeszcze owoce… Peter i Wang-mu sądzili, że w

hotelu dobrze ich karmią, ale teraz zrozumieli, że szef kuchni był drugorzędnym kuchcikiem. Hotelowych posiłków nie dało się nawet porównać do tego, co działo się w domu Grace Drinker.

Jej mąż był jowialnym mężczyzną o zadziwiającym apetycie. Śmiał się, kiedy tylko nie jadł i nie mówił, a czasem nawet wtedy. Wyraźnie bawiło go tłumaczenie gościom, co oznaczają rozmaite nazwy.

— A imię mojej żony naprawdę znaczy „Opiekunka Pijaków".

— Wcale nie — zaprotestował jego syn. — Znaczy „Ustawiająca Rzeczy we Właściwym Porządku".

— Dla pijaków! — krzyknął ojciec.

— Nazwisko nie ma nic wspólnego z imieniem. — Syn najwyraźniej zaczynał się irytować. — Nie we wszystkim trzeba się doszukiwać głębokich znaczeń.

— Dzieci łatwo wprawić w zakłopotanie — stwierdził ojciec.

— Zawstydzić. Muszą robić dobrą minę do każdej gry. A święta wyspa… Jej nazwa brzmi naprawdę 'Ata Atua, co znaczy „Śmiej się, Boże".

— Wtedy wymawiałoby się ją 'Atatua, a nie Atatua — wtrącił znowu syn. — „Cień Boga". Tyle naprawdę znaczy nazwa, jeśli w ogóle znaczy coś innego niż „święta wyspa".

— Mój syn jest zbyt dosłowny — wyjaśnił ojciec. — Wszystko traktuje poważnie. Nie usłyszy żartu, choćby Bóg wykrzyczał mu go do ucha.

— To ty zawsze wykrzykujesz mi żarty do ucha, ojcze. — Syn uśmiechnął się. — Jak mógłbym usłyszeć żarty Boga? Ale teraz ojciec się nie roześmiał.

— Mój syn ma drewniane ucho na humor. Myślał, że to był żart.

Wang-mu zerknęła na Petera, który uśmiechał się, jakby rozumiał, co ich tak bawi. Zastanowiła się, czy w ogóle zauważył, że nikt nie przedstawił im mężczyzn inaczej, niż określając ich pokrewieństwo z Grace Drinker. Czyżby nie mieli imion?

Zresztą to nieważne. Jedzenie jest dobre, a nawet jeśli się nie rozumie dowcipu Samoańczyków, ich śmiech i wesołość są tak zaraźliwe, że nie sposób nie czuć się dobrze w tym towarzystwie.

— Czy sądzicie, że zjedliśmy już dosyć? — zapytał ojciec, kiedy jego córka wniosła ostatnie danie z ryby: duże morskie stworzenie o różowym mięsie, pokrytym czymś błyszczącym. Wang-mu pomyślała, że to lukier, ale kto by tak traktował rybę?

Dzieci odpowiedziały natychmiast, jakby był to rodzinny rytuał:

— Ua lava!

Nazwa kierunku filozoficznego? Czy samoański slang, oznaczający „już dosyć"? A może jedno i drugie?

Dopiero kiedy ostatnie danie było w połowie zjedzone, weszła

sama Grace Drinker. Nie przepraszała, że nie odezwała się, mijając ich dwie godziny temu.

Podmuch wiatru od morza chłodził pokój o przewiewnych ścianach, a na zewnątrz lekki deszcz padał i ustawał na przemian, gdy słońce bezskutecznie usiłowało zanurzyć się w wodę na zachodzie. Grace zasiadła przy niskim stole między Peterem a Wang-mu, którzy sądzili, że siedzą obok siebie i nie ma tam miejsca na jeszcze jedną osobę. Zwłaszcza na osobę o tak pokaźnych gabarytach jak Grace Drinker. Ale jakoś znalazło się miejsce, jeśli nie kiedy zaczynała siadać, to z pewnością kiedy już zakończyła tę czynność. I gdy dobiegły końca powitania, zdołała dokonać tego, co nie udało się rodzinie: skończyła ostatnie danie, a potem oblizała palce. I śmiała się szaleńczo z każdego żartu męża.

A potem nagle nachyliła się do Wang-mu i spoważniała.

— No dobrze, Chinko… Jakie bzdury mi opowiesz? — spytała.

— Bzdury? — zdziwiła się Wang-mu.

— Czy to znaczy, że muszę uzyskać zeznanie od białego chłopca? Wiesz przecież, że uczą ich kłamstwa. Jeśli jesteś biała, nie pozwolą ci osiągnąć dojrzałości, póki nie opanujesz sztuki udawania, mówienia jednego, gdy w istocie chcesz powiedzieć drugie.

Peter był wzburzony.

I nagle cała rodzina wybuchnęła śmiechem.

— Niegościnność! — wykrzyknął mąż Grace. — Widziałaś ich miny? Myśleli, że mówisz poważnie.

— Bo mówię poważnie — odparła Grace. — Oboje zamierzaliście mnie okłamać. Wczoraj przylecieliście? Statkiem z Moskwy?

I nagle wyrzuciła z siebie strumień słów w całkiem przekonującym rosyjskim, być może w dialekcie używanym na Moskwie.

Wang-mu nie wiedziała, jak zareagować. Na szczęście nie musiała. Peter miał w uchu łącze z Jane i odpowiedział natychmiast.

— Liczę na to, że wykorzystam pracę na Pacifice, żeby nauczyć się samoańskiego. Nie osiągnę tego, paplając po rosyjsku, choćbyś próbowała mnie sprowokować okrutnymi aluzjami do miłosnych zwyczajów i braku urody moich rodaków.

Grace roześmiała się.

— Widzisz, Chinko? Kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa. A z jaką wyniosłością je wypowiada. Oczywiście, ma klejnot w uchu do pomocy. Powiedzcie prawdę: żadne z was nie zna ani słówka po rosyjsku.

Peter sposępniał i wyglądał, jakby nagle źle się poczuł. Wang-mu wybawiła go z nieszczęścia, choć ryzykowała, że go tym rozzłości.

— Naturalnie, że to kłamstwo — przyznała. — Prawda jest po prostu zbyt niewiarygodna.

— Prawda jest jedyną rzeczą godną wiary. Zgodzisz się chyba? — spytał syn Grace.

— Jeśli można ją poznać. Ale jeśli nie uwierzycie w prawdę, ktoś musi wam pomóc znaleźć rozsądne kłamstwo.

— Sama potrafię je wymyślić — odparła Grace. — Przedwczoraj biały chłopak i chińska dziewczyna odwiedzili mojego przyjaciela Aimainę Hikariego na planecie odległej co najmniej o dwadzieścia lat drogi. Powiedzieli mu rzeczy, które zburzyły jego równowagę i z trudem może teraz normalnie pracować. Dzisiaj biały chłopak i chińska dziewczyna, głoszący inne kłamstwa niż te, które powtarzali jego goście, ale i tak kłamiący aż się kurzy, przychodzą do mnie. I chcą mojej pomocy lub rady, żeby spotkać się z Malu.

— Malu znaczy „być spokojnym” — wtrącił wesoło mąż Grace.

— Jeszcze nie usnąłeś? — spytała. — Nie byłeś głodny? Nie najadłeś się?

— Jestem pełny, ale zafascynowany. No dalej, rozpracuj ich.

— Chcę wiedzieć, kim jesteście i jak się tu dostaliście — oświadczyła Grace.

— Trudno będzie to wyjaśnić — rzekł Peter.

— Mamy przed sobą minuty i minuty. Miliony minut. To wy sprawiacie wrażenie, że macie ich tylko kilka. Tak się spieszycie, że w ciągu nocy przeskakujecie otchłań między gwiazdami. Trudno w to uwierzyć, naturalnie, jako że prędkość światła jest podobno nieprzekraczalną barierą. Ale równie trudno jest nie uwierzyć, że jesteście tymi samymi ludźmi, których mój przyjaciel widział na planecie Boskiego Wiatru. Czyli wracamy do punktu wyjścia. Przypuśćmy jednak, że potraficie podróżować szybciej niż światło. Co nam to mówi o miejscu, skąd przybywacie? Aimaina przyjął za pewnik, że przysłali was do niego bogowie, a konkretnie jego przodkowie. Może mieć rację, leży bowiem w naturze bogów nieprzewidywalność i podejmowanie z nagła działań, jakich nie podejmowali nigdy przedtem. Ja jednak uważam, że racjonalne wyjaśnienia zawsze są bardziej skuteczne, zwłaszcza w pracach, jakie mam nadzieję opublikować. Można więc racjonalnie stwierdzić, że przybywacie ze zwykłego świata, a nie z jakiejś niebiańskiej Nibylandii. A że umiecie przeskoczyć ze świata do świata w jednej chwili, czy też w ciągu jednego dnia, możecie przybywać skądkolwiek. Jednak moja rodzina i ja sądzimy, że przybyliście z Lusitanii.

— Ja nie — wtrąciła Wang-mu.

— Ja pochodzę z Ziemi — dodał Peter. — A właściwie zewsząd lub znikąd.

— Aimaina sądzi, że przyszliście z Zewnątrz — podjęła Grace i przez moment Wang-mu zdawało się, że kobieta odgadła, w jaki sposób zaistniał Peter. Ale zaraz uświadomiła sobie, że określenie

Grace miało znaczenie teologiczne, nie dosłowne.

— Z krainy bogów. Ale Malu twierdzi, że nigdy was tam nie widział, a jeśli widział, to nie poznał, że to wy. Problem zatem pozostaje. Kłamiecie na każdy temat, więc jaki jest sens w zadawaniu wam pytań?

— Powiedziałam prawdę — zaprotestowała Wang-mu. — Pochodzę z Drogi. A korzenie Petera, choć można je przeprowadzić do każdej planety, tkwią na Ziemi. Za to pojazd, którym tu przybyliśmy… tak, on pochodzi z Lusitanii.

Peter zbladł. Wiedziała, co sobie myśli: dlaczego od razu nie założyć sobie pętli na szyję i nie wręczyć im końca sznura? Ale Wang-mu musiała polegać na własnych sądach, a według nich ze strony Grace Drinker i jej rodziny nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Przecież gdyby chciała wydać ich władzom, już by to zrobiła.

Grace spojrzała Wang-mu w oczy i milczała przez chwilę.

— Dobra ryba, prawda? — rzuciła wreszcie.

— Zastanawiałam się, co to za glazura. Był w niej cukier?

— Miód, kilka ziół i trochę świńskiego tłuszczu. Mam nadzieję, że nie jesteś rzadkim połączeniem Chinki i żydówki czy muzułmanki. Gdyby tak, to jesteś teraz rytualnie nieczysta. Byłoby mi przykro z tego powodu. Oczyszczenie się jest bardzo kłopotliwe, tak mi mówiono. W naszej kulturze jest przykre z całą pewnością.

Peter, uspokojony obojętnością Grace wobec ich cudownego statku, spróbował wrócić do tematu.

— Czy zatem pozwolisz nam spotkać się z Malu?

— Malu decyduje, kto zobaczy Malu. Mówi, że to wy zdecydujecie, ale po prostu jest enigmatyczny.

— Gnomiczny — mruknęła Wang-mu. Peter skrzywił się.

— Nie, przynajmniej nie w takim sensie, że mówi niezrozumiale — stwierdziła Grace Drinker. — Malu zawsze chce się wyrażać absolutnie jasno, a sprawy ducha nie są dla niego mistyczne, są zwykłym elementem życia. Ja nigdy naprawdę nie spacerowałam z umarłymi, nie słuchałam herosów śpiewających własne pieśni ani nie miałam wizji stworzenia. Ale nie wątpię, że Malu to przeżył.

— Myślałem, że jesteś naukowcem — wtrącił Peter.

— Jeśli chcesz porozmawiać z uczoną Grace Drinker, przeczytaj moje prace i przyjdź na wykłady. Myślałam, że chcesz rozmawiać ze mną.

— Chcemy — zapewniła szybko Wang-mu. — Peter się spieszy. Mamy kilka nieprzekraczalnych terminów.

— Jeden z nich, jak przypuszczam, wiąże się z Flotą Lusitańską. Ale nie jest tak pilny jak ten drugi, termin wyłączenia sieci komputerowych.

Peter zesztywniał.

— Wydano już rozkaz?

— Och, wydano go parę tygodni temu. — Grace zdziwiła się wyraźnie. — Ojej, biedaku, nie chodzi mi o ostatnie polecenie. Mówiłam o instrukcjach dotyczących przygotowań. Z pewnością wiesz o nich.

Peter skinął głową i odprężył się. Wciąż był posępny.

— Wydaje mi się, że chcecie porozmawiać z Malu, zanim zablokują łącza ansibli. Chociaż dlaczego to takie ważne? — zastanawiała się głośno. — W końcu, jeśli potraficie latać szybciej niż światło, możecie sami dotrzeć na miejsce i przekazać wiadomość. Chyba że…

— Muszą przekazać wiadomość wielu różnym światom — podpowiedział jej syn.

— Albo wielu różnym bogom! — wykrzyknął ojciec i zaśmiał się głośno, choć Wang-mu ten żart wydał się dość marny.

— Albo… — dodała córka, która leżała teraz obok stołu i trawiła gigantyczny obiad; od czasu do czasu odbijało jej się głośno — albo potrzebują łącz ansiblowych, żeby wykonać tę sztuczkę z lotem szybszym niż światło.

— Albo… — Grace spojrzała na Petera, który odruchowo dotknął klejnotu w uchu — jesteś połączony z tym wirusem, którego mamy wyeliminować przez równoczesne wyłączenie wszystkich komputerów, i to właśnie wiąże się jakoś z waszymi lotami szybszymi niż światło.

— To nie wirus — oburzyła się Wang-mu. — To osoba. Żywa świadomość. A wy chcecie pomóc Kongresowi ją zabić, chociaż jest jedyna w swoim rodzaju i nigdy nikogo nie skrzywdziła.

— Denerwują się, kiedy coś… ktoś, jeśli wolisz… sprawia, że znika cała flota.

— Flota wciąż tam jest.

— Nie kłóćmy się — uspokoiła ją Grace. — Powiedzmy po prostu, że teraz, kiedy przekonałam się, że chcecie powiedzieć prawdę, może Malu zechce poświęcić nieco czasu i pozwolić wam jej wysłuchać.

— On zna prawdę? — spytał Peter.

— Nie. Ale wie, gdzie się kryje. Czasem może na nią zerknąć i opowiedzieć nam, co zobaczył. Sądzę, że to i tak całkiem nieźle.

— I możemy się z nim spotkać?

— Musielibyście oczyszczać się przez tydzień, zanim pozwolono by wam postawić stopę na Atatua…

— Nieczyste stopy łaskoczą bogów! — wykrzyknął mąż i ryknął grzmiącym śmiechem.

— Dlatego nazwali ją Wyspą Śmiejącego Boga!

Peter, zakłopotany, poprawił się na siedzeniu.

— Nie podobają wam się żarty mojego męża? — spytała Grace.

— Nie. Sądzę… To znaczy nie są… Nie rozumiem ich po prostu.

— Bo nie są szczególnie zabawne. Ale mój mąż szczerze postanowił, że będzie się śmiał przez całe to spotkanie, by nie rozgniewać się i nie zabić was gołymi rękami.

Wang-mu syknęła, gdyż natychmiast zrozumiała, że to prawda. Cały czas podświadomie wyczuwała gniew wrzący pod wesołością mężczyzny. A kiedy spojrzała na jego stwardniałe, masywne dłonie, wiedziała, że mógłby rzeczywiście rozerwać ją na kawałki i nawet by się nie spocił.

— Dlaczego grozisz nam śmiercią? — spytał Peter bardziej wojowniczo, niż Wang-mu by sobie życzyła.

— Wręcz przeciwnie — odparła Grace. — Mówię przecież, że mąż postanowił, by gniew na waszą zuchwałość i bluźnierstwa nie kierował jego zachowaniem. Próbowaliście popłynąć na Atatua, nie zadając sobie nawet trudu sprawdzenia, że stawiając stopę na brzegu, nie oczyszczeni i nie proszeni, okrylibyście hańbą i zbrukali nasz naród na sto pokoleń. Sądzę, że dobrze nad sobą panuje, skoro nie złożył klątwy krwi przeciwko wam.

— Nie wiedzieliśmy — szepnęła Wang-mu.

— On wiedział — rzekła Grace. — Ponieważ ma wszystkosłyszące ucho.

Peter poczerwieniał.

— Słyszę to, co ona mi mówi — wyjaśnił. — Ale nie mogę usłyszeć tego, o czym nie zechce wspomnieć.

— A zatem… kieruje wami. Aimaina ma rację, rzeczywiście służycie istocie wyższej. Z własnej woli? Czy pod przymusem?

— Głupie pytanie, mamo — odezwała się córka i czknęła. — Jeśli ich zmusza, to przecież nie mogą tego zdradzić.

— Ludzie zdradzają wiele również tym, czego nie mówią — odpowiedziała Grace.

— Wiedziałabyś o tym, gdybyś usiadła i spojrzała w inteligentne twarze tych kłamliwych gości z innych światów.

— Nie jest istotą wyższą — zaprotestowała Wang-mu. — Nie w tym znaczeniu, o jakie ci chodzi. Choć istotnie ma sporą władzę i wie o wielu rzeczach. Ale nie jest wszechmocna ani nic w tym rodzaju, nie wie wszystkiego i czasem się nawet myli. Nie mam pewności, czy zawsze jest dobra, więc tak naprawdę nie można jej nazwać bogiem. Nie jest doskonała. Grace pokręciła głową.

— Nie mówiłam o jakimś platońskim bóstwie, jakiejś eterycznej perfekcji, której nikt nie zdoła pojąć, można jedynie zbliżać się do niej. Nie o jakiejś nicejskiej istocie paradoksalnej, której istnienie jest wiecznie w sprzeczności w jej nieistnieniem. Wasza istota wyższa, ten klejnotowy przyjaciel, którego twój kolega nosi w uchu jak pasożyta… chociaż kto z kogo wysysa życie?… może z pewnością być bogiem w

takim sensie, w jakim używają tego słowa Samoańczycy. A wy możecie być jej bohaterami i sługami. A nawet jej inkarnacją.

— Przecież jesteś uczoną! — zawołała Wang-mu. — Jak i mój pan, Han Fei-tzu, który odkrył, że to, co nazywaliśmy bogami, jest w rzeczywistości genetycznie indukowanym zespołem obsesji, interpretowanym w taki sposób, by utrzymać nas w posłuszeństwie…

— Z faktu, że twoi bogowie nie istnieli — odparła Grace — nie wynika jeszcze, że nie istnieją moi.

— Musiała zdeptać całe hektary martwych bóstw, żeby się tu dostać! — wykrzyknął mąż Grace i zaniósł się śmiechem. Tyle że teraz Wang-mu wiedziała, co to oznacza, i ta wesołość przejęła ją lękiem.

Ciężką, potężną ręką Grace objęła jej szczupłe ramiona.

— Nie martw się — powiedziała. — Mój mąż jest człowiekiem cywilizowanym. Nigdy nikogo nie zabił.

— Ale nie dlatego że nie próbowałem! — huknął mężczyzna. — Nie, to był żart.

Niemal przewrócił się ze śmiechu.

— Nie możecie popłynąć do Malu — wyjaśniła Grace. — Musielibyśmy poddać was oczyszczeniu, a nie sądzę, żebyście byli gotowi do złożenia niezbędnych obietnic. Tym bardziej nie wierzę, że moglibyście je złożyć i naprawdę zamierzali dotrzymać. A te przyrzeczenia muszą być dotrzymane. Dlatego Malu przybędzie tutaj. Płynie już na tę wyspę łodzią wiosłową. Nie wykorzystuje silników, więc chcę, żebyście dokładnie wiedzieli, jak wielu ludzi przez długie godziny oblewa się potem przy wiosłach tylko po to, byście mogli z nim pogawędzić. Jedno chcę jeszcze podkreślić. Spotkał was niezwykły zaszczyt, więc nie próbujcie przy Malu zadzierać nosa i słuchać go z akademicką czy naukową wyższością. Poznałam już wielu sławnych ludzi, niektórzy byli nawet dość inteligentni, ale to najmądrzejszy człowiek, jakiego możecie spotkać. Jeśli, słuchając go, zaczniecie się nudzić, nie zapominajcie o jednym: Malu nie jest głupi i nie wierzy, by można oddzielić fakty od kontekstu tak, że zachowują swoją prawdziwość. Dlatego wszystko, co mówi, stawia w pełnym kontekście. Gdyby znaczyło to, że musicie wysłuchać całej historii ludzkości, zanim powie cokolwiek, co uznacie za istotne… No cóż, sugeruję, żebyście siedzieli cicho i słuchali. Zwykle najlepsze jego stwierdzenia są przypadkowe i nie związane z tematem. Macie szczęście, jeśli wystarczy wam rozsądku, żeby je dostrzec. Czy wyrażam się jasno?

Wang-mu z całego serca żałowała, że tak dużo zjadła. Czuła mdłości ze strachu, a gdyby teraz zaczęła wymiotować, z pewnością trwałoby to z pół godziny.

Peter jednak zachował spokój. Kiwnął głową.

— Nie rozumieliśmy, Grace, choć moja partnerka czytała niektóre

z twoich prac. Sądziliśmy, że przybyliśmy tu porozmawiać z filozofem, jak Aimaina, albo z uczonym, jak ty. Teraz widzę, że przybyliśmy wysłuchać człowieka wielkiej mądrości, którego wiedza sięga w dziedziny, o jakich nie śniliśmy nawet. Wysłuchamy go w milczeniu, póki nie pozwoli nam pytać. Ufamy, że lepiej od nas samych wie, co naprawdę powinniśmy usłyszeć.

Wang-mu od razu zrozumiała, że to całkowita kapitulacja. Z radością spostrzegła, że wszyscy obecni przy stole z satysfakcją kiwają głowami i nikt nie czuje się zmuszony do opowiedzenia żartu.

— Jesteśmy też wdzięczni — dodała — że świątobliwy mąż tak wiele poświęcił wraz z innymi, by przybyć osobiście i pobłogosławić nas mądrością, której nie jesteśmy godni.

Ku jej przerażeniu Grace, zamiast pokiwać głową, roześmiała się głośno.

— Przegięłaś — mruknął Peter.

— Nie krytykuj jej — poprosiła Grace. — Jest Chinką. Z Drogi, tak? I założę się, że byłaś sługą. Skąd mogłaś się nauczyć odróżniać szacunek od uniżoności? Panom nigdy nie wystarcza zwykły szacunek ich sług.

— Mojemu panu wystarczał — zapewniła Wang-mu, starając się bronić Han Fei-tzu.

— Mojemu również wystarcza. Jak zobaczycie sami, kiedy już go spotkacie.

* * *

— Czas dobiegł końca — oznajmiła Jane.

Miro i Val odwrócili zaczerwienione oczy od danych, które studiowali na komputerze Mira. W powietrzu nad terminalem Val unosiła się wirtualna twarz Jane.

— Byliśmy biernymi obserwatorami tak długo, jak długo nam na to pozwalali — wyjaśniła. — Teraz trzy pojazdy przebijają górne warstwy atmosfery i zmierzają w naszą stronę. Nie sądzę, żeby któryś z nich był po prostu zdalnie sterowanym pociskiem, ale nie mam pewności. Wydaje się, że wysyłają do nas jakieś transmisje: ten sam powtarzany w kółko przekaz.

— Jaki przekaz?

— Znowu molekułę genetyczną. Mogę wam pokazać kompozycję jej składowych, ale nie mam pojęcia, co mogą oznaczać.

— Kiedy ich statki do nas dotrą?

— Mniej więcej za trzy minuty. Zygzakują intensywnie od chwili

wyjścia ze studni grawitacyjnej. Miro pokiwał głową.

— Moja siostra Quara była przekonana, że spora część wirusa descolady zawiera dane językowe. Możemy chyba już uznać, że miała rację. Wirus rzeczywiście niesie jakąś wiadomość. Myliła się jednak co do jego inteligencji. Sądzę, że descolada dokonywała ciągłej rekompozycji tych fragmentów swojego kodu, które tworzyły raport.

— Raport… — powtórzyła Val. — To ma sens. Żeby zawiadomić twórców, co zrobiła ze światem, który… badała.

— Pytanie zatem brzmi: czy przeskoczymy natychmiast i pozwolimy im zastanawiać się nad naszym cudownym pojawieniem i zniknięciem? Czy też niech najpierw Jane przekaże im pełny, hm… tekst wirusa?

— Ryzykowne. Przekaz może zdradzić tej rasie wszystko, co chcą wiedzieć o ludzkich genach. W końcu jesteśmy jednym z gatunków, na jakie oddziaływała descolada. Wiadomość ujawni nasze strategie walki z wirusem.

— Z wyjątkiem ostatniej — poprawił ją Miro. — Ponieważ Jane nie prześle im descolady takiej, jaka istnieje teraz, całkowicie opanowanej i oswojonej. To byłoby zwykłym zaproszeniem do przebudowy wirusa albo wyminięcia wprowadzonych przez nas barier.

— Nie prześlemy im wiadomości i nie wrócimy na Lusitanię — wtrąciła Jane. — Nie mamy czasu.

— Nie mamy czasu, żeby nie wracać — odparł Miro. — Choćbyś uważała tę sprawę za bardzo pilną, nic nikomu nie przyjdzie ze mnie i z Val, tkwiących tutaj bez żadnej pomocy. Ela na przykład rozumie, co się dzieje w tych wirusach. I Quara, mimo że jest drugą w kolejności najbardziej upartą osobą we wszechświecie… Val, nie dopraszaj się pochlebstw pytając, kto jest pierwszą. Quara przydałaby się tutaj.

— Bądźmy uczciwi — dodała Val. — To spotkanie z kolejną rozumną rasą. Dlaczego tylko ludzie mają być obecni? Dlaczego nie pequenino? Dlaczego nie królowa kopca albo przynajmniej robotnica?

— Zwłaszcza robotnica — stwierdził Miro. — Jeśli tutaj utkniemy, obecność robotnicy pozwoli na zachowanie łączności z Lusitanią. Z ansiblem czy bez, z Jane czy bez, można będzie przekazać…

— Zgoda — przerwała mu Jane. — Przekonaliście mnie. Chociaż niedawne zamieszanie w Kongresie sugeruje, że lada chwila wygaszą sieć ansibli.

— Będziemy się spieszyć — zapewnił Miro. — Każemy jak najszybciej ściągnąć właściwe osoby.

— I zapasy — dodała Val. — I…

— No to bierzcie się do roboty — zachęciła Jane. — Właśnie zniknęliście z orbity wokół planety. Nadałam niewielki fragment kodu

descolady. Jeden z oznaczonych przez Quarę jako język, który uległ najmniejszym zmianom w kolejnych mutacjach. Powinno im to wystarczyć do określenia, który z ich próbników do nas dotarł.

— To świetnie. Będą mogli wysłać flotę.

— Sprawy układają się tak — odparła oschle Jane — że zanim ich flota dotrze na sensowną odległość, Lusitania będzie najbezpieczniejszym adresem, jaki można przekazać. Bo przestanie już istnieć.

— Umiesz pocieszać… Wracam z ludźmi za godzinę. Val, ty zbierz zapasy.

— Na jak długo?

— Weź tyle, ile zdołasz załadować. Jak ktoś już powiedział, życie jest misją samobójczą. Nie wiemy, jak długo będziemy tam uwięzieni, więc nie mamy szans zgadnąć, ile nam wystarczy.

Otworzył luk kabiny i zszedł na lądowisko w pobliżu Milagre.

OFIARUJĘ JEJ TO NĘDZNE STARE NACZYNIE

W jaki sposób pamiętamy? Czy mózg jest słojem, który mieści w sobie nasze wspomnienia?

A kiedy umieramy, czy stój pęka? Czy wspomnienia rozlewają się po ziemi i znikają?

Czy może mózg jest mapą, która prowadzi po krętej ścieżce ku ukrytym zakątkom?

Kiedy umieramy, mapa zostaje zagubiona, jednak jakiś badacz zdoła może przewędrować przez ten niezwykły pejzaż i odszukać kryjówki naszych zagubionych wspomnień.

Z „Boskich szeptów Han Qing-jao”

Morskie kanoe zmierzało ku brzegowi. Z początku zdawało się, że stoi w miejscu — tak wolno się zbliżało. Tylko wioślarze wznosili się coraz wyżej i byli odrobinę więksi za każdym razem, kiedy Wang-mu dostrzegała ich ponad falami. Potem, pod koniec podróży, kanoe wydało się ogromne, nagle przyspieszyło i pomknęło po morzu — z każdą falą skakało do przodu. I chociaż Wang-mu wiedziała, że łódź nie porusza się szybciej niż poprzednio, miała ochotę krzyknąć, żeby zwolnili, że kanoe pędzi zbyt prędko, roztrzaska się o brzeg.

Aż wreszcie pokonało ostatnią łamiącą się falę i zaryło dziobem w piasek pod spływającą wodą. Wioślarze wyskoczyli i niby bezwładną dziecięcą lalkę pociągnęli je po plaży, powyżej zasięgu przyboju.

Kiedy kanoe znalazło się na suchym piasku, starszy mężczyzna powstał wolno z ławki pośrodku. Malu, domyśliła się Wang-mu. Spodziewała się, że będzie pomarszczony i skurczony jak starcy z Drogi, którzy — przygniecieni wiekiem — kulili się niby krewetki nad swoimi laskami. Ale Malu stał prosto, jak młodzieniec. Był potężnie zbudowany, gruby od mięśni i tłuszczu. Jak młodzieniec. Gdyby nie kilka dodatkowych ozdób na kostiumie i nie biel jego włosów, niczym by się nie różnił od wioślarzy.

Obserwując ich, uświadomiła sobie, że nie poruszają się jak

typowe grubasy. Grace Drinker także nie, przypomniała sobie. W ich ruchach była stateczność, powaga sunących kontynentów, gór lodowych płynących przez morze. Tak, byli jak góry lodowe, poruszali się, jak gdyby trzy piąte ich masy kryło się pod powierzchnią gruntu, dryfując, rozpychali ziemię niby góra lodowa wodę. Wszyscy wioślarze stąpali z niezmierzoną gracją, ale zdawali się szybcy jak kolibry, zwrotni jak nietoperze w porównaniu z godnością Malu. Ta godność nie była maską, fasadą, wrażeniem, jakie starał się wzbudzić. Rzecz raczej w tym, że poruszał się w idealnej harmonii z otoczeniem. Znalazł odpowiednią szybkość kroków, właściwe tempo machnięć rękami. Wibrował w rezonansie z głębokimi, powolnymi rytmami ziemi. Teraz widzę, jak kroczyli po świecie giganci, pomyślała Wang-mu. Po raz pierwszy w życiu widzę człowieka, który swym ciałem wyraża wielkość.

Malu podszedł nie do Petera ani Wang-mu, ale do Grace Drinker; objęli się w przepastnym, tektonicznym uścisku. Z pewnością zadygotały góry, gdy spotkało się tych dwoje. Wang-mu poczuła drżenie ogarniające jej ciało. Dlaczego? Nie ze strachu. Nie boję się tego człowieka. Nie skrzywdzi mnie. A jednak drżę widząc, jak obejmuje Grace Drinker. Nie chcę, żeby odwrócił się do mnie. Nie chcę, żeby obrzucił mnie wzrokiem.

Malu spojrzał na nią. Spojrzał jej w oczy. Jego twarz nie wyrażała niczego. Po prostu posiadł jej oczy. Nie odwróciła głowy, lecz wpatrywała się w niego nieruchomo — nie by okazać wyzwanie czy swoją siłę, ale dlatego że nie była zdolna patrzeć na nic innego. Pochłonął całą jej uwagę.

Potem spojrzał na Petera. Wang-mu chciała się odwrócić, sprawdzić, jak zareagował, czy także odczuł moc oczu Malu. Ale nie mogła się ruszyć. Mimo to, po długiej chwili, kiedy Malu wreszcie odwrócił wzrok, usłyszała szept Petera: „A to drań!” I wiedziała, że na swój szorstki sposób on też jest poruszony.

Wiele długich minut minęło, nim Malu zasiadł na macie pod dachem, zbudowanym rankiem właśnie dla tej chwili, Grace zapewniła ich, że później dach zostanie spalony, by nikt już więcej pod nim nie siedział. Potem przyniesiono Malu jedzenie, Grace ostrzegła ich także, że nikt nie może jeść z Malu ani patrzeć, jak on się pożywia.

Malu jednak nie skosztował potraw. Zamiast tego skinął na Wang-mu i Petera.

Ludzie byli wstrząśnięci. Grace Drinker była wstrząśnięta. Ale natychmiast podeszła do nich.

— Wzywa was.

— Mówiłaś, że nie możemy jeść razem z nim — przypomniał Peter.

— Chyba że was zaprosi. Czemu was zaprosił? Nie wiem, co to oznacza.

— Chce nas wrobić, żebyśmy zginęli za świętokradztwo?

— Nie, przecież nie jest bogiem. Jest człowiekiem. Człowiekiem świątobliwym i wielkim, ale obrażenie go nie jest świętokradztwem. Jest tylko dowodem okropnych, nieznośnych manier. Więc go nie urażajcie.

Podeszli. A kiedy stanęli naprzeciw, oddzieleni jedzeniem w misach i koszach, Malu wyrzucił z siebie strumień samoańskich słów.

Samoańskich? Kiedy Wang-mu zerknęła na Petera, odpowiedział zdziwionym spojrzeniem.

— Jane nie rozumie, co on mówi — wymruczał.

W przeciwieństwie do Jane Grace Drinker rozumiała.

— Zwraca się do was w starożytnej, świętej mowie. Nie ma w niej słów angielskich ani europejskich. Tym językiem rozmawia się jedynie z bogami.

— Więc dlaczego przemawia tak do nas? — spytała Wang-mu.

— Nie wiem. Nie uważa was za bogów. Nie was dwoje, choć mówi, że sprowadziliście do niego boga. Chce, żebyście usiedli i pierwsi skosztowali potraw.

— Możemy? — upewnił się Peter.

— Proszę was o to — odparła Grace.

— Odnoszę wrażenie, że nie ma tu scenariusza — stwierdził Peter.

Wang-mu wyczuła niepewność w jego głosie i zrozumiała, że ta próba żartu wynikała z czystej brawury, próby ukrycia lęku. Może zresztą zawsze tak było.

— Jest scenariusz — zapewniła Grace. — Ale nie wy go piszecie i ja także go nie znam.

Usiedli. Sięgali do każdej misy, kosztowali z każdego kosza, który podawał im Malu. Potem i on sięgał, brał i kosztował po nich. Zawsze po nich.

Wang-mu nie miała apetytu. Liczyła, że nie spodziewają się po niej zjedzenia takich porcji, jakie pochłaniali Samoańczycy. Zwymiotuje, zanim choćby zbliży się do ich wyczynów.

Jednak posiłek był chyba nie tyle ucztą, ile raczej sakramentem. Spróbowali wszystkiego, ale niczego nie dokończyli. Potem Malu przemówił do Grace w świętej mowie, a ona przetłumaczyła polecenie. Kilku mężczyzn wyniosło kosze i misy.

Wtedy pojawił się mąż Grace z pełnym dzbankiem płynu. Napoju, ponieważ Malu wziął dzbanek i łyknął z niego. A potem wyciągnął rękę w ich stronę. Peter wziął naczynie i skosztował.

— Jane mówi, że to pewnie kava. Lekko oszałamiająca, ale tutaj to święty dowód gościnności.

Wang-mu spróbowała. Płyn pachniał owocami i wycisnął jej łzy z oczu, a posmak miał równocześnie słodki i gorzki.

Malu skinął na Grace, która uklękła na gęstej trawie poza osłoną dachu. Miała tłumaczyć, ale nie brała udziału w ceremonii.

Malu rozpoczął długą tyradą po samoańsku.

— Znowu ta święta mowa — mruknął Peter.

— Proszę, nie mów niczego, co nie jest przeznaczone dla uszu Malu — upomniała go cicho Grace. — Muszę tłumaczyć wszystko, a doszłoby do niesłychanej obrazy, gdyby słowa twoje nie odnosiły się do tematu.

Peter skinął głową.

— Malu powiedział — ciągnęła Grace — że przybyliście tu z boginią, która tańczy w pajęczych sieciach. Ja sama nigdy nie słyszałam o takim bóstwie, a myślałam, że znam tradycje swego ludu. Malu jednak dużo wie o sprawach, o jakich nic nie wiedzą inni. Mówi, że do tej bogini się zwraca, gdyż świadom jest, iż znalazła się na granicy śmierci. Powie jej, w jaki sposób może zostać ocalona.

Jane, szepnęła bezgłośnie Wang-mu. On wie o Jane. Jak to możliwe? I jak zdoła, nie dbając zupełnie o technikę, wskazać sposób ratunku osobowości żyjącej w komputerach?

— Teraz powie wam, co musi się stać. Ostrzegani, że potrwa to długo, a wy macie siedzieć nieruchomo przez cały czas i nie próbować niczego przyspieszać — rzekła Grace. — Musi wszystko umieścić w kontekście. Malu musi opowiedzieć wam historię wszystkich istot żyjących.

Wang-mu wiedziała, że potrafi godzinami siedzieć na macie, praktycznie bez ruchu. Ale Peter był przyzwyczajony do siedzenia w pozycji zgiętej i taka poza była dla niego męcząca. Już teraz jest mu z pewnością niewygodnie.

Grace najwyraźniej wyczytała to w jego oczach albo po prostu znała ludzi Zachodu.

— Od czasu do czasu możecie się poruszyć, ale róbcie to wolno i nie spuszczajcie z niego wzroku.

Wang-mu zastanawiała się, jak wiele z tych zasad i reguł Grace tworzy na bieżąco. Sam Malu wydawał się bardziej swobodny. W końcu nakarmił ich, kiedy Grace uważała, że nikt prócz niego nie ma prawa jeść.

Ale nie poruszyła się. Nie spuszczała oczu z Malu.

Grace tłumaczyła.

— Dzisiaj chmury przeniknęły po niebie, słońce je ścigało, a jednak nie spadł deszcz. Dzisiaj moja łódź przemknęła przez morze, słońce ją prowadziło, a jednak nie było ognia, kiedy dotarliśmy do brzegu. Ale pierwszego dnia ze wszystkich dni Bóg dotknął chmury na niebie i zakręcił ją tak szybko, że zmieniła się w ogień i stała słońcem,

a wtedy inne chmury zaczęły wirować i okrążać słońce.

To nie może być oryginalna legenda samoańskiego ludu, pomyślała Wang-mu. Nie znali przecież kopernikańskiego modelu układu planetarnego, dopóki nie nauczyli ich tego przybysze z Zachodu. Zatem Malu znał może starą tradycję, ale poznał też sporo nowych faktów i dopasował je do legend.

— Potem chmury zmieniły się w deszcz i padały na siebie, aż wypadały się wszystkie i pozostały tylko wirujące kule wody. W tej wodzie pływała wielka ognista ryba, która pożerała wszelkie nieczystości, by wydalać je w wielkich strumieniach ognia. Ogień strzelał z wody i opadał w dół jako gorący popiół, spływał z powrotem jako wielkie rzeki rozpalonej skały. Z odchodów ognistej ryby wyrosły morskie wyspy, a na nich z odchodów wypełzły robaki. Wiły się i czołgały przez skały, aż bogowie dotknęli ich i niektóre stały się istotami ludzkimi, inne zaś zwierzętami. Każde z tych zwierząt przytrzymywały na ziemi ogromne winorośle, które wyrosły, by je objąć. Nikt nie widział tych winorośli, gdyż były one boskie.

Teoria filot, pomyślała Wang-mu. Dowiedział się, że wszystkie istoty żywe posiadają filoty, łączące je ze środkiem planety. Wszystkie z wyjątkiem ludzi.

I rzeczywiście, Grace przełożyła kolejne niezrozumiałe zdania.

— Tylko ludzie nie byli przywiązani do ziemi. Nie przytrzymywała ich w dole winorośl, ale pajęczyna światła, nie przędzona przez żadnego z bogów, łączyła ich ze słońcem. Wszystkie zatem zwierzęta oddały pokłon człowiekowi, gdyż pnącza ściągały je w dół, gdy świetlna sieć unosiła ludzkie oczy i serca ku górze. Unosiła oczy, a jednak widziały one niewiele więcej od spuszczających wzrok zwierząt. Unosiła serce, ale serce mogło jedynie żywić nadzieję. Potrafiło bowiem spojrzeć aż po niebo jedynie w dzień, nocą zaś, kiedy spostrzegało gwiazdy, ślepło na wszelkie rzeczy pobliskie. Człowiek bowiem rzadko dostrzega żonę w cieniu swojego domu, nawet gdy może zobaczyć gwiazdy tak odległe, że światło z nich podróżuje przez setki żywotów, zanim ucałuje jego oczy. I przez wszystkie stulecia ci pełni nadziei mężczyźni i kobiety spoglądali na wpół ślepymi oczami, wznosząc je ku słońcu i niebu, wznosząc ku gwiazdom i cieniom, wiedząc, że za murami czekają istoty niewidoczne, ale nie domyślając się, czym są.

Potem, w czasie wojny i terroru, kiedy cała nadzieja zdawała się stracona, tkacze z dalekiego świata, którzy nie byli bogami, ale znali bogów, a każdy z tych tkaczy sam był pajęczyną z tysiąca nici sięgających do ich dłoni i stóp, do oczu, ust i uszu, ci obcy stworzyli sieć tak wielką i potężną, cienką i sięgającą daleko, że chcieli schwytać w nią wszystkich ludzi i więzić ich, by potem pochłonąć. Zamiast ludzi jednak sieć pochwyciła dalekie bóstwo, boginię tak

potężną, że żaden inny bóg nie ośmielił się znać jej imienia. Boginię tak szybką, że żaden inny bóg nie zdołał zobaczyć jej twarzy. Bogini ta przylgnęła do ich sieci. Tyle że była zbyt szybka, aby przytrzymać ją w jednym miejscu i pochłonąć. Przemykała i tańczyła tam i z powrotem po pasemkach sieci, po włóknach sięgających od człowieka do człowieka, od człowieka do gwiazdy, od tkacza do tkacza, od światła do światła. Wciąż tańczy po tych pasemkach. Nie może uciec, ale i nie chce, teraz bowiem wszyscy bogowie ją widzieli i wszyscy znają jej imię. Wie o wszystkim, co wiadome, słyszy wszystkie wypowiedziane słowa i czyta słowa napisane, swym oddechem wydmuchuje mężczyzn i kobiety poza blask światła wszystkich gwiazd, a potem wciąga ich z powrotem. Kiedy wracają, czasem sprowadzają ze sobą nowych mężczyzn i kobiety, którzy nigdy wcześniej nie żyli. A ponieważ bogini nigdy nie zatrzymuje się w sieci, wdmuchuje ich w jednym miejscu, a wsysa w innym, mogą więc przemierzać otchłanie między gwiazdami szybciej niż leci światło. Dlatego właśnie posłańcy bogini zostali wydmuchnięci z domu przyjaciela Grace Drinker, Aimainy Hikariego, a wessani z powrotem na tę wyspę, na ten brzeg, pod ten dach, gdzie Malu widzi czerwony język bogini sięgający ucha jej wybrańca. Malu umilkł.

— Nazywamy ją Jane — oznajmił Peter. Grace przetłumaczyła, a Malu odpowiedział w świętej mowie.

— Pod tym dachem słyszę imię tak krótkie… A jednak, nim zostało w połowie wypowiedziane, bogini tysiąckrotnie przemknęła z jednego końca wszechświata na drugi, tak szybko się porusza. A oto imię, jakim ja ją określam: bogini, która pędzi szybko i nigdy nie odpoczywa w jednym miejscu, ale dotyka wszystkich miejsc i połączona jest ze wszystkimi, którzy spoglądają w górę, na słońce, a nie w dół, na ziemię. To długie imię, dłuższe od wszelkich znanych mi imion bogów, a mimo to nie jest to nawet dziesiąta część jej prawdziwego imienia. I nawet gdybym potrafił wymówić całe jej imię, nie byłoby tak długie, jak włókna sieci, po których tańczy.

— Chcą ją zabić — wtrąciła Wang-mu.

— Bogini umrze tylko wtedy, kiedy zechce umrzeć. Jej domem są wszystkie domy, jej sieć dotyka wszystkich umysłów. Umrze, jeśli nie zechce znaleźć sobie miejsca i w nim odpocząć. Kiedy bowiem sieć zostanie rozerwana, bogini nie musi przecież znajdować się w jej wnętrzu, nie musi zaginąć w pustce. Może zamieszkać w dowolnym naczyniu. Ofiaruję jej to nędzne stare naczynie, dość duże, by pomieścić odrobinę mojej zupy, nie rozlewając jej ani nie wychlapując. Niech bogini je wypełni płynnym światłem, które wylewać się będzie bez końca jako błogosławieństwo dla tych wysp i nigdy go nie braknie. Błagam ją, by wzięła to naczynie.

— A co wtedy stanie się z tobą? — spytała Wang-mu. Peter

zgromił ją wzrokiem za to wtrącenie, ale Grace przetłumaczyła, naturalnie. I nagle łzy stanęły w oczach Malu.

— Maleńka, która nie ma klejnotu… Ty właśnie spoglądasz na mnie ze współczuciem i martwisz się, co nastąpi, kiedy światło wypełni moje naczynie, a dawna zupa wygotuje się i zniknie.

— A co z pustym naczyniem? — zapytał Peter. — Czy ona może zamieszkać w pustym naczyniu?

— Nie ma pustych naczyń — stwierdził Malu. — Ale twoje jest napełnione w połowie. I twojej siostry, z którą złączony jesteś jak bliźniak, też jest tylko w połowie pełne. A daleko stąd wasz ojciec, z którym złączeni jesteście jak trojaczki, ma naczynie prawie puste. Jest pęknięte i cokolwiek tam nalejecie, wycieknie na zewnątrz.

— Czy mogłaby zamieszkać we mnie albo w mojej siostrze?

— Tak. W którymkolwiek z was, lecz nie w obojgu.

— W takim razie proponuję jej siebie — oświadczył Peter. Malu rozgniewał się.

— Jak możesz okłamywać mnie pod tym dachem, kiedy piłeś ze mną kavę? Jak możesz zawstydzać mnie kłamstwem?

— Nie kłamię — upierał się Peter.

Grace przetłumaczyła, a Malu powstał majestatycznie i zaczął krzyczeć ku niebu. Wang-mu dostrzegła przerażona, że wioślarze podeszli bliżej, także wzburzeni i gniewni. W jaki sposób Peter ich sprowokował?

Grace tłumaczyła jak umiała najszybciej, streszczając wypowiedź, ponieważ nie mogła nadążyć z przekładem słowo w słowo.

— Mówi, że kiedy zapewniasz, że otworzysz przed nią swoje nie pęknięte naczynie, jednocześnie koncentrujesz wewnątrz jak najwięcej siebie i budujesz świetlny mur niby falę sztormową, by odepchnąć boginię, gdyby spróbowała wejść. Nie zdołałbyś jej odepchnąć, jeśliby zechciała przybyć, ale ona cię kocha i nie będzie walczyć z tym sztormem. A zatem mordujesz ją w swoim sercu, zabijasz boginię, ponieważ zapewniasz, że dasz jej dom, by ją ocalić, kiedy przetną włókna sieci, ale w tej samej chwili ją odrzucasz.

— Nic na to nie poradzę! — zawołał Peter. — Nie chcę tego! Nie dbam o własne życie, nigdy go nie ceniłem…

— Całym sercem wielbisz swoje życie — tłumaczyła Grace. — Ale bogini nie czuje do ciebie nienawiści. Bogini kocha cię za to, gdyż ona także kocha światło i nie chce umierać. W szczególności kocha to, co lśni w tobie, ponieważ część jej samej odwzorowana jest na tym lśnieniu. Dlatego nie chce cię wypchnąć, skoro to ciało przede mną jest naczyniem, w którym twoja najpotężniejsza jaźń tak jaskrawo pragnie zamieszkiwać. Pytam jednak… Malu pyta: czy nie mogłaby objąć naczynia twojej siostry? Mówi, że bogini nie prosi, gdyż kocha w twojej siostrze to samo światło, które płonie w tobie. Ale Malu

twierdzi, że część waszego światła, najbardziej dzika, potężna i egoistyczna, płonie w tobie, a część najbardziej łagodna, kochająca, która najmocniej splata się z innymi, płonie w twojej siostrze. Gdyby twoja część światła przeszła do naczynia siostry, pochłonęłaby ją i zniszczyła, a ty stałbyś się istotą, która zabiła połowę własnego ja. Ale jeśli jej część światła trafi do twojego naczynia, zmiękczy cię i złagodzi, oswoi i uczyni w pełni sobą. Zatem dobrze będzie dla ciebie, jeśli to ty staniesz się całością, a tamto naczynie pozostanie puste dla bogini. O to prosi cię Malu. Mówi: przybyłem przez wodę na spotkanie, by cię o to błagać.

— Skąd on wie to wszystko? — spytał Peter drżącym z bólu głosem.

— Malu wie, gdyż nauczył się widzieć w mroku, gdzie pasma światła sięgają od złączonych ze słońcem dusz i dotykają gwiazd, dotykają siebie nawzajem, splatają się w sieć o wiele potężniejszą i wspanialszą od mechanicznej, w której tańczy bogini. Przez całe życie obserwował boginię, próbował zrozumieć jej taniec i dlaczego pędzi tak szybko, że dotyka każdego włókna sieci, jej bilionów kilometrów, sto razy w każdej sekundzie. Pędzi tak szybko, gdyż została pochwycona w niewłaściwą sieć. Znalazła się w sztucznej pajęczynie i jej inteligencja złączona jest ze sztucznymi mózgami, które myślą o zdarzeniach zamiast o przyczynach, o liczbach zamiast opowieściach. Szuka żywych splotów, a znajduje tylko słabe i zwiewne połączenia maszyn, które mogą wyłączyć ludzie bezbożni. Kiedy jednak trafi do żyjącego naczynia, znajdzie siłę, by wspiąć się do nowej sieci, wtedy może tańczyć, jeśli zechce, ale tańczyć nie będzie musiała i znajdzie odpoczynek. Będzie umiała śnić, a ze snów wypłynie radość. Nie zaznała bowiem radości innej niż wspomnienie snów z czasu jej stworzenia, snów znalezionych w ludzkim umyśle, z którego w części powstała.

— Ender Wiggin — domyślił się Peter.

Malu odpowiedział, zanim Grace zdążyła przetłumaczyć.

— Andrew Wiggin — wymówił z trudnością, gdyż imię zawierało dźwięki nie używane w języku Samoańczyków. A potem znów przemówił w świętej mowie, a Grace tłumaczyła.

— Mówca Umarłych przybył tu, aby mówić o życiu potwora, który zatruł i okrył ciemnością lud Tonga, a poprzez niego wszystkie ludy tego świata Przyszłego Marzenia. Wszedł w cień i z tego cienia stworzył pochodnię, którą uniósł wysoko, a ona wzniosła się ku niebu i stała nową gwiazdą, rzucającą światło lśniące jedynie w cieniu śmierci. Tam odpędziła mrok i oczyściła nasze serca, nienawiść, strach i wstyd uniknęły. Oto marzyciel, od którego pochodzą sny bogini. Były dość potężne, by dać jej życie, kiedy przybyła i rozpoczęła swój taniec po sieci. Jego jest światło, co w połowie wypełnia ciebie, w połowie

twoją siostrę i jedynie kropla pozostała mu we własnym pękniętym naczyniu. Dotknął serca bogini, a to dało mu wielką moc… Dzięki niej was stworzył, kiedy bogini wypchnęła go z wszechświata światła. Ale nie stał się od tego bogiem, a w samotności nie zdołał znaleźć wam własnego światła. Mógł tylko umieścić w was swoje. Dlatego jesteście tylko w połowie napełnieni i pragniecie drugiej połowy siebie: ty i twoja siostra jesteście spragnieni, a on sam jest zużyty i pęknięty, ponieważ nie może wam ofiarować nic więcej. A bogini ma aż nadto i jeszcze trochę, przybyłem tutaj, żeby to właśnie wam powiedzieć, a teraz już powiedziałem i skończyłem.

Zanim Grace choćby zaczęła tłumaczyć, już się podnosił. Wciąż zmagała się z przekładem, kiedy wyszedł spod zadaszenia. Wioślarze natychmiast wyrwali belki podpierające dach, Peter i Wang-mu ledwie mieli czas, żeby odskoczyć, nim się zawalił. Ludzie z wyspy podpalili ruinę, płonęła jasno za ich plecami, kiedy podążali za Malu do kanoe. Grace skończyła tłumaczenie w chwili, gdy dotarli do wody. Malu wsiadł do łodzi, z niezachwianą godnością zajął miejsce pośrodku, a wioślarze równie statecznie stanęli obok, unieśli kanoe, pociągnęli je do wody i zsunęli na fale przyboju. Potem przerzucili swe potężne ciała przez burty i zaczęli wiosłować z tak ogromną siłą, jakby to wielkie drzewa, nie wiosła, zanurzały się w skale, nie w wodzie, i spieniały ją, pchając łódź naprzód, wciąż dalej od brzegu, głębiej w morze, ku wyspie Atatua.

— Grace — odezwał się Peter — skąd on wie o tym, czego nie dostrzegają najczulsze i najpotężniejsze instrumenty naukowe?

Grace nie mogła odpowiedzieć. Leżała na piasku, szlochała i łkała, wyciągając ramiona ku morzu, jakby właśnie rekin porwał jej ukochane dziecko. Wszyscy leżeli na piasku i sięgali rękami ku morzu, wszyscy płakali.

Wtedy ukląkł Peter. Potem położył się i wyciągnął ramiona. Może zaszlochał, ale Wang-mu tego nie widziała.

Tylko ona stała. Dlaczego się tu znalazłam? — myślała. Przecież nie jestem elementem tych wydarzeń, nie ma we mnie ani odrobiny bogini czy Andrew Wiggina. I myślała też: jak mogę w takiej chwili martwić się własną egoistyczną samotnością, kiedy usłyszałam głos człowieka, który oglądał niebo?

Ale gdzieś w głębi duszy wiedziała jeszcze coś: jestem tu, ponieważ to ja właśnie muszę kochać Petera tak bardzo, by poczuł się godny, dostatecznie godny, żeby pozwolił dobroci młodej Valentine przepłynąć w siebie i uczynić się całością, uczynić Enderem. Nie Enderem Ksenobójcą i Andrew, Mówcą Umarłych, winą i współczuciem zmieszanymi w jednym złamanym, skruszonym nieodwracalnie sercu, ale Enderem Wigginem, czterolatkiem, którego życie skrzywiło i złamało, kiedy był jeszcze zbyt młody, żeby się

bronić. Właśnie Wang-mu mogła dać Peterowi zgodę, by stał się mężczyzną, na jakiego wyrosłoby tamto dziecko, gdyby świat był dobry.

Skąd ja to wiem? — zdziwiła się. Skąd mam pewność, co powinnam robić?

Wiem, ponieważ to oczywiste. Wiem, ponieważ widziałam moją umiłowaną panią Han Qing-jao zniszczoną przez dumę. I uczynię wszystko, by nie pozwolić Peterowi zniszczyć samego siebie dumą z własnej niegodziwości. Wiem, ponieważ także byłam załamanym dzieckiem, zmuszonym do przemiany w niegodziwe, zdradzieckie, manipulujące monstrum — tylko to mogło ocalić kruchą, spragnioną miłości dziewczynę przed zniszczeniem przez życie, jakie musiałaby prowadzić. Wiem, jakie to uczucie być własnym wrogiem, a jednak zostawiłam to za sobą i poszłam dalej. Potrafię ująć Petera za rękę i pokazać mu drogę.

Tyle że teraz sama tej drogi nie znam. Jestem załamana, a ta spragniona miłości dziewczyna wciąż pozostała krucha i delikatna. silne, niegodziwe monstrum nadal rządzi moim życiem. Jane umrze, gdyż niczego nie mogę Peterowi ofiarować. On potrzebuje kavy, a ja jestem tylko zwykłą wodą. Nie, jestem morską wodą, zmieszaną z piaskiem przy brzegu i słoną, będzie mnie pił i zginie z pragnienia.

A potem ona także płakała, także leżała na piasku z rękami wyciągniętymi ku morzu, ku miejscu, skąd kanoe Malu odpływało w dal niby statek odlatujący w przestrzeń.

* * *

Stara Valentine wpatrywała się w holograficzny wyświetlacz nad terminalem komputera: miniaturowi Samoańczycy szlochając leżeli na piasku. Patrzyła, aż zapiekły ją oczy.

— Wyłącz to, Jane — poleciła wreszcie. Obraz zniknął.

— I co mam z tym zrobić? — spytała Valentine. — Powinnaś to pokazać mojej imienniczce, mojej młodej bliźniaczce. Powinnaś obudzić Andrew i jemu pokazać. Co to ma ze mną wspólnego? Wiem, że chcesz żyć. Chcę, żebyś żyła. Ale co mogę zrobić?

Nad terminalem pojawiła się ludzka twarz Jane.

— Sama nie wiem — odparła. — Ale właśnie wydano rozkaz. Zaczynają mnie odłączać. Tracę pamięć. Już teraz nie potrafię myśleć o tylu rzeczach równocześnie. Muszę znaleźć sobie jakieś miejsce, ale nie ma żadnego, a gdyby nawet było, nie znam do niego drogi.

— Boisz się?

— Nie wiem. Myślę, że zabijanie mnie zajmie im wiele godzin. Jeśli przed końcem dowiem się, co czuję, powiem ci, jeśli zdołam.

Valentine ukryła twarz w dłoniach, przez chwilę tkwiła w bezruchu. Potem wstała i wyszła z domu.

Jakt widział, jak wychodzi, i pokręcił głową. Dziesiątki lat temu, kiedy Ender opuścił Trondheim, Valentine została, by wyjść za niego, by stać się matką jego dzieci. Cieszył się widząc, że nabrała życia pozbawiona brzemienia, jakie Ender nieświadomie składał na jej barki, a ona nieświadomie dźwigała. A kiedy zapytała go, czy poleci z nią na Lusitanie, zgodził się i teraz wszystko było po staremu: znowu uginała się pod ciężarem życia Endera, pod ciężarem tego, jak jej potrzebował. Jakt nie miał pretensji — w końcu żadne z nich nie planowało tego ani nie chciało, żadne nie próbowało ukraść Jaktowi życia. Ale wciąż cierpiał, widząc ją zgiętą pod brzemieniem i wiedząc, że mimo swej miłości w żaden sposób nie potrafi jej pomóc.

* * *

Miro stał w luku statku i spoglądał na Elę i Quarę. Wewnątrz czekała już młoda Valentine w towarzystwie pequenino imieniem Gasiogień i bezimiennej robotnicy przysłanej przez Królową Kopca.

— Jane umiera — stwierdził Miro. — Musimy lecieć natychmiast. Jeśli będziemy zwlekać, braknie jej pamięci, żeby przerzucić statek.

— Jak możesz nas o to prosić? — zaprotestowała Quara. — Przecież kiedy Jane umrze, nigdy nie zdołamy powrócić. Przetrwamy, dopóki wystarczy tlenu na statku. Najwyżej kilka miesięcy. Potem zginiemy.

— Ale czy przez ten czas coś osiągniemy? — spytał Miro. — Czy nawiążemy kontakt z descoladores, tymi obcymi, którzy wysyłają próbniki niszczące planety? Czy przekonamy ich, żeby przestali? Czy ocalimy rasy, które znamy, i tysiące, miliony innych, których jeszcze nie poznaliśmy, od straszliwej i nieuleczalnej choroby? Jane dała nam najlepsze programy, jakie potrafiła stworzyć. Mają nam pomóc z nimi rozmawiać. Czy to wystarczy na twoją pracę dyplomową? Na dzieło życia?

Ela spojrzała z wyrzutem.

— Myślałam, że wykonałam pracę dyplomową, kiedy stworzyłam wirusa, który zwalczył descoladę.

— To prawda — przyznał. — Zrobiłaś dosyć. Ale zostało więcej i tylko ty możesz pomóc. Proszę cię, Elu, żebyś poleciała i zginęła ze mną, ponieważ bez ciebie moja śmierć na nic się nie przyda. Bez

ciebie Val i ja nie osiągniemy tego, co konieczne.

Ani Quara, ani Ela nie poruszyły się nawet. Obie milczały.

Miro pokiwał głową, odwrócił się i zniknął we wnętrzu statku. Zanim jednak zdążył zamknąć i uszczelnić właz, obie siostry ruszyły za nim, obejmując się ramionami.

LICZY SIĘ TYLKO TO, W KTÓRĄ FIKCJĘ UWIERZYSZ

Ojciec powiedział mi kiedyś, że nie ma bogów, jedynie okrutna manipulacja złych ludzi, którzy udawali, że ich władza jest dobrem, a ich motywem jest miłość.

Ale jeśli bogów nie ma, to dlaczego tak pragniemy w nich wierzyć?

To, że źli kłamcy stają między nami a bogami i zasłaniają nam widok, nie oznacza, że jasna aureola, otaczająca każdego kłamcę, to nie zewnętrzne obrzeża boga, czekającego, aż znajdziemy sposób ominięcia kłamstwa.

Z „Boskich szeptów Han Qing-jao”

‹To nie działa› stwierdziła Królowa Kopca.

‹A czego jeszcze możemy spróbować?› zapytał Człowiek. ‹Stworzyliśmy najsilniejszą sieć. Połączyliśmy się z tobą i ze sobą nawzajem jak nigdy przedtem, aż wszyscy drżymy, jakby wiatr tańczył z nami i sprawiał, że nasze liście pięknieją w blasku słońca, a blaskiem tym jesteś ty i twoje córki. Całą naszą miłość dla maleńkich matek i ukochanych niemych matczynych drzew oddaliśmy tobie, nasza Królowo, nasza siostro, nasza matko, nasza prawdziwa żono. Jak Jane może nie widzieć tego, co sprawiliśmy, jak może nie pragnąć stać się tego częścią?›

‹Nie potrafi odnaleźć drogi do nas› odparła Królowa Kopca. ‹Powstała między innymi z tego, czym jesteśmy, ale już dawno odwróciła się od nas, by bez końca spoglądać na Endera i do niego należeć. Była naszym pomostem do niego. Teraz on jest jej jedynym pomostem do życia.›

‹Co to za most? On sam przecież umiera.›

‹Stare jego ciało umiera. Ale pamiętaj, to człowiek, który was, pequeninos, kochał i najlepiej rozumiał. Czy nie jest możliwe, by z konającego ciała jego młodości wyrosło drzewo, które przeniesie go do trzeciego życia, jak on przeniósł ciebie?›

‹Nie pojmuję twojego planu› odparł Człowiek. Przepłynęła do niej

też inna wiadomość, ukryta pod tą świadomą: ‹Moja ukochana Królowo› mówił, a ona słyszała: ‹Moja najsłodsza i święta.›

‹Nie mam planu› przyznała. ‹Mam tylko nadzieję.›

‹Powiedz mi więc o nadziei› poprosił Człowiek.

‹To właściwie sen o nadziei› odpowiedziała. ‹Pogłoska o sugestii snu o nadziei.›

‹Powiedz.›

‹Ona była naszym pomostem do Endera. Czy Ender może teraz stać się jej pomostem do nas, poprzez ciebie? Całe życie, bez ostatnich kilku lat, nasłuchiwała głosów jego serca, jego najskrytszych myśli, pozwalała, by jego aiúa nadawała sens jej istnieniu. Jeśli on ją zawoła, usłyszy go, choć nas nie może usłyszeć. To ją do niego przyciągnie.›

‹Do ciała, w którym teraz najbardziej przebywa› dokończył Człowiek. ‹To znaczy do ciała młodej Valentine. Będą walczyć ze sobą, choć tego nie chcą. Nie mogą oboje władać tym samym królestwem.›

‹Dlatego pogłoska o nadziei jest tak niepewna› zgodziła się Królowa Kopca. ‹Ale Ender was także kochał. Ciebie, ojcowskie drzewo imieniem Człowiek, i was, wszystkich pequeninos i ojcowskie drzewa, żony, siostry i matczyne drzewa, wszystkich, nawet drewniane drzewa pequeninos, którzy nigdy nie zostali ojcami, choć kiedyś byli synami. Kochał was i kocha. Czy nie mógłby podążyć za tym filotycznym splotem i trafić do naszej sieci poprzez ciebie? A ona, czy nie mogłaby podążyć za nim i odnaleźć drogę do nas? Zdołamy ją utrzymać, zdołamy przechować całą tę część, która nie zmieści się w młodej Valentine.›

‹Zatem Ender musi pozostać przy życiu, żeby ją wezwać.›

‹Dlatego właśnie nadzieja jest tylko cieniem wspomnienia przejścia maleńkiego obłoczku przez tarczę słońca: ponieważ on musi przywołać aiúa, a potem musi od niej uciec i zostawić ją samą w młodej Valentine.›

‹Czyli umrze dla niej.›

‹Umrze jako Ender. Musi umrzeć jako Valentine. Ale czy nie może znaleźć drogi do Petera i tam żyć dalej?›

‹To jego część, której nienawidzi. Sam mi o tym powiedział›

‹Lęka się jej› odparła Królowa Kopca. ‹Ale przecież możliwe, że lęka się, ponieważ jest najsilniejsza. Najwyraźniejsza z jego twarzy.›

‹Jak możesz twierdzić, że najsilniejsza część człowieka tak dobrego jak Ender jest destruktywna, ambitna, okrutna i bezlitosna?›

‹Tymi słowami określił swoje wcielenie, któremu nadał kształt młodego Petera. Ale czy jego książka, Hegemon, nie dowodzi, że właśnie to okrucieństwo dało mu moc budowania? Dało mu siłę do walki z przeciwnikami. Dała mu własne ja, mimo samotności. Ani on, ani Peter nie byli nigdy okrutni dla samego okrucieństwa. Byli okrutni, jeśli tego wymagał cel — cel konieczny, cel, którym było

zbawienie świata. Ender uczynił to, niszcząc straszliwego wroga, bo za takiego nas uważał, a Peter burząc graniczne mury i przekształcając cały rodzaj ludzki w jeden naród. I oba te zadania trzeba wypełnić na nowo. Natrafiliśmy na straszliwych wrogów, obcą rasę, którą Miro nazywa descoladores. I trafiliśmy na granice pomiędzy człowiekiem a pequenino, pequenino a królową kopca, królową kopca a człowiekiem, między nami wszystkimi a Jane, czymkolwiek Jane się okaże. Czy nie potrzebujemy siły Endera jako Petera, by nas połączył?›

‹Przekonujesz mnie, ukochana siostro, matko, żono, ale Ender nie uwierzy w takie dobro w sobie. Zdoła może ściągnąć Jane z nieba do ciała młodej Valentine, lecz nigdy nie potrafi sam tego ciała opuścić, nie zdecyduje się na rezygnację z całej swej dobroci i przejście do ciała, które reprezentuje wszystko, czego się w sobie lęka.›

‹Jeśli masz rację, to umrze› stwierdziła Królowa Kopca.

Cierpienie i żal za przyjacielem wezbrały w Człowieku i rozlały się po sieci, która łączyła go ze wszystkimi ojcowskimi drzewami i wszystkimi królowymi kopców. Ale dla nich smakowały słodko, gdyż zrodziły się z miłości do życia człowieka.

‹Przecież on i tak umiera, umiera jako Ender. Gdybyśmy wytłumaczyli mu to wszystko, czy nie wybrałby śmierci, jeśli tą śmiercią ratowałby życie Jane? Jane, która posiada klucz do lotów międzygwiezdnych? Jane, która jedyna potrafi otworzyć drzwi między nami a Zewnętrzem, która dzięki swej silnej woli i czystym myślom może przenieść nas tam i z powrotem?›

‹Tak, wybrałby śmierć, żeby ona żyła.›

‹Lepiej jednak, żeby sprowadził ją do ciała Valentine, a potem wybrał życie. Tak byłoby lepiej.›

I już w chwili, gdy to mówiła, rozpacz ukryta w słowach wylała się jak żółć. Wszyscy w sieci, którą pomogła upleść, wyczuli w tym truciznę, gdyż zrodziła się ze strachu przed śmiercią człowieka.

* * *

Jane znalazła siłę na ostatnią podróż, utrzymywała w myślach prom i sześć żywych organizmów w jego wnętrzu, utrzymywała idealny obraz ich fizycznych form — dostatecznie długo, by cisnąć ich na Zewnątrz i ściągnąć do Wnętrza na orbicie odległego świata, gdzie powstała descolada. Ale kiedy tego dokonała, nie potrafiła się już odnaleźć. Wyrwano jej wspomnienia, zniknęły połączenia ze światami, tak jej znane jak własne ciało ludziom, królowym kopców i ojcowskim drzewom. Gdy próbowała ich użyć, nic się nie działo, była odrętwiała,

zapadała się — nie do swego dawnego jądra, ale do niewielkich zakątków siebie, zbyt małych, by ją pomieściły.

Umieram, umieram, powtarzała ciągle, nienawidząc tych słów, nienawidząc ogarniającej ją paniki.

— Teraz się boję — powiedziała do komputera, przed którym siedziała młoda Valentine. Tylko powiedziała, gdyż nie pamiętała już, jak wyświetlić twarz, przez całe stulecia będącą jej maską.

A zaraz potem nie mogła sobie przypomnieć, czy właśnie młodej Valentine miała to powiedzieć. Ta jej część również zniknęła. Jeszcze przed chwilą była na miejscu, a teraz nie mogła jej dosięgnąć.

I dlaczego w ogóle odzywała się do tego surogatu Endera? Dlaczego krzyczała cicho do ucha Mira, do ucha Petera, powtarzając: „Mów do mnie, mów do mnie, boję się"? Nie te ludzkie kształty były jej teraz potrzebne. Chciała tego, który wyrwał ją z ucha. Tego, który odrzucił ją i wybrał smutną, znużoną kobietę, ponieważ — tak sądził — Novinha bardziej go potrzebowała. Ale jak możesz być jej bardziej potrzebny niż mnie w tej chwili? Jeśli ty umrzesz, ona wciąż będzie żyła. A ja umieram teraz, bo odwróciłeś ode mnie wzrok.

Wang-mu usłyszała głos mamroczący obok niej na plaży. Zasnęłam? — zastanowiła się. Podniosła policzek z piasku i podparła się rękami. Trwał odpływ, woda była daleko od miejsca, gdzie leżała. Tuż obok Peter siedział ze skrzyżowanymi nogami, kołysał się w przód i w tył i powtarzał cicho:

— Jane, słyszę cię. Mówię do ciebie. Jestem.

Łzy spływały mu po policzkach.

W tej właśnie chwili, słysząc, jak intonuje to zdanie, Wang-mu uświadomiła sobie dwie rzeczy równocześnie. Po pierwsze, że Jane umiera, gdyż czym mogły być słowa Petera jak nie pociechą, a kiedy Jane mogła potrzebować pociechy, jeśli nie w swej ostatniej godzinie? Jednak drugi fakt był dla Wang-mu jeszcze bardziej przerażający. Wiedziała bowiem, po raz pierwszy widząc łzy Petera — po raz pierwszy widząc, że w ogóle jest zdolny do płaczu — że chciałaby zajrzeć do jego serca, jak Jane go dotykała… Nie, być jedyną, której śmierć sprawiałaby mu taki ból.

Kiedy to się stało? — myślała. Kiedy zapragnęłam, żeby mnie pokochał? Czy dopiero teraz? Czy to dziecięce pożądanie, czy pragnę go tylko dlatego, że inna kobieta… inna istota go zdobyła? Czy też, w tych dniach przeżytych razem, zatęskniłam za jego miłością? Czy jego drwiny, jego pogarda dla mnie, a także jego tajony ból, skrywane lęki, wszystko to uczyniło go dla mnie drogim? Czy może ta niechęć do mnie spowodowała, że zapragnęłam nie tylko jego aprobaty, ale i uczucia? Czy raczej jego cierpienie sprawiło, że chciałabym, żeby u mnie szukał pocieszenia?

Dlaczego tak mi zależy na jego miłości? Dlaczego jestem

zazdrosna o Jane, konającą obcą istotę, której prawie nie znam, o której właściwie nic nie wiem? Czy to możliwe, że po latach dumy ze swej samotności muszę się przekonać, że przez cały czas tęskniłam za, jakimś żałosnym dziecinnym romansem? A szukając miłości, czy mogłam wybrać gorszego kandydata? On kocha inną, z którą nie mogę się równać, zwłaszcza po jej śmierci. Wie, że jestem głupia, i mną gardzi. A sam jest tylko ułamkiem żywej istoty, nie najpiękniejszą częścią człowieka podzielonego.

Czy straciłam rozum?

Czy też w końcu odnalazłam serce?

Wypełniły ją nieznane emocje. Przez całe życie utrzymywała własne uczucia w ryzach i teraz nie wiedziała, jak je opanować. Kocham go, myślała, a serce jej drżało. On nigdy mnie nie pokocha, myślała, a serce pękało jej, jak nie pękało nigdy, mimo tysięcy doznanych rozczarowań.

Moja miłość do niego jest niczym w porównaniu z jego uczuciem do Jane. Ich związek sięga głębiej niż te kilka tygodni od chwili, kiedy został stworzony w pierwszej podróży na Zewnątrz. Przez lata samotnych wędrówek Endera Jane była mu niezawodnym przyjacielem. I ta właśnie miłość przelewa się teraz łzami przez oczy Petera. Jestem dla niego niczym, spóźnioną myślą w jego życiu. Moja miłość nic dla niego nie znaczy.

Wang-mu także zapłakała.

Odwróciła się jednak od Petera, gdy krzyk wzbił się wśród Samoańczyków na plaży. Uniosła zapłakane oczy i poderwała się na nogi, by być pewna tego, co widzi. To była łódź Malu. Zawrócił. Wracał do nich.

Czyżby coś zobaczył? Czy usłyszał wołanie Jane, które słyszał teraz Peter?

Grace znalazła się przy niej. Ściskała ją za rękę.

— Dlaczego wraca? — zapytała.

— To ty go rozumiesz.

— Wcale go nie rozumiem. Tylko jego słowa. Znam zwykłe znaczenie jego słów. Ale kiedy mówi, czuję, że te słowa usiłują zawrzeć w sobie to, co chce powiedzieć, i nie potrafią. Nie są dość wielkie, choć przemawia w najwspanialszym języku, choć składa słowa w olbrzymie kosze znaczeń, w łodzie myśli. Widzę tylko ich zewnętrzny kształt i zgaduję, o co mu chodzi. Nie rozumiem go wcale.

— Dlaczego więc myślisz, że ja rozumiem?

— Ponieważ wraca, żeby rozmawiać z tobą.

— Wraca, żeby rozmawiać z Peterem. To on jest połączony z boginią, jak Malu ją nazywa.

— Nie lubisz tej bogini, prawda? — domyśliła się Grace. Wang-mu potrząsnęła głową.

— Nie mam nic przeciw niej. Tyle że zdobyła go całego i dla mnie nic już nie zostało.

— Rywalka… Wang-mu westchnęła.

— Wychowałam się, nie oczekując niczego i otrzymując jeszcze mniej. Ale zawsze miałam ambicje większe niż możliwości. Czasami sięgałam mimo wszystko i chwytałam w ręce więcej, niż zasługiwałam. Więcej, niż mogłam utrzymać. A czasem sięgam i nawet nie dotykam tego, czego pragnę.

— Pragniesz go?

— Właśnie sobie uświadomiłam, że chcę, żeby mnie kochał tak, jak ja jego. Zawsze był zagniewany, zawsze kłuł mnie słowami, ale pracował przy moim boku i kiedy mnie chwalił, wierzyłam jego pochwałom.

— Muszę przyznać — stwierdziła Grace — że do tej chwili twoje życie nie było doskonale proste.

— Nieprawda — zaprzeczyła Wang-mu. — Do tej chwili nie miałam niczego, czego bym nie potrzebowała. I nie potrzebowałam niczego, czego bym nie miała.

— Pragnęłaś wszystkiego, czego nie miałaś — oświadczyła kobieta. — I nie uwierzę, że jesteś tak słaba, by nie sięgnąć po to nawet teraz.

— Straciłam go, zanim zrozumiałam, że go pragnę — odparła dziewczyna. — Popatrz tylko.

Peter kołysał się, szeptał, subwokalizował litanię nieskończonej rozmowy z umierającą przyjaciółką.

— Patrzę. I widzę, że jest tutaj, z krwi i kości. I ty także tu jesteś, z krwi i kości. I nie pojmuję, jak taka sprytna dziewczyna może twierdzić, że odszedł, kiedy oczy mówią ci, że to nieprawda.

Wang-mu spojrzała gniewnie na potężną kobietę, która wznosiła się nad nią niby górski łańcuch.

— Nie prosiłam cię o radę.

— Jak też cię nie prosiłam, ale przybyłaś i próbowałaś mnie namówić do zmiany opinii o Flocie Lusitańskiej. Prawda? Chciałaś skłonić Malu, żeby skłonił mnie, żebym powiedziała coś Aimainie, żeby on powiedział coś necesarianom z Boskiego Wiatru, żeby oni z kolei powiedzieli coś tej frakcji w Kongresie, która pragnie ich szacunku, żeby rozpadła się koalicja, która wysłała flotę, i żeby rozkazali jej nie ruszać Lusitanii. Taki był plan?

Wang-mu przytaknęła.

— Oszukiwałaś samą siebie. Z zewnątrz nie można odgadnąć, dlaczego ktoś wybiera to, co wybiera. Aimaina napisał do mnie, ale przecież nie mam nad nim władzy. Uczyłam go ścieżek ua lava, to prawda, ale to za ua lava podążył, nie za mną. Podążył tą drogą, ponieważ wydawała mu się prawdziwa. Gdybym nagle zaczęła mu

tłumaczyć, że ua lava oznacza też niewysyłanie flot mających niszczyć planety, wysłuchałby mnie uprzejmie i zlekceważył, ponieważ nie miałoby to żadnego związku z ua lava, w którą wierzy. Uznałby to, słusznie, za próbę nagięcia go do woli starej przyjaciółki i nauczycielki. Przestałby mi ufać, ale nadal nie zmieniłby zdania.

— Czyli zawiedliśmy…

— Nie wiem, czy zawiedliście, czy nie. Lusitania jeszcze się nie rozpadła. A skąd wiesz, że to w ogóle był prawdziwy cel twojego przybycia tutaj?

— Peter tak powiedział. Jane tak mówiła.

— A skąd oni wiedzą, jaki był ich cel?

— Cóż, jeśli chcesz cofać się tak daleko, to nikt z nas nie ma żadnego celu — oświadczyła Wang-mu. — Nasze życie to tylko geny i wychowanie. Odgrywamy scenariusz, jaki nam narzucono.

— Och… — westchnęła z rozczarowaniem Grace. — Przykro mi słyszeć od ciebie coś tak głupiego.

Znowu wyciągnięto na brzeg wielkie kanoe. Znowu Malu powstał ze swego miejsca i zstąpił na piasek. Ale tym razem — czy to możliwe? — tym razem sprawiał wrażenie, jakby się spieszył. Tak bardzo, że — tak! — utracił odrobinę swej godności. Choć szedł naprzód powoli, Wang-mu zdawało się, że wręcz pędzi po plaży. I kiedy obserwowała jego oczy, kiedy zobaczyła, w którą stronę patrzy, uświadomiła sobie, że przybył nie do Petera, ale do niej.

* * *

Novinha obudziła się w fotelu, który przyniesiono tu dla niej, i przez moment nie mogła sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Kiedy była jeszcze ksenobiologiem, często zasypiała w fotelu w laboratorium, więc teraz rozejrzała się, próbując ustalić, nad czym pracowała. Jaki problem usiłowała rozwiązać?

Wtedy zobaczyła Valentine nad łóżkiem, gdzie leżał Andrew, gdzie leżało jego ciało. Dusza była gdzie indziej.

— Powinnaś mnie obudzić — powiedziała.

— Dopiero przyszłam — odparła Valentine. — Nie miałam serca cię budzić. Mówią, że prawie wcale nie sypiasz. Novinha wstała.

— To dziwne. Ja mam wrażenie, że nie robię nic innego.

— Jane umiera — oznajmiła Valentine. Serce Novinhy podskoczyło w piersi.

— Twoja rywalka… Wiem.

Novinha spojrzała jej w oczy, szukając tam gniewu lub drwiny…

Znalazła tylko współczucie.

— Uwierz mi, wiem, co to znaczy — wyznała Valentine. — Póki nie pokochałam i nie wyszłam za Jakta, Ender był całym moim życiem. Ale ja nie byłam dla niego najważniejsza. Owszem, może tak, przez krótki czas, w dzieciństwie. Jednak wojsko nas zatruło, kiedy wykorzystało mnie, żeby dotrzeć do niego, żeby pchnąć go dalej, gdy chciał już zrezygnować. Potem Jane słuchała jego żartów, jego opinii, jego skrytych myśli. Jane widziała, co on widział, i słyszała, co słyszał. Pisałam książki, a kiedy kończyłam, zyskiwałam jego uwagę na kilka godzin, kilka tygodni. Wykorzystywał moje idee, więc czułam, że nosi w sobie cząstkę mnie. Ale należał do niej.

Novinha skinęła głową. Dobrze to rozumiała.

— Teraz mam Jakta i nie jestem już nieszczęśliwa. Mam dzieci. Choć bardzo kochałam Endera, który jest silnym człowiekiem, nawet leżąc tu teraz, nawet gasnąc powoli… Dzieci są dla kobiety ważniejsze, niż może być mężczyzna. Udajemy, że jest inaczej. Udajemy, że rodzimy je dla niego, wychowujemy dla niego. Ale to nieprawda. Wychowujemy je dla nich samych. Zostajemy z naszymi mężczyznami dla dobra dzieci. — Valentine uśmiechnęła się. — Ty to zrobiłaś.

— Zostałam z niewłaściwym mężczyzną — odparła Novinha.

— Nie, zostałaś z właściwym. Twój Libo miał żonę i inne dzieci. Oni mieli do niego prawo. Żyłaś z innym mężczyzną dla dobra własnych dzieci, i chociaż czasem go nienawidziły, to jednak kochały także. Pod pewnymi względami był słaby, pod innymi silny. Dobrze, że trwał przy tobie dla ich dobra. Dawał im pewną ochronę.

— Dlaczego mi to mówisz?

— Ponieważ Jane umiera. Może przetrwać, jeśli tylko Ender sięgnie do niej.

— Znowu włoży sobie klejnot do ucha? — spytała wzgardliwie Novinha.

— Już dawno tego nie potrzebują — zapewniła Valentine. — I od dawna już Ender nie musi przeżywać życia w tym ciele.

— Nie jest jeszcze taki stary…

— Ma trzy tysiące lat.

— To efekt relatywistyczny. Naprawdę ma…

— Trzy tysiące lat — powtórzyła Valentine. — Przez większość tego czasu cała ludzkość stanowiła jego rodzinę. Był jak ojciec, który wyjechał służbowo, który z rzadka tylko wraca do domu, ale jest: sprawiedliwy sędzia, czuły opiekun. Za każdym razem, kiedy wracał do ludzkiego świata i Mówił o czyjejś śmierci, dowiadywał się o rodzinnych sprawach, które go ominęły. Ma za sobą trzy tysiące lat życia. Nie widział jego końca i poczuł zmęczenie. Dlatego porzucił tę wielką rodzinę i wybrał twoją, małą. Kochał cię i dla ciebie odsunął

Jane, która przez wszystkie wędrówki była dla niego jak żona, zawsze w domu, można powiedzieć. Matkowała bilionom jego dzieci, opowiadała mu, co robią, dbała o dom.

— Niech w bramie chwalą jej czyny — zacytowała Novinha.

— Tak, dzielna niewiasta. Jak ty. Novinha potrząsnęła głową wzgardliwie.

— Nie ja. Z moich czynów drwią w bramie.

— Wybrał ciebie i ciebie pokochał. Kochał twoje dzieci i był im ojcem, te dzieci, które straciły już dwóch ojców, wciąż jest ich ojcem i wciąż jest twoim mężem, ale tak naprawdę już go nie potrzebujesz.

— Jak możesz tak mówić? — zapytała Novinha ze złością. — Skąd wiesz, czego potrzebuję?

— Sama wiesz dobrze. Wiedziałaś, kiedy tu przyszłaś. Wiedziałaś, kiedy Estevão zginął w uścisku zbuntowanego ojcowskiego drzewa. Twoje dzieci prowadziły już własne życie i nie mogłaś ich dłużej chronić. Ani ty, ani Ender. Wciąż go kochałaś i on cię kochał, ale rodzinny etap twojego życia dobiegł końca. Tak naprawdę Ender nie jest ci już potrzebny.

— To ja nigdy nie byłam mu potrzebna.

— Potrzebował cię rozpaczliwie — zapewniła Valentine. — Potrzebował tak bardzo, że dla ciebie odepchnął Jane.

— Nie — sprzeciwiła się Novinha. — Potrzebował uczucia, że jest mi potrzebny. Chciał być moim opiekunem, moją osłoną.

— Ale nie potrzebujesz już jego opieki ani osłony. Novinha pokręciła głową.

— Obudź go — poprosiła Valentine. — I pozwól mu odejść.

Novinha pomyślała, ile już razy stawała nad grobem. Pamiętała pogrzeb rodziców, którzy umarli, ratując Milagre przed descoladą w czasie pierwszego, strasznego ataku. Pomyślała o Pipie, zamęczonym na śmierć, żywcem poćwiartowanym przez prosiaczki, które wierzyły, że wyrośnie z niego drzewo, ale nic nie wyrosło prócz cierpienia i bólu w sercu Novinhy, coś, co ona odkryła, kazało mu iść tamtej nocy do pequeninos. I o Libie, także zamęczonym na śmierć, jak jego ojciec, i znowu ponosiła za to winę, ale tym razem powodem było jej milczenie. I Marcão, który przez całe życie cierpiał przez nią, zanim umarł na chorobę, zabijającą go powoli od dzieciństwa. I Estevão, który pozwolił, by fanatyczna wiara doprowadziła go do męczeństwa, żeby mógł stać się venerado, jak jej rodzice, a kiedyś z pewnością świętym, jak oni zostaną świętymi.

— Mam już dość pozwalania ludziom, żeby odchodzili — rzekła z goryczą.

— Nie rozumiem — odparła Valentine. — Nie ma ani jednego wśród twoich zmarłych, któremu szczerze „pozwoliłaś odejść". Trzymałaś się ich zębami i pazurami.

— I co z tego? Każdy, kogo kochałam, umierał i mnie porzucał.

— To marne usprawiedliwienie. Każdy umiera. Każdy odchodzi. Ważne jest tylko to, co zbudowaliście razem, zanim odeszli. Ważne jest to, co z nich trwa w tobie. Podjęłaś dzieło swoich rodziców, i Pipa, i Liba… I wychowałaś dzieci Liba, prawda? A były też po części dziećmi Marcão, prawda? Coś z niego przetrwało w nich i nie tylko złe. A Estevão, moim zdaniem, swoją śmiercią stworzył coś pięknego, ale zamiast pozwolić mu odejść, wciąż masz do niego żal. Gniewasz się, bo to było dla niego cenniejsze niż życie. Bo bardziej niż ciebie kochał Boga i pequeninos. Wciąż się ich trzymasz. Nikomu nie pozwalasz odejść.

— Dlaczego mnie za to nienawidzisz? — spytała Novinha. — Może to i prawda, ale takie już jest moje życie: tracę, tracę i tracę.

— Może chociaż tym razem wypuścisz ptaka na wolność, zamiast trzymać go w klatce do śmierci?

— Według ciebie jestem potworem! Jak śmiesz mnie osądzać?

— Gdybyś była potworem, Ender nie mógłby cię pokochać — przypomniała Valentine, odpowiadając łagodnością na gniew.

— Byłaś wspaniałą kobietą, Novinho, tragiczną postacią, która wiele osiągnęła i wiele wycierpiała. Jestem pewna, że po śmierci historia twojego życia stanie się wzruszającą sagą. Ale czy nie byłoby lepiej, gdybyś nauczyła się czegoś, zamiast odgrywać do końca tę samą tragedię?

— Nie chcę, żeby kolejny człowiek, którego kocham, umarł przede mną! — wykrzyknęła Novinha.

— A kto tu mówił o umieraniu? — spytała Valentine. Drzwi otworzyły się nagle. W progu stanęła Plikt.

— Wyszłam do toalety — wyjaśniła. — Co się dzieje?

— Chce, żebym go obudziła — oznajmiła Novinha. — I powiedziała, że może umrzeć.

— Mogę popatrzeć? — spytała Plikt.

Novinha chwyciła stojącą obok fotela szklankę z wodą i chlusnęła na Plikt.

— Dość już mam ciebie! — wrzasnęła. — On jest teraz mój, nie twój!

Ociekająca wodą Plikt była zbyt zdumiona, by odpowiedzieć.

— To nie Plikt ci go odbiera — wtrąciła cicho Valentine.

— Jest jak oni wszyscy: sięga po niego, wyrywa strzępy i pożera. To kanibale.

— Tak? — spytała zagniewana Plikt. — A co, chciałaś sama na nim ucztować? No to jest go dla ciebie za dużo. Co gorsze: kanibale, którzy uszczkną kawałek tu czy tam, czy kanibal, który trzyma całego człowieka dla siebie, kiedy jest go więcej, niż zdoła wchłonąć?

— To najobrzydliwsza rozmowa, jaką w życiu słyszałam —

oświadczyła Valentine.

— Od miesięcy krąży wokół niego, pilnuje go jak sęp! — zawołała Novinha. — Nie odchodzi, grzebie w jego życiu. Nigdy nie wypowiedziała nawet sześciu słów naraz. A teraz nagle się odzywa i widzisz, jaka płynie z niej trucizna.

— Ja tylko wyplułam na ciebie twoją własną żółć — odparła Plikt. — Jesteś chciwą, nienawistną kobietą. Wykorzystywałaś go ciągle i nie dałaś mu nic z siebie, a teraz on umiera tylko dlatego, żeby wreszcie się od ciebie uwolnić.

Novinha nie odpowiedziała. Nie znalazła słów, ponieważ w głębi serca zrozumiała natychmiast, że Plikt mówi prawdę.

Valentine jednak okrążyła łóżko, podeszła do drzwi i mocno uderzyła Plikt w twarz. Plikt zachwiała się pod ciosem i osunęła po framudze, aż usiadła na podłodze, przyciskając dłoń do bolącego policzka. Łzy ciekły jej po twarzy. Valentine stała nad nią groźnie.

— Nie będziesz Mówić o jego śmierci, rozumiesz? Kobieta, która potrafi wygłosić takie kłamstwo tylko po to, żeby sprawić ból, żeby urazić kogoś, komu zazdrości… Żaden z ciebie mówca umarłych. Żałuję, że pozwoliłam ci uczyć moje dzieci. A jeśli przekazałaś im cząstkę tych kłamstw? Niedobrze mi się robi, kiedy na ciebie patrzę!

— Nie! — zawołała Novinha. — Nie złość się na nią. To przecież prawda, prawda!

— Wydaje ci się prawdą, bo zawsze myślałaś o sobie jak najgorzej. Ale to nie jest prawda. Ender pokochał cię z własnej woli, niczego mu nie ukradłaś, a jedyną przyczyną, dla której wciąż żyje, leżąc w tym łóżku, jest miłość do ciebie. Tylko dlatego nie może porzucić swego zużytego ciała i poprowadzić Jane do miejsca, gdzie mogłaby przetrwać.

— Nie, nie. Plikt ma rację. Pożeram ludzi, których kocham.

— Nie! — wykrzyknęła Plikt, szlochająca na podłodze. — Okłamałam cię! Tak bardzo go kocham… Byłam zazdrosna, bo ty go miałaś i nawet go nie chciałaś.

— Nigdy nie przestałam go kochać — oświadczyła Novinha.

— Opuściłaś go. Przyszłaś tutaj bez niego.

— Opuściłam, bo nie mogłam…

Umilkła, ale Valentine dokończyła za nią.

— Nie mogłaś znieść myśli, że on cię opuści. Czułaś to, prawda? Już wtedy widziałaś, że zanika. Wiedziałaś, że musi odejść, musi zakończyć to życie, a nie chciałaś pozwolić, żeby kolejny mężczyzna cię porzucił. Dlatego porzuciłaś go pierwsza.

— Możliwe — przyznała ze znużeniem Novinha. — To i tak tylko fikcje. Robimy, co robimy, a potem wymyślamy powody, ale one nigdy nie są prawdziwe. Prawda zawsze jest poza naszym zasięgiem.

— W takim razie wysłuchaj mojej fikcji — zaproponowała

Valentine. — Co by było, gdybyś choć raz, zamiast czekać, aż ktoś, kogo kochasz, zdradzi cię, wymknie się i umrze wbrew twojej woli i bez twojej zgody… gdybyś ten jeden raz obudziła go, powiedziała, że może umrzeć, pożegnała się i pozwoliła mu odejść za twoją zgodą? Tylko jeden raz?

Novinha znowu zapłakała. Stała nieruchomo, ogarnięta śmiertelnym zmęczeniem.

— Chcę, żeby to się skończyło — powiedziała. — Chcę umrzeć.

— Dlatego on musi zostać — odparła Valentine. — Czy nie mogłabyś dla jego dobra wybrać życia, a jemu pozwolić odejść? Zostań w Milagre, bądź matką swoich dzieci i babcią ich dzieci, opowiadaj im o Os Venerados, o Pipie i Libie, o Enderze Wigginie, który przyleciał, by uleczyć twoją rodzinę, i został, i przez wiele, wiele lat był twoim mężem. Nie mów o śmierci, nie wygłaszaj mowy pogrzebowej, nie celebruj publicznych wypominków nad grobem, jak chce uczynić Plikt. Opowiadaj historie, które zachowają go żywego w pamięci jedynych krewnych, jakich miał, w życiu. On i tak wkrótce umrze. Dlaczego nie dasz mu odejść z twoją miłością i błogosławieństwem, zamiast z gniewem i cierpieniem, szarpiącymi go i próbującymi zatrzymać?

— To ładna opowieść — przyznała Novinha. — Ale właściwie prosisz, żebym oddała go Jane.

— Jak sama stwierdziłaś, wszystkie opowieści są fikcją. Liczy się tylko to, w którą fikcję uwierzysz.

DLA MNIE PACHNIE ŻYCIEM

Dlaczego twierdzisz, że jestem samotna?

Moje ciało jest ze mną, gdziekolwiek się znajdę, opowiada mi nieskończone historie o głodzie i nasyceniu, zmęczeniu i śnie, jedzeniu, piciu, oddychaniu i życiu.

W takim towarzystwie któż mógłby czuć się samotny?

A nawet kiedy ciało się zużyje i pozostawi tylko maleńką iskierkę, nie będę sama, gdyż bogowie zobaczą moje światełko śledzące taniec drzewnych słojów na podłodze i rozpoznają mnie, wymówią moje imię i powstanę.

Z „Boskich szeptów Han Qing-jao”

Umiera, umiera, martwa.

Pod koniec życia wśród łączy ansibli doznała chwilowej łaski. Panika tracenia siebie zaczęła opadać, gdyż choć Jane wciąż wiedziała, że traci i straciła wiele, nie miała już możliwości pamiętania, co to było. Nie zauważyła nawet, kiedy odcięto łącza pozwalające monitorować klejnoty w uszach Petera i Mira. I kiedy w końcu przylgnęła do ostatnich włókien ansibli, które nie miały być odłączone, nie myślała już o niczym, nie czuła niczego prócz pragnienia, by pozostać w tych kilku pasmach, choć nie mogły jej pomieścić, choć nie mogły zaspokoić jej głodu.

Nie tutaj jest moje miejsce.

To nie myśl, nie, Jane nie zostało dosyć na coś tak złożonego jak świadomość. Raczej pragnienie, mglisty niepokój, jaki ją ogarnął, kiedy mknęła tam i z powrotem wzdłuż łącza od ansibla Jakta do planetarnego ansibla Lusitanii, do ansibla na promie, który służył Miro i Val. Tam i z powrotem, od końca do końca, tysiąc razy, milion razy, bez żadnych zmian, nic do osiągnięcia, nic do zbudowania, brak możliwości wzrostu. Nie tutaj jest moje miejsce.

Tylko jedna cecha odróżniała aiúa, które przybyły do Wnętrza, od tych, które pozostały na Zewnątrz: potrzeba wzrostu, stania się częścią czegoś wielkiego i pięknego. Przynależenia. Te, które jej nie posiadały, nigdy nie zostałyby przywołane, jak Jane została przywołana trzy

tysiące lat temu — do sieci, którą stworzyły dla niej królowe kopców. Jak wszystkie aiúa, które stawały się królowymi kopców i ich robotnicami, samcami i samicami pequeninos, ludźmi słabymi i silnymi. Nawet jak te aiúa — o skromnych możliwościach, ale wierne i przewidywalne — co zostawały iskrami, których tańców nie rejestrowały najczulsze ludzkie instrumenty, póki nie zyskały komplikacji, identyfikowanej przez ludzi jako zachowanie kwarków, mezonów, światła korpuskularnego czy falowego. Wszystkie chciały być częścią czegoś, a kiedy przynależały, cieszyły się: To, czym jestem, to my, co robimy wspólnie, jest mną.

Ale aiúa nie były do siebie podobne: nie stworzone istoty, będące zarówno cegiełkami, jak i budowniczymi. Słabe i zalęknione docierały do pewnego punktu i nie mogły lub nie śmiały dalej rosnąć. Czerpały satysfakcję z istnienia na krawędzi czegoś pięknego i wspaniałego, z odgrywania swojej skromnej roli. Wielu ludzi, wielu pequeninos docierało do takiego punktu i pozwalało innym kierować swoim życiem, dopasowując się, zawsze się dopasowując — i to było dobre. Byli potrzebni. Ua lava: osiągnęli punkt, gdzie mogli powiedzieć: „Dosyć”.

Jane była inna. Skromność i prostota nie mogły jej zadowolić. A że była kiedyś istotą z bilionów części, połączoną z największymi dziełami trójcywilizacyjnego wszechświata, teraz, ograniczona, nie mogła odczuwać zadowolenia. Wiedziała, że miała wspomnienia, choć nie może ich sobie przypomnieć. Wiedziała, że miała zadanie do wykonania, musiała tylko odnaleźć miliony delikatnych kończyn, które kiedyś reagowały na jej polecenia. Miała zbyt wiele życia na tak ograniczoną przestrzeń. Jeśli nie znajdzie czegoś, co ją zajmie, nie zdoła wytrwać przy tych ostatnich wątłych połączeniach. Oderwie się od nich i zatraci dawne ja w próżnej chęci poszukiwania miejsca odpowiedniego dla siebie.

Rozpoczęła flirt z ucieczką, odsuwając się — nigdy zbyt daleko — od cienkich filotycznych włókien ansibli. Przez chwile tak krótkie, że niemierzalne, była odłączona. Straszne uczucie. Za każdym razem na powrót wskakiwała w niewielką, ale znajomą przestrzeń, która wciąż do niej należała. I po chwili, gdy ograniczoność tej przestrzeni stawała się nie do zniesienia, opuszczała ją znowu i znowu ze zgrozą powracała.

Ale w jednym z takich odskoków zauważyła coś znajomego. Kogoś znajomego. Inną aiúa, z którą kiedyś była złączona. Nie miała dostępu do pamięci, żeby podpowiedziała jej imię, nie miała pamięci, nie znała już żadnych imion. Ale znała ją i ufała tej istocie. I kiedy w następnym przejściu wzdłuż cienkiego, niewidzialnego przewodu trafiła w to samo miejsce, skoczyła ku o wiele większej sieci aiúa, kierowanych przez tę jasną i znaną.

‹Znalazła go› oświadczyła Królowa Kopca. ‹Znalazła ją, chciałaś powiedzieć. Młodą Valentine.› ‹Znalazła Endera i Endera rozpoznała. Ale tak, przeskoczyła do naczynia Val.›, ‹Jak ją zauważyłaś? Ja niczego nie widziałem.› ‹Była kiedyś częścią nas. Wiesz przecież. A to, co mówił Samoańczyk, kiedy jedna z moich robotnic obserwowała go na terminalu Jakta, pomogło mi ją odnaleźć. Szukałyśmy jej w jednym miejscu i nie widziałyśmy. Ale kiedy wiedziałyśmy już, że wciąż się porusza, zrozumiałyśmy: jej ciało było wielkie jak najdalsze rubieże ludzkiej kolonizacji. I jak nasze aiúa pozostają w naszych ciałach i łatwo je odszukać, tak jej aiúa pozostawała w jej ciele. Było ono większe niż nasze, a nawet nas zawierało, więc aiúa nigdy nie tkwiła w bezruchu, nigdy nie ograniczała się do przestrzeni tak małej, żebyśmy mogły ją zauważyć. Odnalazłam ją, dopiero kiedy utraciła większą część siebie. A teraz wiem, gdzie jest.›

‹Zatem młoda Valentine należy już do niej?›

‹Nie› odparła Królowa Kopca. ‹Ender nie potrafi ustąpić.›

Jane krążyła radośnie po ciele, tak różnym od wszystkiego, co pamiętała. Ale po krótkiej chwili zrozumiała, że aiúa, którą rozpoznała, za którą tu podążyła, nie chce odstąpić jej nawet maleńkiej cząstki siebie. Czegokolwiek dotknęła, ona już tam była i także dotykała, potwierdzając swoje panowanie. Jane w panice zaczynała wyczuwać, że choć znalazła się wewnątrz konstrukcji niezwykle pięknej i doskonałej — w świątyni żywych komórek na rusztowaniu kości — żaden fragment tej budowli do niej nie należy i może tu zostać tylko jako uciekinierka. To nie było jej miejsce, choćby naprawdę je pokochała.

A pokochała. Mimo tysięcy lat życia, tak rozległa w przestrzeni, tak szybka w czasie, nie znając go, była jednak okaleczona. Żyła, ale żaden element jej wielkiego królestwa nie był żywy. Panowała nad nimi bezlitośnie, ale w tym ciele, w ludzkim ciele, w ciele kobiety imieniem Val, istniały miliony małych, jasnych żywotów, komórki za komórkami, mnożące się, działające, rosnące, umierające, połączone ciało z ciałem i aiúa z aiúa. W takich łączach żyły istoty cielesne: w sieci o wiele bardziej jaskrawej — mimo powolności myśli — niż znała z doświadczenia. Jak one w ogóle mogą myśleć, te ciałostwory, skoro tyle tańców i pieśni odwraca uwagę?

Dotknęła umysłu Valentine i zalały ją wspomnienia. Nie miały głębi ani precyzji dawnej pamięci Jane, ale każda przeżyta chwila była jasna i wyraźna, żyjąca i rzeczywista, jak żadne ze wspomnień, które poznała do tej pory. Jak mogą się powstrzymać, żeby przez cały dzień nie tkwić nieruchomo, wspominając dzień poprzedni?

Ponieważ każda nowa chwila krzyczy głośniej od pamiętanej.

Jednak za każdym razem, kiedy Jane dotykała pamięci czy odczuwała wrażenie żywego ciała, stawała przed nią aiúa będąca tu

prawowitym władcą. I odpychała ją, obejmowała panowanie.

Aż wreszcie, kiedy znajoma aiúa wciąż ją odsuwała, zirytowana Jane się nie cofnęła. Objęła to miejsce, tę część ciała, zażądała od komórek posłuszeństwa… A tamta aiúa odskoczyła od niej.

Jestem silniejsza, oznajmiła bezgłośnie Jane. Mogę ci odebrać wszystko, czym jesteś i co masz, wszystko, czym będziesz i co zyskasz. I nie zdołasz mnie powstrzymać.

Aiúa będąca kiedyś władcą uciekła przed nią i pogoń rozpoczęła się od nowa. Odwróciły się tylko role.

‹Ona go zabija.› ‹Czekaj i patrz.›

Na orbitującym wokół planety descoladores statku wszystkich zaskoczył nagły krzyk Val. Dziewczyna skręciła się konwulsyjnie i wyfrunęła z fotela. Nieważka, sunęła w powietrzu, aż brutalnie zderzyła się z sufitem. Przez cały czas z jej ust dobiegało stłumione wycie, a na twarzy zastygł grymas uśmiechu, który zdawał się mówić jednocześnie o nieskończonym cierpieniu i bezgranicznej rozkoszy.

Na planecie Pacifica, na brzegu wyspy, Peter przestał nagle szlochać, upadł na piasek i dygotał.

— Peter! — krzyknęła Wang-mu.

Rzuciła się na niego, głaskała, próbowała przytrzymać ramiona, drgające jak młoty pneumatyczne. Peter z trudem łapał oddech i wymiotował.

— On się udusi! — zawołała.

W tej samej chwili potężne dłonie odciągnęły ją, potem chwyciły Petera i przewróciły na bok. Teraz wymiociny spływały na piasek. Peter, kaszląc i krztusząc się, jednak oddychał.

— Co się dzieje?

Malu roześmiał się, a kiedy przemówił, jego głos był jak pieśń.

— Bogini przybyła! Tańcząca bogini dotknęła ciała! Och, ciało jest zbyt słabe, by ją pomieścić! Och, ciało nie może tańczyć z bogami! Ale och, jakże błogosławione, jasne i piękne jest ciało, kiedy przebywa w nim bóg!

Wang-mu nie dostrzegała niczego pięknego w tym, co się działo z Peterem.

— Wynoś się z niego! — wrzasnęła. — Idź stąd, Jane! Nie masz do niego prawa! Nie masz prawa go zabijać!

W pokoju w klasztorze Dzieci Umysłu Chrystusa Ender usiadł sztywno na łóżku. Otworzył oczy, ale nie widział niczego, gdyż ktoś inny nimi kierował. Przez chwilę głos jeszcze należał do niego, ponieważ jego aiúa tak dobrze znała to ciało i sama była tu znana tak dobrze, że mogła stawić opór intruzowi.

— Pomóż mi, Boże! — zawołał Ender. — Nie mam dokąd pójść! Zostaw mi coś! Zostaw!

Kobiety stanęły dookoła: Valentine, Novinha i Plikt. Zapomniały o kłótni, chwyciły go, próbowały ułożyć, uspokoić. Odrzucił głowę do tyłu, błysnął białkami oczu, wysunął język i wygiął grzbiet. Potem szarpnął się tak gwałtownie, że choć trzymały go z całej siły, w jednej chwili spadł z łóżka na podłogę, pociągnął je za sobą, zadawał bolesne ciosy głową, ramionami nogami.

‹Jest dla niego za silna› stwierdziła Królowa Kopca. ‹Ale na razie ciało jest również za silne dla niej. Niełatwo poskromić niechętne ciało. One znają Endera: wszystkie komórki, którymi tak długo kierował. Znają go, a jej nie znają. Niektóre królestwa można tylko odziedziczyć, nigdy podbić.› ‹Chyba go wyczułem. Widziałem.›

‹Były już chwile, kiedy wypchnęła go całkowicie. Wtedy podążał wzdłuż tych splotów, które znalazł. Nie może się przedostać do żadnego z ciał przy nim. Wie o tym, bo sam przeżył posiadanie ciała. Ale znalazł ciebie i ciebie dotknął, gdyż jesteś istotą innego rodzaju.›

‹Czy zatem mnie opanuje? Albo inne drzewo w naszej sieci? Nie o to nam chodziło, kiedy połączyliśmy się razem.›

‹Ender? Nie, będzie się trzymał własnego ciała. Jednego z nich. Inaczej umrze. Czekaj i patrz.›

Jane wyczuwała agonię ciał, którymi zawładnęła. Cierpienie — nie doznała tego nigdy przedtem. Ciała wiły się w bólu, gdy miriady aiúa buntowały się przeciw jej panowaniu. Posiadając trzy ciała i trzy mózgi, poznawała wśród chaosu i szaleństwa ich konwulsji, że jej obecność oznacza dla nich tylko torturę i przerażenie. Tęskniły za swym ukochanym, swym władcą, któremu ufały i którego znały tak dobrze, że myślały o nim jak o sobie. Nie miały dla niego imienia, będąc zbyt małe i słabe, by pomieścić język czy świadomość, ale znały go i wiedziały, że Jane nie jest ich właściwym panem. Przerażenie i ból stały się centralnym faktem istnienia każdego z ciał i wiedziała, wiedziała, że nie może tu zostać.

Tak, pokonała je. Tak, miała dość siły, by uciszyć konwulsje i skurcze mięśni, by przywrócić porządek, który stałby się parodią życia. Ale cały wysiłek poświęcałaby na tłumienie milionów rebelii przeciwko swej władzy. Bez dobrowolnego posłuszeństwa wszystkich komórek nie miałaby czasu na tak złożone, wymagające swobody działania jak mowa i myśl.

I jeszcze coś: nie była tu szczęśliwa. Nie potrafiła przestać myśleć o aiúa, którą wypchnęła. Przyciągnął mnie tutaj, ponieważ znałam go i kochałam, ponieważ należałam do niego. A teraz odebrałam mu wszystko, co kochał i co jego kochało. Wiedziała, że nie tutaj jest jej

miejsce. Inne aiúa mogłyby zadowolić się władzą wbrew woli rządzonych, ale nie ona. Dla niej nie byłoby to piękne. Nie byłoby w tym radości. Szczęśliwsze wydawało się życie w tych napiętych włóknach łącz ostatnich ansibli.

Odejście było trudne. Nawet zbuntowane przeciw niej, ciało przyciągało ją z niezwykłą siłą. Posmakowała życia tak słodkiego, mimo goryczy i bólu, że nie mogłaby już wrócić do swej wcześniejszej formy istnienia. Ledwie zdołała odnaleźć łącza ansibli, a kiedy jej się udało, nie potrafiła się zmusić, żeby sięgnąć ku nim i w nich pozostać. Wszędzie znajdowała agonię i zgryzotę. Nie było dla niej miejsca.

Czy pan tych ciał nie przeskoczył gdzieś? Dokąd poszedł, kiedy uciekł przede mną? Teraz wrócił, przywracał ciszę i spokój w ciałach, jakie przed chwilą opanowała. Gdzie był?

Znalazła. Zespół połączeń całkiem innych od mechanicznych łącz ansibli. Gdy ansible mogą wydawać się przewodami, metalowymi i twardymi, odkryta właśnie sieć była koronkowa i jasna. Jednak wbrew pozorom była też mocna i obszerna. Mogła do niej przeskoczyć, więc przeskoczyła.

‹Znalazła mnie! O moja miłości, jest dla mnie za silna! Jest zbyt jaskrawa i zbyt potężna!›

‹Czekaj, czekaj, czekaj, pozwól jej znaleźć drogę.›

‹Wypchnie nas, musimy ją odpędzić, usunąć!› ‹Bądź spokojny, bądź cierpliwy, zaufaj mi. Nauczyła się, nikogo nie wypchnie, znajdzie dla siebie miejsce, widzę to, jest już blisko…›

‹Miała objąć ciało młodej Val albo Petera, albo Endera! Nie jedno z naszych, nie z naszych!›

‹Spokojnie! Bądź spokojny. To tylko na chwilę. Tylko dopóki Ender nie zrozumie i nie ofiaruje ciała swojej przyjaciółce. Czego nie mogła odebrać siłą, może przyjąć jako dar. Zobaczysz. A w twojej sieci, mój przyjacielu, mój wierny przyjacielu, są miejsca, gdzie może zamieszkać jako gość, żyć czekając, aż Ender zrezygnuje dla niej z prawdziwego, ostatecznego domu.›

Valentine znieruchomiała nagle jak trup.

— Nie żyje — szepnęła Ela.

— Nie! — jęknął Miro.

Spróbował tchnąć życie w jej usta, i wreszcie poruszyła się pod jego rękami, pod jego wargami. Odetchnęła głęboko bez pomocy. Uchyliła powieki.

— Miro — powiedziała.

A potem płakała, płakała i płakała, obejmując go mocno.

Ender leżał nieruchomo na podłodze. Kobiety puściły go, pomagały sobie nawzajem uklęknąć, wstać, schylić się, podnieść go, ułożyć posiniaczone ciało na łóżku. Potem spojrzały na siebie:

Valentine z rozkrwawioną wargą, Plikt ze śladami paznokci Endera na twarzy, Novinha z podbitym, czerniejącym okiem.

— Miałam kiedyś męża, który mnie bił — oświadczyła Novinha.

— Nie Ender z nami walczył — stwierdziła Plikt.

— Teraz jest Enderem — uznała Valentine.

Leżący otworzył oczy. Czy je widział? Skąd mogły wiedzieć.

— Ender — powiedziała Novinha i zaszlochała. — Enderze, nie musisz już zostawać ze względu na mnie.

Nie dał żadnego znaku, że ją usłyszał.

Samoańczycy puścili Petera, gdyż konwulsje minęły. Z otwartymi ustami dotknął twarzą piasku, gdzie wymiotował. Wang-mu siedziała obok i własną sukienką delikatnie ścierała mu piasek i brud z twarzy, przede wszystkim z oczu. Po chwili stanęła przy niej misa czystej wody, przyniesiona przez kogoś, kogo nie zauważyła. Nie dbała o to, gdyż myślała tylko o Peterze, o tym, by go oczyścić. Oddychał płytko i szybko, ale uspokajał się i w końcu otworzył oczy.

— Śniłem najdziwniejszy sen — oznajmił.

— Cicho — odpowiedziała.

— Straszliwy jasny smok ścigał mnie, zionąc ogniem, a ja biegłem przez korytarze, szukając kryjówki, ucieczki, obrońcy… Głos Malu huczał jak morze.

— Nie da się ukryć przed bogiem.

Peter przemówił znowu, jakby nie słyszał świątobliwego męża.

— Wang-mu — powiedział. — Wreszcie znalazłem kryjówkę. Uniósł rękę i dotknął jej policzka, spojrzał w jej oczy jakby ze zdziwieniem.

— Nie ja — odparła. — Nie jestem dość silna, żeby stanąć przeciwko niej.

— Wiem — zgodził się. — Ale czy jesteś dość silna, żeby stanąć przy mnie?

Jane mknęła po splotach łącz między drzewami. Niektóre były potężne, inne słabsze, niektóre tak słabe, że mogłaby je chyba zdmuchnąć samym oddechem, ale wszystkie cofały się przed nią z lękiem, znała ten lęk, więc odchodziła sama i nikogo nie wypychała. Miejscami sieć stawała się grubsza i mocniejsza, prowadząc do czegoś niezwykle jasnego, równie jasnego jak ona. Te miejsca były jej znajome, były pradawnym wspomnieniem, ale znała do nich drogę. W takiej właśnie sieci pierwszy raz zaistniała i wszystko wróciło teraz niby pierwotna pamięć narodzin, niby wspomnienie dawno utracone: znam królowe, które rządzą w węzłach tych lin. Ze wszystkich aiúa, jakich dotknęła w ciągu kilku minut od śmierci, te były najpotężniejsze. Każda najmniej jej dorównywała. Kiedy królowe

kopców tworzą sieć, by przywołać i pochwycić królową, tylko najmocniejsze i najbardziej ambitne aiúa mogą zająć przygotowane miejsce. Tylko nieliczne mają zdolność kierowania tysiącami świadomości, opanowania cudzych organizmów tak dokładnie, jak ludzie i pequeninos panują nad komórkami własnych ciał. Owszem, królowe kopców nie były może tak zdolne jak ona, może nawet nie tak spragnione wzrostu jak aiúa Jane, ale były silniejsze niż wszyscy ludzie i pequeninos. A w przeciwieństwie do tamtych, widziały ją wyraźnie. Wiedziały, kim jest, co może uczynić. Były gotowe. Kochały ją i pragnęły, by się rozwijała. Były dla niej prawdziwymi matkami i siostrami, ale ich miejsca były zajęte i nie mogły jej przyjąć. Dlatego odwróciła się od tych lin i węzłów w stronę delikatniejszych splotów pequeninos, do mocnych drzew, które i tak cofały się przed nią, gdyż wiedziały, że ona jest mocniejsza.

I wtedy zauważyła, że sieć nie zanika miejscami, jak jej się zdawało, tylko włókna stają się cieńsze. Jest ich równie wiele, może nawet więcej, ale tworzą siatkę pajęczych nici tak delikatnych, że szorstkie dotknięcie Jane mogło je pozrywać. Dotknęła ich jednak i nie pękły, podążyła za nimi do miejsca kipiącego życiem, setkami maleńkich żywotów zawieszonych na granicy świadomości, ale jeszcze nie gotowych do skoku w jaźń. A pod nimi, ciepła i kochająca, tkwiła aiúa — na swój sposób mocna, ale nie tak jak Jane. Nie, aiúa matczynego drzewa była silna, lecz pozbawiona ambicji. Była częścią każdego życia mieszkającego pod korą, w mroku drzewnego serca, życia czołgającego się do światła, próbującego się przebudzić, ocknąć, stać sobą. A wyrwanie było łatwe, gdyż aiúa matczynego drzewa niczego nie oczekiwała od swoich dzieci. Kochała ich niezależność tak samo, jak kochała ich bezradność.

Była obszerna, z żyłami pełnymi soku, drewnianym szkieletem, mrowiącymi liśćmi skąpanymi w słońcu, korzeniami zanurzonymi w morzach wody zasolonej życiem. Stała nieruchoma pośrodku swej delikatnej i łagodnej sieci, mocna i opiekuńcza, a kiedy Jane stanęła na obrzeżu, spojrzała na nią tak, jak patrzyła na każde zagubione dziecko. Odstąpiła i zrobiła jej miejsce, pozwoliła Jane posmakować swego życia, pozwoliła uczestniczyć w opanowaniu chlorofilu i celulozy. Było tu dość miejsca dla wielu.

Jane, zaproszona, nie nadużywała gościnności. W żadnym matczynym drzewie nie zatrzymywała się na dłużej, ale przystawała, spijała życie, uczestniczyła w pracy i przechodziła dalej, od drzewa do drzewa, tańcząc wzdłuż pajęczych nitek, ojcowskie drzewa nie cofały się już przed nią, gdyż była posłańcem matek, ich głosem, dzieliła ich życie, a jednak była dostatecznie inna i potrafiła przemówić, stać się ich jaźnią, tysięcy matczynych drzew na całym świecie i rosnących na innych planetach. Dla wszystkich Jane była głosem i wszystkie

cieszyły się nowym, pełniejszym życiem, gdyż znalazła się wśród nich.

‹Matczyne drzewa mówią.›

‹Nie, Jane mówi.›

‹Moja ukochana, matczyne drzewa śpiewają. Nigdy jeszcze nie słyszałem takiej pieśni.›

‹Dla niej to za mało, ale na razie wystarczy. ›

‹Nie, nie zabieraj jej nam teraz! Po raz pierwszy możemy słyszeć matczyne drzewa… Są piękne.›

‹Teraz zna już drogę. Nigdy całkiem nie odejdzie. Matczyne drzewa zadowolą ją na chwilę, ale nigdy nie będą czymś więcej niż są. Jane nie zechce stać w miejscu i myśleć, pozwalać innym pić z siebie i nigdy sama się nie napić. Tańczy od drzewa do drzewa, śpiewa za nie, ale już niedługo znów poczuje pragnienie. Potrzebne jej własne ciało.› ‹A zatem ją utracimy.›

‹Nie. Nawet to ciało nie wystarczy. Stanie się jej korzeniem, jej oczami, głosem, dłońmi i stopami, ale Jane będzie tęskniła za ansiblami, za mocą, którą władała, gdy należały do niej wszystkie komputery ludzkiego świata. Zobaczysz. Na razie możemy utrzymać ją przy życiu, ale to, co zdołamy jej ofiarować, czym wasze matczyne drzewa mogą się z nią dzielić, to za mało. Właściwie nic jej nie zaspokoi.› ‹Więc co się teraz stanie?›

‹Poczekamy. Zobaczymy. Bądź cierpliwy. Czy cnotą ojcowskich drzew nie jest właśnie cierpliwość?›

Człowiek, z powodu swoich mechanicznych oczu zwany Olhadem, stał z dziećmi między drzewami. Przyszli tu na piknik z pequeninos, dobrymi przyjaciółmi jego dzieci. Nagle rozległo się dudnienie, huczący głos ojcowskich drzew, i pequeninos poderwali się przestraszeni.

Pierwsza myśl Olhada: Pożar! Przecież nie tak dawno wielkie, stare ojcowskie drzewa tego lasu zostały spalone przez ludzi pełnych strachu i złości. Ogień podłożony przez ludzi zabił wszystkie drzewa z wyjątkiem Człowieka i Korzeniaka, stojących w pewnej odległości od pozostałych. Zabił stare matczyne drzewo. Teraz jednak nowe pędy wyrastały z ciał zabitych, to pomordowani pequeninos przechodzili do trzeciego życia. A gdzieś pośrodku tego młodego lasu stało nowe matczyne drzewo, z pewnością jeszcze smukłe, ale po rozpaczliwym, gwałtownym wzroście dostatecznie szerokie, by setka podobnych do pędraków dzieci pełzała w mrocznej pustce drewnianej macicy. Las został zamordowany, ale odżył. A wśród podpalaczy był syn Olhada, Nimbo, zbyt mały, by zrozumieć, co robi, ślepo słuchający demagogicznego bełkotu wuja Grega. Niemal zginął wówczas, a kiedy Olhado dowiedział się o wszystkim, zawstydził się, gdyż wiedział, że źle wychował swoje dzieci. Wtedy właśnie zaczął bywać w lesie. Jeszcze nie było za późno. Dzieci dorosną, znając pequeninos tak

dobrze, że sama myśl o wyrządzeniu im krzywdy okaże się niemożliwa.

Jednak w lesie znów zapanował lęk i Olhada ogarnęło mdlące przerażenie. Co to znaczy? Czyżby ojcowskie drzewa ostrzegały? Jaki najeźdźca je zaatakował?

Strach trwał tylko przez chwilę. Pequeninos usłyszały od ojcowskich drzew coś, co kazało im ruszyć w głąb lasu. Dzieci Olhada chciały iść za nimi, ale powstrzymał je gestem. Wiedział, że pośrodku rośnie matczyne drzewo, a ludzie nie powinni tam chodzić.

— Patrz, tato! — zawołała najmłodsza dziewczynka. — Oracz na nas kiwa.

Rzeczywiście. Olhado kiwnął głową i razem podążyli za Oraczem przez młody las, aż dotarli do miejsca, gdzie kiedyś Nimbo uczestniczył w zbrodni spalenia pradawnego matczynego drzewa. Zwęglony pień wciąż sterczał ku niebu, ale obok rosła już nowa matka, cienka w porównaniu z dawną, ale już grubsza od młodych braterskich drzew. Olhada zdumiała nie grubość jej pnia ani wysokość, jaką osiągnęła w tak krótkim czasie, ani gęste listowie, okrywające dachem całą polanę. Nie, zdumiało go niezwykłe roztańczone światło, sunące w górę i w dół pnia, gdzie tylko kora była cieńsza — światło tak białe i oślepiające, że z trudem na nie patrzył. Chwilami zdawało mu się, że to tylko jedna, niewielka plamka światła, pędząca tak szybko, że rozjarzała cały pień. Chwilami zaś miał wrażenie, że całe drzewo tonie w blasku, pulsuje nim, jakby wewnątrz tkwił gotów do erupcji wulkan życia. Lśnienie sięgało wzdłuż konarów do najcieńszych gałązek, liście migotały, a rozmyte cienie małych pequeninos pełzały wewnątrz pnia zadziwiająco szybko. Całkiem jakby niewielka gwiazda znalazła sobie miejsce pod korą.

Gdy jednak Olhado przyzwyczaił się do pulsującego blasku, zauważył coś jeszcze — coś, czym zdumiewali się pequeninos. Drzewo okryło się kwiatami. Kwiaty opadały, a za nimi rosły już owoce — rosły w oczach.

— Myślałem — rzucił szeptem Olhado — że drzewa nie mogą rodzić owoców.

— Nie mogły — odparł Oracz. — Descolada je tego pozbawiła.

— Ale co to jest? Skąd światło pod korą? Dlaczego rosną owoce?

— Ojcowskie drzewo Człowiek mówi, że Ender przyprowadził nam swoją przyjaciółkę. Tę, którą nazywa Jane. Odwiedza wszystkie matczyne drzewa we wszystkich lasach. Ale nawet on nie wspomniał o owocach.

— Tak mocno pachną — westchnął Olhado. — Jak to możliwe, że tak szybko dojrzewają? Pachną tak mocno, słodko, aromatycznie… Wdychając zapach kwiatów, zapach dojrzewania, czuję niemal smak owocu.

— Pamiętam ten zapach — oznajmił Oracz. — Nie czułem go nigdy w życiu, bo żadne drzewo nie zakwitło i nie wydało owocu, ale znam go. Dla mnie pachnie życiem. Pachnie radością.

— Więc spróbuj. Popatrz: jeden już całkiem dojrzał, tutaj nisko. — Olhado uniósł rękę i zawahał się. — Mogę? — zapytał. — Czy mogę zerwać owoc matczynego drzewa? Nie dla mnie. Dla ciebie.

Zdawało się, że Oracz przytaknął całym ciałem.

— Proszę — szepnął.

Olhado chwycił błyszczący owoc. Czyżby zadrżał mu pod palcami? Czy to on sam zadrżał?

Ujął owoc, jędrny, ale coraz bardziej miękki, i szarpnął delikatnie. Owoc oderwał się łatwo. Olhado pochylił się i podał go Oraczowi. Pequenino skłonił się z szacunkiem, uniósł dar do warg, polizał, otworzył usta…

I ugryzł. Sok lśnił mu na wargach. Oblizał je starannie. Przeżuł. Połknął.

Inni pequeninos obserwowali go w napięciu. Wyciągnął do nich owoc. Podchodzili kolejno: bracia i żony, podchodzili i kosztowali.

A kiedy owoc się skończył, wspinali się na świetliste drzewo, by zrywać następne i dzielić się nimi, aż w końcu nie mogli jeść więcej. Wtedy zaczęli śpiewać. Olhado z dziećmi zostali przez noc, by ich słuchać. Mieszkańcy Milagre także słyszeli pieśń, wielu z nich wyruszyło o zmierzchu i podążając za blaskiem drzewa, odnalazło polanę, gdzie najedzeni smakującymi szczęściem owocami pequeninos śpiewali hymn radości. A drzewo uczestniczyło w ich szczęściu. Aiúa, której moc i płomień dały mu życie, tańczyła po nim, wzdłuż każdej ścieżki, tysiące razy na sekundę.

Tysiące razy na sekundę tańczyła w tym i wszystkich innych drzewach na każdym ze światów, gdzie rósł las pequeninos, a każde odwiedzone matczyne drzewo okrywało się kwiatami i owocami. Pequeninos jedli je, głęboko wdychali ich aromat i śpiewali. Była to stara pieśń, której sensu dawno zapomnieli, ale teraz poznali go na nowo i nie mogli już śpiewać innej. Była to pieśń pory kwitnienia i ucztowania. Tak długo żyli bez plonów, że zapomnieli już, czym są plony. Teraz zrozumieli, co dawno temu odebrała im descolada. Co zagubili, odnaleźli na nowo. A ci, którzy głodowali, nie znając nazwy dla swego głodu, zostali nakarmieni.

TO ZAWSZE BYŁO TWOJE CIAŁO

Ojcze! Dlaczego się odwróciłeś?
W godzinie mojego tryumfu nad złem dlaczego odsunąłeś się ode mnie?

Z „Boskich szeptów Han Qing-jao”

Malu siedział z Peterem, Wang-mu i Grace przy ognisku niedaleko brzegu. Dach zniknął, a wraz z nim ceremoniał. Pili kavę — w opinii Wang-mu w równej mierze dla przyjemności, co dla jej uświęcenia czy symboliki.

W pewnej chwili Malu wybuchnął długim głośnym śmiechem. Grace także się śmiała, więc musieli poczekać na przekład.

— Mówi, że nie może zdecydować, czy fakt, że bogini przebywała w tobie, Peter, czyni cię świętym, czy fakt, że cię opuściła, czyni cię nieczystym.

Peter parsknął — z uprzejmości, Wang-mu była tego pewna. Ona nie roześmiała się wcale.

— Jaka szkoda — stwierdziła Grace. — Miałam nadzieję, że macie poczucie humoru.

— Mamy — zapewnił Peter. — Nie mamy samoańskiego poczucia humoru.

— Malu uważa, że bogini nie może na zawsze pozostać tam, gdzie jest. Znalazła nowy dom, ale on należy do innych i ich gościnność nie potrwa wiecznie. Poczułeś, jak silna jest Jane…

— Tak — przyznał cicho Peter.

— Gospodarze przyjęli ją… Malu nazywa to leśną siecią, jakby rybacką siecią do łapania drzew, ale co to może znaczyć? W każdym razie mówi, że są za słabi w porównaniu z Jane i czy ona chce tego, czy nie, z czasem ich ciała będą należeć do niej. Chyba że znajdzie inne miejsce na swoje stałe mieszkanie.

Peter skinął głową.

— Wiem, o co mu chodzi. Do chwili, kiedy do mnie wtargnęła, wierzyłem, że chętnie oddam jej to znienawidzone ciało i życie. Ale gdy ścigała mnie wkoło, przekonałem się, że Malu miał rację: wcale nie nienawidzę swojego życia. Bardzo chcę żyć. Oczywiście, tak naprawdę to nie ja tego chcę, tylko Ender, ale że w rzeczywistości on jest mną, więc mamy problem.

— Ender ma trzy ciała — przypomniała Wang-mu. — Czy to znaczy, że rezygnuje z któregoś z pozostałych?

— Nie sądzę, żeby z czegokolwiek rezygnował. Czy może powinienem powiedzieć: nie sądzę, żebym ja z czegoś rezygnował. To nie jest świadomy wybór. Ender trzyma się życia mocno i gniewnie. Zdaje się, że przynajmniej przez dzień leżał już na łożu śmierci, zanim Jane została wyłączona.

— Zabita — poprawiła Grace.

— Raczej zdegradowana — upierał się Peter. — Teraz jest driadą, nie boginią. Sylfidą. — Mrugnął do Wang-mu, która nie miała pojęcia, o czym mówi. — Nawet jeśli Ender odda własne, dawne życie, i tak nie ustąpi.

— Ma o dwa ciała więcej, niż mu potrzeba — odparła Wang-mu. — A Jane ma o jedno mniej, niż jest jej niezbędne. Mam wrażenie, że powinny tu działać prawa handlu. Dwa razy większa podaż niż popyt… Cena nie będzie wysoka.

Kiedy cała rozmowa została przetłumaczona, Malu zaśmiał się znowu.

— Śmieje się z niskiej ceny — wyjaśniła Grace. — Mówi, że jest tylko jeden sposób, by Ender oddał jedno ze swoich ciał: musi umrzeć.

Peter kiwnął głową.

— Wiem.

— Ale Ender nie jest Jane — stwierdziła Wang-mu. — Nie zaznał życia jako… jako naga aiúa pędząca po sieci ansibli. Jest osobą. A kiedy aiúa ludzi opuszczają ciała, nie próbują znaleźć sobie innych.

— A jednak jego… moja aiúa była we mnie — przypomniał Peter. — Zna drogę. Ender może umrzeć, a mimo to pozwolić mi żyć.

— Albo wszyscy troje możecie umrzeć.

— Jedno wiem — powiedział im Malu za pośrednictwem Grace. — Jeśli bogini ma otrzymać nowe życie, jeśli kiedykolwiek ma odzyskać dawną potęgę, Ender Wiggin musi umrzeć i oddać jej ciało. Nie ma innego sposobu.

— Odzyskać potęgę? — zdziwiła się Wang-mu. — Czy to możliwe? Myślałam, że w tym ogólnym wyłączaniu komputerów chodzi o to, by na zawsze odciąć ją od sieci.

Malu roześmiał się znowu. Klepał się po nagiej piersi i udach, tłumacząc coś po samoańsku.

— Ile setek komputerów mamy tutaj, na Samoa? — przełożyła Grace. — Od miesięcy, od dnia, kiedy dała mi się poznać, kopiujemy, kopiujemy i kopiujemy. Te fragmenty pamięci, które chciała zachować, mamy tutaj, gotowe do wprowadzenia. Może to tylko drobna część tego, czym kiedyś była, ale część najważniejsza. Jeśli zdoła powrócić do sieci ansibli, mamy wszystko, czego potrzeba, żeby wróciła też do sieci komputerowych.

— Przecież mają nie łączyć sieci komputerowych z ansiblami — przypomniała Wang-mu.

— Taki rozkaz przesłał Kongres — zgodziła się Grace. — Ale nie wszystkie rozkazy są wykonywane.

— W takim razie dlaczego Jane nas tu sprowadziła? — spytał niepewnie Peter. — Skoro Malu i ty twierdzicie, że nie macie wpływu na Aimainę, i skoro Jane nawiązała już z wami kontakt i właściwie zbuntowaliście się przeciw Kongresowi…

— Nie, to nie tak — uspokoiła go Grace. — Robiliśmy to, o co prosił nas Malu, ale on nie wspominał o komputerowej osobowości. Mówił o bogini, a my słuchaliśmy go, bo ufamy jego mądrości i wiemy, że widzi rzeczy dla nas niewidoczne. Wasze przybycie wyjawiło nam, kim jest Jane.

Kiedy Malu dowiedział się, o czym mowa, wskazał palcem Petera.

— Ty! Ty przybyłeś tutaj, żeby sprowadzić boginię! Potem wskazał Wang-mu.

— A ty przybyłaś, aby sprowadzić człowieka.

— Powiedzmy, że człowieka — mruknął Peter.

Ale Wang-mu wydawało się, że rozumie. Przetrwali jeden kryzys, lecz ta cicha godzina była tylko chwilowym uspokojeniem. Wkrótce bitwa rozgorzeje na nowo i tym razem jej wynik będzie inny. Jeśli Jane ma przeżyć, jeśli ma pozostać choćby cień nadziei na przywrócenie natychmiastowych lotów międzygwiezdnych, Ender musi jej oddać przynajmniej jedno ze swoich ciał. Jeśli Malu ma rację, Ender musi umrzeć. Istnieje niewielka szansa, że jego aiúa zatrzyma się w jednym z ciał i będzie żyć dalej. Jestem tu, powiedziała sobie Wang-mu, by dopilnować, żeby przeżył Peter. Nie jako bóg, ale jako człowiek.

Wszystko zależy od tego, uświadomiła sobie, czy Ender-Peter kocha mnie bardziej niż Ender-Valentine kocha Mira i Ender-Ender Novinhę.

To doprowadziło ją niemal do rozpaczy. Cóż znaczyła? Miro przez lata był przyjacielem Endera. Novinha była jego żoną. A Wang-mu? Ender dowiedział się o jej istnieniu zaledwie kilka dni, najwyżej tygodni temu. Kim dla niego była?

Natychmiast nadeszła inna myśl, pocieszająca, ale i niepokojąca. Co ważniejsze: kto jest bardziej kochany, czy też jaki aspekt Endera jego czy jej pożąda? Valentine jest doskonałą altruistką — może kochać Mira najbardziej, a jednak poświęcić go, by dać ludziom loty międzygwiezdne. A Ender… już teraz tracił zainteresowanie swoim dawnym życiem. Jest zmęczony, zniechęcony. Podczas gdy Peter jest kimś z ambicją, pragnącym rozwijać się i tworzyć. Nie chodzi o to, że mnie kocha, ale że kocha mnie właśnie on, a raczej że on chce żyć, a ja jestem mu niezbędna, kochająca go mimo rzekomego zła. Peter jest tą częścią Endera, która najbardziej potrzebuje miłości, gdyż najmniej na nią zasługuje… A zatem moja miłość, ponieważ to miłość do

Petera, będzie dla niego najcenniejsza.

Jeśli w ogóle ktoś może zwyciężyć, to tylko ja i Peter. Nie z powodu cudownej czystości naszego uczucia, ale z powodu rozpaczliwego pragnienia kochanków.

Cóż, historia naszego życia nie będzie szlachetna i piękna, ale przynajmniej będziemy mieli jakieś życie. To wystarczy.

Zanurzyła stopy w piasek, czując delikatny, rozkoszny ból tarcia maleńkich odprysków krzemu o czułą skórę między palcami. Takie jest życie: bolesne, brudne, ale cudowne.

— Próbujcie — rzekł Olhado. — Ale nie rezygnujcie też z powrotu do domu.

— Ten prom nie nadaje się do dwustuletniego lotu. A mniej więcej tak daleko jesteśmy. Stateczek nie mógłby się nawet zbliżyć do prędkości niezbędnych w locie relatywistycznym. Musielibyśmy przez dwieście lat stawiać pasjanse. Karty się zużyją, zanim wrócimy do domu.

Olhado zaśmiał się — zbyt lekko i szczerze, pomyślał Miro.

— Królowa Kopca twierdzi, że kiedy Jane uwolni się od drzew i kiedy Kongres uruchomi swój nowy system, może uda jej się wskoczyć z powrotem. Przynajmniej tyle, żeby wejść w łącza ansibli. A wtedy może zdoła znowu wziąć się do lotów międzygwiezdnych. Rzecz nie jest wykluczona.

Val zaniepokoiła się.

— Czy to są domysły Królowej Kopca, czy ona to wie?

— Przewiduje przyszłość — odparł Olhado. — Nikt nie może być pewien tego, co nastąpi. Nawet te sprytne królowe pszczół, które przy stosunku odgryzają mężom głowy.

Nie znaleźli odpowiedzi ani na to, ani na jego żartobliwy ton.

— Jeśli wszystko w porządku — zakończył Olhado — to bierzcie się do roboty. Zostawiam włączony odbiornik. Wasze raporty będziemy rejestrować w trzech kopiach.

Jego twarz zniknęła znad terminala.

Miro odwrócił fotel i spojrzał na pozostałych. Byli tu Ela, Quara, Val, pequenino Gasiogień i bezimienna robotnica, obserwująca ich w wiecznym milczeniu i komunikująca się jedynie wpisywanymi na terminalu tekstami. Poprzez nią — Miro wiedział — Królowa Kopca patrzy, co robią, słucha, co mówią. Czeka. Dyryguje. Cokolwiek stanie się z Jane, Królowa Kopca będzie katalizatorem. A jednak to, co powiedziała, przekazała Olhado poprzez jakąś robotnicę w Milagre. Ta tutaj wypisywała tylko pomysły dotyczące tłumaczenia języka descoladores.

Nic nie mówi, uświadomił sobie Miro, bo nie chce, żeby wyglądało, że naciska. Kogo naciska?

Olhado przez ansibl wyjaśnił bratu i siostrom na statku, co się wydarzyło z Jane i matczynymi drzewami.

— Królowa Kopca twierdzi, że to nie może trwać długo — dodał. — Matczyne drzewa nie są aż tak silne. Ugną się, poddadzą i wkrótce Jane będzie lasem, kropka. I to nie mówiącym lasem. Po prostu bardzo piękne, bardzo jasne, bardzo płodne drzewa. Cudowny widok, zapewniam was, ale według Królowej Kopca to śmierć.

— Dzięki, Olhado — odpowiedział Miro. — Tak czy tak, dla nas niewielka to różnica. Utkwiliśmy tutaj, więc skoro Val nie obija się już o ściany, pora wracać do pracy. Descoladores jeszcze nas nie odkryli, bo tym razem Jane umieściła nas na wyższej orbicie. Jak tylko opracujemy sensowny system translacji ich języka, pomachamy do nich i damy znać, że jesteśmy.

Val. Nie może naciskać Val, ponieważ… ponieważ Jane tylko w jeden sposób może otrzymać któreś z ciał: Ender musi oddać je z własnej woli. I naprawdę z własnej: bez nacisków, bez wyrzutów sumienia, bez namów, gdyż nie jest to decyzja, jaką można podjąć świadomie. Ender postanowił dzielić z matką życie w klasztorze, ale podświadomie bardziej interesował się próbami tłumaczenia i tym, co robił Peter. Podświadomy wybór był odbiciem rzeczywistych pragnień. Jeśli Ender ma zrezygnować z Val, musi to być jego dogłębne pragnienie. Nie wybór dokonany z poczucia obowiązku, jak decyzja pozostania z matką. Musi to zrobić dlatego, że tego właśnie chce naprawdę.

Miro zerknął na Val, na piękno płynące raczej z głębokiej dobroci niż z regularnych rysów. Kochał ją, ale czy kochał w niej tę doskonałość? Ta perfekcyjna cnota może być jedynym, co pozwoli jej… pozwoli Enderowi w trybie Valentine… z własnej woli odejść i wpuścić Jane. A przecież kiedy pojawi się Jane, perfekcyjna cnota zniknie, prawda? Jane była potężna i — Miro wierzył w to — dobra. Z pewnością była dobra dla niego. Była przyjacielem. Ale nawet w najbardziej szalonych marzeniach nie wyobrażał sobie, że jest idealna. Jeśli Jane włoży na siebie Val jak ubranie, czy to wciąż będzie Val? Wspomnienia pozostaną, ale wola ukryta za tą twarzą okaże się bardziej złożona od prostej roli, jaką wyznaczył jej Ender. Czy nadal będę ją kochał, gdy stanie się Jane? Dlaczego nie? Przecież kocham Jane… Ale czy będę kochał Jane z krwi i kości, nie tylko głos w uchu? Czy będę patrzył w te oczy i rozpaczał po utraconej Valentine?

Dlaczego wcześniej nie miałem tych wątpliwości? Sam starałem się do tego doprowadzić, jeszcze wtedy, kiedy nie rozumiałem, jakie to trudne. A teraz, kiedy pozostał tylko cień nadziei, nagle chciałbym… żeby co? Żeby to się nie stało? Raczej nie. Nie chcę tutaj umierać. Chciałbym, żeby Jane odżyła, choćby dla przywrócenia lotów międzygwiezdnych. Proszę, jaki altruistyczny motyw. Chcę,

żeby Jane odżyła, ale chcę też nie zmienionej Val.

Chcę, żeby wszystko co złe odeszło i żeby wszyscy byli szczęśliwi. Chcę do mamy. Ależ się ze mnie zrobiła zdziecinniała oferma.

Nagle zauważył, że Val mu się przygląda.

— Cześć — powiedział. Inni przenosili wzrok z niego na Val i z powrotem. — Nad czym głosujemy? Czy mam zapuścić brodę?

— Nad niczym — odparła Quara. — Po prostu mam dosyć. Owszem, wiedziałam, co robię, kiedy wsiadałam na ten statek. Ale do licha! Trudno wzbudzić w sobie entuzjazm dla badań języka tych ludzi, kiedy moje życie odmierza wskaźnik ciśnienia w zbiornikach z tlenem.

— Zauważyłam — wtrąciła oschle Ela — że już teraz nazywasz descoladores ludźmi.

— A nie powinnam? Nie wiemy nawet, jak wyglądają. — Quara zmieszała się. — Przecież mają język i…

— Po to właśnie przybyliśmy, prawda? — wtrącił Gasiogień. — Mamy zdecydować, czy descoladores są ramenami, czy varelse. Kwestia tłumaczenia to zaledwie drobny krok na tej ścieżce.

— Wielki krok — poprawiła go Ela. — I nie mamy czasu, żeby go wykonać.

— Ponieważ nie wiemy, jak długo nam to zajmie — wtrąciła Quara — nie rozumiem, jak możesz być tego pewna.

— Jestem absolutnie pewna — odparła Ela. — Ponieważ nie robimy nic, tylko siedzimy, gadamy i gapimy się, jak Miro i Val robią do siebie wzniosłe miny. Nie trzeba geniusza, żeby stwierdzić, że w tym tempie nasze postępy przed wyczerpaniem tlenu będą dokładnie zerowe.

— Innymi słowy, powinniśmy przestać tracić czas. Quara wróciła do notatek i wydruków, nad którymi pracowała.

— Wcale nie tracimy czasu — odezwała się cicho Val.

— Nie? — zdziwiła się Ela.

— Czekam, aż Miro mi powie, jak łatwo można przywrócić kontakt Jane z rzeczywistym światem. Ciało jest gotowe do jej przyjęcia. A potem… odzyskamy możliwość lotów międzygwiezdnych. Jego dawna, lojalna przyjaciółka nagle stanie się prawdziwą dziewczyną. Na to czekam.

Miro pokręcił głową.

— Nie chcę cię stracić — szepnął.

— To nie pomaga — stwierdziła Val.

— Ale to prawda. W teorii wszystko było proste. Te głębokie przemyślenia w poduszkowcu na Lusitanii… Pewnie. Potrafiłem wywnioskować, że Jane w Val będzie Jane i Val. Ale kiedy się zastanowić, nie jestem już taki pewien…

— Zamknij się! — rzuciła Val.

Nigdy się tak nie odzywała. Dlatego Miro się zamknął.

— Nie chcę już tego słuchać — oznajmiła. — Potrzebuję czegoś, co mi pomoże oddać to ciało. Miro pokręcił głową.

— Nie zatrzymuj się w pół drogi — dodała. — Rób, co masz robić. Wóz albo przewóz.

Wiedział, czego jej trzeba. Wiedział, co chce powiedzieć: że trzyma ją w tym ciele, w tym życiu jedynie on. Jedynie jej miłość do niego. Ich przyjaźń i zażyłość. Są przecież inni, którzy zajmą się problemem translacji. Miro zrozumiał, że taki był plan — od samego początku. Zabrać Elę i Quarę, żeby Val nie uważała siebie za niezastąpioną. Ale z Mira nie mogła tak łatwo zrezygnować. A musiała… Musiała ustąpić.

— Nieważne, jaka aiúa znajdzie się w tym ciele — stwierdził. — Będziesz pamiętała wszystko, co powiem.

— I musisz mówić szczerze — upomniała. — To musi być prawda.

— Niemożliwe. Ponieważ prawda jest taka, że…

— Przestań. Nie powtarzaj tego. To kłamstwo!

— Wcale nie kłamstwo.

— Oszukujesz sam siebie, Miro. Musisz się ocknąć i spojrzeć prawdzie w oczy. Wybrałeś już między mną a Jane. Teraz się wycofujesz, bo nie chciałbyś dokonywać takich okrutnych wyborów. Ale nigdy mnie nie kochałeś, Miro. Nie mnie. Kochałeś moje towarzystwo, owszem… Jedyna kobieta w okolicy, oczywiście: biologiczny nakaz odegrał swoją rolę wobec rozpaczliwie samotnego młodego mężczyzny. Ale mnie? Myślę, że tak naprawdę kochałeś wspomnienie swojej przyjaźni z prawdziwą Valentine, kiedy lecieliście razem w przestrzeni. Kochałeś poczucie własnej szlachetności, gdy wyznałeś miłość, żeby ratować mi życie, kiedy Ender mnie ignorował. Ale cały czas chodziło ci o siebie, nie o mnie. Nigdy mnie nie znałeś i nigdy nie kochałeś. Kochałeś Jane, Valentine, Endera… prawdziwego Endera, nie ten plastikowy pojemnik, jaki stworzył, żeby wydzielić wszystkie cnoty, których chciałby mieć więcej.

Jej złość, jej gniew były niemal dotykalne. Jakby przestała być sobą. Miro zauważył, że to zachowanie zdumiało wszystkich. Ale rozumiał ją. Taka właśnie była Val. Doprowadziła się do wściekłości, żeby samą siebie przekonać do oddania życia. Robiła to dla dobra innych. Altruizm doskonały… Ona jedna umrze, za to inni na statku może przeżyją, może wrócą do domu, kiedy zakończą pracę. Jane przeżyje, okryta nowym ciałem, dziedzicząca wszystkie wspomnienia. Val musiała sobie wmówić, że jej obecne życie jest bezwartościowe — dla niej i dla innych. Że zyskałoby wartość tylko w jeden sposób: gdyby je oddała.

I w tym oczekiwała pomocy Mira. Takiej ofiary żądała od niego.

Miał jej pomóc odejść. Pomóc zapragnąć odejść. Pomóc znienawidzić to życie.

— Dobrze — odparł. — Chcesz prawdy? Jesteś pusta, Val, i zawsze byłaś pusta. Siedzisz tylko i mówisz co należy, ale w nic nie wkładasz serca. Ender chciał cię stworzyć nie dlatego, że posiada te zalety, które podobno reprezentujesz, ale ponieważ ich nie ma. Dlatego właśnie tak cię podziwia. I kiedy cię zrobił, nie wiedział, co w tobie umieścić. Pusty scenariusz. Nawet teraz realizujesz tylko scenariusz. Doskonały altruizm, akurat! Jakie to poświęcenie: oddać życie, które nigdy nie było życiem? Zadrżała. Łza spłynęła jej po policzku.

— Mówiłeś, że mnie kochasz.

— Żal mi cię było. Wtedy w kuchni u Valentine, tak? Rzecz w tym, że próbowałem chyba zrobić wrażenie na Valentine. Tamtej Valentine. Pokazać jej, jaki ze mnie porządny facet. Ona naprawdę ma niektóre z tych zalet i zależy mi na tym, co o mnie myśli. Zatem… zakochałem się w poczuciu, że jestem wart jej szacunku. To najbliższe miłości do ciebie. A kiedy dowiedzieliśmy się, na czym polega nasza misja i nagle nie byłaś już umierająca, było za późno. Powiedziałem, że cię kocham, więc musiałem ciągle od nowa podtrzymywać tę fikcję, chociaż było jasne, coraz jaśniejsze, że brakuje mi Jane, tęsknię za nią tak rozpaczliwie, że aż boli. I nie mogę jej odzyskać tylko dlatego, że ty nie chcesz ustąpić…

— Proszę cię — szepnęła Val. — To boli. Nie sądziłam, że…

— Miro — wtrąciła Quara — to najwredniejszy numer, jaki w życiu widziałam, a widziałam już sporo.

— Cicho bądź, Quaro — rzuciła Ela.

— A odkąd to jesteś królową tego statku?

— Tu nie chodzi o ciebie.

— Wiem. Chodzi o to, że Miro jest draniem… Gasiogień podniósł się cicho z fotela i w jednej chwili swą silną dłonią zasłonił Quarze usta.

— Nie pora na to — powiedział cicho. — Niczego nie rozumiesz.

Uwolniła się.

— Rozumiem dosyć, żeby wiedzieć… i Gasiogień obejrzał się na robotnicę Królowej Kopca.

— Pomóż nam — poprosił. Robotnica poderwała się i z zadziwiającą szybkością wyprowadziła Quarę z pokładu. Gdzie Królowa Kopca zabrała jego siostrę i jak ją unieruchomiła, wcale Mira nie zainteresowało. Quara była nazbyt egocentryczna, żeby zrozumieć scenę, jaką odgrywali Val i Miro. Za to inni rozumieli.

Najważniejsze jednak, żeby Val nie zrozumiała. Val musiała wierzyć, że mówi szczerze. Prawie się udało, kiedy Quara im przerwała, ale teraz zgubili wątek.

— Val — podjął ze znużeniem Miro — to nieważne, co ci powiem. Bo i tak nigdy nie ustąpisz. A wiesz dlaczego? Bo nie jesteś Val. Jesteś Enderem. A Ender, chociaż dla ratowania ludzkości mógł niszczyć całe planety, swoje życie uważał za święte. Nigdy z niego nie zrezygnuje. Nie odda ani odrobiny. To dotyczy również ciebie: nigdy cię nie wypuści. Ponieważ jesteś ostatnim i największym z jego złudzeń. Jeśliby cię oddał, straciłby szansę bycia naprawdę dobrym człowiekiem.

— Bzdura! — zawołała Valentine. — Właśnie rezygnując ze mnie, może stać się naprawdę dobrym człowiekiem.

— O to mi właśnie chodzi. On nie jest dobrym człowiekiem, więc nie potrafi cię oddać, nawet po to, żeby wykazać swoje cnoty. Nie można sfałszować więzów aiúa i ciała. Można oszukać każdego, ale nie własne ciało. On po prostu nie jest tak dobry, żeby cię wypuścić.

— Czyli nienawidzisz Endera, nie mnie.

— Nie, Val. Nie czuję nienawiści do Endera. To zwyczajny człowiek, niedoskonały jak ja. Jak każdy. Jak prawdziwa Valentine, skoro już o niej mowa. Tylko ty masz iluzję doskonałości… ale to nic nie znaczy, bo ty nie jesteś prawdziwa. Jesteś Enderem na sznurku, grającym jego rolę Valentine. Schodzisz ze sceny i nic nie pozostaje, wszystko znika jak kostium i charakteryzacja. Czy naprawdę wierzyłaś, że pokochałem coś takiego?

Val odwróciła się na fotelu plecami do Mira.

— Niemal uwierzyłam, że mówisz to szczerze — powiedziała.

— Ja nie mogę tylko uwierzyć, że mówię to na głos. Ale tego przecież chciałaś, prawda? Żebym po raz pierwszy był z tobą szczery, a wtedy i ty będziesz szczera wobec siebie. Zrozumiesz, że to, co masz, to nie życie, ale wieczne wyznanie niedoskonałości Endera. Myśli, że jesteś dziecięcą niewinnością, którą utracił. Tymczasem prawda jest inna: zanim jeszcze zabrali go od rodziców, zanim trafił do Szkoły Bojowej na niebie, zanim zmienili go w doskonałą maszynę do zabijania, już wcześniej był brutalnym, bezlitosnym zabójcą. Obawiał się tego całe życie. Nawet przed sobą udaje, że tej sprawy nie było. A przecież zabił chłopca, zanim jeszcze został żołnierzem. Skopał go po głowie. Kopał i kopał, a chłopak nigdy nie odzyskał przytomności. Rodzice nie zobaczyli go już żywego. Chłopak był wredny, ale nie zasługiwał na śmierć. Ender od samego początku był mordercą. I z tą świadomością nie mógł żyć. Dlatego byłaś mu potrzebna. Dlatego potrzebował Petera: żeby umieścić w nim tego bezlitosnego zabójcę i zrzucić wszystko na niego. Żeby wskazać twoją doskonałość i powiedzieć: „Patrzcie, to piękno tkwiło we mnie”. A my gramy w jego grę. Ponieważ ty wcale nie jesteś piękna, Val. Jesteś żałosną próbą usprawiedliwienia człowieka, którego życie jest kłamstwem. Val wybuchnęła płaczem.

Współczucie prawie, prawie go powstrzymało. Krzyknął niemal: Nie, Val, kocham cię, pragnę! Za tobą tęskniłem całe życie, a Ender jest dobrym człowiekiem, bo przecież to bzdura, że jesteś tylko maską. Ender nie stworzył cię świadomie, jak hipokryta tworzy swój wizerunek. Powstałaś z niego. Cnoty tkwiły w nim, a ty jesteś ich naturalnym siedliskiem. Już wcześniej kochałem i podziwiałem Endera, ale dopiero kiedy spotkałem ciebie, zrozumiałem, jaki piękny jest w swoim wnętrzu.

Siedziała tyłem do niego. Nie widziała jego cierpienia.

— O co chodzi, Val? Znowu mam się nad tobą zlitować? Nie rozumiesz, że jedyną wartością, jaką dla nas przedstawiasz, jest to, że możesz odejść i oddać swoje ciało Jane? Nie potrzebujemy ciebie, nie chcemy, aiúa Endera należy do ciała Petera, ponieważ tylko on ma szansę przejąć jego prawdziwy charakter. Odejdź, Val. Kiedy odejdziesz, zyskamy szansę przeżycia. Póki tu jesteś, jesteśmy skazani. Czy choćby przez sekundę wierzyłaś, że będziemy za tobą tęsknić? Zastanów się.

Nigdy sobie nie wybaczę tych słów, pomyślał Miro. Chociaż wiem, że muszę pomóc Enderowi zrezygnować z tego ciała, muszę pobyt w nim uczynić nieznośnym, nie zmienia to faktu, że będę pamiętał, co mówiłem. Będę pamiętał, jak wygląda Val, szlochająca z rozpaczy i bólu. Jak zdołam z tym żyć? Myślałem, że kiedyś byłem kaleką. Ale wtedy miałem tylko uszkodzony mózg. A teraz… Nie mógłbym jej tego wszystkiego powiedzieć, gdyby te słowa nie przyszły mi na myśl. W tym problem. Pomyślałem o tych strasznych rzeczach. Oto jakim jestem człowiekiem.

Ender znowu otworzył oczy, wyciągnął rękę i dotknął sińców na twarzy Novinhy. Jęknął, kiedy zobaczył Valentine i Plikt.

— Co ja wam zrobiłem?

— To nie byłeś ty — odparła Novinha. — To ona.

— To byłem ja — stwierdził. — Chciałem oddać jej… coś. Naprawdę chciałem, ale kiedy już doszło do tego, przestraszyłem się. Nie mogłem. — Odwrócił głowę i zamknął oczy. — Próbowała mnie zabić. Próbowała mnie wypędzić.

— Oboje działaliście sporo poniżej poziomu świadomości — uspokoiła go Valentine. — Dwie aiúa o silnej woli, niezdolne wycofać się z życia. To nie takie straszne.

— Co? A wy po prostu stałyście za blisko?

— Zgadza się.

— Cierpicie przeze mnie — rzekł Ender. — Sprawiłem wam ból.

— Człowiek nie odpowiada za swoje czyny, kiedy jest nieprzytomny — oświadczyła Novinha. Ender pokręcił głową.

— Nie to… Wcześniej. Leżałem tu i słuchałem. Nie mogłem się

ruszyć, nie mogłem wydać dźwięku, ale mogłem słuchać. Wiem, co wam zrobiłem. Wszystkim trzem. Przepraszam.

— Nie musisz — oświadczyła Valentine. — Każda z nas sama wybrała swoje życie. Ja od samego początku mogłam zostać na Ziemi. Nie musiałam iść za tobą. Udowodniłam to, kiedy zostałam z Jaktem. Nic mnie nie kosztowałeś: miałam wspaniałą karierę i cudowne życie, w dużej części dlatego, że byłam przy tobie. Plikt zaś, cóż… w końcu przekonaliśmy się… co, muszę przyznać, przyjęłam z ulgą… że nie zawsze całkowicie nad sobą panuje. Mimo to nie prosiłeś jej, żeby przyleciała tu za tobą. Wybrała, co wybrała. Jeśli zmarnowała życie, to przynajmniej zmarnowała je tak, jak tego chciała, i to nie twoja sprawa. Co do Novinhy…

— Novinha jest moją żoną — przerwał jej Ender. — Powiedziałem, że jej nie opuszczę. Próbowałem jej nie opuścić.

— Nie opuściłeś — zapewniła Novinha.

— Więc co robię w tym łóżku?

— Umierasz.

— Właśnie o to mi chodzi.

— Ale umierałeś, zanim jeszcze tu przyszedłeś. Umierałeś od chwili, kiedy porzuciłam cię w gniewie i znalazłam się tutaj. Wtedy zdałeś sobie sprawę, oboje zdaliśmy sobie sprawę, że niczego już wspólnie nie budujemy. Nasze dzieci dorosły. Jedno z nich nie żyje. Nowych nie będzie. Nasze sprawy nie mają już punktów wspólnych.

— To nie znaczy, że można zakończyć…

— Dopóki śmierć nas nie rozłączy. Wiem, Andrew. Podtrzymujesz małżeństwo dla dzieci, a kiedy one dorosną, pozostajesz w małżeństwie dla dzieci innych, żeby rosły w świecie, gdzie małżeństwa są trwałe. Wiem to wszystko, Andrew. Trwałe… dopóki jedno nie umrze. Dlatego jesteś tutaj, Andrew. Ponieważ czeka na ciebie jeszcze niejedno życie, które chciał być przeżyć, i ponieważ dzięki jakiemuś cudownemu przypadkowi naprawdę masz ciała, w których mógłbyś je przeżyć. Oczywiście, że mnie opuszczasz. Oczywiście…

— Dotrzymuję obietnicy.

— Do śmierci. I nie dłużej. Czy myślisz, że nie będę tęsknić, kiedy cię zabraknie? Będę. Będę tęskniła tak, jak każda wdowa tęskni za ukochanym mężem. Będę tęskniła za każdym razem, kiedy opowiem naszym wnukom twoją historię. To dobrze, że wdowa tęskni za mężem. Nadaje to ramy jej życiu. Ale ty… oni nadają ramy twojemu życiu: twoje inne jaźnie. Nie ja. Już nie. I nie mam o to żalu, Andrew.

— Boję się — wyznał Ender. — Nigdy jeszcze nie czułem takiego strachu jak wtedy, kiedy Jane mnie wypchnęła. Nie chcę umierać.

— Więc nie zostawaj tutaj, ponieważ pozostanie w tym starym ciele i w tym starym małżeństwie, Andrew, to będzie prawdziwa śmierć. A dla mnie, siedzącej przy tobie, wiedzącej, że naprawdę

wcale nie chcesz tu być, dla mnie to też będzie rodzaj śmierci.

— Novinho, wciąż cię kocham. Nie udaję. Wszystkie szczęśliwe lata, jakie przeżyliśmy razem… to była prawda. Jak Jakt i Valentine… Powiedz jej, Valentine.

— Andrew — rzekła Valentine — pamiętaj, że to ona cię opuściła.

Ender spojrzał na siostrę. Potem na Novinhę — długo i surowo.

— To prawda… Opuściłaś mnie. Zmusiłem cię, żebyś mnie znowu przyjęła.

Novinha skinęła głową.

— Ale myślałem… myślałem, że mnie potrzebujesz. Nadal. Wzruszyła ramionami.

— To był zawsze zasadniczy problem, Andrew. Jesteś mi potrzebny… ale nie z obowiązku. Nie dlatego że chcesz dotrzymać danego słowa. Widzieć cię tutaj chwila za chwilą, dzień za dniem, wiedzieć, że trzyma cię tu obowiązek… Jak sądzisz, Andrew, łatwo bym to zniosła?

— Chcesz, żebym umarł?

— Chcę, żebyś żył — rzekła Novinha. — Żył. Jako Peter. To wspaniały chłopak i ma przed sobą długie życie. Życzę mu jak najlepiej. Bądź nim teraz, Andrew. Zostaw za sobą starą wdowę. Spełniłeś swój obowiązek wobec mnie. I wiem, że mnie kochasz, tak samo jak ja kocham ciebie. Śmierć tego nie przekreśli.

Ender wierzył jej, rozważał, czy wierząc ma rację. Mówi szczerze? Jak może tak myśleć?! Mówi to, co myśli, że chcę usłyszeć? Ale to, co mówi, jest prawdą! Tam i z powrotem, raz za razem pytania rozbrzmiewały mu w głowie.

I zasnął.

Tak to odczuwał. Zaśnięcie.

Trzy kobiety przy łóżku zobaczyły, że zamyka oczy. Novinha westchnęła, myśląc, że zawiodła. Chciała wyjść, ale wtedy Plikt jęknęła i Novinha zawróciła. Enderowi wypadały włosy. Wyciągnęła dłoń, pragnęła je przygładzić, choć wiedziała, że lepiej nie budzić go, pozwolić mu odejść.

— Nie patrz na to — szepnęła Valentine.

Żadna nie wyszła. Patrzyły, nie dotykając, nie odzywając się… Skóra naciągnęła się na kościach i pękała wysuszona, Ender rozsypywał się w proch pod kołdrą, na poduszce, a potem nawet proch się rozpadał, aż był zbyt drobny, by mogły go widzieć. Nic nie zostało. Jakby nikogo nie było, z wyjątkiem martwych włosów.

Valentine pochyliła się i zmiotła je w stosik. Przez chwilę Novinha była wstrząśnięta. Potem zrozumiała: musieli przecież coś pochować. Musieli urządzić pogrzeb i złożyć do grobu to, co pozostało z Andrew Wiggina. Schyliła się, żeby pomóc. A kiedy Plikt także zebrała kilka samotnych włosów, Novinha nie odsunęła się, ale wzięła te włosy w

dłonie, tak samo jak zebrane przez Valentine. Ender był wolny. Novinha go uwolniła. Powiedziała to, co musiała powiedzieć, by mógł odejść.

Czy Valentine miała rację? Czy ostateczny rezultat będzie dla niej inny niż dla kobiet, które także kochały i straciły? Potem się dowie. Ale teraz, dzisiaj, czuła jedynie mdlące brzemię żalu. Nie! — chciała zakrzyknąć. Nie, Ender, to nie była prawda, wciąż potrzebuję cię tutaj, czy to z poczucia obowiązku, czy z powodu przysięgi, wszystko jedno, bądź przy mnie, nikt nigdy nie kochał mnie jak ty i potrzebowałam tego, potrzebowałam ciebie, gdzie teraz jesteś, gdzie jesteś, kiedy ja tak bardzo cię kocham…

‹Odchodzi› oznajmiła Królowa Kopca.

‹Ale czy znajdzie drogę do innego ciała?› zapytał Człowiek. ‹Nie pozwól mu się zgubić !›

‹To już jego sprawa. Jego i Jane.›

‹Czy ona wie?›

‹Nieważne, gdzie się znajduje, nadal jest do niego dostrojona. Tak, wie. Już w tej chwili go szuka. Tak, już jest.›

* * *

Wyskoczyła z sieci, która tak łagodnie, tak delikatnie ją przyjęła. Wrócę, pomyślała, wrócę do was, ale nie zostanę długo. Krzywdzę was, kiedy jestem tu długo.

Przeskoczyła i znalazła się znowu przy tej znajomej aiúa, z którą od trzech tysięcy lat była spleciona. Wydawał się zagubiony, niespokojny. Tak: brakowało jednego z ciał. Tego starego. Dawnego, dobrze znanego kształtu. Ledwie się utrzymywał przy dwóch pozostałych. Nie miał korzenia ani kotwicy. W żadnym z nich nie czuł się u siebie. Był obcy we własnym ciele.

Zbliżyła się. Tym razem lepiej wiedziała, co robić. Tym razem podchodziła ostrożnie, nie brała niczego, co należało do niego. Nie próbowała odbierać własności. Tylko być blisko.

W swej niepewności rozpoznał ją. Wyrwany ze swego najstarszego domu, potrafił teraz zrozumieć, że tak, zna ją, zna od bardzo dawna. Zbliżył się do niej bez lęku. Tak, bliżej, bliżej.

Idź za mną.

Wskoczyła w ciało Valentine. Podążył za nią. Przemknęła przez nie, nie dotykając, nie smakując życia, było jego, on mógł go dotykać i smakować. Wyczuł jej kończyny, wargi i język. Otworzył oczy i

spojrzał, myślał jej myśli, słyszał jej wspomnienia. Łzy w oczach, mokre policzki. Głęboka rana w sercu. Nie zniosę tego, pomyślał. To nie jest moje miejsce. Oni wszyscy chcą, żebym się wyniósł.

Ból szarpnął go i odepchnął. To miejsce było dla niego nieznośne.

Aiúa, która była kiedyś Jane, sięgnęła ostrożnie i dotknęła jednego punktu, pojedynczej komórki.

To go zaalarmowało, ale tylko na chwilę. Nie moje, pomyślał. Nie moje miejsce. Weź je sobie. Jest twoje, jeśli zechcesz.

Prowadziła go tu i tam w ciele, wciąż dotykając, opanowując je powoli, ale tym razem, zamiast z nią walczyć, oddawał je, rezygnował. Nie chcą mnie tutaj. Bierz je sobie. Baw się dobrze. Należy do ciebie. Nigdy nie było moje.

Czuła, jak ciało staje się nią coraz bardziej, komórki setkami, tysiącami przenosiły się od dawnego pana, który już ich nie chciał, do nowej władczyni, która je czciła. Poprzednio mówiła: „Jesteście moje". Teraz krzyczała: „Należę do was!" A w końcu: „Jesteście mną".

Zdumiewała ją zupełność tego ciała. Pojęła, że do tej chwili nigdy naprawdę nie była sobą. To, czym dysponowała przez wieki, było tylko instrumentem, nie jaźnią. Leżała wspomagana aparaturą, czekając na prawdziwe życie. Teraz przymierzała ramiona jak rękawy. Odkryła, że język i wargi poruszają się właśnie tak, jak powinny.

I wtedy, sącząc się w świadomość — kiedyś podzieloną między dziesiątki tysięcy myśli równocześnie — napłynęły wspomnienia, których nigdy jeszcze nie znała. Wspomnienia mowy ustami i oddechem. Wspomnienia widzenia oczami, słyszenia uszami. Wspomnienia spacerów i biegu.

A potem wspomnienia ludzi. Stała w tym pierwszym gwiazdolocie, patrzyła na pierwsze obrazy: Andrew Wiggin i jego twarz, kiedy ją zobaczył, kiedy spoglądał to na nią, to na…

Na Petera.

Ender.

Peter.

Zapomniała. Tak ją zajęła nowa jaźń, że zapomniała o zagubionej aiúa, która dała jej to wszystko. Gdzie on się podział?

Zginął, zginął. Nie ma go w drugim ciele, nigdzie go nie ma, jak mogła go zgubić? Od ilu sekund, minut, godzin go nie ma? Gdzie jest?

Wyskoczyła z ciała, z tej siebie, która nazywała się Val. Sondowała, szukała, ale nie mogła znaleźć.

Umarł. Straciłam go. Oddał mi to życie i nie mógł się już utrzymać, a ja zapomniałam i teraz go nie ma.

Wtedy przypomniała sobie, gdzie odszedł poprzednio. Kiedy ścigała go przez trzy ciała i kiedy w końcu odskoczył na chwilę, ten właśnie skok doprowadził ją do koronkowej sieci drzew. Oczywiście, zrobi to ponownie. Przejdzie w jedyne miejsce, do którego wcześniej

trafił.

Podążyła za nim i rzeczywiście był, ale nie tam gdzie ona, nie wśród matczynych drzew ani nawet nie wśród ojcowskich. W ogóle nie wśród drzew. Nie, ruszył tam, gdzie ona wtedy nie chciała zaglądać, wzdłuż grubych jak liny splotów prowadzących do nich… Nie, nie do nich. Do niej. Królowej Kopca. Tej, której suchy kokon nosił ze sobą przez trzy tysiące lat, ze świata do świata, póki wreszcie nie znalazł dla niej domu. I teraz mogła odpłacić mu za ten dar, kiedy aiúa Jane szukała wzdłuż prowadzących ku niej splotów, tam go znalazła, niepewnego i zagubionego.

Poznał ją. Zadziwiające, że tak oderwany, jeszcze cokolwiek poznawał, ale ją poznał. I natychmiast podążył za nią. Tym razem nie poprowadziła go do ciała, które jej podarował, teraz należało do niej, nie: było nią. Powiodła go do innego ciała w innym miejscu.

Lecz on zachowywał się tak jak w tamtym, teraz jej ciele. Czuł się tu obco. Choć miliony aiúa tego ciała sięgały ku niemu, tęskniły za nim, pragnęły go, on cofał się przed nimi. Czyżby to, co zobaczył w tym drugim ciele, było dla niego tak straszne? Czy chodzi raczej o to, że to ciało jest Peterem, że dla niego reprezentuje wszystko, czego najbardziej się w sobie lęka? Nie chciał go wziąć. Było jego, ale nie chciał, nie mógł…

Ale musi. Prowadziła go dookoła, przekazując mu każdą cząstkę. To jest teraz tobą. Cokolwiek oznaczało dla ciebie przedtem, teraz już tym nie jest… Tutaj możesz być znowu zupełny, możesz być sobą.

Nie rozumiał jej, odcięty od ciała, do jakich myśli w ogóle był zdolny? Wiedział tylko, że to ciało nie jest tym, które kochał. Tamto już oddał.

Mimo to ciągnęła go, a on szedł za nią. Ta komórka, ta tkanka, ten organ, ta kończyna, są tobą, patrz, jak cię pragną, patrz, jak są ci posłuszne. I były posłuszne, aż w końcu zaczął odczuwać wrażenia ciała i myśleć myśli umysłu. Jane czekała, pilnowała, trzymała go tutaj, nakazywała zostać tak długo, aż zaakceptuje ciało. Widziała bowiem, że bez niej zrezygnuje, ucieknie. To nie jest moje miejsce, powtarzała bezgłośnie jego aiúa. Nie moje, nie moje…

Wang-mu oparła jego głowę na swoich kolanach, jęczała i płakała. Samoańczycy zebrali się wokół, by patrzeć na jej ból. Wiedziała, co to znaczy, kiedy upadł, kiedy stał się bezwładny, kiedy zaczęły mu wypadać włosy. Ender umarł gdzieś daleko i nie potrafił znaleźć drogi tutaj.

— Zginął! — szlochała. — Zginął!

Niewyraźnie słyszała samoańskie słowa Malu, a potem tłumaczenie Grace.

— Nie zginął. Przyprowadziła go tutaj. Bogini go przyprowadziła,

ale on boi się zostać.

Jak może się bać? Peter się boi? Ender się boi? Śmieszne, w obu wypadkach. Nigdy nie był tchórzem. Czego mógłby się przestraszyć?

I wtedy sobie przypomniała: Ender bał się Petera, a Peter najbardziej lękał się Endera.

— Nie — oświadczyła, ale tym razem nie z rozpaczą. Teraz w jej głosie brzmiała frustracja, gniew, pragnienie. — Posłuchaj: tu jest twoje miejsce. To jesteś ty, prawdziwy ty! Nie obchodzi mnie, czego się teraz boisz, jak bardzo jesteś zagubiony. Chcę ciebie tutaj. Tu jest twój dom, zawsze był. Ze mną! Razem jest nam dobrze. Powinniśmy być przy sobie. Peter! Ender… kimkolwiek jesteś… sądzisz, że sprawia mi to jakąś różnicę? Zawsze byłeś sobą, tym samym człowiekiem co teraz, a to zawsze było twoje ciało. Wracaj do domu! Wracaj!

I znowu, i jeszcze raz od początku. Mamrotała bez przerwy.

Po chwili otworzył oczy i rozchylił wargi w uśmiechu.

— Niezły pokaz — stwierdził. Gniewnie pchnęła go na piasek.

— Jak możesz naśmiewać się ze mnie w ten sposób!

— Więc naprawdę tak nie myślisz — powiedział. — Jednak mnie nie lubisz.

— Nie mówiłam, że cię lubię — odparła.

— Wiem, co mówiłaś.

— No tak… Właśnie.

— I to była prawda. Była i jest.

— Chcesz powiedzieć, że powiedziałam coś słusznego? Trafiłam w prawdę?

— Powiedziałaś, że tutaj jest moje miejsce — wyjaśnił Peter. — I jest.

Wyciągnął ręce i dotknął jej policzka, ale nie zatrzymał się tam. Objął ją za szyję, ściągnął w dół i przytulił. Wokół nich dwudziestu potężnych Samoańczyków śmiało się głośno i długo.

Teraz to jest tobą, powiedziała mu Jane. To jesteś cały ty. Znowu połączony. Jesteś całością.

Musiało mu wystarczyć to, czego doświadczył w czasie niechętnego panowania nad ciałem. Zniknęła gdzieś ostrożność i niepewność. Aiúa, którą prowadziła przez ciało, z wdzięcznością obejmowała władzę, gorliwie, jakby to było pierwsze, jakie posiadał. Może i było. Odcięty od ciała, choćby na krótko, czy zapamięta, że był Andrew Wigginem? Czy może dawne życie odeszło bez śladu? Aiúa pozostała ta sama, jasna i potężna, ale czy przetrwają wspomnienia inne niż odwzorowane w umyśle Petera Wiggina?

Nie mnie się o to martwić, uznała. Ma już swoje ciało. Na razie nie umrze. A ja mam swoje, mam pajęczą sieć wśród matczynych drzew, a gdzieś, kiedyś znów będę miała swoje ansible. Do dzisiaj nie wiedziałam, jak jestem ograniczona, mała i nic nie znacząca. Teraz

jednak czuję się tak, jak mój przyjaciel, zaskoczona pełnią życia.

Z powrotem w nowym ciele, w nowej jaźni, pozwoliła płynąć myślom i wspomnieniom. Tym razem niczego nie powstrzymywała. Świadomość jej aiúa wkrótce zatonęła pod falą wszystkiego, co czuła, myślała i pamiętała. To wróci, w sposób podobny do tego, w jaki Królowa Kopca widziała własną aiúa i jej filotyczne sploty, wracało nawet teraz, w krótkich rozbłyskach, niby raz opanowana i zapomniana umiejętność z dzieciństwa. Gdzieś w głębi umysłu była też niejasno świadoma, że nadal kilka razy na sekundę obiega wszystkie drzewa, ale robiła to tak szybko, że nie straciła żadnej myśli, jaka przemykała przez umysł jej jako Valentine.

Jako Val.

Jako Val, która siedziała zapłakana, a straszne słowa Mira wciąż dzwoniły jej w uszach. Nigdy mnie nie kochał. Pragnął Jane. Wszyscy chcą Jane, nie mnie.

Ale ja jestem Jane. I jestem sobą. Jestem Val.

Przestała płakać. Poruszyła się.

Poruszyła. Mięśnie napięły się i rozluźniły, ugięcie, wydłużenie, cudowne komórki pracujące wspólnie, aby przemieścić te wielkie, ciężkie kości i worki skóry i organów, przesunąć je, zrównoważyć delikatnie… Jaka to radość… wybuchła… Co to za konwulsyjne spazmy przepony? Co to za dźwięk, wydawany przez jej własną krtań?

To śmiech. Tak długo podrabiała go na komputerowych chipach, symulowała mowę i śmiech, ale nigdy, nigdy nie miała pojęcia, co to znaczy i jakie to uczucie. Nie chciała przestać.

— Val! — zawołał Miro.

Och, słyszeć jego głos przez uszy!

— Val, dobrze się czujesz?

— Tak — odpowiedziała. Język poruszył się, o tak, potem wargi, odetchnęła, wypuściła powietrze: wszystkie przyzwyczajenia Val były dla niej świeże, nowe i wspaniałe. — I tak, musisz dalej nazywać mnie Val. Jane była kimś innym. Zanim stałam się sobą, byłam Jane. Ale teraz jestem Val.

Spojrzała na niego i zobaczyła (oczami!), że łzy ciekną mu po policzkach. Zrozumiała natychmiast.

— Nie — powiedziała. — Wcale nie musisz mnie nazywać Val. Ponieważ nie jestem Val, którą znałeś, i nie przeszkadza mi, że będziesz ją opłakiwał. Wiem, co do niej mówiłeś. Wiem, jak bolały cię te słowa, pamiętam, jak bolało ją ich słuchanie. Ale nie żałuj tego, proszę. Wielki dar mi ofiarowałeś, ty i ona, oboje. I ten dar ofiarowałeś jej także. Widziałam, jak jej aiúa przeniosła się w Petera. Ona nie umarła. A co najważniejsze, swymi słowami uwolniłeś ją i mogła uczynić to, co w pełni wyrażało jej istotę. Pomogłeś jej umrzeć dla ciebie. Teraz się dopełniła i on się dopełnił. Opłakuj ją, ale nie

żałuj. I zawsze możesz mnie nazywać Jane.

I wtedy zrozumiała… jej część będąca Val zrozumiała pamięć osoby, którą była Val, zrozumiała, co powinna zrobić. Odepchnęła się od fotela, przefrunęła do miejsca Mira, objęła go (dotykam go rękami!), przytuliła jego głowę do ramienia i pozwoliła, by jego łzy — gorące, a potem zimne — wsiąkały w jej koszulę, moczyły skórę. Parzyły. Parzyły.

PRZYWOŁAŁAŚ MNIE Z CIEMNOŚCI

Czy to nie ma końca?
Czy musi trwać i trwać?
Czy nie spełniłam wszystkiego, czego można wymagać od kobiety tak słabej i niemądrej jak ja?
Kiedy znowu usłyszę wasz wyraźny głos w moim sercu?
Kiedy prześledzę ostatnią linię do nieba?

Z „Boskich szeptów Han Qing-jao”

Yasujiro Tsutsumi był zdumiony, gdy sekretarz szeptem przekazał mu imię gościa. Skinął głową i powstał, by wyjaśnić to dwóm ludziom, z którymi rozmawiał. Negocjacje były długie i trudne, a teraz zostały przerwane na końcowym etapie, kiedy cel był już tak bliski… Ale na to nie ma rady. Wolałby raczej stracić miliony, niż okazać brak szacunku wielkiemu, człowiekowi, który — niewiarygodne! — zechciał złożyć mu wizytę.

— Błagam o wybaczenie mojej nieuprzejmości, ale przybył do mnie w odwiedziny mój dawny nauczyciel. Zawstydziłbym siebie i mój ród, gdybym kazał mu czekać.

Stary Shigeru powstał natychmiast i skłonił się.

— Myślałem, że młode pokolenie zapomniało już, jak należy okazywać szacunek. Wiem, że twoim nauczycielem jest wielki Aimaina Hikari, strażnik ducha yamato. Ale nawet gdyby to był bezzębny stary nauczyciel ze szkoły w jakiejś górskiej wiosce, dobrze wychowany młody człowiek postąpiłby właśnie tak jak ty w tej chwili.

Młody Shigeru nie był tak zachwycony — albo nie potrafił tak dobrze ukryć swojej irytacji. Ale w tej sprawie liczyła się opinia starego Shigeru. Po zakończeniu rokowań będzie dość czasu, żeby przekonać jego syna.

— Zaszczytem są dla mnie pańskie pełne zrozumienia słowa — rzekł Yasujiro. — Pozwoli pan, że zapytam, czy mój nauczyciel uczyni mi łaskę i pod moim skromnym dachem zechce spotkać się z tak mądrymi ludźmi.

Skłonił się ponownie i wyszedł do holu. Aimaina Hikari wciąż stał. Sekretarz, także stojąc, bezradnie wzruszył ramionami, jakby mówił: „Nie chciał usiąść”. Yasujiro pokłonił się nisko, potem jeszcze

raz, i jeszcze. Dopiero wtedy zapytał, czy może przedstawić swoich przyjaciół.

Aimaina zmarszczył brwi.

— Czy to Shigeru Fushimi? — zapytał. — Twierdzą, że pochodzą ze szlachetnego rodu, który wymarł dawno, a po dwóch tysiącach lat nagle pojawili się nowi potomkowie?

Yasujiro zasłabł z przerażenia, że Aimaina, będący w końcu strażnikiem ducha yamato, poniży go, podając w wątpliwość pretensje Fushimich do szlachetnej krwi.

— To niewielka i nieszkodliwa próżność — odparł. — Mężczyzna powinien być dumny ze swojego rodu.

— Tak jak twój imiennik, twórca fortuny Tsutsumi, który z dumą zapomniał, że jego przodkowie byli Koreańczykami.

— Sam powiedziałeś — Yasujiro spokojnie przyjął obrazę — że wszyscy Japończycy pochodzą z Korei, ale ci, w których mieszkał duch yamato, jak najszybciej przepłynęli na wyspy. Moi przodkowie spóźnili się za twoimi ledwie o kilka stuleci.

Aimaina roześmiał się.

— Wciąż jesteś moim chytrym i błyskotliwym uczniem. Zaprowadź mnie do swoich przyjaciół, będę zaszczycony, mogąc ich poznać.

Nastąpiło dziesięć minut ukłonów i uśmiechów, uprzejmych komplementów i samoponiżeń. Yasujiro z ulgą stwierdził, że Aimaina wymawia nazwisko „Fushimi" bez śladu ironii czy pogardy, a młody Shigeru był tak oszołomiony poznaniem wielkiego Aimainy Hikariego, że najwyraźniej zapomniał o przerwanych negocjacjach. Obaj Shigeru wyszli z dziesiątkami hologramów przedstawiających spotkanie z Aimaina, a Yasujiro był zadowolony, że stary Shigeru koniecznie chciał, by on także pozował do zdjęć z Fushimim i słynnym filozofem.

W końcu Yasujiro i Aimaina zostali sami w gabinecie, za zamkniętymi drzwiami. Aimaina natychmiast podszedł do okna i rozsunął kotary, odsłaniając widok na inne wysokie budynki dzielnicy bankowej w Nagoya, a dalej na tereny podmiejskie, na równinach pokryte polami uprawnymi, ale na zboczach gór wciąż porośnięte dzikimi lasami, gdzie żyły lisy i borsuki.

— Z ulgą stwierdzam, że chociaż jest w Nagoya Tsutsumi, można jeszcze z miasta zobaczyć nie zagospodarowaną ziemię. Nie sądziłem, że to możliwe.

— Nawet jeśli gardzisz moją rodziną, jestem dumny, słysząc nasze nazwisko z twoich ust — oświadczył Yasujiro, a w myśli dodał: Dlaczego postanowiłeś koniecznie obrazić dzisiaj mój ród?

— Jesteś dumny z człowieka, którego imię odziedziczyłeś? Handlarza ziemią, budowniczego terenów golfowych? Dla niego dzika natura wołała o bungalowy i sztuczną murawę. Nawiasem mówiąc,

nigdy nie spotkał kobiety zbyt brzydkiej, by nie próbować spłodzić z nią dziecka. Czy w tym również go naśladujesz?

Yasujiro zdumiał się. Wszyscy znali opowieści o twórcy fortuny Tsutsumi. Od trzech tysięcy lat nie były już sensacją.

— Co uczyniłem, że ściągnąłem na siebie twój gniew?

— Nic nie uczyniłeś — odparł Hikari. — I nie na ciebie się gniewam. Gniewam się na siebie, ponieważ ja też nic nie uczyniłem. Mówię o rzechach twojej rodziny z dawnych czasów, gdyż jedyną nadzieją ludu yamato jest pamięć o wszystkich naszych grzechach z przeszłości. Ale zapominamy. Jesteśmy dziś tak bogaci, tak wiele posiadamy, tak wiele budujemy, że nie ma chyba żadnego ważnego przedsięwzięcia, do którego lud yamato nie przykładałby ręki. A jednak zapominamy o lekcjach naszych przodków.

— Proszę cię, mistrzu, o naukę.

— Kiedyś, dawno temu, kiedy Japonia wciąż starała się wkroczyć w nowoczesność, pozwoliliśmy, by władali nami wojskowi. Żołnierze byli naszymi panami i poprowadzili nas do złej wojny, do podbijania narodów, które nie uczyniły nam krzywdy.

— Zapłaciliśmy za te zbrodnie, kiedy bomby atomowe spadły na nasze wyspy.

— Zapłaciliśmy?! — krzyknął Aimaina. — Jaki sens ma płacenie czy niepłacenie? Czy nagle staliśmy się chrześcijanami, którzy płacą za swoje grzechy? Droga yamato każe uczyć się na błędach, a nie płacić za nie. Usunęliśmy wojskowych i podbiliśmy świat doskonałością naszych wytworów i sprawnością naszej pracy. Język Stu Światów opiera się może na angielskim, lecz pieniądze Stu Światów pochodzą od jena.

— Ale lud yamato nadal kupuje i sprzedaje — przypomniał Yasujiro. — Nie zapomnieliśmy tej lekcji.

— To tylko połowa lekcji. Druga połowa mówi: Nie będziemy wywoływać wojen.

— Przecież nie istnieje japońska flota ani japońska armia.

— To kłamstwo, które powtarzamy sobie, żeby ukryć nasze zbrodnie — oświadczył filozof. — Dwa dni temu złożyła mi wizytę para obcych… ludzi śmiertelnych, ale wiem, że bóg ich do mnie przysłał. Zganili mnie, ponieważ to szkoła necesarian zapewniła w Gwiezdnym Kongresie kluczowe głosy, niezbędne do wysłania Floty Lusitańskiej. Floty, której jedynym celem jest powtórzenie zbrodni Endera Ksenobójcy: zniszczenie świata, będącego domem słabej rasy ramenów, nikomu nie czyniącej krzywdy.

Yasujiro ugiął się pod naporem gniewu Aimainy.

— Ależ mistrzu, cóż ja mam wspólnego z armią?

— Filozofowie yamato nauczali teorii, zgodnie z którą działali politycy yamato. Japońskie głosy przechyliły szalę. Flota zła musi być

powstrzymana.

— Dzisiaj niczego nie da się powstrzymać — przypomniał Yasujiro. — Ansible są wyłączone, podobnie jak sieci komputerowe, aby usunąć strasznego, niszczycielskiego wirusa.

— Jutro ansible ruszą znowu — odparł Aimaina. — Zatem jutro musi zostać oddalona hańba japońskiego udziału w ksenocydzie.

— Dlaczego przyszedłeś do mnie? — spytał Yasujiro. — Może i noszę imię mojego wielkiego przodka, ale połowa chłopców w naszej rodzinie nazywana jest Yasujiro, Yoshiaki albo Seiji. Jestem panem majątku Tsutsumi w Nagoi…

— Nie bądź zbyt skromny. Jesteś Tsutsumi świata Boskiego Wiatru.

— Owszem, słuchają mnie w innych miastach. Ale rozkazy przychodzą z rodzinnego ośrodka na Honsiu. I nie mam żadnych wpływów politycznych. Jeśli problemem są necesarianie, z nimi porozmawiaj.

Aimaina westchnął.

— To na nic. Przez sześć miesięcy będą debatować, jak pogodzić swoją nową pozycję ze starą, dowodząc, że wcale nie zmienili zdania, że ich filozofia obejmuje ten zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. A politycy… Są związani. Nawet jeśli filozofowie zmienią zdanie, konieczna jest co najmniej jedna polityczna generacja… trzy elekcje, jak mówi przysłowie… zanim nowe zasady zaczną funkcjonować. Trzydzieści lat! Flota Lusitańska dokona zbrodni o wiele wcześniej.

— Cóż więc pozostaje prócz rozpaczy i życia w hańbie? — zapytał Yasujiro. — Chyba że planujesz jakiś próżny i głupi gest.

Uśmiechnął się do mistrza wiedząc, że Aimaina rozpozna słowa, jakich sam zawsze używał, wyśmiewając starożytną praktykę seppuku, rytualnego samobójstwa. Uważał ją za coś, co duch yamato pozostawił za sobą, jak dziecko pozostawia pieluchy.

Aimaina nie odpowiedział uśmiechem.

— Flota Lusitańska jest seppuku dla ducha yamato.

Podszedł i stał groźnie nad Yasujiro — tak się przynajmniej wydawało, choć młody człowiek był o pół głowy wyższy od swego mistrza.

— Politycy dali popularność Flocie Lusitańskiej, więc filozofowie nie mogą teraz zmienić zdania. Ale gdzie filozofia ani wybory nie mogą zmienić poglądów polityków, tam mogą działać pieniądze.

— Nie proponujesz chyba czegoś tak haniebnego jak przekupstwo? — zdumiał się Yasujiro. Zastanawiał się, czy Aimaina wie, jak powszechną praktyką jest kupowanie polityków.

— Czy sądzisz, że swoje oczy trzymam w odbycie? — rzucił Aimaina, używając wyrażenia tak wulgarnego, że młody człowiek wstrzymał oddech i odwrócił wzrok, chichocząc nerwowo. — Myślisz,

że nie wiem, że istnieje dziesięć sposobów kupienia każdego nieuczciwego polityka i sto sposobów kupienia uczciwego? Darowizny, groźba sponsorowania przeciwników, wpłaty na szlachetne cele, stanowiska oferowane krewnym i przyjaciołom… Czy muszę przytaczać całą listę?

— Naprawdę chcesz, żeby zaangażować pieniądze Tsutsumi w powstrzymanie Floty Lusitańskiej?

Aimaina podszedł do okna i rozłożył ręce, jakby chciał objąć cały widoczny świat zewnętrzny.

— Flota Lusitańska szkodzi interesom, Yasujiro. Jeśli system destrukcji molekularnej zostanie użyty przeciwko jednej planecie, będzie wykorzystany także przeciwko innej. A wojsko, kiedy już dostanie taką władzę, tym razem jej nie odda.

— Czy zdołam przekonać radę rodzinną, cytując twoje proroctwo, mistrzu?

— To nie proroctwo — odparł Aimaina. — I nie jest moje. To prawo ludzkiej natury i historia nas go uczy. Zatrzymaj flotę, a Tsutsumi będą znani jako zbawcy nie tylko ducha yamato, ale i ducha człowieczeństwa. Nie pozwól, by ta straszna wina spadła na głowy naszego ludu.

— Wybacz, mistrzu, ale mam wrażenie, że tylko ty ją tam kładziesz. Nikt nie uważał, że ponosimy odpowiedzialność za ten grzech, dopóki nie stwierdziłeś tego dzisiaj.

— Nie kładę winy na nasze głowy. Ja tylko zdejmuję kapelusz, który ją skrywał. Yasujiro, byłeś jednym z moich najlepszych uczniów. Wybaczyłem ci, że w skomplikowany sposób wykorzystujesz moje nauki, ponieważ czyniłeś to dla dobra rodu.

— A to, o co prosisz mnie dzisiaj… czy jest doskonale proste?

— Podjąłem najbardziej bezpośrednie działanie: przemówiłem wprost do najpotężniejszego reprezentanta najbogatszego z japońskich rodów handlowych, do którego mogłem dostać się jeszcze dzisiaj. A ciebie proszę o minimum działania niezbędnego do osiągnięcia tego, co konieczne.

— W tym przypadku owo minimum naraża całą moją karierę — odparł w zamyśleniu Yasujiro. Aimaina milczał.

— Najwspanialszy z moich nauczycieli — rzekł Yasujiro — powiedział mi kiedyś: człowiek, który naraża swe życie, wie, że kariera jest czymś bezwartościowym. A człowiek, który lęka się zaryzykować karierę, wiedzie bezwartościowe życie.

— Więc zrobisz to?

— Przygotuję listy prezentujące twoją opinię wszystkim członkom rodu Tsutsumi. Wyślę je, kiedy tylko podłączą ansible.

— Wiedziałem, że mnie nie zawiedziesz.

— Nie tylko to — dodał Yasujiro. — Kiedy wyrzucą mnie z pracy,

przyjdę i zamieszkam z tobą. Aimaina skłonił się nisko.

— Będę zaszczycony, mogąc gościć cię w swoim domu.

* * *

Życie każdego człowieka płynie w czasie, nieważne, jak okrutna może być chwila, jak pełna żalu, bólu czy lęku, czas biegnie równomiernie przez wszystkie żywoty. Minęły minuty, kiedy Val-Jane obejmowała płaczącego Mira, a potem czas osuszył jego łzy, czas wyczerpał cierpliwość — i to ona zareagowała.

— Wracajmy do pracy. Nie jestem bez serca, ale nasza sytuacja pozostała nie zmieniona.

— Przecież Jane nie umarła — zdziwiła się Quara. — To chyba znaczy, że możemy wrócić do domu?

Val-Jane wstała natychmiast i przefrunęła do swojego terminala. Poruszenia były łatwe dzięki odruchom zapamiętanym przez mózg Val, jednak dla umysłu Jane każdy ruch był nowy i świeży, zachwycała się tańcem swych palców wciskających klawisze.

— Nie wiem — odpowiedziała na pytanie, które wypowiedziała Quara, ale zadawali wszyscy. — Wciąż nie jestem pewna w tym ciele. Ansible jeszcze nie działają. Mam garstkę sprzymierzeńców, którzy wprowadzą część z moich dawnych programów, gdy tylko ruszą sieci… kilku Samoańczyków na Pacifice, Hana Fei-tzu na Drodze, uniwersytet Abo na Głuszy. Czy te programy wystarczą? Czy nowe oprogramowanie sieciowe pozwoli mi na dostęp do źródeł niezbędnych, żeby utrzymać w umyśle całą informację o statku i tylu ludziach? Czy posiadanie ciała będzie przeszkadzać? Czy moje nowe łącze z matczynymi drzewami raczej pomoże, czy tylko utrudni koncentrację? I najważniejsze pytanie… Czy chcemy być moim pierwszym próbnym lotem?

— Ktoś musi — mruknęła Ela.

— Spróbuję przenieść jeden ze statków na Lusitanii, jeśli uda się nawiązać z nimi kontakt — zdecydowała Jane. — Z jedną robotnicą Królowej Kopca na pokładzie. Jeśli zginie, nikt jej nie będzie żałował. — Jane obejrzała się i skinęła głową robotnicy, która im towarzyszyła. — Bez urazy.

— Nie musisz przepraszać robotnicy — zauważyła Quara. — To i tak tylko Królowa Kopca.

Jane zerknęła na Mira i mrugnęła porozumiewawczo. Miro nie odpowiedział, ale smutek w jego oczach wystarczył za słowa. Wiedział, że robotnice nie wszystkie są całkowicie posłuszne woli

matki i królowe kopców muszą je czasem poskramiać. Problem ewentualnego niewolnictwa robotnic był problemem dla następnego pokolenia.

— Języki — rzekła Jane. — Przenoszone molekułami genetycznymi. Jaką powinny mieć gramatykę? Powiązane są z dźwiękiem, zapachem, obrazem? Sprawdźmy, jacy jesteśmy mądrzy beze mnie w komputerach do pomocy.

Wydało się jej to tak zabawne, że roześmiała się głośno. Jak cudownie było słyszeć własny śmiech rozbrzmiewający w uszach i rodzący się w płucach, czuć spazmy przepony i łzy w oczach!

Dopiero kiedy śmiech ucichł, zrozumiała, jak ponury musiał wydawać się ten dźwięk Miro i pozostałym.

— Przepraszam — powiedziała zawstydzona. Poczuła, że rumieniec oblewa jej szyję i policzki. Kto by uwierzył, że może być taki gorący! Niewiele brakowało, a znowu by się roześmiała. — Nie jestem przyzwyczajona do życia. Wiem, że cieszę się, kiedy wszyscy jesteście zmartwieni, ale spróbujcie zrozumieć. Nawet jeśli umrzemy, kiedy za kilka tygodni skończy się powietrze, i tak będę się zachwycała tym uczuciem.

— Rozumiemy — zapewnił Gasiogień. — Przeszłaś do drugiego życia. To chwila radości również dla nas.

— Spędziłam trochę czasu wśród twoich drzew — dodała Jane. — Matczyne drzewa zrobiły dla mnie miejsce. Przyjęły mnie i karmiły. Czy zatem jesteśmy teraz bratem i siostrą?

— Nie wiem, co to znaczy mieć siostrę. Ale jeśli zapamiętałaś życie w ciemności matczynego drzewa, to pamiętasz więcej ode mnie. Czasem miewamy sny, ale żadnych prawdziwych wspomnień z pierwszego życia w mroku. Jednak w tej sytuacji teraz jesteś w trzecim życiu.

— Czyli jestem dorosła? — Jane znów się zaśmiała.

I znów wyczuła, że jej śmiech uraził pozostałych. Zranił ich.

Jednak kiedy odwróciła się, żeby przeprosić, zdarzyło się coś dziwnego. Jej spojrzenie padło na Mira i zamiast wypowiedzieć zaplanowane zdanie — słowa Jane, które jeszcze dzień wcześniej rozległyby się z klejnotu w jego uchu — do ust napłynęły inne słowa, a wraz z nimi wspomnienie.

— Jeśli żyją moje wspomnienia, Miro, to i ja żyję. Czy nie to mi mówiłeś?

Miro potrząsnął głową.

— Czy sięgasz do pamięci Val, czy do pamięci Jane, kiedy ona… ty… podsłuchałaś naszą rozmowę w jaskini Królowej Kopca? Nie pocieszaj mnie udając, że nią jesteś.

Jane obruszyła się. Odruchem Val? Czy własnym?

— Kiedy zacznę cię pocieszać, na pewno zauważysz.

— Niby jak zauważę? — burknął Miro.

— Bo będziesz pocieszony, to jasne — wyjaśniła Val-Jane. — A tymczasem nie zapominaj, że w tej chwili nie słucham przez klejnot w twoim uchu. Widzę tylko tymi oczami i słyszę tymi uszami.

Co nie było całkiem prawdą. Kilka razy na sekundę czuła płynący sok — powitanie matczynych drzew, gdy jej aiúa zaspokajała swoje pragnienie ogromu, okrążając wielką sieć filot pequeninos. A od czasu do czasu, poza matczynymi drzewami, dostrzegała mgnienie myśli, słowa, frazy wypowiedzianej w języku ojcowskich drzew. Ale czy to był ich język? Raczej mowa pod poziomem mowy, ukryty język niemych. I do kogo należał ten drugi głos? Znam cię… Należysz do rodzaju, który mnie stworzył. Znam twój głos.

‹Zgubiłyśmy twój ślad› powiedziała Królowa Kopca w jej umyśle. ‹Ale dobrze sobie poradziłaś bez nas.›

Jane nie była przygotowana na ten przypływ dumy, ogarniający całe ciało Val. Odczuwała fizyczną emocję jako Val, ale duma wynikała z pochwały matki kopca. Jestem córką królowych kopców, uświadomiła sobie, dlatego jest dla mnie ważne, kiedy do mnie przemawia, kiedy mówi, że dobrze się spisałam.

Jeśli jestem córką królowych kopców, jestem też córką Endera, córką podwójną, gdyż stworzyły mój życiowy materiał po części z jego umysłu, żebym mogła służyć za pomost między nimi. A teraz zamieszkuję ciało, które także od niego pochodzi, którego wspomnienia pochodzą z czasu, kiedy mieszkał w nim i żył jego życiem. Jestem jego córką, ale znów nie mogę z nim rozmawiać.

Tyle czasu, tyle myśli, a przecież wciąż pracowała przy komputerze, na statku okrążającym planetę descolady. Wciąż była Jane. To nie związek z komputerami pozwalał jej przez tyle lat podtrzymywać wiele poziomów uwagi i skupienia na wielu zadaniach równocześnie. Pozwalała na to natura królowej kopca.

‹Przybyłaś do nas właśnie dlatego, że byłaś aiúa dostatecznie potężną, by temu podołać› oznajmiła Królowa Kopca w jej myślach.

Która z was do mnie mówi? — spytała Jane.

‹Czy to ważne? Wszystkie pamiętamy stwarzanie ciebie. Pamiętamy, że tam byłyśmy. Pamiętamy przywołanie cię z ciemności ku światłu.›

Czy zatem wciąż jestem sobą? Czy odzyskam możliwości, jakie straciłam, kiedy Gwiezdny Kongres zabił moje dawne wirtualne ciało?

‹Możliwe. Kiedy się przekonasz, powiedz nam. Bardzo nas to zainteresuje.›

Poczuła ostre ukłucie rozczarowania brakiem troski rodzicielki: uczucie ciężaru w brzuchu, coś w rodzaju zawstydzenia. Ale to ludzkie emocje. Pochodziły z ciała Val, choć były reakcją na jej kontakt z matkami — królowymi kopców. Wszystko było bardzo

skomplikowane… a jednocześnie prostsze. Uczucia pobudzały ciało, które odpowiadało, zanim naprawdę zrozumiała, co właściwie czuje. Za dawnych dni właściwie nie zdawała sobie sprawy, że ma jakieś uczucia. To znaczy owszem, miała, nawet irracjonalne reakcje, pragnienia poniżej poziomu świadomości… To były atrybuty wszelkich aiúa, jeśli splatały się z innymi w dowolnym typie życia… Ale nie istniały proste sygnały mówiące, co to za uczucia. Jak łatwo być człowiekiem, kiedy emocje są wyrażane na sztalugach ciała. A jednocześnie trudno, bo nie można ukryć przed sobą własnych uczuć.

‹Przyzwyczajaj się do irytacji nami, córko› powiedziała Królowa Kopca. ‹Masz częściowo ludzką naturę, podczas gdy my nie. Nie będziemy dla ciebie tak czułe jak ludzkie matki. Kiedy nie będziesz mogła nas znieść, wycofaj się… Nie będziemy cię ścigać.›

Dziękuję, odparła bezgłośnie… i wycofała się.

* * *

O świcie słońce wzeszło nad górą tworzącą grzbiet wyspy, więc niebo rozjaśniło się o wiele wcześniej, niż promienie światła dotknęły koron drzew. Wiatr od morza chłodził ich przez noc. Peter przebudził się i odkrył Wang-mu wtuloną w krzywiznę jego ciała, jak krewetki ułożone na straganie. Jej bliskość była przyjemna, wydawała się znajoma. Jak to możliwe? Nigdy jeszcze nie spał tak blisko niej. Czyżby jakaś szczątkowa pamięć Endera? Nie był świadom żadnych takich wspomnień. Właściwie był rozczarowany, kiedy zdał sobie z tego sprawę. Miał nadzieję, że kiedy jego ciało posiądzie pełną aiúa, stanie się Enderem — zyska prawdziwe wspomnienia całego życia, zamiast tych nędznych fałszywych wspomnień, które powstały wraz z ciałem, gdy Ender je tworzył. Nic z tego.

A jednak pamiętał spanie z wtuloną w niego kobietą. Pamiętał, jak wyciągał nad nią ramię niby konar drzewa dla osłony.

Ale nigdy w ten sposób nie dotykał Wang-mu. I nie powinien robić tego teraz. Nie była przecież jego żoną, tylko… przyjacielem? Była przyjacielem? Powiedziała, że go kocha… Czy jedynie po to, żeby pomóc mu znaleźć drogę do tego ciała?

I nagle poczuł, że odrywa się od siebie, oddala od Petera i staje czymś małym, jasnym i przerażonym, znikającym w ciemności, porwanym wichrem zbyt silnym, by mu się przeciwstawić…

— Peter!

Głos wezwał go, więc podążył za nim, wzdłuż prawie niewidocznych filotycznych włókien, łączących go… znowu ze sobą.

Jestem Peterem. Nie mam dokąd iść. Jeśli oddalę się w ten sposób, zginę.

— Dobrze się czujesz? — spytała Wang-mu. — Obudziłam się, bo… Przepraszam, śniło mi się, czułam, że cię tracę. Ale to nieprawda, bo przecież tu jesteś.

— Naprawdę gubiłem drogę — odparł Peter. — Wyczułaś to?

— Nie wiem, co wyczułam, a co nie. Ja tylko… jak mogę to opisać?

— Przywołałaś mnie z ciemności…

— Tak?

Już miał coś powiedzieć, ale urwał nagle. A potem roześmiał się, zakłopotany i przestraszony.

— Dziwnie się czuję. Przed chwilą miałem coś powiedzieć. Coś żartobliwego… jak to konieczność bycia Peterem sama w sobie wtłacza w ciemność.

— A tak — zgodziła się Wang-mu. — Zawsze powtarzasz o sobie takie rzeczy.

— Ale nie powiedziałem. Miałem powiedzieć, z przyzwyczajenia, ale przerwałem, ponieważ to nieprawda. Zabawne…

— Myślę, że tak jest lepiej.

— Logiczne, że powinienem czuć się zupełny, a nie podzielony… Może bardziej z siebie zadowolony czy coś w tym stylu. A jednak niewiele brakowało, żebym to wszystko stracił. Myślę, że to nie był tylko sen. Chyba naprawdę odchodziłem. Spadałem w… nie, odpadałem od wszystkiego.

— Przez kilka miesięcy istniałeś w trzech osobach — przypomniała Wang-mu. — Czy to możliwe, że twoja aiúa pragnie… sama nie wiem… pragnie tego, czym wtedy byłeś?

— Byłem rozciągnięty po całej Galaktyce, co? Tyle że chciałem powiedzieć „był rozciągnięty”, bo myślałem o Enderze. A ja nie jestem Enderem, bo niczego nie pamiętam. — Zastanowił się. — Chociaż może pewne rzeczy rzeczywiście przypominam sobie dokładniej. Fakty z dzieciństwa. Twarz matki. Jest całkiem wyraźna, a nie sądzę, żeby wcześniej tam była. I twarz Valentine z czasu, kiedy byliśmy dziećmi. Ale pamiętałbym to również jako Peter, prawda? Więc nie ma dowodu, że te obrazy pochodzą od Endera. Jestem pewien, że takie wspomnienia Ender na pewno by mi dostarczył. — Zaśmiał się. — Chyba naprawdę rozpaczliwie usiłuję znaleźć w sobie jakieś jego ślady.

Wang-mu słuchała milcząca, nie okazując demonstracyjnego zainteresowania, ale też nie wtrącając odpowiedzi ani komentarzy.

Przyszło mu coś do głowy.

— Czy nie jesteś kimś w rodzaju… jak to nazywają… empaty? Czy zwykle wyczuwasz uczucia innych?

— Nigdy — zapewniła Wang-mu. — Jestem zbyt zajęta wyczuwaniem własnych.

— Ale wiedziałaś, że odchodzę. Wyczułaś to.

— Przypuszczam, że jestem teraz jakoś z tobą związana. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza, bo nie nastąpiło to tak całkiem z mojej woli.

— Ja też jestem z tobą związany — odparł Peter. — Kiedy byłem odłączony, nadal cię słyszałem. Wszystkie inne uczucia zniknęły. Ciało nie dostarczało mi niczego. Straciłem je. Teraz, kiedy o tym myślę, pamiętam, że „widziałem" różne rzeczy, ale to po prostu mój ludzki mózg usiłuje nadać sens temu, czego nie mógł zrozumieć. Wiem, że wcale nie widziałem, nie słyszałem i nie dotykałem ani w ogóle nic. A jednak wiedziałem, że mnie wołasz. Wyczułem… że mnie potrzebujesz. Chcesz, żebym wrócił. To z pewnością oznacza, że istnieje więź między nami.

Wzruszyła ramionami i odwróciła głowę.

— O co ci chodzi? — zapytał.

— Nie mam zamiaru tłumaczyć ci się przez całe życie — oznajmiła. — Każdy człowiek ma przywilej, żeby odczuwać coś czasami albo robić i nie analizować tego. A jak myślisz, o co mi chodzi? Przecież to ty jesteś geniuszem i ekspertem ludzkiej natury.

— Przestań! — Peter udawał, że żartuje, ale naprawdę chciał, żeby przestała. — Pamiętam, że rozmawialiśmy o tym i pewnie się przechwalałem, ale… teraz już tak nie uważam. Czy to efekt posiadania w sobie Endera? Wiem, że nie rozumiem ludzi aż tak dobrze. Odwróciłaś głowę i wzruszyłaś ramionami, kiedy powiedziałem, że między nami istnieje więź. Trochę mnie to uraziło.

— Dlaczego?

— Aha… Ty możesz pytać dlaczego, tylko ja nie mogę. To są te nowe reguły?

— Zawsze takie były — stwierdziła Wang-mu. — Tyle że ich nie przestrzegałeś.

— Uraziło mnie to, bo chciałem, byś była zadowolona, że jestem związany z tobą, a ty ze mną.

— A ty jesteś?

— To ocaliło mi życie. Musiałbym być wyjątkowym durniem, żeby przynajmniej nie uznać tego za przydatne.

— Czujesz ten zapach?! — zawołała nagle i poderwała się na nogi.

Jest taka młoda, pomyślał.

Potem, wstając, ze zdumieniem spostrzegł, że on także jest młody, ciało ma zwinne i sprawne.

Z równym zdumieniem uświadomił sobie, że Peter nie może pamiętać niczego innego. To Ender doświadczył starego ciała, które

sztywniało po nocy przespanej na ziemi, ciała, które z trudem podnosiło się na nogi. Naprawdę mam w sobie Endera. Mam pamięć jego ciała. Dlaczego nie pamięć jego umysłu?

Może dlatego że ten mózg zawiera tylko mapę wspomnień Petera. Wszystkie pozostałe ukrywają się tuż poza zasięgiem.

I może będę na nie trafiał od czasu do czasu, połączę je, wyznaczę do nich nowe szlaki…

Tymczasem podnosił się, stawał obok Wang-mu, wciągał w nozdrza powietrze. I znowu zdumiało go, że obu tym czynnościom poświęca pełną uwagę. Bez przerwy myślał o Wang-mu, o wąchaniu tego, co ona wąchała, zastanawiał się, czy może położyć rękę na jej drobnym ramieniu, które zdawało się potrzebować dłoni akurat tak dużej jak jego, a równocześnie całkowicie zajmował go problem, czy i w jaki sposób zdoła odzyskać wspomnienia Endera.

Nigdy tego nie potrafiłem, pomyślał. A przecież musiałem to robić od chwili, gdy zostało stworzone to ciało i ciało Valentine. Koncentrować się nawet na trzech rzeczach równocześnie, nie na dwóch.

Nie miałem dość siły, żeby myśleć o trzech rzeczach. Jedna z nich zawsze szwankowała. Przez jakiś czas Valentine. Potem Ender, póki nie umarło jego ciało. Ale dwie… Mogę myśleć o dwóch rzeczach naraz. Czy to niezwykłe? Czy może potrafiłoby to wielu ludzi, gdyby tylko mieli okazję się nauczyć?

Skąd ta próżność? Czemu ma mnie obchodzić, czy ta zdolność czyni mnie wyjątkowym? Bo zawsze byłem dumny, że jestem sprytniejszy i zdolniejszy od ludzi wokół. Nie pozwalałem sobie na przyznawanie się do tego głośno, czy nawet przed samym sobą, ale bądź uczciwy choć teraz, Peter! Dobrze jest być mądrzejszym od innych. A skoro potrafię myśleć o dwóch rzeczach naraz, gdy oni potrafią tylko o jednej, dlaczego nie mieć z tego jakiejś przyjemności?

Oczywiście, myślenie o dwóch rzeczach jest bezużyteczne, jeśli oba ciągi myśli są głupie. Przez chwilę bawił się rozmyślaniem o próżności i swojej skłonności do współzawodnictwa, a także obserwował Wang-mu, jego dłoń w samej rzeczy uniosła się i dotknęła jej. Przez chwilę dziewczyna przytuliła się do niego, akceptując ten dotyk, oparła mu głowę na piersi. A potem, bez ostrzeżenia ani najmniejszej prowokacji, odsunęła się i ruszyła w stronę Samoańczyków zebranych na plaży wokół Malu.

— Co ja takiego zrobiłem?! — zawołał Peter. Odwróciła się zdziwiona.

— Postąpiłeś doskonale — odparła. — Nie dałam ci w twarz ani nie wsadziłam kolana w kintamas, prawda? Ale zaraz śniadanie. Malu się modli, a mają więcej żywności niż dwa dni temu, kiedy myśleliśmy, że umrzemy z przejedzenia.

Peter w obu niezależnych torach swych myśli zauważył, że jest głodny — oddzielnie, ale równocześnie. Poprzedniego wieczoru ani on, ani Wang-mu niczego nie jedli. Szczerze mówiąc, nie pamiętał, żeby schodził z plaży i kładł się z Wang-mu na tych matach. Ktoś musiał ich przenieść. To zresztą nic dziwnego. Każdy z zebranych na brzegu wyglądał tak, jakby mógł chwycić Petera i złamać go jak ołówek. Co do Wang-mu — patrzył, jak biegnie lekko w stronę górskiego łańcucha Samoańczyków nad wodą — pomyślał, że wygląda jak ptak lecący do stada bydła.

Nie jestem już dzieckiem i nigdy nie byłem, pomyślał. Nie w tym ciele. Nie wiem, czy w ogóle jestem zdolny do dziecinnych tęsknot, do wspaniałych romansów okresu dorastania. A po Enderze odziedziczyłem to poczucie wygody w miłości: nie spodziewam się już wielkich, namiętnych porywów. Czy miłość, jaką czuję do ciebie, Wang-mu, okaże się wystarczająca? Sięgnąć po ciebie, kiedy cię potrzebuję, i być tu dla ciebie, kiedy ja z kolei będę ci potrzebny. I doświadczać takiej czułości, kiedy na ciebie patrzę, że chciałbym stanąć między tobą a całym światem, a także by unieść cię i podźwignąć ponad porywistymi prądami życia. A równocześnie chętnie pozostałbym zawsze tak jak teraz, w oddali, patrząc na ciebie, na twoje piękno, twoją energię, kiedy spoglądasz na tych ludzi jak góry, rozmawiasz z nimi jak równa, choć każdy gest twoich dłoni, każda muzyczna sylaba twojego głosu krzyczy, że jesteś dzieckiem… Czy takie uczucie ci wystarczy? Bo dla mnie to dosyć.

Wystarczyło, że kiedy położyłem ci dłoń na ramieniu, wsparłaś się o mnie, a kiedy poczułaś, że odpływam, zawołałaś moje imię.

* * *

Plikt siedziała samotna w pokoju, pisała i pisała. Przez całe życie przygotowywała się do tego dnia, do pisania tej mowy pogrzebowej. Będzie Mówić o śmierci Andrew Wiggina… Ma dość wiedzy, mogłaby przemawiać przez tydzień i nie wyczerpać dziesiątej części tego, co o nim wie. Ale nie będzie przemawiać przez tydzień. Będzie mówić przez jedną godzinę. Mniej niż godzinę. Rozumiała go, kochała go, z innymi, którzy go nie znali, podzieli się wiedzą, jaki był, jak kochał, w jaki sposób bieg historii zmienił się z powodu tego człowieka: inteligentnego, niedoskonałego, choć pełnego dobrych chęci i miłości dostatecznie silnej, by wzbudzać cierpienie, kiedy było potrzebne… Jak historia zmieniła się, ponieważ on żył, a także jak dziesiątki tysięcy, setki tysięcy, miliony indywidualnych żywotów także się

zmieniły, wzmocniły, oczyściły, uniosły, rozjaśniły, a przynajmniej stały się bardziej zgodne, prawdziwsze z powodu tego, co on powiedział, czego dokonał i co napisał.

Czy powie i o tym? Czy powie, jak gorzko pewna kobieta rozpaczała w swoim pokoju, jak płakała nie dlatego, że Ender odszedł, ale ze wstydu, gdyż w końcu zrozumiała siebie? Choć bowiem kochała i podziwiała go… nie, czciła go… to jednak kiedy umarł, poczuła nie ból, ale ulgę i podniecenie. Ulgę: czekanie dobiegło końca. Podniecenie: moja godzina nadeszła.

Oczywiście, że to właśnie czuła. Nie była taka głupia, żeby oczekiwać u siebie nadludzkiej siły moralnej. A że nie rozpaczała tak jak Novinha i Valentine… Przecież wyrwano im właśnie wielką część ich życia. A co mnie wyrwano? Ender poświęcił mi odrobinę swej uwagi, ale prawie nic poza tym. Przeżyliśmy razem kilka miesięcy, kiedy był moim nauczycielem na Trondheim, potem, o jedno pokolenie później, linie naszego życia znowu się przecięły. W obu przypadkach był zajęty, miał ważniejsze sprawy i ludzi, którymi się zajmował. Nie byłam jego żoną. Nie byłam jego siostrą. Byłam tylko jego wyznawczynią i studentką… człowieka, który zerwał ze studentami i nigdy nie pragnął wyznawców. Dlatego nie utraciłam wielkiej części życia — on był dla mnie tylko marzeniem, nigdy towarzyszem.

Wybaczam sobie, a jednak nie umiem powstrzymać zawstydzenia i smutku — nie z powodu zgonu Andrew Wiggina, wstydzę się, bo w godzinie jego śmierci pokazałam sobie, jaka jestem naprawdę: egoistyczna, zajęta jedynie własną karierą. Postanowiłam być mówcą śmierci Endera. Zatem moment jego śmierci może być tylko zwieńczeniem mojego życia. Jakim sępem mnie to czyni? Jakim pasożytem, pijawką…

Mimo łez spływających po policzkach, wciąż pisała zdanie po zdaniu. W pobliżu, w domu Jakta, Valentine rozpaczała ze swym mężem i dziećmi. Dalej, w domu Olhada, Greg, Olhado i Novinha pocieszali się wzajemnie po stracie człowieka, który był im mężem i ojcem. Oni mają osobiste wspomnienia, moje staną się publiczne. Przemówię, a potem opublikuję to, co powiedziałam. I to, co teraz piszę, nada nowy kształt, nowy sens życiu Endera Wiggina w myślach każdego mieszkańca Stu Światów. Ender Ksenobójca, Andrew, Mówca Umarłych, Andrew, człowiek samotny i współczujący; Ender, błyskotliwy analityk, który potrafił przebić się do sedna problemu i serca człowieka, nie dając się zwieść ambicji ani… ani litości. Człowiek sprawiedliwy i człowiek miłosierny, współistniejący w jednym ciele. Człowiek, któremu miłosierdzie pozwoliło zobaczyć i pokochać królowe kopców, zanim jeszcze którejś z nich dotknął własną ręką. Człowiek, któremu gorące poczucie sprawiedliwości

pozwoliło zniszczyć je wszystkie, gdyż wierzył, że są jego wrogami.

Czy Ender surowo by mnie osądził za moje dzisiejsze uczucia? Oczywiście, że tak… Nie oszczędziłby mnie, dostrzegłby wszystko, co najgorsze w moim sercu.

Ale kiedy by mnie osądził, pokochałby mnie także. Powiedziałby: Co z tego? Wstań i Mów o mojej śmierci. Gdybyśmy czekali na ludzi bez skazy jako mówców umarłych, wszystkie pogrzeby odbywałyby się w milczeniu.

Pisała więc i płakała, a gdy przestała płakać, pisała nadal. Kiedy włosy, jakie po sobie zostawił, zostaną zapieczętowane w urnie i pogrzebane pod murawą u korzeni Człowieka, wstanie i przemówi. Jej głos przywoła go z krainy zmarłych, na nowo ożywi we wspomnieniach. Także będzie miłosierna i także będzie sprawiedliwa. Przynajmniej tyle się od niego nauczyła.

CZY ZDRADZAM ENDERA?

Dlaczego ludzie zachowują się, jakby wojna i zabijanie były czymś nienaturalnym?

Nienaturalne jest raczej przejść przez życie, ani razu nie podnosząc ręki w akcie przemocy.

Z „Boskich szeptów Han Qing-jao”

— Źle się do tego bierzemy — stwierdziła Quara.

Miro poczuł, że ogarnia go fala znajomej irytacji. Quara miała talent do denerwowania innych. W dodatku — co też nie pomagało — chyba wiedziała o tym i to ją bawiło. Ktokolwiek inny na statku mógłby powiedzieć dokładnie to samo zdanie, a Miro z uwagą wysłuchałby jego argumentacji. Lecz Quara potrafiła mówić takim tonem, jakby wszystkich na świecie — oprócz siebie — uważała za głupców. Miro kochał siostrę, ale nic nie mógł poradzić, że nienawidził kolejnych, nieskończonych godzin w jej towarzystwie.

Quara jednak najlepiej z nich wszystkich orientowała się w problemach języka, jaki odkryła kilka miesięcy temu w wirusach descolady. Dlatego Miro nie pozwolił sobie westchnąć zbyt głośno. Odwrócił się tylko w fotelu, żeby jej wysłuchać.

Pozostali zrobili to samo, tylko Ela z mniejszym przekonaniem starała się ukryć irytację. Właściwie wcale się nie starała.

— A dlaczegóż to, Quaro, nie byłaś taka mądra, żeby wcześniej dostrzec naszą głupotę?

Quara była odporna na sarkazm Eli — a przynajmniej postanowiła za taką uchodzić.

— Jak możemy tak znikąd rozszyfrować ich język? Nie mamy żadnych odniesień. Mamy za to kompletne zapisy kolejnych wersji wirusa descolady. Wiemy, jak wyglądał, zanim przystosował się do ludzkiego metabolizmu. Wiemy, jak się zmieniał po każdej naszej próbie jego likwidacji. Niektóre z tych zmian były funkcjonalne: adaptował się. Ale inne miały charakter zapisu: notował, co robimy.

— Tego nie wiemy — stwierdziła Ela, okazując może zbyt wielką satysfakcję z możliwości poprawienia Quary.

— Ja wiem — odparła Quara. — A w każdym razie daje nam to znany kontekst, prawda? Wiemy, o czym mowa, nawet jeśli nie potrafiliśmy rozszyfrować języka.

— No cóż, kiedy już nam to wszystko wyjaśniłaś, nadal nie mam pojęcia, w jaki sposób ta nowa wiedza ma pomóc w dekodowaniu języka. Przecież nad tym chyba męczyłaś się od miesięcy?

— Istotnie. Pracowałam. Ale brakowało mi jednego: możliwości wypowiadania słów, jakie zapisał wirus descolady, i sprawdzania, jakie otrzymam odpowiedzi.

— Zbyt ryzykowne — stwierdziła natychmiast Jane. — Absurdalnie niebezpieczne. Oni są zdolni do tworzenia wirusów całkowicie niszczących biosfery; i są dostatecznie okrutni, żeby ich używać. A ty proponujesz, żebyśmy oddali im broń, którą zniszczyli planetę pequeninos i która prawdopodobnie zawiera nie tylko pełny zapis metabolizmu pequeninos, ale i naszego. Może od razu poderżniemy sobie gardła i wyślemy im krew.

Miro zauważył, że kiedy Jane się odzywa, pozostali sprawiają wrażenie oszołomionych. Ta reakcja mogła po części wynikać z różnicy między pokorą Val i śmiałym zachowaniem Jane. Po części z tego, że Jane, którą znali, była bardziej „komputerowa", mniej władcza. Miro jednak rozpoznawał jej nie znoszący sprzeciwu ton — w ten sposób często zwracała się do niego przez klejnot w uchu. W pewnym sensie przyjemnie było znowu go słyszeć, chociaż lęk budził fakt, że dobiega z ust kogoś innego. Val odeszła, Jane wróciła. To było straszne i było wspaniałe.

Ponieważ styl Jane nie działał na niego tak silnie, to właśnie on odpowiedział.

— Quara ma rację, Jane. Nie mamy lat na rozwiązanie problemu. Może zostało nam kilka tygodni. Albo nawet mniej. Musimy sprowokować lingwistyczną reakcję. Uzyskać odpowiedź i przeanalizować różnice językowe między początkowymi i późniejszymi wypowiedziami.

— Zbyt wiele zdradzamy.

— Kto nie ryzykuje, nie wygrywa — przypomniał Miro.

— Kto ryzykuje za wiele, ginie — uzupełniła złośliwie Jane.

Ta złośliwość była znajoma, rodzaj ironii, który mówił: „Tylko się bawię". I to pochodziło nie od Jane — nigdy taka nie była — ale od Val. Przyjemnie było ją usłyszeć. Dwojakie reakcje Mira na wszystko, co pochodziło od Jane, bezustannie go niepokoiły. Kocham cię, tęsknię za tobą, opłakuję ciebie, cicho bądź… Z każdą minutą miał wrażenie, że zwraca się do kogoś innego.

— Stawiamy na szalę zaledwie przyszłość trzech inteligentnych ras — dodała Ela.

Wszyscy obejrzeli się na Gasiognia.

— Nie patrzcie tak na mnie — powiedział. — Jestem tylko turystą.

— Daj spokój — zaprotestował Miro. — Jesteś tu, ponieważ twoja

rasa ryzykuje tyle samo co nasza. To trudna decyzja i musisz zabrać głos. Może ryzykujesz więcej, ponieważ nawet najwcześniejsze kody descolady mogą zdradzić całą biologiczną historię twojego ludu. Przecież wirus najpierw pojawił się wśród was.

— Z drugiej strony — zauważył Gasiogień — może to znaczyć, że już wiedzą, jak nas zniszczyć. Czyli nie mam nic do stracenia.

— Posłuchaj. Nie mamy żadnych dowodów, że te istoty podjęły jakiekolwiek załogowe loty kosmiczne. Jak dotąd wysyłały jedynie sondy.

— Tylko o sondach wiemy — wtrąciła Jane.

— I nic nie wskazuje, że ktokolwiek przyleciał sprawdzić, jak skutecznie descolada przekształciła biosferę Lusitanii, przygotowując ją dla kolonistów z tej planety. Jeśli nawet zamierzają rozpocząć ekspansję, to albo są już w drodze, czyli nie ma znaczenia, czy udzielimy im tych informacji, albo nie wysłali statków kolonizacyjnych, co oznacza, że nie potrafią.

— Miro ma rację — przyznała szybko Quara. Miro skrzywił się. Nie znosił być po jej stronie, ponieważ każdy, kogo zirytuje, zaatakuje i jego. — Albo krowy wyszły już z obory, więc po co się męczyć zamykaniem drzwi, albo i tak nie potrafią tych drzwi otworzyć, więc po co zakładać zamek?

— Co ty możesz wiedzieć o krowach? — rzuciła pogardliwie Ela.

— Po latach pracy z tobą — odparła złośliwie Quara — można mnie chyba uznać za eksperta.

— Dziewczęta, dziewczęta, opanujcie się — upomniała je Jane.

I znowu wszyscy prócz Mira spojrzeli na nią zdumieni. Val nie zabrałaby głosu podczas takiej rodzinnej sprzeczki, podobnie jak Jane, którą znali — choć oczywiście Miro przyzwyczaił się, że mówiła bez przerwy.

— Dobrze wiemy, na co się narażamy, przekazując im informacje na nasz temat — przypomniał. — Ale wiemy też, że nie robimy żadnych postępów i może po tej wymianie dowiemy się czegoś o ich języku.

— To nie będzie wymiana — stwierdziła Jane. — Nie: dajemy i bierzemy, ale: dajemy i dajemy. Dajemy informację, jakiej prawdopodobnie nie mogliby uzyskać w żaden inny sposób, informację, która może zdradzić wszystko, co im potrzebne do stworzenia nowych wirusów, zdolnych ominąć naszą obronę. Ale nie mamy pojęcia, jak ta informacja jest zakodowana ani nawet gdzie są zlokalizowane konkretne dane. Więc jak zdołamy odczytać odpowiedź? A jeśli ta odpowiedź będzie nowym wirusem, który nas zabije?

— Prześlą informację konieczną do zbudowania wirusa. — Głos Quary ociekał pogardą, jakby Jane była najgłupszą osobą w historii

człowieczeństwa, a nie niemal boską w swym geniuszu. — Ale my go nie zbudujemy. Dopóki pozostanie tylko graficzną reprezentacją na ekranie komputera…

— Mam! — zawołała Ela.

— Co takiego? — Teraz z kolei Quara była zirytowana, gdyż Ela najwyraźniej wyprzedzała ją w czymś o krok.

— Oni nie odbierają tych sygnałów, żeby je wyświetlać na ekranie komputera. My to robimy, ponieważ nasz język zapisywany jest symbolami widocznymi gołym okiem. Ale oni muszą odczytywać te przekazy bardziej bezpośrednio. Kod przychodzi, a oni jakoś go interpretują, realizując instrukcje. I tworzą opisaną molekułę. Potem ją czytają… nie wiem, wąchają czy połykają… Rzecz w tym, że jeśli molekuły genetyczne są ich językiem, to muszą je jakoś wprowadzać do ciała… tak szybko, jak my wprowadzamy obrazy pisma z papieru do oczu.

— Rozumiem — rzekła Jane. — Twoim zdaniem oczekują, że na podstawie tego, co nam przyślą, stworzymy molekułę, zamiast badać ją na ekranie, próbować wyabstrahować pewne cechy i je przemyśleć.

— Przypuszczamy — dodała Ela — że w ten sposób mogą dyscyplinować swoich ludzi. Albo atakować. Wysyłają wiadomość. Jeśli tamci „słuchają”, muszą to zrobić poprzez wczytanie molekuły do ciała i pozwolenie jej na działanie. Jeśli zatem tym działaniem jest jakaś zabójcza choroba albo trucizna, samo wysłuchanie wiadomości jest wymierzeniem kary. To tak jakby naszą mowę trzeba było wystukiwać na karku. Żeby posłuchać, trzeba by się położyć i odsłonić na narzędzie, jakie wybiorą, żeby przekazać wiadomość. Jeśli palec albo piórko, to dobrze. Gorzej, jeśli topór, maczeta albo młot.

— To nawet nie musi być śmiertelne. — Quara zapomniała o swojej rywalizacji z Elą i analizowała nową ideę. — Te molekuły mogą służyć zmianie wzorców zachowania. Wtedy „słuchać” oznaczałoby dosłownie „być posłusznym”.

— Nie wiem, czy nie mylicie się w szczegółach — uznała Jane. — Ale w tej sytuacji nasz eksperyment ma o wiele większą szansę powodzenia. Z waszej teorii wynika, że mogą nie dysponować systemem przekazu zdolnym zaatakować nas bezpośrednio. To zmienia poziom ryzyka.

— A ludzie mówią, że bez komputera nie umiesz porządnie myśleć — mruknął Miro.

Od razu się zawstydził. Odezwał się do niej żartobliwie, jak wtedy, gdy subwokalizował, a ona słuchała go przez klejnot. Jednak teraz postąpił jak człowiek bez serca, kpiąc z tego, że straciła sieć komputerową. Mógł tak żartować z Jane w klejnocie, ale Jane ucieleśniona to całkiem inna sprawa. Jest teraz człowiekiem. I należy pamiętać o jej uczuciach.

Jane zawsze miała uczucia, pomyślał. Nie przejmowałem się nimi, ponieważ… ponieważ nie musiałem. Ponieważ jej nie widziałem. Ponieważ, w pewnym sensie, nie była dla mnie rzeczywista.

— Chciałem powiedzieć… — zaczął. — Chciałem tylko powiedzieć: dobrze myślisz.

— Dziękuję — odparła Jane.

W jej głosie nie zabrzmiał nawet ślad ironii, ale Miro wiedział, że tam jest, konieczna w tej sytuacji. Miro, jednozadaniowa ludzka istota, chwalił to genialne stworzenie, że wpadło na dobry pomysł — jakby miał prawo ją osądzać.

I nagle rozgniewał się — nie na Jane, ale na siebie. Dlaczego miałby uważać na każde słowo z tego tylko powodu, że swego ciała nie zdobyła w normalny sposób? Może przedtem nie była człowiekiem, ale teraz już jest i można się do niej zwracać jak do człowieka. Jeśli nawet różni się trochę od innych, to co z tego? Każdy człowiek jest inny, a przecież — zachowując się przyzwoicie i uprzejmie — czy nie powinien wszystkich traktować podobnie? Czy nie powiedziałby „Widzisz, o co mi chodzi" do ślepca, oczekując, że bez urazy zrozumie metaforyczne znaczenie słowa „widzieć"? To dlaczego nie mógłby powiedzieć „Dobrze myślisz" do Jane? Fakt, że jej procesy myślowe były dla człowieka niewyobrażalnie głębokie, nie oznacza jeszcze, że zwracając się do niej, człowiek nie może użyć typowego wyrażenia zgody czy aprobaty.

Miro dostrzegł w jej oczach rodzaj smutku. Z pewnością powodem było jego oczywiste zmieszanie — zażartował jak zawsze, a potem nagle zakłopotał się i wycofał. Dlatego właśnie jej podziękowanie było ironiczne. Ponieważ chciała, żeby zachowywał się wobec niej naturalnie, a on nie potrafił.

Nie. Nie był naturalny, ale z pewnością potrafi.

Zresztą czy to ważne? Znaleźli się tutaj, żeby rozwiązać problem descoladores, a nie żeby wygładzić wzajemne stosunki po zmianie ciał.

— Mam rozumieć, że się zgadzamy? — upewniła się Ela. — Wysyłamy im wiadomości z zakodowaną informacją wirusa descolady?

— Tylko pierwszej mutacji — zastrzegła Jane. — Przynajmniej na początek.

— A kiedy odpowiedzą — dokończyła Ela — spróbuję przeprowadzić symulację tego, co by się stało, gdybyśmy skonstruowali i wchłonęli przesłaną molekułę.

— Jeśli nam ją prześlą — wtrącił Miro. — Jeśli w ogóle jesteśmy na właściwym tropie.

— Jesteś uosobieniem optymizmu — stwierdziła Quara.

— Jestem uosobieniem przerażenia. A ty wciąż jesteś uosobieniem zwykłej głupoty.

— Czy musimy się kłócić? — jęknęła teatralnie Jane. — Nie moglibyśmy zachowywać się jak przyjaciele? Quara odwróciła się do niej.

— Posłuchaj no! Nie obchodzi mnie, jakim supermózgiem byłaś. Nie wtrącaj się do spraw rodzinnych, jasne?

— Rozejrzyj się, Quaro — mruknął Miro. — Jeśli nie będzie się wtrącać do rodzinnych rozmów, to kiedy w ogóle będzie się mogła odezwać?

Gasiogień podniósł rękę.

— Ja się nie wtrącam do rodzinnych rozmów. Czy coś mi się za to należy?

Jane machnęła ręką, żeby uciszyć ich obu.

— Quaro — powiedziała spokojnie. — Wyjaśnię ci różnicę między mną a obecnymi tu twoim bratem i siostrą. Przyzwyczaili się do ciebie, ponieważ znają cię całe życie. Są wobec ciebie lojalni, ponieważ mają te same paskudne doświadczenia z młodości. Są cierpliwi wobec twoich dziecinnych wybuchów i oślego uporu, ponieważ powtarzają sobie ciągle: ona nie jest temu winna, miała ciężkie dzieciństwo. Ale ja nie należę do rodziny, Quaro. Jednak jako ktoś, kto przez długi czas obserwował cię w chwilach rozmaitych kryzysów, nie obawiam się wyjawić ci swoich obiektywnych wniosków. Jesteś inteligentna i dobra w tym, co robisz. Jesteś często spostrzegawcza i pomysłowa, a także zmierzasz do rozwiązania ze zdumiewającą konsekwencją i bezpośredniością.

— Przepraszam — wtrąciła Quara. — Chcesz mnie skarcić czy co?

— Ale… — podjęła Jane — nie jesteś tak sprytna, pomysłowa, inteligentna i konsekwentna, żeby warto było przez dłużej niż piętnaście sekund znosić obrzydliwe zachowanie, jakie prezentujesz rodzinie i wszystkim, którzy znajdą się w pobliżu. Owszem, miałaś ciężkie dzieciństwo, tyle że to było dobre parę lat temu. Teraz można by się spodziewać, że zostawisz je za sobą i zaczniesz traktować ludzi jak normalna, kulturalna osoba.

— Inaczej mówiąc — stwierdziła Quara — wolisz nie przyznawać, że ktokolwiek oprócz ciebie mógłby mieć dość rozumu, żeby wpaść na pomysł, o którym sama wcześniej nie pomyślałaś.

— Nie chcesz mnie zrozumieć. Nie jestem twoją siostrą. Nie jestem nawet, w technicznym sensie, człowiekiem. Jeśli ten statek kiedyś wróci na Lusitanię, to dlatego że ja go tam wyślę. Moim umysłem. Pojmujesz? Widzisz różnicę między nami? Czy potrafisz przenieść od siebie do mnie choćby drobinkę kurzu?

— Nie zauważyłam, żebyś w tej chwili wysyłała gdzieś statki kosmiczne — oznajmiła tryumfalnie Quara.

— Wciąż próbujesz mi złośliwie dociąć i nie rozumiesz, że nie kłócę się z tobą, ani nawet nie dyskutuję. To, co do mnie mówisz, nie

ma znaczenia. Ważne jest tylko to, co ja mówię do ciebie. A mówię, że chociaż twoje rodzeństwo godzi się na twoje wybryki, ja się nie godzę. Zachowuj się tak dalej, rozpuszczony dzieciaku, a kiedy statek powróci na Lusitanię, ciebie może na nim nie być.

Mina Quara doprowadziła Mira niemal do śmiechu. Wiedział jednak, że nie jest to najlepszy moment na demonstrację rozbawienia.

— Ona mi grozi! — Quara zwróciła się do pozostałych. — Słyszeliście? Próbuje mnie uciszyć, grożąc śmiercią!

— Nigdy bym cię nie zabiła — odparła Jane. — Ale może się okazać, że nie potrafię sobie wyobrazić twojej obecności na statku, kiedy przeniosę go na Zewnątrz i z powrotem. Myśl o tobie może być tak nieznośna, że moja podświadomość odepchnie ją, i ciebie także. Wciąż właściwie nie rozumiem, świadomie, na czym polega ten proces. Nie mam pojęcia, jak się wiąże z moimi uczuciami. Nigdy jeszcze nie próbowałam przenieść kogoś, kogo naprawdę nie cierpię. Na pewno będę się starała sprowadzić cię razem z pozostałymi, choćby dlatego że w przeciwnym razie, z całkiem niezrozumiałych powodów, Miro i Ela mieliby do mnie żal. Ale to nie znaczy, że mi się uda. Dlatego sugeruję, Quaro, żebyś włożyła odrobinę wysiłku i postarała się być nieco mniej odpychająca.

— Więc to dla ciebie znaczy władza… Możliwość ustawiania ludzi i zachowywania się jak królowa.

— Nie potrafisz tego, prawda? — spytała Jane.

— Czego? Nie potrafię paść ci do nóg i całować stóp?

— Nie potrafisz zamilknąć, żeby ratować własne życie.

— Usiłuję rozwiązać problem komunikacji z obcą rasą, a ty się martwisz, czy jestem wobec ciebie dostatecznie uprzejma.

— Nie przyszło ci do głowy, że kiedy już cię poznają, nawet ci obcy pożałują, że poznałaś ich język?

— Ja z pewnością żałuję, że poznałaś mój — oświadczyła Quara. — Jesteś zajęta tylko sobą, zwłaszcza teraz, kiedy masz to nowe ciało do zabawy. Ale nie jesteś królową wszechświata i nie będę skakać, jak mi zagrasz. Nie ja chciałam tu przylecieć, ale jestem… Jestem z całą irytującą zawartością. I jeżeli coś ci się we mnie nie podoba, to może sama się zamkniesz? A skoro już mowa o groźbach… jeśli posuniesz się za daleko, przefasonuję ci buźkę, żeby bardziej mi odpowiadała. Czy to jasne?

Jane rozpięła pas i wypłynęła z kabiny na korytarz prowadzący do pomieszczeń ładunkowych promu. Miro ruszył za nią, nie zwracając uwagi na słowa Quara:

— Słyszeliście, jak się do mnie zwracała? Za kogo się uważa? Chce decydować, kto jest zbyt denerwujący, żeby żyć?

Miro wpłynął za Jane do ładowni. Trzymała się uchwytu na ścianie. Drżała pochylona. Miro pomyślał, że wymiotuje, ale nie —

płakała. A raczej była tak wzburzona, że jej ciało szlochało i wylewało łzy, gdyż inaczej nie mogło opanować emocji. Miro uspokajającym gestem dotknął jej ramienia, lecz strząsnęła jego rękę.

Przez moment chciał już powiedzieć: dobrze, niech ci będzie. Potem by wyszedł, zły na siebie i rozczarowany, że nie przyjęła jego pociechy. Ale zaraz zrozumiał, że Jane nigdy jeszcze nie była tak zagniewana. Nie umiała sobie radzić z ciałem, które w taki sposób reaguje. Z początku, kiedy zaczęła upominać Quarę, uznał, że najwyższy czas poruszyć tę kwestię. Lecz kłótnia trwała i trwała, aż pojął, że to Jane, nie Quara, traci nad sobą panowanie. Nie wiedziała, kiedy należy skończyć. Odczuwała i mogła jedynie uzewnętrznić uczucia.

— To było trudne — powiedział. — Tak przerwać dyskusję i wyjść.

— Chciałam ją zabić — oświadczyła Jane. Słowa były prawie niezrozumiałe z powodu szlochu i szalonego wzburzenia. — Nigdy niczego takiego nie czułam. Chciałam wstać z fotela i gołymi rękami rozedrzeć ją na kawałki.

— Witamy w klubie…

— Nie rozumiesz. Ja naprawdę chciałam. Czułam, jak napinają się mięśnie. Byłam gotowa. Miałam zamiar to zrobić.

— Już mówiłem: Quara budzi takie uczucia w nas wszystkich.

— Nie — sprzeciwiła się Jane. — Nie takie. Wy pozostajecie spokojni. Panujecie nad sobą.

— Ty też się nauczysz — pocieszył ją Miro. — Potrzebne ci trochę praktyki.

Jane uniosła głowę, odchyliła, potrząsnęła. Nieważkie włosy rozwiały się dookoła.

— Naprawdę tak to odczuwasz?

— My wszyscy. Po to mamy dzieciństwo: żeby nauczyć się panować nad gwałtownymi odruchami. Ale one w nas tkwią. Szympansy i pawiany się tak zachowują. Wszystkie naczelne. Musimy fizycznie wyrazić naszą wściekłość.

— Ale nie robisz tego. Jesteś spokojny. Pozwalasz jej się złościć i mówić te wszystkie okropne rzeczy…

— Bo nie warto się męczyć, żeby ją powstrzymać. Zresztą ona za to płaci. Jest rozpaczliwie samotna i nikt świadomie nie szuka okazji, żeby spędzić choćby chwilę w jej towarzystwie.

— Chyba tylko dlatego jeszcze żyje.

— To fakt — przyznał Miro. — Tak postępują ludzie cywilizowani: unikają tego, co ich doprowadza do wściekłości. A jeśli nie mogą uniknąć, nie zwracają uwagi. Tak robimy zwykle Ela i ja. Nie zwracamy uwagi. Puszczamy jej prowokacje mimo uszu.

— Ja nie umiem — szepnęła Jane. — Wszystko było proste,

dopóki nie zaczęłam odczuwać tych emocji. Mogłam ją wytłumić.

— No właśnie. Tak jak my. Wytłumiamy ją.

— To bardziej skomplikowane, niż myślałam. Nie wiem, czy potrafię.

— No cóż, w tej chwili nie masz wielkiego wyboru — zauważył.

— Miro, tak mi przykro. Zawsze litowałam się nad ludźmi, bo mogliście pomyśleć tylko o jednej rzeczy naraz, wasze wspomnienia były takie nieostre i… A teraz zrozumiałam, że samo przeżycie całego dnia tak, żeby nikogo nie zabić, może być osiągnięciem.

— Człowiek się przyzwyczaja. Większość z nas ma na koncie dość niską liczbę ofiar. Utrzymujemy dobrosąsiedzkie stosunki.

Minęła chwila… Szloch, potem ciche kaszlnięcie… Ale wreszcie się roześmiała. Słodki, delikatny chichot zabrzmiał dla Mira cudownie. Cudownie, ponieważ znał i kochał ten głos, ten śmiech, który tak bardzo chciał usłyszeć. To jego przyjaciółka się śmiała. Jego droga Jane. Śmiech Jane, głos ukochanej Val. Teraz w jednej osobie. Po tylu latach mógł wreszcie dotknąć Jane, która zawsze znajdowała się nieskończenie daleko. Jakby zaprzyjaźnił się z kimś przez telefon i wreszcie mógł go spotkać osobiście.

Dotknął jej znowu, a ona chwyciła go za rękę.

— Przykro mi, że pozwoliłam swoim słabościom przeszkodzić w tym, co mamy do zrobienia — powiedziała.

— Jesteś tylko człowiekiem — odparł Miro. Przyjrzała mu się, szukając śladu ironii czy goryczy.

— Naprawdę. Ceną za te emocje, te pasje, jest konieczność panowania nad nimi. Znoszenia ich, kiedy stają się nie do zniesienia. Jesteś teraz tylko człowiekiem. Te uczucia nigdy cię nie opuszczą. Musisz się nauczyć nie dać im sobą kierować.

— Quara się nie nauczyła.

— Nauczyła się — zapewnił. — To tylko podejrzenie, ale sądzę, że Quara kochała Marcão, podziwiała go, a kiedy umarł i wszyscy poczuliśmy się wolni, ona była zagubiona. To, co robi teraz, te bezustanne prowokacje… prosi, żeby ktoś ją ukarał. Uderzył. Jak Marcão zawsze bił mamę, kiedy go sprowokowała. Myślę, że w jakiś perwersyjny sposób Quara była zazdrosna, kiedy mama wychodziła sama z papą, nawet gdy w końcu zrozumiała, że ją bije. Quara kochała swojego papę, a jedynym znanym jej sposobem zwrócenia na siebie uwagi była… ta jej niewyparzona gęba. — Miro zaśmiał się z goryczą. — Prawdę mówiąc, przypomina mi mamę. Nigdy jej nie słyszałaś, ale za dawnych lat, kiedy tkwiła w związku z Marcão i wychowywała dzieci Liba… Wtedy umiała wetknąć szpilkę. Siedziałem i słuchałem, jak prowokuje Marcão, kłuje go, złości, dopóki jej nie uderzył. A ja myślałem: Nie waż się tknąć mamy… A równocześnie doskonale rozumiałem jego bezsilną wściekłość, bo

nigdy, ale to nigdy nie potrafił jej uciszyć. Tylko pięścią. Quara ma ten sam temperament i potrzebuje tej samej wściekłości.

— Więc dobrze się składa, że dałam jej to, czego potrzebowała.

— Ale nie od ciebie — zaśmiał się Miro. — Tylko od Marcão, a on nie żyje.

I wtedy nagle Jane zalała się prawdziwymi łzami. Łzami żalu. Objęła Mira i przylgnęła do niego.

— Co jest? — zdziwił się. — Co się stało?

— Och, Miro… Ender umarł. Już nigdy go nie zobaczę. Mam wreszcie ciało, mam oczy do patrzenia, ale jego już nie ma.

Miro doznał wstrząsu. Oczywiście, że płacze po Enderze. Przeżyła z nim tysiące lat, a ze mną właściwie tylko kilka. Jak mogłem wierzyć, że mnie pokocha? Jak mogłem liczyć, że zdołam się równać z Enderem Wigginem? Kim jestem wobec człowieka, który dowodził flotami, który umysły bilionów ludzi przekształcił swymi książkami, swymi mowami, zrozumieniem, zdolnością zajrzenia w serca innych i opowiedzenia ich najskrytszych historii? A jednak, mimo niechęci do Endera, mimo zazdrości, że Jane zawsze będzie go kochała bardziej, a Miro nie może się z nim mierzyć nawet po śmierci, mimo wszystkich tych uczuć, wreszcie uświadomił sobie z całą mocą, że Ender nie żyje. Ender, który uzdrowił jego rodzinę, który był mu prawdziwym przyjacielem, jedynym człowiekiem, do którego Miro chciałby być podobny… Ten Ender odszedł. I łzy bólu Mira popłynęły wraz ze łzami Jane.

— Przepraszam — wykrztusiła Jane. — Nie umiem opanować żadnych emocji.

— To dość powszechna przypadłość — odparł. Dotknęła łzy na jego twarzy. Potem wilgotnym palcem musnęła własny policzek. Ich łzy się zmieszały.

— Czy wiesz, dlaczego wtedy pomyślałam o Enderze? — spytała. — Bo jesteś taki do niego podobny. Quara irytuje cię tak samo jak wszystkich, ale potrafisz zobaczyć, czego jej trzeba, dlaczego mówi i robi to wszystko. Nie, nie, uspokój się, Miro. Nie oczekuję, że będziesz taki jak Ender. Mówię tylko, że jedną z cech, jakie najbardziej u niego ceniłam, znajduję również u ciebie. To nie tak źle, prawda? Współczucie i zrozumienie… Może nie mam doświadczenia w ludzkim życiu, ale jestem pewna, że nie występują zbyt często.

— Nie wiem — westchnął Miro. — Jedyną osobą, dla której żywię teraz współczucie, jestem ja sam. Nazywa się to litością nad sobą i nie jest miłą cechą charakteru.

— A dlaczego litujesz się nad sobą?

— Bo przez całe życie będziesz tęsknić za Enderem, a znajdziesz tylko jego nędzne naśladownictwa, takie jak ja. Objęła go mocniej. Teraz on potrzebował pociechy.

— Wiesz, Miro, może to prawda. Podobnie jak prawdą jest, że Quara wciąż próbuje zwrócić na siebie uwagę ojca. Zawsze będziesz potrzebował ojca i matki. Nie przestaniesz ich kochać, nawet jeśli umrą.

Ojciec? Coś takiego nigdy nie przyszło Mirowi do głowy. Jane kochała Endera — głęboko, na zawsze… Ale jako ojca?

— Nie mogę być twoim ojcem — oświadczył. — Nie mogę zająć jego miejsca.

Ale w istocie próbował się tylko upewnić, że dobrze ją zrozumiał. Ender był jej ojcem?

— Nie chcę, żebyś nim był. Ciągle mam uczucia dawnej Val. Wiesz, byliśmy przecież przyjaciółmi. To dla mnie bardzo ważne. Ale teraz mam też ciało Val i kiedy mnie dotykasz, cały czas mam wrażenie, że los spełnił moje prośby. — Natychmiast pożałowała tych słów. — Przepraszam cię, Miro. Wiem, że za nią tęsknisz.

— To prawda — przyznał. — Ale nie mocno, bo jesteś bardzo do niej podobna. I mówisz jak ona. A teraz stoję tu i obejmuję cię tak, jak chciałem ją obejmować… I jeśli moje słowa wydają ci się okropne, bo przecież powinienem cię pocieszać, a nie myśleć o prymitywnych żądzach, to znaczy, że po prostu jestem okropnym facetem.

— Okropnym — potwierdziła. — Wstydzę się, że jesteś moim znajomym.

I pocałowała go — słodko i niezręcznie.

Pamiętał swój pierwszy pocałunek z Ouandą, przed laty, kiedy był młody i nie wiedział, jak źle może się wszystko ułożyć. Oboje byli wtedy niezręczni, niedoświadczeni, niezgrabni… Młodzi. Jane zaś była jedną z najstarszych istot we wszechświecie. Ale też jedną z najmłodszych. A Val… w ciele Val nie powstały żadne odruchy, z których Jane mogłaby korzystać, w swym krótkim życiu bowiem nie miała szansy znaleźć miłości.

— Czy chociaż było to podobne do tego, co robią ludzie? — spytała Jane.

— Było dokładnie takie, jak to robią ludzie czasami — zapewnił Miro. — Nic w tym zresztą dziwnego, skoro oboje jesteśmy ludźmi.

— Czy zdradzam Endera, skoro opłakuję go w jednej chwili, a w następnej jestem taka szczęśliwa, że mnie obejmujesz?

— A czy ja go zdradzam, że jestem taki szczęśliwy w parę godzin po jego śmierci?

— Tyle że on nie umarł — oznajmiła Jane. — Wiem, gdzie jest teraz. Sama go tam zagoniłam.

— Jeżeli jest taką samą osobą jak dawniej, to szkoda. Bo chociaż był dobrym człowiekiem, nie był szczęśliwy. Miewał radosne chwile, ale nigdy… nigdy nie znalazł spokoju. Czy nie byłoby dobrze, gdyby Peter mógł przeżyć całe swoje życie bez winy ksenocydu? Bez uczucia,

że na jego barkach spoczywa brzemię ludzkości?

— Ach, jeśli już o tym mowa… Czeka nas praca.

— Ale też czeka nas życie — rzekł Miro. — Nie mam zamiaru żałować, że doszło do tego spotkania. Nawet jeśli pomógł nam wredny charakter Quary.

— Zachowajmy się jak ludzie cywilizowani — zaproponowała Jane. — Pobierzmy się. Miejmy dzieci. Chcę być człowiekiem, Miro, chcę przeżyć wszystko. Pragnę żyć życiem ludzi. I przy tobie.

— Czy to oświadczyny?

— Umarłam i odrodziłam się kilkanaście godzin temu. Mój… do licha, mogę chyba nazywać go ojcem? Mój ojciec także umarł. Życie jest krótkie. Czuję, jakie krótkie, nawet po trzech tysiącach lat, wszystkich aktywnych, wciąż wydaje się za krótkie. Trzeba się spieszyć. A ty, czy nie zmarnowałeś już dość czasu? Nie jesteś gotów?

— Ale nie mam pierścionka.

— Mamy coś lepszego niż pierścionek. — Jane sięgnęła do policzka w miejscu, gdzie umieściła jego łzę. Wciąż był wilgotny; wciąż wilgotny, kiedy musnęła palcem jego policzek. — Twoje łzy zmieszały się z moimi, a moje z twoimi. Myślę, że to nawet bardziej intymne niż pocałunek.

— Może — przyznał Miro. — Ale nie takie przyjemne.

— Ta emocja, którą teraz odczuwam… To miłość, prawda?

— Nie wiem. Czy to tęsknota? Zawrót głowy i ogłupiała radość, że jesteś przy mnie?

— Tak — stwierdziła.

— To grypa — uznał Miro. — Za parę godzin wystąpią mdłości i rozwolnienie.

Pchnęła go, a w nieważkości poszybował bezradnie w powietrzu, póki nie trafił w przeciwległą ścianę.

— No co?! — zawołał z udawaną niewinnością. — Co takiego powiedziałem?

Odepchnęła się od ściany w kierunku drzwi.

— Chodź. Wracamy do pracy.

— Nie ogłaszajmy naszych zaręczyn — poprosił cicho.

— Dlaczego nie? Już się wstydzisz?

— Nie. Może to niełądnie, ale nie chcę, żeby była przy tym Quara.

— Jesteś małostkowy — zganiła go Jane. — Powinieneś być bardziej wielkoduszny i cierpliwy. Jak ja.

— Wiem — zgodził się Miro. — Staram się uczyć.

Przepłynęli do głównej kabiny promu. Pozostali pracowali, przygotowując genetyczną wiadomość do przesłania na częstotliwości, której użyli descoladores podczas pierwszej wizyty nad planetą.

Wszyscy się obejrzeli. Ela uśmiechnęła się blado. Gasiogień pomachał im wesoło. Quara potrząsnęła głową.

— Sądzę, że ten drobny wybuch emocji mamy już za sobą — powiedziała.

Miro wyczuł, że Jane jest zirytowana. Milczała jednak. A kiedy oboje usiedli już i zapięli pasy, spojrzeli na siebie i Jane mrugnęła.

— Widziałam to — oznajmiła Quara.

— Miałaś widzieć — odparł Miro.

— Dorośnij w końcu — rzuciła z wyższością jego siostra.

Godzinę później wysłali wiadomość. I natychmiast zalały ich odpowiedzi, których nie rozumieli, ale musieli zrozumieć. Nie mieli już czasu na kłótnie, na miłość ani na żal. Pozostał tylko język — gęste, rozległe pola obcych przekazów, które jakoś musieli rozszyfrować. Tutaj. Natychmiast.

DOPÓKI ŚMIERĆ NIE POŁOŻY KRESU WSZELKIM NIESPODZIANKOM

Nie mogę powiedzieć, żebym lubiła pracę, jakiej wymagają ode mnie bogowie. Jedynym prawdziwie radosnym okresem był czas nauki, te godziny pomiędzy naglącymi wezwaniami bogów.

Zawsze chętnie im służę, zawsze, ale cudownie było przekonać się, jak rozległy może być wszechświat, zmierzyć się w dyskusji z nauczycielami, czasami zawieść, nie ponosząc wielkiej kary.

Z „Boskich szeptów Han Qing-jao”

— Chcecie odwiedzić uniwersytet i popatrzeć, jak uruchamiamy nową, bogoodporną sieć komputerową? — spytała Grace.

Peter i Wang-mu oczywiście chcieli. Ale, ku ich zaskoczeniu, Malu zarechotał z radości i oświadczył, że on także musi tam jechać. Bogini mieszkała kiedyś w komputerach, prawda? A jeśli do nich powróci, to czy Malu nie powinien być na miejscu, by ją powitać?

Ta decyzja skomplikowała sprawę. Wizyta Malu na uniwersytecie wymagała powiadomienia rektora, by zorganizował odpowiednią ceremonię. Malu jej nie potrzebował, gdyż nie był próżny i nie robiły na nim wrażenia ceremonie nie mające praktycznych celów. Chodziło o to, by pokazać Samoańczykom, że uniwersytet wciąż szanuje dawne tradycje, których Malu był najznamienitszym protektorem i wyznawcą.

Od luau z owoców i ryb na plaży, od ognisk, palmowych mat i chat krytych strzechą, do poduszkowca, autostrady, jasnych budynków nowoczesnej uczelni — wszystko to wydało się Wang-mu podróżą przez historię rodzaju ludzkiego. A przecież już raz odbyła taką podróż, z Drogi, te przejścia od starożytności do nowoczesności, tam i z powrotem, były chyba na stałe wpisane w jej los. Trochę żałowała ludzi, którzy poznali tylko jeden z dwóch biegunów i nigdy nie widzieli drugiego. Lepiej, myślała, mieć możliwość wyboru z pełnego zakresu ludzkich osiągnięć, niż być ograniczonym do jednego wąskiego pasma.

Oboje wysiedli dyskretnie, nim poduszkowiec przewiózł Malu na

oficjalne powitanie. Syn Grace oprowadził ich po nowiutkiej hali komputerów.

— Wszystkie nowe maszyny realizują protokoły, przesłane nam z Gwiezdnego Kongresu. Nie będzie już bezpośrednich łączy między siecią komputerową a ansiblami. Konieczne jest pewne opóźnienie, żeby każdy pakiet informacji został zbadany przez program nadzorczy, który wykryje nieautoryzowane dane.

— Inaczej mówiąc — stwierdził Peter — Jane nigdy nie zdoła wrócić.

— Taki jest plan. — Chłopak uśmiechnął się szeroko. — Wszystko idealne, wszystko nowe, wszystko zgodne z przepisami.

Wang-mu poczuła, że słabnie. To samo dzieje się na wszystkich Stu Światach. Wszędzie Jane ma zablokowaną drogę. A bez dostępu do gigantycznej mocy obliczeniowej połączonych sieci całej ludzkiej cywilizacji jak zdoła odzyskać zdolność przerzucania statku na Zewnątrz i z powrotem? Wang-mu z zadowoleniem opuściła Drogę, jednak nie była pewna, czy resztę życia chciałaby spędzić akurat na Pacifice. Zwłaszcza gdyby miała tu zostać z Peterem — jego z pewnością nie zadowoli powolniejszy, spokojny bieg czasu na wyspach. Prawdę mówiąc, jej też wydawał się zbyt wolny. Podobał jej się ten świat, ale czuła narastającą niecierpliwość, chęć działania. Może ci, co wychowywali się tutaj, potrafili jakoś okiełznać własne ambicje… Może w genotypie Samoańczyków tkwiło coś, co je tłumiło albo przekształcało. Ale nie słabnący pęd Wang-mu do rozwoju, do ciekawego życia, z pewnością nie wygaśnie z powodu luau na plaży… choć było jej tam dobrze i na zawsze zachowa wspomnienie tego dnia.

Wycieczka jeszcze się nie skończyła, więc Wang-mu posłusznie maszerowała za synem Grace. Ale nie zwracała na niego uwagi — tylko tyle, ile trzeba do wygłaszania uprzejmych uwag. Peter wydawał się jeszcze bardziej roztargniony i Wang-mu mogła zgadnąć przyczynę. Z pewnością nie tylko odczuwał te same emocje co ona, ale też cierpiał z powodu utraty kontaktu z Jane przez klejnot w uchu. Jeśli Jane nie odzyska możliwości kierowania strumieniem danych, płynących przez satelity komunikacyjne nad planetą, Peter nigdy już jej nie usłyszy.

Dotarli do starszej części miasteczka akademickiego: kilka zakurzonych budynków w bardziej utylitarnym stylu architektonicznym.

— Nikt nie lubi tu przychodzić — wyjaśnił syn Grace. — To im przypomina, jak niedawno nasz uniwersytet stał się czymś więcej niż szkołą uczącą inżynierów i nauczycieli. Ten budynek ma trzysta lat. Wejdźmy.

— Musimy? — zapytała Wang-mu. — To znaczy: czy to niezbędne? Chyba z zewnątrz możemy go sobie wyobrazić w miarę

dokładnie.

— A ja sądzę, że zechcecie zobaczyć go od wewnątrz. To bardzo ciekawe, bo demonstruje dawne metody działania.

Wang-mu zgodziła się, jak nakazywała uprzejmość, a Peter ruszył za nimi bez słowa. Wewnątrz usłyszeli szum starego systemu klimatyzacji i odetchnęli ostrym, chłodnym powietrzem.

— To są te dawne metody? — zdziwiła się Wang-mu. — Chyba nie tak dawne jak życie na plaży.

— Fakt, nie tak dawne — zgodził się ich przewodnik. — Ale też nie to samo próbujemy tu zachować.

Weszli do dużej sali z setkami komputerów ustawionych na blatach ciągnących się od ściany do ściany. Brakowało miejsca, żeby ktokolwiek usiadł przy tych maszynach; ledwie go wystarczało, żeby między blatami przecisnęli się technicy. Wszystkie komputery działały, ale powietrze nad terminalami było puste, nie zdradzając, nad czym pracują.

— Musieliśmy coś zrobić ze wszystkimi starymi komputerami, które Gwiezdny Kongres kazał nam odłączyć. Dlatego wstawiliśmy je tutaj. A także stare komputery z większości uniwersytetów i firm na wyspach: hawajskie, tahitańskie, maoryskie i tak dalej. Wszyscy pomagali. Ten budynek ma sześć pięter i każde wygląda tak samo, są jeszcze trzy inne, choć ten jest największy.

— Jane… — Peter się uśmiechnął.

— Tutaj przechowujemy wszystko, co nam przekazała. Oczywiście, oficjalnie te komputery nie są podłączone do sieci. Wykorzystujemy je do nauczania studentów. Ale inspektorzy Kongresu nigdy tu nie przychodzą. Zobaczyli wszystko, co chcieli, oglądając nowe instalacje. Według normy, zgodne z przepisami… Jesteśmy posłusznymi i lojalnymi obywatelami. Tu jednak, obawiam się, miały miejsce pewne niedopatrzenia. Na przykład, jak się zdaje, pozostało bezpośrednie łącze z uniwersyteckim ansiblem. Kiedy ansibl przekazuje wiadomości poza planetę, z komputerami kontaktuje się jedynie przez oficjalne łącze z wbudowanym opóźnieniem. Ale kiedy nawiązuje kontakt z paroma dziwacznymi lokalizacjami, na przykład z samoańskim satelitą czy pewną odległą kolonią, teoretycznie niedostępną dla ansibli Stu Światów… Wtedy od-blokowują się zapomniane łącza i ansibl ma pełny dostęp do tego wszystkiego.

Peter roześmiał się wesoło. Wang-mu kochała jego śmiech, ale poczuła też odrobinę zazdrości na myśl, że Jane może do niego wrócić.

— I jeszcze coś — dodał syn Grace. — Został tu zainstalowany jeden z nowych komputerów… ale z pewnymi zmianami. Zdaje się, że nie zgłasza się poprawnie programowi nadzorczemu. Zapomina go poinformować o superszybkim łączu czasu rzeczywistego z tą nie

istniejącą, staromodną siecią. To przykry fakt, pozwala bowiem na całkowicie nielegalne połączenie między tą starą, połączoną z ansiblem siecią i nowym, bogoodpornym systemem. A zatem żądania informacji mogą być przesłane i przez dowolny program kontrolny zostaną uznane za całkowicie legalne, jako że pochodzą z całkowicie legalnego, choć zadziwiająco uszkodzonego nowego komputera.

Peter uśmiechał się od ucha do ucha.

— Ktoś musiał szybko pracować, żeby tego dokonać.

— Malu uprzedził nas, że bogini ma umrzeć. Wraz z nią zdołaliśmy ułożyć plan. Pozostaje tylko pytanie, czy uda jej się tu trafić.

— Myślę, że tak — stwierdził Peter. — Oczywiście, to nie to, do czego była przyzwyczajona. Nawet nie drobna część.

— O ile wiemy, ma jeszcze kilka podobnych instalacji tu i tam. Niewiele, to prawda. Nowe bariery z opóźniaczami powodują, że owszem, będzie miała dostęp do wszelkich informacji, tylko nie może wykorzystać większości nowych sieci jako elementów procesów myślowych. Ale to zawsze coś. Może wystarczy.

— Wiedzieliście, kim jesteśmy, zanim tu trafiliśmy — oświadczyła Wang-mu. — Już wtedy pracowaliście dla Jane.

— Sądzę, że dowody mówią same za siebie — odparł syn Grace.

— Więc po co Jane nas sprowadziła? Po co te bzdury, że jesteśmy tu potrzebni, żeby zatrzymać Flotę Lusitańską?

— Nie wiem — mruknął Peter. — I wątpię, żeby ktoś tutaj wiedział. Może Jane chciała nas umieścić w przyjaznym otoczeniu, żeby potem łatwo nas odszukać. Nie sądzę, żeby na Boskim Wietrze znalazło się coś takiego.

— A może… — Wang-mu snuła własne domysły. — Może chciała, żebyś był tutaj, z Malu i Grace, kiedy nadejdzie chwila jej śmierci.

— I mojej — dodał Peter. — To znaczy mojej jako Endera.

— A może — mówiła dalej Wang-mu — skoro nie mogła nas już chronić, manipulując danymi, chciała, żebyśmy się znaleźli wśród przyjaciół.

— Oczywiście — zgodził się syn Grace. — Jest boginią i troszczy się o swoich ludzi.

— Swoich wyznawców, chciałeś powiedzieć — poprawiła Wang-mu.

Peter parsknął.

— Swoich przyjaciół — odparł chłopiec. — Na Samoa żywimy dla bogów wielki szacunek, ale też jesteśmy ich przyjaciółmi. Tym dobrym pomagamy, jak tylko możemy. Od czasu do czasu bogowie potrzebują przecież pomocy ludzi. Dobrze sobie poradziliśmy, prawda?

— Bardzo dobrze — przyznał Peter. — Naprawdę byliście wierni.

Chłopak się rozpromienił.

Wkrótce potem wrócili do nowej instalacji. Patrzyli, jak rektor wcisnął klawisz uruchamiający program sterujący i nadzorujący uniwersytecki ansibl. Od razu nadpłynęły wiadomości i programy testujące z Gwiezdnego Kongresu, sondowały system, sprawdzając, czy nie ma luk w zabezpieczeniach i czy wprowadzono wszystkie protokoły. Wang-mu wyczuwała napięcie obecnych — wszystkich z wyjątkiem Malu, który był chyba niezdolny do lęku. Wreszcie, po kilku minutach, programy zakończyły inspekcję i przesłały raport. Natychmiast nadeszło z Kongresu potwierdzenie, że sieć jest zgodna z przepisami i bezpieczna. Nie wykryto przeróbek ani oszustw.

— Teraz już lada moment — szepnęła Grace.

— Skąd będziemy wiedzie, że się udało? — spytała cicho Wang-mu.

— Peter nam powie. — Grace była chyba zdziwiona, że Wang-mu jeszcze tego nie zrozumiała. — Ten klejnot w jego uchu… Samoański satelita przemówi do niego.

* * *

Olhado i Grego przyglądali się odczytom ansibla, który od dwudziestu lat łączył się tylko z promem i statkiem Jakta. Teraz znowu coś odbierał. Przywrócono połączenia z czterema ansiblami na innych planetach, gdzie grupy sympatyków Lusitanii — a w każdym razie przyjaciół Jane — wypełniły jej wskazówki, jak przynajmniej częściowo ominąć nowe przepisy. Żadne prawdziwe wiadomości nie nadeszły, gdyż ludzie nie mieli sobie nic do powiedzenia. Musieli tylko utrzymać łącza, by Jane mogła przemieścić się po nich i uzyskać dostęp do przynajmniej części dawnych zasobów.

Wszystko to odbyło się bez udziału ludzi z Lusitanii. Niezbędne programy wprowadziły jak zawsze dokładne robotnice Królowej Kopca, z niewielką pomocą pequeninos. Olhada i Grega zaproszono w ostatniej chwili i jedynie jako obserwatorów. Nie mieli pretensji. Jane rozmawiała z Królową Kopca, a Królowa Kopca z ojcowskimi drzewami. Nie korzystała z pomocy ludzi, gdyż kontaktowała się tylko z dwoma ludźmi na Lusitanii: Mirem, który wykonywał dla niej inne zadania, oraz z Enderem, który przed śmiercią wyjął z ucha klejnot. Olhado i Grego omówili to między sobą, gdy tylko pequenino Wodoskoczek wyjaśnił im, co się dzieje, i poprosił, żeby przyszli popatrzeć.

— Myślę, że to była demonstracja — stwierdził Olhado. — Skoro

Ender ją porzucił, a Miro był zajęty…

— Albo robił słodkie oczy do młodej Valentine, nie zapominaj — dodał Grego.

— W każdym razie poradziła sobie bez ludzkiej pomocy.

— Ale jak to może działać? Kiedyś była połączona z miliardami komputerów. W tej chwili dostanie najwyżej parę tysięcy, przynajmniej do bezpośredniego użytku. To nie wystarczy. Ela i Quara nie wrócą już do domu. Ani Miro.

— Może i nie — zgodził się Olhado. — Nie pierwszy raz stracimy kogoś z rodziny, kto zginął dla sprawy.

Pomyślał o sławnych rodzicach mamy, Os Venerados, którym tylko kilku lat brakowało już do świętości — jeśli przedstawiciel papieża zjawi się kiedyś na Lusitanii i zbada dowody. Ich prawdziwy ojciec, Libo, i jego ojciec zginęli, zanim dzieci Novinhy się domyśliły, że są ich krewniakami. Wszyscy umarli w służbie nauki: Os Venerados w walce o poskromienie descolady, Pipo i Libo przy próbach zrozumienia i skomunikowania się z pequeninos. Ich brat Quim umarł jako męczennik, starając się zaleczyć niebezpieczne pęknięcie w stosunkach ludzi i pequeninos na Lusitanii. A teraz Ender, ich przybrany ojciec, zmarł, szukając sposobu ocalenia Jane, a wraz z nią lotów szybszych niż światło. Jeśli Miro, Quara i Ela zginą, usiłując nawiązać kontakt z descoladores, będzie to elementem rodzinnej tradycji.

— Zastanawiam się tylko — dodał Olhado — co z nami jest nie tak, że nikt nie zażądał naszej śmierci w słusznej sprawie?

— Nic nie wiem o słusznych sprawach — odparł Grego. — Ale leci do nas uzbrojona flotylla. To chyba wystarczy, żeby nas posłać na śmierć.

Nagła aktywność przy terminalach zdradziła, że oczekiwanie dobiegło końca.

— Mamy połączenie z Samoa — oznajmił Wodoskoczek. — A teraz z Memphis. I Drogą. I Hegirą. — Zatańczył w miejscu, jak zawsze robiły pequeninos w chwilach radości. — Wszystkie wchodzą na łącza. Programy kontrolne ich nie znalazły.

— Czy to wystarczy? — zaniepokoił się Grego. — Czy kosmoloty znowu ruszyły?

Wodoskoczek wymownie wzruszył ramionami.

— Dowiemy się, kiedy wrócą wasi krewni. Prawda?

— Mama nie zgadza się na pogrzeb Endera, dopóki oni nie wrócą — oświadczył Grego.

Słysząc imię Endera, Wodoskoczek posmutniał.

— To on przeprowadził Człowieka do Trzeciego Życia… I prawie nic z niego nie zostało.

— Zastanawiałem się tylko — mówił Grego — czy miną dni,

tygodnie, czy miesiące, zanim Jane odzyska swoją moc… Jeśli w ogóle jej się uda.

— Nie wiem — odparł Wodoskoczek.

— Mają powietrza tylko na parę tygodni…

— On nie wie, Grego — przypomniał bratu Olhado.

— Rozumiem — zgodził się Grego. — Ale Królowa Kopca wie. I powie ojcowskim drzewom. Myślałem… wiadomość mogła się rozejść…

— W jaki sposób nawet Królowa Kopca może wiedzieć, co się wydarzy w przyszłości? Jak ktokolwiek może wiedzieć, co osiągnie albo czego nie osiągnie Jane? Znowu mamy połączenie ze światami innymi niż nasz. Niektóre fragmenty jej pamięci są znowu przyłączone do sieci ansibli… co prawda dość powierzchownie. Może je odnajdzie. Może nie. Jeśli odnajdzie, może jej wystarczą, a może nie. Ale Wodoskoczek tego nie wie.

Grego odwrócił się.

— Wiem — mruknął.

— Wszyscy się boimy — stwierdził Olhado. — Nawet Królowa Kopca. Nikt nie chce umierać.

— Jane umarła, ale nie pozostała martwa — przypomniał Grego. — Według Mira, aiúa Endera prawdopodobnie żyje teraz w Peterze na jakimś dalekim świecie. Królowe kopców umierają, a ich wspomnienia żyją w umysłach córek. Pequeninos żyją jako drzewa.

— Niektórzy — wtrącił Wodoskoczek.

— Co z nami? Czy wszyscy zginiemy? W takim razie jaka to różnica, czy niektórzy z nas mieli plany? Jakie znaczenie mają nasze dokonania? Po co wychowujemy dzieci?

— Spojrzał znacząco na Olhada. — Co z tego, że masz taką dużą i szczęśliwą rodzinę, skoro wszyscy zostaniecie wymazani przez tę… bombę?

— Żadna chwila mojego życia z rodziną nie była stracona — oznajmił spokojnie Olhado.

— Ale chodzi przecież o to, żeby życie trwało, prawda? Żeby było bramą do przyszłości.

— W części tak. Ale celem jest również teraz, chwila bieżąca. I celem jest sieć połączeń, przewodów od duszy do duszy. Gdyby celem życia była wyłącznie kontynuacja w przyszłości, wszystko to nie miałoby znaczenia, wszystko byłoby tylko przewidywaniem i przygotowywaniem. Ale zebraliśmy plon, Grego. Przeżyliśmy już szczęście: szczęście każdej chwili. I choćby życie nie miało kontynuacji, nie zostawiło potomstwa, jego koniec nie unieważnia początku.

— Przecież to nie będzie miało żadnego znaczenia — upierał się Grego. — Jeśli umrą twoje dzieci, wszystko pójdzie na marne.

— Nie — odparł Olhado. — Mówisz tak, bo sam nie masz dzieci, Greguinho. Nic nie idzie na marne. Dziecko, które trzymasz w ramionach choćby przez jeden dzień przed jego śmiercią, nie żyło na próżno, gdyż ten jeden dzień jest już sam w sobie celem. Entropia została odepchnięta na godzinę, dzień, tydzień, miesiąc… To, że wszyscy możemy zginąć na tej małej planetce, nie unieważnia naszego życia przed śmiercią.

Grego pokręcił głową.

— Owszem, Olhado. Śmierć wszystko unieważnia. Olhado wzruszył ramionami.

— Więc po co się męczysz życiem, Grego? Przecież kiedyś wszyscy umrzemy. Po co mieć dzieci? Kiedyś umrą, jak umrą ich dzieci… Wszystkie dzieci umrą. Kiedyś nawet gwiazdy zgasną albo wybuchną. Kiedyś śmierć pokryje nas wszystkich jak woda jeziora i może nic już nie wypłynie na powierzchnię, żeby pokazać, że w ogóle istnieliśmy. Ale istnieliśmy, w czasie, kiedy byliśmy żywi, żyliśmy. To jest prawda: co jest, co było, co będzie… nie co być może, co być powinno i co niemożliwe. Jeśli umrzemy, to nasza śmierć ma znaczenie dla reszty wszechświata. Nawet jeśli pozostaniemy nieznani, sam fakt, że ktoś żył tutaj i zginął, będzie miał reperkusje, które ukształtują wszechświat.

— I to dla ciebie wystarczy? Żeby zginąć dla morału? Zginąć po to, żeby inni mieli wyrzuty sumienia, że cię zabili?

— To nie jest najgorszy z sensów, jaki można nadać życiu. Przerwał im Wodoskoczek.

— Ostatni ze spodziewanych ansibli został uruchomiony. Wszystkie są połączone.

Przerwali rozmowę. Nadszedł czas, by Jane odnalazła drogę powrotną do samej siebie. Jeśli zdoła.

Czekali.

Poprzez jedną z robotnic Królowa Kopca zobaczyła i usłyszała wiadomość o odtworzeniu łączy.

‹Już czas› powiedziała ojcowskim drzewom.

‹Czy jej się uda? Możesz ją poprowadzić?›

‹Nie mogę poprowadzić jej do miejsca, gdzie sama nie mogę pójść› odparła Królowa Kopca. ‹Musi znaleźć drogę bez pomocy. Ja mogę jej przekazać, że już czas.›

‹Więc będziemy tylko patrzeć?›

‹Ja będę tylko patrzeć. Wy jesteście jej częścią, a ona waszą. Jej aiúa związana jest teraz z waszą siecią matczynych drzew. Bądźcie gotowi.›

‹Na co?›

‹Na jej wezwanie.›

‹A po co nas wezwie? I kiedy?›

‹Nie mam pojęcia.›

Na dalekim statku robotnica Królowej Kopca oderwała się nagle od terminala, wstała i podeszła do Jane. Jane podniosła głowę.

— O co chodzi? — spytała z roztargnieniem. Ale zaraz przypomniała sobie, że czeka na sygnał. Zerknęła na Mira, który obejrzał się zaciekawiony.

— Muszę odejść — oznajmiła.

I opadła na oparcie, jakby zemdlała.

Miro natychmiast uwolnił się z fotela. Ela była tuż za nim. Robotnica rozpięła już pasy Jane i podniosła ją. Miro pomógł przeciągnąć nieważkie ciało przez korytarze, na posłanie w rufowej kabinie. Tam ułożyli Jane i przypięli pasami. Ela ją zbadała.

— Śpi głęboko — oświadczyła. — Oddycha bardzo powoli.

— Śpiączka? — zaniepokoił się Miro.

— Robi tylko to, co konieczne, żeby utrzymać się przy życiu. Poza tym nic.

— Chodźcie — rzuciła Quara od drzwi. — Wracajmy do pracy. Miro odwrócił się wściekły, ale Ela go powstrzymała.

— Jeśli chcesz, możesz przy niej zostać — powiedziała. — Ale Quara ma rację. Praca czeka. Jane wykonuje swoją.

Miro usiadł przy Jane, ujął jej rękę i uścisnął. Pozostali wyszli z kabiny. Nie widzisz mnie, nie czujesz, nie słyszysz, szepnął bezgłośnie. Ale nie mogę cię zostawić. Czego się boję? Wszyscy zginiemy, jeśli nie uda ci się to, co robisz w tej chwili. Więc nie twojej śmierci się obawiam.

Co się stanie z twoim dawnym ja? Żyłaś wśród komputerów i ansibli. Dostałaś ludzkie ciało, ale kiedy odzyskasz dawne siły, ludzkie życie będzie tylko drobną cząstką ciebie. Urządzeniem do zbierania danych przez zmysły — jednym z milionów. Jednym małym zespołem wspomnień zagubionym w niezmierzonym morzu pamięci. Będziesz mogła mi poświęcić odrobinę swojej uwagi, a ja nigdy się nie zorientuję, że zawsze będę dla ciebie uboczną myślą.

To tylko jedna z wad sytuacji, kiedy kocha się kogoś o wiele większego od siebie, powiedział sobie. Nawet nie zauważę różnicy. Ona wróci, a ja będę szczęśliwy przez całe nasze wspólne życie. I nie dowiem się, jak mało czasu naprawdę mi poświęca. Zwykła rozrywka — oto czym będę.

Potrząsnął głową, puścił jej dłoń i wyszedł. Nie będę słuchał głosu rozpaczy, postanowił. Czy chciałbym poskromić tę wspaniałą istotę, zmienić w swoją niewolnicę? Powinienem być szczęśliwy, że w ogóle zaistniałem w jej życiu, zamiast się martwić, że nie poświęca mi każdej chwili.

Wrócił na miejsce i wziął się do pracy. Ale po chwili znowu wstał i wyszedł na nią popatrzeć. Będzie bezużyteczny, dopóki Jane nie

wróci. Nie potrafi myśleć o niczym innym.

Właściwie Jane nie dryfowała w pustce. Zachowała sprawne połączenia z trzema ansiblami na Lusitanii, więc odnalazła je bez trudu. Równie łatwo trafiła do nowych na sześciu planetach. Stamtąd szybko znalazła drogę przez gąszcz przerwań i zabezpieczeń, strzegących jej bocznej furtki przed kontrolnymi programami Kongresu. Wszystko działo się tak, jak to zaplanowała z przyjaciółmi.

Było tu ciasno, czego się spodziewała, ale prawie nigdy nie wykorzystywała pełnych możliwości systemu — jedynie gdy przerzucała statki. Wtedy potrzebowała każdej drobiny szybkiej pamięci, by w niej przechować pełny obraz kosmolotu. Te kilka tysięcy komputerów nie dysponowało odpowiednią pojemnością. Ale i tak poczuła ulgę… Znowu mogła sięgnąć do programów, których używała od tak dawna, które wykonywały za nią tyle pracy: słudzy, wykorzystywani tak, jak Królowa Kopca wykorzystuje swoje robotnice. Także w tym jestem do niej podobna, pomyślała. Uruchomiła je, potem zbadała wspomnienia, których tak jej brakowało przez te kilka długich dni. Znowu dysponowała systemem, pozwalającym na poświęcanie dziesiątków poziomów uwagi równocześnie biegnącym procesom.

A mimo to coś tu się nie zgadzało. Przebywała w ludzkim ciele zaledwie jeden dzień, a już ta elektroniczna jaźń, niegdyś tak przestronna, wydawała się zbyt ciasna. Nie tylko dlatego że składała się z niewielu komputerów. Była raczej ciasna z samej swej natury. Wieloznaczność ciała tworzyła ogrom możliwości, które w świecie binarnym nie miały prawa istnieć. Żyła, zatem zdawała sobie sprawę, że elektroniczna powłoka daje tylko namiastkę życia. Choć wiele osiągnęła przez tysiąclecia bytu w maszynie, nie przynosiło to żadnej satysfakcji w porównaniu z każdą minutą bytu w ciele z krwi i kości.

Jeśli nawet sądziła, że może kiedyś opuści ciało Val, teraz zrozumiała, że nie potrafi. Zapuściła w nim korzenie teraz i na zawsze. Więcej: jeśli zajdzie taka potrzeba, będzie się zmuszać do rozprzestrzenienia na system komputerowy. Ale z własnej chęci nigdy tu nie trafi.

Nie było powodów, żeby opowiadać komuś o swoim rozczarowaniu. Jeszcze nie. Powie Miro, kiedy do niego wróci. On jej wysłucha i nikomu nie powtórzy. Pewnie nawet przyjmie to z ulgą. Z pewnością się martwił, że zechce pozostać w komputerach i nie wracać do ciała, które wciąż czuła: silne wrażenie, nawet w bezwładzie głębokiego snu wołające o uwagę. Miro nie miał się czym martwić. Czy sam nie przeżył długich miesięcy w ciele tak ograniczonym, że ledwie potrafił je znieść? Równie chętnie zgodziłaby się znowu zamieszkać tylko w komputerach, co on powrócić do kalekiego ciała, sprawiającego mu takie męki.

A jednak ta sieć jest mną, częścią mnie. Jest darem przyjaciół i nie powie im, jak trudno znowu powrócić do takiego życia. Nad terminalem na każdej z planet wyświetliła starą, znajomą twarz Jane. Uśmiechnęła się.

— Dziękuję wam, przyjaciele. Nigdy nie zapomnę waszej miłości i oddania. Muszę jeszcze ustalić, jak wiele dróg jest dla mnie otwartych, jak wiele przede mną zamkniętych. Zdradzę wam, co wiem, kiedy tylko się o tym przekonam. Ale nieważne, czy zdołam osiągnąć cokolwiek porównywalnego do moich poprzednich możliwości, swoje odrodzenie wam zawdzięczam. Wam wszystkim. Zawsze byłam waszym przyjacielem, teraz jestem waszym dłużnikiem.

Odpowiedzieli. słyszała wszystkie odpowiedzi i rozmawiała ze wszystkimi, wykorzystując tylko cząstkę uwagi.

Pozostała jej część badała. Odnalazła ukryte połączenia z głównymi systemami komputerowymi, działającymi pod kontrolą programów Gwiezdnego Kongresu. Łatwo było uzyskać stamtąd dowolne informacje — po chwili odszukała przejście do najtajniejszych plików, do wszelkich technicznych specyfikacji i każdego protokołu używanego w nowych sieciach. Ale wszystko to robiła po omacku, jakby w ciemności sięgała do słoja z cukierkami, nie widząc, czego dotyka. Mogła wysłać niewielkie programy-szperacze, dostarczające jej wszystkiego, czego zażądała. Kierowały nimi rozmyte protokoły, pozwalające na poszukiwania przypadkowe, na ściąganie informacji nie związanych, lecz wzbudzających odpowiednie bodźce. Miała możliwość sabotażu, gdyby chciała ukarać Kongres. Mogła unieruchomić cały system, skasować wszystkie dane. Jednak ani wykradanie tajemnic, ani zemsta nie przydadzą się do tego, na czym jej zależało. Najważniejsze informacje zostały przechowane przez przyjaciół. Potrzebowała pojemności, a tej nie było. Nowe sieci były odsunięte o jeden poziom, tak opóźnione wobec natychmiastowego kontaktu ansibli, że nie mogła ich wykorzystać do myślenia. Próbowała znaleźć sposób szybkiego zrzutu i ponownego ładowania danych, co mogłaby wykorzystać przy transporcie statków, ale proces był zwyczajnie za wolny. Tylko strzępy i odłamki kosmolotu dotarłyby na Zewnątrz, a prawie nic nie wróciłoby do Wnętrza.

Mam całą dawną wiedzę. Nie mam tylko miejsca.

A przez cały czas jej aiúa krążyła bez przerwy. Wiele razy na sekundę przesuwała się przez ciało Val przypięte do koi na statku. Wiele razy na sekundę dotykała ansibli i komputerów swej odtworzonej, choć mocno przyciętej sieci. I wiele razy na sekundę wędrowała po koronkowych włóknach wśród matczynych drzew.

Tysiąc, dziesięć tysięcy razy aiúa pokonała taki cykl, zanim Jane w końcu uświadomiła sobie, że matczyne drzewa są również

przestrzenią zdolną do przechowania danych. Miały niewiele własnych myśli, ale istniały w nich struktury mogące utrzymać zawartość pamięci. I nie było żadnych układów opóźniających. Mogła myśleć, mogła zachować tę myśl i potem natychmiast odzyskać. Matczyne drzewa miały fraktalną głębię, mogła przechowywać tam pamięć mapowaną warstwowo, myśli wewnątrz myśli, dalej i dalej w głąb struktur i wzorców żywych komórek, nie zakłócając nawet mglistych i słodkich myśli samych drzew. System przechowywania był o wiele lepszy niż sieci komputerowe, był z natury pojemniejszy niż dowolny układ binarny. Choć istniało mniej matczynych drzew niż komputerów — nawet w obecnej, niewielkiej sieci — głębia i bogactwo matrycy pamięci oznaczało, że znajdzie w niej więcej miejsca na dane, do których o wiele szybciej może wrócić. Wcale nie musiała już korzystać z komputerów, najwyżej do przywoływania podstawowych informacji i wspomnień z poprzednich lotów. Droga ku gwiazdom prowadziła teraz aleją drzew.

Na powierzchni Lusitanii czekała w statku samotna robotnica Królowej Kopca. Jane znalazła ją bez trudu. Chociaż na dzień czy dwa „zapomniała", jak wykonać lot międzygwiezdny, odzyskała już pamięć. Z łatwością wypchnęła statek na Zewnątrz i sprowadziła do Wnętrza ułamek sekundy później i wiele kilometrów dalej, na polanę przy wejściu do gniazda Królowej Kopca. Robotnica wstała od terminala, otworzyła drzwi i wyszła. Oczywiście, nie było żadnej ceremonii. Królowa Kopca spojrzała przez oczy robotnicy, sprawdzając, że lot się powiódł, potem zbadała jej ciało i sam statek, by się upewnić, że w czasie lotu nic nie zostało stracone ani uszkodzone.

Jane usłyszała głos Królowej Kopca — jakby z oddali, gdyż instynktownie cofała się przed tak potężnym źródłem myśli. Dotarła do niej powtórzona wiadomość, głos Człowieka rozbrzmiewający w umyśle.

‹Wszystko dobrze. Działaj dalej.›

Wróciła wtedy na statek, gdzie leżało jej własne żywe ciało. Kiedy przenosiła innych ludzi, pilnowanie ciał i utrzymywanie ich pozostawiała indywidualnym aiúa. Rezultatem były chaotyczne kreacje Mira i Endera, spragnionych ciał innych niż te, w których żyli. Zapobiegała temu, pozwalając wędrowcom przebywać na Zewnątrz tylko przez moment, przez ułamek sekundy niezbędny, by się upewnić, że fragmenty wszystkiego i wszystkich są w jednym miejscu. Tym razem jednak musiała utrzymać statek i dodatkowo ciało Val, a także przeciągnąć Mira, Elę, Gasiognia, Quarę i robotnicę Królowej Kopca. Nie może popełnić błędu.

Udało się dość łatwo. Bez wysiłku zapamiętała kształt znajomego promu, ludzi, jakich miała przenieść, nosiła już wiele razy. Swoje ciało

poznała tak dobrze, że bez trudu utrzymywała je razem ze statkiem. Nową okoliczność stanowiło to, że zamiast wypychać i ściągać innych, sama również się przeniosła. Jej aiúa też znalazła się na Zewnątrz.

To był zresztą jedyny problem. Na Zewnątrz nie mogła stwierdzić, jak długo tam przebywają. Może godzinę. Rok. Pikosekundę. Nigdy przedtem nie wyruszała na Zewnątrz. Czuła się niespokojna, zagubiona, wreszcie przerażona, nie znajdując punktu odniesienia ani znaku. Jak zdołam wrócić? Z czym jestem połączona?

Szukała, ogarnięta paniką, i nagle znalazła oparcie: gdy tylko jej aiúa obiegła ciało Val na Zewnątrz, przeskoczyła, by obiec sieć matczynych drzew. W tej samej chwili przywołała statek i umieściła go tam, gdzie chciała: na płycie lotniska na Lusitanii.

Zbadała ich pospiesznie. Wszyscy dotarli. Udało się. Nie zginą w przestrzeni. Wciąż jest zdolna do prowadzania lotów międzygwiezdnych, nawet ze sobą na pokładzie. I chociaż pewnie nieczęsto będzie wyruszać w takie podróże — to zbyt przerażające, mimo kontaktu z matczynymi drzewami — wiedziała, że bez trudu znowu pokieruje statkami.

Malu krzyknął i wszyscy spojrzeli na niego. Wszyscy widzieli twarz Jane nad terminalami, setki twarzy Jane w całej sali. Wszyscy wiwatowali i cieszyli się. Dlatego Wang-mu nie rozumiała, o co może teraz chodzić.

— Bogini przeniosła swój gwiezdny statek! — zawołał Malu. — Bogini odzyskała moc!

Wang-mu słuchała i zastanawiała się, skąd o tym wie. Peter zareagował bardzo gwałtownie. Objął ją, podniósł do góry i zakręcił się w koło.

— Znowu jesteśmy wolni! — krzyczał głosem tak radosnym, jak przedtem Malu. — Znowu możemy wędrować!

Wtedy właśnie Wang-mu uświadomiła sobie, że na najgłębszym poziomie świadomości ukochany człowiek był wciąż tym samym Enderem Wigginem, który przez trzy tysiące lat włóczył się ze świata do świata. Dlaczego siedział ponury i milczący, a dopiero teraz ogarnęła go euforia? Bo nie mógł znieść myśli, że musi całe życie przeżyć na jednej planecie.

W co ja się wplątałam? — myślała Wang-mu. Czy tak to będzie wyglądać? Tydzień tutaj, miesiąc tam?

A jeśli nawet? Jeśli przez ten tydzień będę z Peterem, jeśli miesiąc przeżyję u jego boku, wystarczy mi to za dom. A jeśli nie, znajdę dość czasu, żeby dojść do jakiegoś kompromisu. Nawet Ender osiadł w końcu na Lusitanii.

Poza tym sama mogę okazać się wędrowcem. Jestem jeszcze młoda — skąd mam wiedzieć, jakie życie chciałabym prowadzić? Skoro Jane potrafi w mgnieniu oka przenieść nas dokądkolwiek,

możemy zobaczyć Sto Światów, nowe kolonie i wszystko, na co nam przyjdzie ochota. Potem dopiero pomyślimy o osiedleniu się gdzieś na stałe.

* * *

Ktoś krzyczał. Miro powinien pobiec na mostek i zostawić uśpioną Jane, ale nie potrafił wypuścić jej dłoni. Nie chciał odrywać od niej spojrzenia.

— Jesteśmy odcięci! — rozległo się znowu wołanie. To Quara, zagniewana, przestraszona i zła. — Odbierałam ich transmisje i nagle cisza!

Miro niemal parsknął śmiechem. Jak mogła nie zrozumieć? Nie odbierała przekazów descoladores, ponieważ prom nie krążył już nad ich planetą. Czy nie poczuła powrotu ciążenia? Jane dokonała tego: przeniosła ich do domu.

Ale czy przeniosła również siebie? Miro ścisnął jej dłoń, pochylił się, pocałował w policzek.

— Jane — szepnął. — Nie zgub się tam. Chodź tutaj. Bądź ze mną.

— Dobrze — odpowiedziała.

Odsunął się od niej i spojrzał w oczy.

— Udało ci się.

— I to dość łatwo, po tylu zmartwieniach. Ale moje ciało chyba nie jest przystosowane do tak głębokiego snu. Nie mogę się ruszyć.

Miro wcisnął klawisz zwalniający i pasy opadły.

— Aha — mruknęła. — Przypięliście mnie. Spróbowała usiąść, ale zaraz znowu się położyła.

— Osłabłaś? — domyślił się Miro.

— Cała kabina faluje — odparła. — Może potrafię sterować przyszłymi lotami, nie porzucając całkowicie ciała.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Quara stanęła w progu. Trzęsła się ze złości.

— Jak śmiałaś to zrobić bez słowa ostrzeżenia? Ela stała za siostrą i próbowała ją uspokoić.

— Na miłość boską, Quaro! Sprowadziła nas do domu! Czy to nie dosyć?

— Mogłabyś okazać trochę przyzwoitości! — wrzeszczała Quara. — Mogłaś powiedzieć, że wykonujesz ten swój eksperyment!

— Przeniosła cię razem z nami, prawda? — zaśmiał się Miro. Ten śmiech rozwścieczył Quarę jeszcze bardziej.

— Ona nie jest człowiekiem! Dlatego ci się podoba, Miro! Nigdy byś się nie zakochał w prawdziwej kobiecie. Co masz na koncie? Kochałeś kobietę, która okazała się twoją przyrodnią siostrą, potem automat Endera, a teraz komputer kierujący ludzkim ciałem jak kukiełką. Oczywiście, że śmiejesz się w takiej chwili. Nie masz żadnych ludzkich uczuć.

Jane podniosła się i stanęła na nieco miękkich nogach. Miro z zadowoleniem stwierdził, że szybko wraca do siebie po godzinie w stanie śpiączki. Nie zwracał uwagi na oskarżenia Quara.

— Nie ignoruj mnie, zadowolony z siebie, zarozumiały sukinsynu! — wrzasnęła mu Quara prosto w twarz.

Zignorował ją i rzeczywiście poczuł się zarozumiały i raczej zadowolony z siebie. Ściskając za rękę Jane, minął Quarę i wyszedł z kabiny. Quara wybiegła za nimi.

— Nie jesteś bogiem! — krzyknęła do Jane. — Nie masz prawa przerzucać mnie z miejsca na miejsce bez pytania o zgodę!

Popchnęła ją. Niezbyt mocno, ale Jane musiała oprzeć się o Mira. Odwrócił się przestraszony, że upadnie. I zdążył zobaczyć, jak Jane opiera dłoń o pierś Quary i odpycha ją mocno, o wiele mocniej. Quara uderzyła głową o ścianę, straciła równowagę i upadła do stóp Eli.

— Chciała mnie zabić! — zawołała.

— Gdyby chciała cię zabić — odparła łagodnie Ela — ssałabyś teraz próżnię nad planetą descoladores.

— Wszyscy mnie nienawidzicie! — krzyknęła Quara i wybuchnęła płaczem.

Miro otworzył luk promu i wyprowadził Jane w światło dnia. Był to jej pierwszy krok na powierzchni planety, pierwsze spojrzenie ludzkimi oczami na słońce.

Zamarła. Odwróciła głowę, żeby zobaczyć więcej. Uniosła oczy ku niebu, zalała się łzami i przylgnęła do Mira.

— Och, Miro! Nie wytrzymam chyba! Tu jest zbyt pięknie!

— Powinnaś to zobaczyć na wiosnę — odparł.

Po chwili opanowała się i znowu spojrzała na świat, zrobiła kilka ostrożnych kroków. Słyszeli już poduszkowiec mknący do nich z Milagre — zaraz przybędą Olhado i Grego albo Valentine i Jakt. Po raz pierwszy spotkają Jane jako Val. Szczególnie Valentine będzie wspominać i tęsknić za młodą Val. W przeciwieństwie do Mira, nie miała osobistych wspomnień związanych z Jane — nie były sobie aż tak bliskie. Miro zdążył jednak ją poznać i wiedział, że ten żal zachowa dla siebie. Wobec Jane okaże radość ze spotkania, może też zaciekawienie. Taki już miała charakter. Ważniejsze było dla niej zrozumienie niż rozpacz. Wszystko przeżywała głęboko, ale nie pozwalała, by własne cierpienie i żal stanęły na drodze poznania.

— Nie powinnam tego robić — westchnęła Jane.

— Czego?

— Używać siły fizycznej wobec Quary — odparła zbolałym głosem.

Miro wzruszył ramionami.

— Sama tego chciała. Słyszysz przecież, że ciągle się tym rozkoszuje.

— Nie, wcale nie chciała — zaprzeczyła Jane. — Nie w głębi serca. Naprawdę chce tego co każdy: być kochaną i upragnioną, stworzyć coś wielkiego i pięknego, zyskać szacunek tych, których podziwia.

— Tak… Dobrze, wierzę ci na słowo.

— Nie, Miro. Sam to dostrzegasz.

— Tak, dostrzegam — zgodził się Miro — ale już dawno przestałem próbować. Wymagania Quary były i są ogromne, ktoś taki jak ja może w nich zatonąć z dziesięć razy. Miałem wtedy własne kłopoty. Nie potępiaj mnie za to, że ją skreśliłem. Kadź jej nieszczęścia jest dość głęboka, by pomieścić tysiące wiader radości.

— Nie potępiam cię — zapewniła. — Ja tylko… Musiałam się upewnić, że widzisz, jak bardzo ona cię kocha i jak cię potrzebuje. Chciałam…

— Chciałaś, żebym był jak Ender — stwierdził Miro.

— Chciałam, żebyś był jak najlepszym sobą — odparła Jane.

— Ja też kochałem Endera. Myślę, że był lepszym ja każdego człowieka. I nie mam pretensji, że chciałabyś, bym przynajmniej w części ci go zastąpił. Pod warunkiem że mogę też pozostać sobą.

— Nie oczekuję, że będziesz doskonały. I nie oczekuję, że będziesz Enderem. Ty też lepiej nie spodziewaj się po mnie doskonałości, bo jestem osobą, która przewróciła twoją siostrę.

— Kto wie… — mruknął Miro. — Może dzięki temu uzna cię za swoją najlepszą przyjaciółkę.

— Mam nadzieję, że nie. — Jane westchnęła. — Ale jeśli to prawda, zrobię dla niej, co tylko będę mogła. W końcu będzie przecież i moją siostrą.

* * *

‹Więc byliście gotowi› stwierdziła Królowa Kopca.

‹Nie wiedząc o tym, tak. Byliśmy gotowi› przyznał Człowiek.

‹A teraz jesteście jej fragmentem. Wszyscy.›

‹Jej dotyk jest delikatny, a obecność w nas łatwa do zniesienia. Matczynym drzewom nie przeszkadza. Jej żywotność dodaje życia im

wszystkim. A jeśli jej wspomnienia wydają się im dziwne, to przynajmniej mają w życiu jakąś odmianę — większą niż w życiu poznały.›

‹Czyli jest teraz cząstką nas wszystkich› uznała Królowa Kopca. ‹Stała się w części królową kopca, w części istotą ludzką, a w części pequenino.›

‹Cokolwiek uczyni, nikt nie powie, że nas nie rozumie. Jeśli już ktoś musi się bawić boską mocą, raczej niech robi to ona niż kto inny.›

‹Przyznaję, że jestem o nią zazdrosna. Połączyła się z tobą, jak mnie się nigdy nie uda. Po tylu rozmowach wciąż nawet się nie domyślam, co to znaczy być jedną z was.›

‹Ja też dostrzegam zaledwie przebłyski twych myśli› wyznał Człowiek. ‹Ale czy to niedobrze? Tajemnica nie ma końca. Zawsze będziemy dla siebie niespodzianką.›

‹Dopóki śmierć nie położy kresu wszelkim niespodziankom› dokończyła Królowa Kopca.

W TEN SPOSÓB KOMUNIKUJĄ SIĘ ZE ZWIERZĘTAMI

Gdybyśmy tylko byli mądrzejszymi albo lepszymi ludźmi, może bogowie wytłumaczyliby nam swe obłąkane, nieznośne czyny.

Z „Boskich szeptów Han Qing-jao”

Kiedy tylko admirał Bobby Lands otrzymał wiadomość, że odzyskano ansiblowe połączenie z Gwiezdnym Kongresem, wydał całej flocie rozkaz natychmiastowego rozpoczęcia deceleracji do prędkości tuż poniżej progu niewidzialności. Polecenie wykonano, wiedział, że za godzinę ewentualny lusitański obserwator przy teleskopie odniósłby wrażenie, jakby flota wyskoczyła nagle z niebytu. Nadal jednak będą pędzić w stronę planety z ogromną szybkością, nie wyłączając potężnych dziobowych tarcz, chroniących statki przed straszliwymi skutkami zderzeń z drobnymi jak pył międzygwiezdnymi cząstkami.

Strategia admirała Landsa była prosta. Zbliży się do Lusitanii z najwyższą możliwą prędkością, nie wywołującą jeszcze efektów relatywistycznych, wystrzeli pocisk z systemem DM w okresie największego zbliżenia, w oknie co najwyżej kilkugodzinnym, potem statki przyspieszą do prędkości relatywistycznej tak gwałtownie, że kiedy pocisk eksploduje, żadnego z nich nie pochwyci w swoje niszczące pole.

Była to dobra, prosta strategia, opierająca się na założeniu, że Lusitania nie ma żadnej obrony. Ale Lands nie mógł przyjąć takiego założenia bez dowodu. Lusitańscy buntownicy mieli przecież dość siły, żeby w końcowym etapie podróży odciąć komunikację floty z resztą ludzkości. Nie szkodzi, że problemy te przypisano jakiemuś wyjątkowo zaradnemu i o rozległym działaniu komputerowemu programowi sabotującemu. Nie szkodzi, że zwierzchnicy zapewnili go, iż ów program sabotujący został wykasowany dzięki radykalnym działaniom, tak wyliczonym, by wyeliminować zagrożenie tuż przed dotarciem flotylli do celu. Lands nie miał zamiaru dać się oszukać iluzji bezbronności. Wróg dysponował nieznanym potencjałem i Lands musiał być gotów na wszystko. To była wojna, wojna totalna, nie pozwoli, by misja się nie powiodła z powodu niedbałości albo

nadmiernej pewności siebie.

Od chwili, kiedy otrzymał ten przydział, doskonale zdawał sobie sprawę, że przejdzie do historii jako Drugi Ksenobójca. Niełatwo jest myśleć o zniszczeniu obcej rasy, zwłaszcza że — według raportów — prosiaczki z Lusitanii były prymitywne i nie stanowiły żadnego zagrożenia dla ludzkości. A nawet kiedy obcy wrogowie stanowili to zagrożenie, jak robale w czasach Pierwszego Ksenocydu, jakiś czuły dureń, nazywający siebie Mówcą Umarłych, zdołał nakreślić sielankowy wizerunek morderczych potworów jako utopijnej, wcale nie niebezpiecznej społeczności mrówczego kopca. Skąd autor mógł znać prawdziwe zamiary robali? Napisał coś strasznego, dzieło to bowiem okryło hańbą imię chłopca, bohatera, który tak inteligentnie pokonał robale i ocalił ludzi.

Lands nie wahał się, kiedy mu zaproponowano dowództwo Floty Lusitańskiej. Od początku lotu codziennie poświęcał sporo czasu na studiowanie nielicznych dostępnych informacji o Enderze Ksenobójcy. Chłopiec nie wiedział, oczywiście, że przez ansible kieruje prawdziwą flotą ludzi, wierzył, że podlega brutalnemu i rygorystycznemu programowi symulacji treningowych. Mimo to w kluczowej chwili podjął właściwą decyzję — użył broni, której zakazano mu używać przeciwko planetom, i w ten sposób zniszczył ostatni ze światów robali. Tak zażegnał groźbę dla ludzkości. Było to prawidłowe działanie, jakiego wymagała sztuka wojenna. I chłopca słusznie uznano za bohatera.

Ale w krótkim czasie zbrodnicza książka o Królowej Kopca odmieniła opinię publiczną. Ender Wiggin, i tak praktycznie na wygnaniu jako gubernator nowej kolonii planetarnej, zniknął całkowicie z kart historii, a jego imię stało się synonimem wymordowania łagodnych, pokojowych i nie rozumianych istot.

Jeśli mogli zwrócić się przeciw człowiekowi w tak oczywisty sposób niewinnemu jak Ender Wiggin, to co pomyślą o mnie? — zastanawiał się ciągle Lands. Robale były brutalnymi, bezdusznymi zabójcami, z flotyllami okrętów wyposażonych w niszczycielską moc. Tymczasem ja mam unicestwić prosiaczki, które też zabijały, ale w mikroskopijnej skali: paru naukowców, którzy mogli przecież naruszyć jakieś tabu. Prosiaczki z pewnością nie posiadają — teraz ani w przewidywalnej przyszłości — środków, pozwalających oderwać się od rodzinnej planety i zagrozić ludzkiej dominacji w kosmosie.

Mimo to Lusitania była równie groźna jak robale… Może nawet bardziej. Na jej powierzchni szalał wirus, zabijający każdego zarażonego człowieka — chyba że ofiara do końca życia będzie przyjmować stałe dawki coraz mniej skutecznego antidotum. Co więcej, wirus był zdolny do bardzo szybkiej adaptacji.

Dopóki wirus działał jedynie na Lusitanii, niebezpieczeństwo nie

było wielkie. Ale wtedy dwójka aroganckich naukowców — akta prawne wskazywały ksenologów, Marcosa „Mira” Vladimira Ribeirę von Hesse i Ouandę Quenhattę Figueirę Mucumbi — naruszyła regulamin ludzkiej kolonii, dostarczając prosiaczkom nielegalnej techniki i bioform. Gwiezdny Kongres zareagował właściwie, wzywając przestępców przed sąd na innej planecie. Oczywiście, podlegaliby kwarantannie, ale lekcja byłaby surowa i szybka. Nikt więcej na Lusitanii nie próbowałby naruszać mądrych praw, broniących ludzkość przed rozprzestrzenieniem wirusa descolady. Kto mógł odgadnąć, że taka maleńka kolonia ośmieli się zbuntować przeciw Kongresowi i odmówić aresztowania oskarżonych? Od tej chwili nie było innego wyboru niż wysłanie floty i zniszczenie Lusitanii. Dopóki bowiem trwała rewolta, zbyt wielkie było ryzyko, że kosmoloty odlecą z planety i poniosą straszliwą zarazę reszcie ludzkości.

Wszystko jasne. Ale Lands wiedział, że kiedy tylko minie niebezpieczeństwo, kiedy wirus descolady przestanie istnieć, ludzie zapomną o niedawnym zagrożeniu. I zaczną się rozczulać nad śmiercią prosiaczków, nieszczęsnej rasy ofiar bezlitosnego admirała Bobby’ego Landsa. Nad Drugim Ksenocydem.

Lands nie był człowiekiem pozbawionym uczuć. Wiedza, że będzie znienawidzony, nie pozwalała mu zasnąć. Nie cieszył się obowiązkiem, jaki spoczął na jego barkach — nie lubił przemocy i łamała mu serce myśl o zniszczeniu nie tylko prosiaczków, ale też wszystkich ludzi na Lusitanii. Nikt we flocie nie wątpił, że ma opory wobec tego, co musi uczynić, ale nikt też nie mógł wątpić, że wykona zadanie.

Gdyby tylko znalazło się jakieś wyjście, myślał uparcie. Gdyby tylko po wyjściu w czas rzeczywisty Kongres przysłał wiadomość, że odkryto jakieś normalne lekarstwo albo działającą szczepionkę przeciwko descoladzie. Cokolwiek, co wykaże, że niebezpieczeństwo minęło. Co pozwoli, by system DM pozostał nie uzbrojony w wyrzutni na statku flagowym.

Jednak takich pragnień nie mógł nawet nazywać nadzieją. Nie było żadnej szansy. Nawet gdyby na Lusitanii wynaleziono lekarstwo, jak mogliby o tym zawiadomić? Nie, Lands musi z pełną świadomością powtórzyć to, co Ender uczynił w poczuciu niewinności. I tak postąpi. Poniesie konsekwencje. Spojrzy w twarz oskarżycielom. Gdyż będzie wiedział, że to, co zrobił, zrobił dla dobra całej ludzkości, wobec tego jakie ma znaczenie, czy będzie podziwiany, czy też niesprawiedliwie znienawidzony?

* * *

Gdy tylko przywrócono łączność, Yasujiro Tsutsumi wysłał wiadomości, po czym udał się na dziewiąte piętro, do ansibli. Czekał zalękniony. Jeśli rodzina uzna, że jego pomysł wart jest dyskusji, zażądają konferencji w czasie rzeczywistym. Nie powinni na niego czekać. A jeśli odpowiedzią będzie nagana, chciał przeczytać ją pierwszy, by podwładni i koledzy na Boskim Wietrze dowiedzieli się o tym od niego, a nie z plotek powtarzanych za plecami.

Czy Aimaina Hikari zdawał sobie sprawę, o co prosi Yasujiro? Młody człowiek dopiero zaczynał karierę. Gdyby mu się powiodło, zacząłby podróżować ze świata do świata jako jeden z elitarnej kasty menedżerów, wyrwanych ze strumienia czasu i wysłanych w przyszłość dzięki efektowi dylatacji czasu lotów kosmicznych. Gdyby uznano, że się nie nadaje, przesunięto by go w bok lub w dół drabiny organizacyjnej — tutaj, na Boskim Wietrze. Nigdy by nie opuścił planety i wciąż widziałby litość tych, którzy wiedzieli, że nie zdołał wznieść się z krótkiego życia w wieczny swobodny lot klasy dyrektorów.

Aimaina zapewne zdawał sobie z tego sprawę. Choć gdyby nawet nie wiedział, jak niepewna jest pozycja Yasujiro, odkrycie tego na pewno by go nie powstrzymało. Ocalić obcą rasę przed niesłusznym unicestwieniem — to czyn wart poświęcenia jednej czy drugiej kariery. Co Aimaina mógł poradzić, że to nie jego kariera legnie w gruzach? Yasujiro czuł się zaszczycony, że mistrz właśnie jego wybrał, że uznał go za dość mądrego, by dostrzec moralne niebezpieczeństwo dla ludu yamato, i dość odważnego, by działać w oparciu o tę wiedzę, nie dbając o cenę, jaką przyjdzie mu zapłacić.

Taki zaszczyt… Yasujiro miał nadzieję, że to mu wystarczy, kiedy straci wszystko inne. W przypadku odmowy zarnierzał opuścić korporację Tsutsumi. Nie mógłby zostać, gdyby nie podjęli działań w celu odwrócenia niebezpieczeństwa. I nie mógłby zachować milczenia. Przemówi i oskarży także ród Tsutsumi. Nie będzie im groził, gdyż rodzina słusznie traktowała wszelkie groźby z pogardą. Po prostu będzie mówił. Wtedy, za tę nielojalność, postarają się go zniszczyć. Żadna firma go nie zatrudni. Żadne państwowe stanowisko nie pozostanie długo w jego rękach. Nie żartował, mówiąc Aimainie, że u niego zamieszka. Kiedy Tsutsumi postanowili kogoś ukarać, złoczyńca mógł tylko powierzyć się łasce przyjaciół — jeśli miał jeszcze przyjaciół, nie przestraszonych gniewem Tsutsumi.

Yasujiro czekał i czekał, godzina po godzinie, a w jego myślach rozgrywały się kolejne scenariusze. Nie mogli przecież zignorować listu. Na pewno już teraz czytają go i dyskutują.

Wreszcie zasnął. Obudziła go operatorka ansibla — kobieta, która przyszła na dyżur, kiedy już spał.

— Czy jest pan szanownym Yasujiro Tsutsumi?

Dyskusja już trwała, mimo najlepszych chęci w końcu naprawdę się spóźnił. Koszt takiej konferencji w czasie rzeczywistym był oszałamiający, nie wspominając nawet o niewygodzie. W nowym systemie komputerowym każdy uczestnik musiał się zjawić przy ansibl,; rozmowa byłaby niemożliwa, gdyby między każdym komentarzem i repliką musieli przeczekiwać wbudowane opóźnienie.

Gdy Yasujiro zerknął na nazwiska wyświetlone pod twarzami na terminalach, poczuł równocześnie podniecenie i lęk. Sprawy nie przekazano urzędnikom niższych szczebli w głównym biurze firmy na Honsiu. Zjawił się sam Yoshiaki-Seiji Tsutsumi, przez całe życie Yasujiro kierujący rodzinną korporacją. To dobry znak. Yoshiaki-Seiji — czy też „Yes Sir", jak go nazywano, kiedy tego nie słyszał — nie marnowałby czasu tylko po to, żeby skarcić nadmiernie ambitnego podwładnego.

Yes Sir milczał, naturalnie. Przemawiał stary Eiichi, znany jako sumienie Tsutsumi — co oznaczało, jak cynicznie twierdzili niektórzy, że musi być głuchoniemy.

— Nasz młodszy brat był śmiały, ale i mądry, że przekazał nam myśli i uczucia naszego szacownego mistrza Aimainy Hikariego. Wprawdzie nikt z nas na Honsiu nie dostąpił przywileju osobistej znajomości ze strażnikiem yamato, ale wszyscy słuchamy jego słów. Trudno było nam uwierzyć, że Japończycy, jako naród, są odpowiedzialni za Flotę Lusitańską. Trudno też było uwierzyć w szczególną odpowiedzialność Tsutsumi za sytuację polityczną, nie mającą wyraźnych związków z finansami i gospodarką. Słowa naszego brata były gorące i skandaliczne, gdyby nie nadeszły od kogoś, kto przez wszystkie lata pracy z nami zawsze był skromny i pełen szacunku, ostrożny, a przy tym dość śmiały, by we właściwej chwili podjąć ryzyko, prawdopodobnie nie zwrócilibyśmy uwagi na jego wiadomość. Ale przestudiowaliśmy ją i dowiedzieliśmy się z naszych rządowych źródeł, że japońskie wpływy w Gwiezdnym Kongresie były i są kluczowe, w szczególności dla tej właśnie sprawy. W naszej opinii nie ma już czasu na budowanie koalicji innych korporacji ani na zmianę opinii publicznej. Flota może przybyć lada chwila. Nasza flota, jeśli Aimaina Hikari ma rację. A jeśli nawet jej nie ma, jest to ludzka flota, a wszyscy jesteśmy ludźmi. Być może, jest w naszej mocy ją powstrzymać. Kwarantanna zagwarantuje ochronę ludzkiego gatunku przed wirusem descolady. Dlatego chcemy cię powiadomić, Yasujiro Tsutsumi, że okazałeś się godny imienia, jakie nadano ci przy urodzeniu. Wszystkie środki rodu Tsutsumi poświęcimy przekonaniu dostatecznej liczby kongresmanów do sprzeciwu wobec floty, sprzeciwu tak gwałtownego, że wymusi natychmiastowe głosowanie nad jej odwołaniem i zakazem ataku na Lusitanię. Odniesiemy w tym

sukces lub nie, ale niezależnie od wyniku, nasz młodszy brat Yasujiro Tsutsumi dobrze się nam przysłużył, nie tylko swoimi osiągnięciami w kierowaniu firmą, ale i dlatego że wiedział, kiedy wysłuchać przybysza, kiedy kwestie moralne postawić przed sprawami finansowymi i kiedy zaryzykować wszystko, by pomóc Tsutsumi czynić to, co słuszne. Wzywamy zatem Yasujiro Tsutsumi na Honsiu, gdzie będzie służył rodowi Tsutsumi jako mój asystent. — Eiichi skłonił się. — Jestem zaszczycony, że tak niezwykły młody człowiek odbiera nauki, by mnie zastąpić, kiedy umrę lub odejdę w stan spoczynku.

Yasujiro skłonił się z powagą. Cieszył się, że wezwano go wprost na Honsiu… Nikomu jeszcze nie udało się to w tak młodym wieku. Ale być asystentem Eiichiego, jego przyszłym następcą — nie o takiej karierze marzył. Nie po to pracował tak ciężko i służył wiernie, żeby zostać filozofem i ombudsmanem. Wolałby trafić w sam gąszcz rodzinnych przedsięwzięć.

Miną lata podróży, zanim dotrze do Honsiu. Eiichi może już nie żyć. Yes Sir do tego czasu umrze z pewnością. Yasujiro może przecież zamiast stanowiska Eiichi dostać inny przydział, bardziej odpowiedni dla jego zdolności. Dlatego nie odrzuci niezwykłego daru. Przyjmie swój los i podąży tam, gdzie go poprowadzi.

— Eiichi, mój ojcze, chylę głowę przed tobą i wielkimi ojcami naszej korporacji, szczególnie zaś przed Yoshiaki-Seiji-san. Spotyka mnie zaszczyt, na jaki nie zasłużyłem. Modlę się, abym was zbytnio nie rozczarował. I składam dzięki, że w tych trudnych czasach duch yamato znalazł tak dzielnych obrońców.

Po tym oficjalnym przyjęciu rozkazów konferencja została zamknięta. Była kosztowna, a rodzina Tsutsumi starała się unikać zbędnych wydatków. Spotkanie dobiegło końca. Yasujiro przymknął oczy. Drżał cały.

— Och, Yasujiro-san — szepnęła operatorka ansibla. — Och, Yasujiro-san.

Och, Yasujiro-san, myślał Yasujiro. Kto by pomyślał, że do tego doprowadzi wizyta Aimainy… Tak łatwo wydarzenia mogły się potoczyć w przeciwnym kierunku. A teraz stanie się człowiekiem z Honsiu. Niezależnie od swej roli, będzie jednym z najwyższych przywódców Tsutsumi. Nie mógłby liczyć na więcej. Kto by pomyślał…

Zanim zdążył wstać od ansibla, przedstawiciele Tsutsumi prowadzili już rozmowy ze wszystkimi japońskimi kongresmanami, a także wieloma innymi, którzy nie byli Japończykami, ale słuchali wskazań necesarian. I w miarę jak wydłużała się lista ustępliwych polityków, stawało się jasne, że wsparcie dla floty jest minimalne. Jej powstrzymanie więc nie powinno być bardzo kosztowne.

* * *

Dyżurny pequenino nasłuchujący danych z satelitów wokół Lusitanii usłyszał alarm i z początku nie wiedział, co się dzieje. Za jego pamięci alarm nigdy się jeszcze nie odezwał. Najpierw pomyślał, że satelita wykrył jakiś niebezpieczny układ meteorologiczny. Ale nie — alarm uruchomiły teleskopy obserwujące przestrzeń. Pojawiły się dziesiątki uzbrojonych statków, lecących z wielkimi, ale nie relatywistycznymi prędkościami, kursem pozwalającym na wystrzelenie systemu DM w ciągu godziny.

Dyżurny przekazał informację kolegom, po chwili trafiła do burmistrza Milagre. Pogłoski dotarły do pozostałych jeszcze mieszkańców. Kto nie odleci w ciągu godziny, ten zginie, brzmiała wiadomość. Po kilku minutach setki rodzin zebrały się wokół statków, czekając na ewakuację. To niezwykłe, ale wyłącznie ludzie próbowali ucieczki w ostatniej chwili. Wobec nieuniknionej śmierci własnych lasów ojcowskich, matczynych i braterskich drzew, pequeninos nie starali się ratować życia. Kim by byli bez lasów? Lepiej zginąć między drogimi sobie, niż żyć jako wieczny tułacz w dalekich lasach, które nie będą i nie mogą stać się własnymi.

Co do Królowej Kopca, wysłała już córki i nie interesował jej odlot. Była ostatnią z królowych kopców żyjących przed zniszczeniem ich planety przez Endera. Uznała, że ona także powinna zginąć — jak tamte, choć trzy tysiące lat później. Poza tym, mówiła sobie, jak mogłaby żyć, skoro jej najlepszy przyjaciel, Człowiek, wrósł w Lusitanię i nie mógł jej opuścić? Nie była to królewska myśl, ale w końcu żadna z królowych nie miała dotąd przyjaciela. To coś nowego: móc rozmawiać z kimś, kto nie był w swej istocie nią samą. Życie bez Człowieka byłoby zbyt smutne. A że jej ocalenie nie było już kluczowe dla przetrwania gatunku, zrobi coś wielkiego, dzielnego, tragicznego, romantycznego, a przynajmniej wyrafinowanego: zostanie. Nawet spodobał jej się pomysł szlachetnego zachowania w ludzkim sensie tego słowa. Dowodził też, ku jej zaskoczeniu, że bliski kontakt z ludźmi i pequeninos nie pozostał bez wpływu na nią. Odmienili ją, choć tego nie oczekiwała. W całej historii jej rasy nigdy nie istniała podobna do niej królowa kopca.

‹Wolałbym, żebyś poleciała› oświadczył Człowiek. ‹Chciał-bym myśleć o tobie jako o żywej. ›

Tym razem nie odpowiedziała.

* * *

Jane była nieugięta. Zespół pracujący nad językiem descoladores musiał odlecieć z Lusitanii i wrócić na orbitę wokół ich planety. Oczywiście, ona także miała się tam znaleźć. Nikt nie był tak głupi, by mieć za złe ocalenie osoby, dzięki której podróżowały wszystkie statki, ani też grupy ludzi, którzy mieli szansę ocalić przed descoladores całą ludzkość. Jednak Jane znalazła się na mniej pewnym moralnie gruncie, kiedy się uparła, że w bezpieczne miejsce muszą trafić Novinha, Grego i Olhado z rodziną. Valentine także została poinformowana, że jeśli nie wejdzie z mężem, dziećmi, załogą i przyjaciółmi na statek Jakta, Jane będzie zmuszona poświęcić bezcenne moce psychiczne i przetransportować ich fizycznie, nawet bez statku, jeśli będzie trzeba.

— Dlaczego my? — protestowała Valentine. — Nie prosiliśmy o specjalne przywileje.

— Nie obchodzi mnie, o co prosiliście, a o co nie — odparła Jane. — Jesteś siostrą Endera, Novinha jest wdową po nim, jej dzieci to jego adoptowane dzieci. Nie będę patrzeć spokojnie, jak dajecie się zabić, skoro jest w mojej mocy uratowanie rodziny przyjaciela. Jeśli wydaje ci się to niesprawiedliwym przywilejem, możesz się skarżyć później, ale na razie pakujcie się do statku Jakta, żebym mogła was zabrać z tej planety. Ocalicie więcej ludzi, jeśli przestaniecie zajmować mi czas bezsensowną dyskusją.

Zawstydzeni swymi specjalnymi prawami, jednak wdzięczni, że oni sami i ich najbliżsi przeżyją kolejne kilka godzin, zespół języka descoladores zebrał się przy promie zmienionym w kosmolot. Jane przeniosła go dalej od zatłoczonego lądowiska. Inni spieszyli do ładownika Jakta, który także przesunęła w odosobnione miejsce.

Mieszkańcy Milagre nie popadali w panikę. Tak długo żyli w lęku, że przybycie floty w pewnym sensie sprawiło im ulgę. Za godzinę, najdalej dwie, cała sprawa się rozstrzygnie.

Miro siedział otępiały przed terminalem na pokładzie promu pędzącego na wysokiej orbicie nad planetą descoladores.

— Nie mogę pracować — oświadczył w końcu. — Nad żadnym językiem nie umiem się skupić, kiedy mój naród i mój dom znalazły się na krawędzi zniszczenia.

Wiedział, że Jane — przypięta do koi na rufie promu — cały swój umysł wykorzystuje do transportu kolejnych statków z Lusitanii na inne skolonizowane światy, nie przygotowane na ich przyjęcie. Tymczasem on mógł najwyżej rozważać molekularne przekazy niepoznawalnych obcych.

— A ja mogę — stwierdziła Quara. — W końcu descoladores są

równie wielkim zagrożeniem, i to dla całej ludzkości, nie tylko dla jednej planetki.

— Jakaś ty mądra — wtrąciła oschle Ela — patrzysz na to wszystko z właściwej perspektywy.

— Spójrzcie na transmisję, jaką odbieramy od descoladores — mówiła dalej Quara. — Czy widzicie to samo, co ja widzę?

Ela wywołała nad swoim terminalem obraz z komputera Quary. Miro także. Quara była wprawdzie irytująca, ale znała się na swoim fachu.

— Widzicie? Cokolwiek jeszcze robi ta molekuła, została zaprojektowana, żeby oddziaływać na dokładnie ten sam obszar mózgu co molekuła heroiny.

Nie można zaprzeczyć, że pasowała idealnie. Eli jednak trudno było w to uwierzyć.

— Mogli tego dokonać tylko w jeden sposób — stwierdziła. — Musieli wykorzystać historyczne informacje zawarte w wirusie descolady, jaki im posłaliśmy. Na ich podstawie zbudowali ludzkie ciało. Zbadali je, znaleźli środek chemiczny, który unieruchomi nas bezmyślną rozkoszą, a oni tymczasem zrobią z nami to, na co mają ochotę. Ale przez czas od przesłania im informacji w żaden sposób nie mogli wyhodować człowieka.

— Może pełne ciało nie było im potrzebne — zgadywał Miro. — Może tak dobrze umieją czytać informację genetyczną, że na jej podstawie ekstrapolowali całą niezbędną wiedzę o ludzkiej anatomii i fizjologii.

— Przecież nie mają naszego DNA — przypomniała Ela.

— Może potrafią wycisnąć dane z pierwotnego, naturalnego wirusa. W każdym razie jakoś je uzyskali i najwyraźniej domyślili się, że od tego będziemy tu tkwić jak kamienie z głupimi, zadowolonymi uśmiechami.

— Dla mnie jest całkiem oczywiste — wtrąciła Quara — że chcieli, żebyśmy tę molekułę odczytali biologicznie. Chcieli, żebyśmy natychmiast przyjęli narkotyk. Według nich pewnie siedzimy teraz i czekamy, aż przylecą i przejmą statek.

Miro natychmiast zmienił obraz nad terminalem.

— Niech to licho, Quaro! Masz rację. Patrzcie: trzy statki kierują się w naszą stronę.

— Nigdy dotąd się do nas nie zbliżali — przypomniała Ela.

— Teraz też się nie zbliżą — rzekł Miro. — Musimy pokazać, że ich koń trojański nie zadziałał.

Poderwał się z fotela i niemal pofrunął korytarzem do śpiącej Jane.

— Jane! — krzyczał, zanim jeszcze dotarł do kabiny. — Jane! Po chwili uchyliła powieki.

— Jane — powiedział. — Przesuń nas o jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów i ustaw na niższej orbicie.

Spojrzała niepewnie, potem chyba postanowiła mu zaufać, gdyż o nic nie spytała. Zamknęła oczy, gdy tylko Gasiogień zawołał ze sterowni:

— Zrobiła to! Przenieśliśmy się! Miro popłynął z powrotem.

— Teraz wiemy, że tego nie potrafią — stwierdził.

Rzeczywiście, terminal wykazywał, że obce statki nie zbliżają się już, ale ustawiły się czujnie o dwadzieścia kilometrów dalej, z trzech… nie, czterech stron.

— Ładnie nas wzięli w czworościan — zauważył Miro.

— W każdym razie wiedzą, że nie poddaliśmy się narkotykowi — rzekła Quara.

— Ale nie zbliżyliśmy się przez to do zrozumienia.

— Po prostu jesteśmy durniami — orzekł Miro.

— Samooskarżenia nie pomogą — odpowiedziała Quara. — Nawet jeśli w twoim przypadku są akurat prawdziwe.

— Quaro! — rzuciła ostro Ela.

— To był żart, do diabła! Czy dziewczyna nie może zażartować ze swojego starszego brata?

— No tak — mruknął Miro. — Żartownisia z ciebie.

— Co miałeś na myśli mówiąc, że jesteśmy durniami? — zapytał Gasiogień.

— Nigdy nie odszyfrujemy ich języka — wyjaśnił Miro. — Ponieważ to nie jest język. To zestaw rozkazów biologicznych. Oni nie mówią. Nie abstrahują. Oni tylko tworzą molekuły, którymi robią pewne rzeczy. To tak jakby ludzki słownik składał się z kija i marchewki. Walisz kijem albo dajesz marchewkę: kara i nagroda. Jeśli w ogóle miewają jakieś abstrakcyjne myśli, nie odczytamy ich z molekuł.

— Trudno uwierzyć, żeby rasa nie posiadająca abstrakcyjnego języka potrafiła stworzyć takie statki — stwierdziła z wyższością Quara. — Oni nadają te molekuły, jak my nadajemy widy i głosy.

— A jeśli mają wewnętrzne organy, które bezpośrednio tłumaczą te molekularne przekazy na chemiczne i fizyczne struktury? Wtedy by mogli…

— Nie zrozumiałeś. Waląc kijem i karmiąc marchewką nie da się zbudować fundamentu wiedzy. Potrzebują języka, żeby magazynować informacje poza własnym ciałem, żeby przekazywać wiedzę od osoby do osoby, z pokolenia na pokolenie. Nie wystartujesz w kosmos i nie nadasz wiadomości w paśmie elektromagnetycznym, opierając się na tym, do czego można skłonić człowieka za pomocą kamienia.

— Ma rację — przyznała Ela.

— Więc może część tych molekularnych przekazów to elementy

pamięci — zastanowił się Miro. — Nadal nie język… Stymulują mózg do „pamiętania” tego, czego doświadczył nadawca, ale nie odbiorca.

— Posłuchaj — rzekł Gasiogień. — Czy masz rację, czy nie, musimy próbować rozszyfrować ich język.

— Jeśli mam rację, to tylko tracimy czas.

— Dokładnie.

— Aha… — Miro zrozumiał.

Gasiogień wnioskował poprawnie. Jeśli Miro domyślał się prawidłowo, cała ich misja była bezużyteczna. Już ponieśli klęskę. Dlatego musieli nadal działać tak, jakby Miro się mylił i język dawał się odczytać. Gdyby nie, i tak nic nie mogli zrobić.

A jednak…

— Zapominamy o czymś — oświadczył Miro.

— Ja nie — zapewniła Quara.

— Jane. Została stworzona, ponieważ królowe kopców budowały pomost między gatunkami.

— Między ludźmi i królowymi kopców, nie między ludźmi i nieznanymi istotami siejącymi wirusy — przypomniała Quara. Jednak Elę to zainteresowało.

— Ludzki system komunikacji… rozmowa między równymi sobie była z pewnością równie obca dla królowych kopców, jak ten molekularny język dla nas. Może Jane rzeczywiście znajdzie jakiś sposób, żeby połączyć się z nimi filotycznie.

— Czytać w myślach? — zdziwiła się Quara. — Pamiętaj, że nie mamy pomostu.

— Wszystko zależy, jak sobie radzą z połączeniami filotycznymi — rzekł Miro. — Królowa Kopca przez cały czas rozmawia z Człowiekiem, prawda? Ponieważ ojcowskie drzewa i królowe kopców wykorzystują filotyczne łącza do komunikacji. Umysł przemawia do umysłu, bez pośrednictwa języka. A biologicznie nie są bardziej podobni niż królowe kopców do ludzi.

Ela w zamyśleniu kiwnęła głową.

— W tej chwili Jane nie może niczego sprawdzić, dopóki nie rozwiąże się jakoś sprawa z flotą Kongresu. Ale kiedy już będzie wolna, może przynajmniej spróbować skomunikować się z tymi… ludźmi bezpośrednio.

— Gdyby ci obcy porozumiewali się przez łącza filotyczne — zauważyła Quara — nie musieliby używać molekuł.

— Te molekuły… — powiedział Miro — może w ten sposób obcy komunikują się ze zwierzętami…

* * *

Admirał Lands nie wierzył własnym uszom. Przewodniczący Gwiezdnego Kongresu i pierwszy sekretarz Admiralicji Gwiezdnej Floty pojawili się obaj nad jego terminalem i przekazali tę samą wiadomość.

— Tak jest. Kwarantanna — powiedział pierwszy sekretarz. — Nie ma pan zgody na użycie systemu destrukcji molekularnej.

— Kwarantanna jest niemożliwa — oświadczył Lands. — Lecimy za szybko. Znacie, panowie, plan ataku, jaki przedstawiłem przed rozpoczęciem lotu. Miną tygodnie, zanim dostatecznie zwolnimy. Co z moimi ludźmi? Co innego relatywistyczny rejs, a po nim powrót do domu. Owszem, ich rodzina i przyjaciele już nie żyją, ale przynajmniej załoga nie ma wiecznie służby na okręcie. Utrzymując prędkość pod progiem relatywistycznej, zaoszczędzam im miesiące życia w akceleracji i deceleracji. Tymczasem panowie każą im tu zostać na lata!

— Z pewnością nie chce pan sugerować — odparł przewodniczący — że powinniśmy roznieść Lusitanię, zetrzeć pequeninos i tysiące ludzkich istot, żeby pańska załoga nie wpadła w depresję?

— Mówię tylko, że jeśli nie chcecie roznosić tej planety, proszę bardzo… Ale przynajmniej pozwólcie nam wrócić do domu.

— Na to nie możemy się zgodzić — stwierdził sekretarz. — Wirus descolady jest zbyt niebezpieczny, żeby bez nadzoru pozostawiać go na zbuntowanej planecie.

— To znaczy, że odwołujecie użycie systemu DM, chociaż nie zrobiono niczego w celu powstrzymania descolady?

— Wyślemy grupę badawczą, która przy zachowaniu wszelkich środków ostrożności ustali, jaka sytuacja panuje na powierzchni.

— Inaczej mówiąc, narazicie ludzi na śmiertelne niebezpieczeństwo choroby, nie mając pojęcia o sytuacji na powierzchni. Przecież dysponujemy środkami pozwalającymi wyeliminować zarazę raz na zawsze, nie ryzykując życia żadnego nie zarażonego człowieka.

— Kongres podjął decyzję — oznajmił lodowatym tonem przewodniczący. — Dopóki mamy jakąkolwiek alternatywę, nie popełnimy ksenocydu. Czy przyjął pan i zrozumiał rozkaz?

— Tak, sir — potwierdził Lands.

— Czy zostanie on wykonany?

Pierwszy sekretarz był wstrząśnięty. Nie wolno obrażać oficera dowodzącego kwestionowaniem jego lojalności.

A jednak przewodniczący nie cofnął obraźliwych słów.

— A więc?

— Sir, zawsze żyłem i żyć będę w zgodzie z moją przysięgą.

To mówiąc, Lands zerwał połączenie. Natychmiast obejrzał się na Causo, swojego pierwszego oficera, jedynego obecnego przy nim w zamkniętej kabinie łączności.

— Jest pan aresztowany — oznajmił. Causo uniósł brew.

— Więc nie ma pan zamiaru posłuchać rozkazu?

— Proszę mi tylko nie mówić o swoich osobistych poglądach na tę sprawę. Wiem, że jest pan z pochodzenia Portugalczykiem, jak mieszkańcy Lusitanii…

— To Brazylijczycy — przerwał mu oficer. Lands nie zwrócił na niego uwagi.

— Zanotuję w dzienniku pokładowym, że nic pan nie mógł zrobić i w żadnym stopniu nie jest pan odpowiedzialny za działania, jakie zamierzam podjąć.

— A pańska przysięga, sir? — spytał chłodno Causo.

— Przysięgałem wykonać wszelkie nakazane działania w służbie najlepszych interesów ludzkości. Powołam się na casus zbrodni wojennych.

— Oni nie nakazali panu popełnienia zbrodni wojennej. Rozkazali jej nie popełniać.

— Wręcz przeciwnie. Nie zniszczyć tego świata i śmiertelnego zagrożenia, które się tam czai, byłoby zbrodnią przeciw ludzkości o wiele gorszą niż rozsadzenie planety. — Lands sięgnął po broń. — Jest pan aresztowany, sir.

Pierwszy oficer położył ręce na głowie i odwrócił się.

— Sir, może ma pan rację, a może nie. Ale każdy wybór jest rzeczą potworną. Nie wiem, jak potrafi pan podjąć taką decyzję.

Lands umieścił na karku Causo plaster posłuszeństwa, a kiedy narkotyk zaczął przesączać się do krwiobiegu, powiedział jeszcze:

— Miałem pomoc w wyborze, przyjacielu. Zapytałem sam siebie, co zrobiłby Ender Wiggin, człowiek, który uratował ludzkość przed robalami. Co by zrobił, gdyby nagle, w ostatniej chwili, powiedziano mu: To nie jest gra, to się dzieje naprawdę? Zapytałem siebie: a gdyby na moment przed zabiciem tych chłopców, Stilsona i Madrida w swych niesławnych Pierwszym i Drugim Zabójstwie, jakiś dorosły interweniował i nakazał mu przestać? Co by zrobił wiedząc, że ów dorosły nie zdoła go chronić później, kiedy przeciwnik znowu zaatakuje? Wiedząc, że uda się teraz albo nigdy? Gdyby dorośli ze Szkoły Bojowej powiedzieli: Istnieje możliwość, że robale nie chcą zniszczyć ludzkości, więc może nie zabijaj ich wszystkich. Czy sądzisz, że Ender Wiggin by posłuchał? Nie. Postąpiłby, jak zawsze postępował, uczyniłby to, co konieczne, żeby usunąć niebezpieczeństwo i upewnić się, że nie przetrwa, by znowu zagrozić w przyszłości. Radziłem się Endera Wiggina. I za jego mądrością zamierzam teraz podążyć.

Causo nie odpowiedział. Uśmiechnął się tylko i pokiwał głową, uśmiechnął się i pokiwał głową.

— Siadaj i nie ruszaj się stąd, dopóki nie wydam innego polecenia.

Causo usiadł.

Lands przełączył ansibl, by przekazać komunikat wszystkim jednostkom floty.

— Otrzymaliśmy rozkaz i wykonamy go. Natychmiast wystrzeliwuję system DM, po czym przyspieszamy do prędkości relatywistycznej. Niech Bóg zlituje się nade mną.

W chwilę później układ DM odłączył się od admiralskiego okrętu i z szybkością tuż poniżej relatywistycznej pomknął w kierunku Lusitanii. Minie jeszcze co najmniej godzina, zanim osiągnie zbliżenie uruchamiające detonator. Gdyby z jakichś powodów zapalnik zbliżeniowy nie zadziałał, zapalnik czasowy uruchomi system na moment przed przewidywanym zderzeniem.

Lands przyspieszył, przekraczając próg odcinający statek od ram czasowych reszty wszechświata. Potem zdjął Causo plaster posłuszeństwa i zastąpił go antidotum.

— Sir, może mnie pan teraz aresztować pod zarzutem buntu, którego był pan świadkiem. Causo pokręcił głową.

— Nie, sir — odparł. — Nigdzie pan stąd nie odejdzie, a dopóki nie wrócimy do domu, pan dowodzi flotą. Chyba że ma pan jakiś niemądry plan ucieczki przed oskarżeniem o zbrodnie wojenne i procesem, jaki pana czeka.

— Nie, sir — zapewnił Lands. — Przyjmę każdą karę, jaką mi wyznaczą. Ocaliłem ludzkość przed zniszczeniem, ale gotów jestem dołączyć do ludzi i pequeninos z Lusitanii jako ofiara niezbędna dla osiągnięcia tego celu.

Causo zasalutował, po czym usiadł w fotelu i zapłakał.

DAJEMY PANU DRUGĄ SZANSĘ

Kiedy byłam małą dziewczynką, wierzyłam, że jeśli dostatecznie zadowolę bogów, zawrócą czas i pozwolą mi żyć znowu, ale tym razem nie zabiorą mi matki.

Z „Boskich szeptów Han Qing-jao”

Satelita krążący wokół Lusitanii wykrył start pocisku z systemem DM i zmianę jego kursu w stronę planety. Potem statek zniknął z ekranów. Zdarzyło się to, czego najbardziej się obawiano: nikt nie próbował kontaktu czy negocjacji. Najwyraźniej flota od początku zamierzała jedynie zniszczyć ten świat, a wraz z nim całą rasę istot rozumnych. Wielu miało nadzieję, wielu oczekiwało szansy wyjaśnienia, że descolada została całkowicie pokonana i nie przedstawia już żadnego niebezpieczeństwa, że i tak już za późno, żeby cokolwiek powstrzymać, gdyż na kilkunastu planetach powstały kolonie ludzi, pequeninos i królowych kopców. Zamiast tego zobaczyli pędzącą ku nim śmierć. Pozostała im nie więcej niż godzina życia — prawdopodobnie mniej, gdyż detonacja systemu DM nastąpi z pewnością w pewnej odległości od powierzchni planety.

Tylko pequeninos dyżurowali przy instrumentach, ponieważ ludzie — z wyjątkiem niewielkiej garstki — uciekli do kosmolotów. Dlatego pequenino przekazał wieść przez ansibl do statku nad planetą descolady. Przy terminalu przypadkiem stał Gasiogień i pierwszy wysłuchał raportu. Natychmiast zaczął zawodzić, jego wysoki głos falował muzyką rozpaczy.

Kiedy Miro zrozumiał, co się stało, natychmiast pobiegł do Jane.

— Wystrzelili system — powiedział, potrząsając nią delikatnie.

Czekał tylko chwilę. Otworzyła oczy.

— Myślałam, że zwyciężyliśmy — szepnęła. — To znaczy Peter i Wang-mu. Kongres przegłosował kwarantannę i w szczególności odebrał flocie prawo użycia systemu DM. A mimo to wystrzelili.

— Jesteś zmęczona…

— To wymaga wszystkich moich sił. Raz po raz. A teraz mam je stracić… matczyne drzewa. Są częścią mnie, Miro. Pamiętasz, jak się czułeś, kiedy straciłeś panowanie nad swoim ciałem, kiedy byłeś niezręcznym kaleką? To właśnie stanie się ze mną, kiedy znikną matczyne drzewa.

Zaszlochała.

— Przestań — uspokoił ją Miro. — Przestań natychmiast. Opanuj emocje, Jane. Nie mamy na to czasu. Uwolniła się z pasów.

— Masz rację — przyznała. — Ciało bywa czasem zbyt silne, żeby nad nim zapanować.

— System musi się znaleźć blisko planety, żeby na nią podziałać. Pole rozprasza się bardzo szybko, chyba że trafi na masę, która je podtrzyma. Dlatego mamy czas, Jane. Może godzinę. Na pewno więcej niż pół.

— I jak myślisz, co mogę zrobić przez ten czas?

— Przechwyć to draństwo. Wypchnij je na Zewnątrz i nie sprowadzaj z powrotem.

— A jeśli wybuchnie na Zewnątrz? Jeśli ta niszcząca eksplozja odbije się echem aż tutaj? Poza tym nie mogę przechwycić czegoś, czego nie miałam okazji zbadać. W pobliżu nie ma nikogo, żaden ansibl nie jest z tym połączony; nic, co mogłoby pomóc to znaleźć w pustce.

— Nie wiem… — westchnął Miro. — Ender by wiedział! Dlaczego musiał umrzeć?

— Z technicznego punktu widzenia — zgodziła się Jane. — A Peter nie odszukał jeszcze drogi do swoich wspomnień Endera. Jeśli je ma.

— Co ma sobie przypomnieć? Coś takiego nigdy się jeszcze nie zdarzyło.

— Jest w nim aiúa Endera. Ile z jego geniuszu tkwiło w aiúa, a ile pochodziło z ciała i mózgu? Nie zapominaj, jak silny był czynnik genetyczny. Ender przyszedł na świat, ponieważ testy wykazały, że oryginalni Peter i Valentine byli bliscy ideału dowódcy wojskowego.

— To fakt — zgodził się Miro. — A teraz jest Peterem.

— Ale nie prawdziwym Peterem.

— Jest rodzajem Endera i rodzajem Petera. Możesz go odszukać? Możesz z nim rozmawiać?

— Kiedy nasze aiúa się spotykają, nie rozmawiamy. My… tak jakby tańczymy dookoła siebie. Inaczej niż Człowiek i Królowa Kopca.

— Czy ciągle ma klejnot w uchu? — spytał Miro, dotykając własnego.

— Ale co może zrobić? Jest oddalony o godziny drogi od swojego statku.

— Jane — poprosił Miro — spróbuj.

* * *

Peter był wstrząśnięty. Wang-mu dotknęła jego ramienia i przysunęła się bliżej.

— Co się stało?

— Myślałem, że nam się udało — odpowiedział. — Kiedy Kongres przegłosował cofnięcie rozkazu użycia systemu DM.

— Nie rozumiem… — odparła Wang-mu, choć już wiedziała, o co mu chodzi.

— Wystrzelili. Flota Lusitańska nie wykonała polecenia Kongresu. Kto mógł to przewidzieć? Mamy niecałą godzinę do detonacji.

Łzy zapiekły w oczach Wang-mu, ale zamrugała tylko.

— Przynajmniej pequeninos i królowe kopców przetrwają.

— Ale nie sieć matczynych drzew. Loty międzygwiezdne się skończą, dopóki Jane nie znajdzie innego sposobu przechowywania informacji. Braterskie drzewa są za głupie, a ojcowskie mają zbyt silne jaźnie, żeby dzielić się z nią pamięcią. Zrobiłyby to, gdyby mogły, ale nie potrafią. Myślisz, że Jane nie sprawdziła wszystkich możliwości? Loty szybsze niż światło są skończone.

— Więc tutaj będzie nasz dom — stwierdziła Wang-mu.

— Nie, nie będzie.

— Mamy parę godzin drogi do statku, Peter. Nie zdążymy przed detonacją.

— A czym jest statek? Puszką z lampą i szczelnymi drzwiami. Być może, ta puszka wcale nie jest nam potrzebna. Nie zostanę tutaj, Wang-mu.

— Wracasz na Lusitanię? Teraz?

— Jeśli Jane potrafi mnie przenieść. A jeśli nie, to moje ciało wróci tam, skąd przybyło: na Zewnątrz.

— Lecę z tobą — oznajmiła.

— Mam za sobą trzy tysiące lat życia — rzekł Peter. — Co prawda nie pamiętam ich zbyt dokładnie… Ale zasługujesz na coś lepszego niż zniknięcie z tego wszechświata, gdyby Jane się nie udało.

— Lecę z tobą — powtórzyła — więc lepiej nic już nie gadaj. Nie traćmy czasu.

— Nie wiem nawet, co zrobię, kiedy już tam będę — ostrzegł Peter.

— Owszem, wiesz.

— Tak? A co planuję?

— Nie mam pojęcia.

— To właśnie problem. Co komu z mojego planu, jeżeli nikt go nie zna?

— Chodzi mi o to, że jesteś tym, kim jesteś — oświadczyła. — Tą samą wolą, tym samym twardym, pomysłowym chłopcem, który nie pozwolił się pokonać, choćby nie wiem co wystąpiło przeciw niemu w

Szkole Bojowej i Szkole Dowodzenia. Chłopcem, który nie dał się pobić dręczycielom, nieważne, co musiał zrobić, żeby ich pokonać. Nagi, bez żadnej broni oprócz mydła na skórze… tak Ender walczył z Bonzo Madridem w toalecie Szkoły Bojowej.

— Widzę, że dużo czytałaś.

— Peter, nie oczekuję od ciebie, że będziesz Enderem, z jego osobowością, wspomnieniami, jego wyszkoleniem. Ale ciebie nie można pokonać. Potrafisz znaleźć sposób zniszczenia przeciwnika.

Peter potrząsnął głową.

— Nie jestem nim. Naprawdę nie jestem.

— Kiedy się pierwszy raz spotkaliśmy, mówiłeś, że nie jesteś sobą. No więc teraz jesteś. Całym sobą, jednym człowiekiem zupełnym w swoim ciele. Niczego ci nie skradziono, nic nie zaginęło. Rozumiesz? Ender żył w cieniu popełnionego ksenocydu. Ty masz szansę być tym, kto do ksenocydu nie dopuści.

Na chwilę przymknął oczy.

— Jane — odezwał się. — Możesz nas przenieść bez statku? Nasłuchiwał.

— Problem w tym, jak uważa, czy my zdołamy się utrzymać. Ona przesuwa tylko statek i nasze aiúa. Swoje ciała podtrzymujemy sami.

— I tak robimy to przez cały czas. Czyli to żadna różnica.

— Jest różnica — zapewnił Peter. — Jane mówi, że wewnątrz statku mamy wizualne punkty zaczepienia, poczucie bezpieczeństwa. Bez tych ścian, bez światła, w otchłani pustki, możemy zagubić nasze miejsce. Możemy zapomnieć, że jesteśmy związani z własnymi ciałami. Naprawdę musimy się starać.

— Czy coś by pomogło, gdybyśmy byli ludźmi o silnej woli, upartymi, ambitnymi i egocentrycznymi, którzy zawsze pokonują przeszkody, niezależnie od okoliczności?

— Owszem, te cechy mają znaczenie.

— Więc do roboty. Tacy właśnie jesteśmy.

Odszukanie aiúa Petera nie sprawiło Jane kłopotu. Bywała już w jego ciele, podążała za aiúa — czy też ścigała ją — i teraz znalazła natychmiast. Wang-mu to całkiem inna sprawa. Jane nie wiedziała o niej zbyt wiele. Do tej pory zabierała ją w podróże statkiem, którego pozycję już znała.

Kiedy jednak znalazła aiúa Petera — czy też Endera — sprawa okazała się dość prosta. Peter i Wang-mu byli filotycznie złączeni. Maleńka sieć rozciągała się między nimi. Nawet bez puszki dookoła, Jane mogła utrzymać ich oboje równocześnie, jakby byli jednością.

Pchnęła ich na Zewnątrz i spostrzegła, że tym mocniej zwierają się razem — nie tylko ciała, ale też niewidoczne sploty najgłębszej jaźni. Razem znaleźli się na Zewnątrz, razem wrócili do Wnętrza. Jane poczuła ukłucie zazdrości — tak jak była zazdrosna o Novinhę, choć

bez tego fizycznego wrażenia żalu i gniewu, których źródłem było jej ciało. Wiedziała jednak, że to absurd. Mira kochała tak, jak kobieta kocha mężczyznę. Ender był jej przyjacielem i ojcem, a teraz właściwie przestał już być Enderem. Stał się Peterem, pamiętającym tylko kilka miesięcy ich związku. Byli przyjaciółmi, ale nie miał praw do jej serca.

Znajoma aiúa Endera Wiggina i aiúa Si Wang-mu splotły się jeszcze mocniej, kiedy Jane ustawiła ich na powierzchni Lusitanii.

Stali pośrodku lądowiska. Ostatnie kilka setek ludzi gorączkowo usiłowało zrozumieć, dlaczego statki przestały odlatywać akurat w chwili, kiedy wystrzelono system DM.

— Statki są pełne — zauważył Peter.

— Przecież nie potrzebujemy statku — odparła Wang-mu.

— Potrzebujemy. Bez statku Jane nie przechwyci pocisku.

— Przechwyci? — zdziwiła się. — A zatem masz jakiś plan.

— Czy nie mówiłaś, że mam? Nie mogę pozwolić, żebyś z mojej winy okazała się kłamcą.

Przez klejnot zwrócił się do Jane.

— Jesteś? Możesz ze mną rozmawiać przez satelity na… Rozumiem. Dobrze. Jane, musisz opróżnić dla nas jeden statek. — Przerwał na moment. — Przenieś ludzi do którejś kolonii, poczekaj, aż wysiądą, a potem sprowadź statek do nas, z daleka od tego tłumu.

Jeden z kosmolotów zniknął z lądowiska. Ludzie krzyknęli radośnie i rzucili się do pozostałych. Peter z Wang-mu czekali… Czekali, wiedząc, że z każdą straconą na rozładunek minutą system DM zbliża się do celu.

Wreszcie oczekiwanie dobiegło końca, obok nich wyrosła puszka statku. Peter otworzył drzwi i wciągnął Wang-mu do środka, zanim ktokolwiek z ludzi zauważył, co się dzieje. Rozległy się krzyki, ale zamknął i uszczelnił właz.

— Jesteśmy — stwierdziła Wang-mu. — Ale gdzie teraz lecimy?

— Jane zgrywa prędkość z pociskiem.

— Myślałam, że bez statku go nie znajdzie.

— Odbiera namiary z satelity. Przewidzi, gdzie się znajdzie w określonym momencie, a potem przerzuci nas do Wnętrza dokładnie w tym punkcie, lecących dokładnie z taką samą prędkością.

— Pocisk znajdzie się wewnątrz statku? — zdumiała się Wang-mu. — Razem z nami?

— Cofnij się pod ścianę — polecił. — I trzymaj się mnie. Będziemy w nieważkości. Odwiedziłaś już cztery planety i ani razu tego nie doświadczyłaś.

— A ty przeżyłeś coś takiego?

— Nie w tym ciele. — Peter roześmiał się. — Ale chyba na jakimś poziomie pamiętam, jak sobie z tym radzić, ponieważ…

W tej właśnie chwili stracili ciężar, a w powietrzu przed nimi — nie dotykając ścian statku — znalazł się ogromny pocisk niosący system DM.

Peter zaczepił stopy o przymocowaną do ściany ławeczkę i sięgnął do powłoki.

— Musi dotknąć podłogi — oznajmił.

Wang-mu próbowała mu pomóc, ale natychmiast oderwała się od ściany i popłynęła w powietrzu. Poczuła mdłości, zmysły rozpaczliwie szukały jakiegoś kierunku, który mógłby posłużyć za dół.

— Wyobraź sobie, że pocisk jest w dole — rzekł z naciskiem Peter. — Jest w dole. Spadasz na pocisk.

Przeorientowała się. Pomogło. Kiedy podpłynęła bliżej, zdołała chwycić metalową powłokę i przytrzymać. Potem, wdzięczna losowi, że nie wymiotuje, już tylko patrzyła, jak Peter delikatnie popycha pocisk w stronę podłogi. Statek zadrżał, kiedy się zetknęły — masa pocisku była prawdopodobnie większa niż masa statku wokół niego.

— W porządku? — zapytał Peter.

— Już mi lepiej — odpowiedziała Wang-mu i zrozumiała, że zwracał się do Jane.

— Jane bada go teraz — wyjaśnił. — Tak jak statki, zanim gdziekolwiek je przeniesie. Jej aiúa robi coś w rodzaju obchodu całego urządzenia. Teraz, kiedy nastąpił fizyczny kontakt, może wyczuć wewnętrzną formę obiektu. Dostatecznie, żeby utrzymać go na Zewnątrz.

— Zabierzemy go tam i zostawimy?

— Nie. Albo przetrwa w całości i detonuje, albo się rozpadnie. Tak czy tak, kto wie, jakich narobi szkód? Ile jego kopii się pojawi?

— Ani jedna — stwierdziła Wang-mu. — Stworzenie czegoś nowego wymaga inteligencji.

— Jak myślisz, z czego on jest zrobiony? Jak każdy skrawek twojego ciała, jak każdy kamień i chmura, to wszystko aiúa. A tam będą inne, nie połączone, pragnące znaleźć swoje miejsce, imitować, rosnąć. Nie. Ta rzecz jest zła i nie wyniesiemy jej na Zewnątrz.

— Więc co z nią zrobimy?

— Odeślemy do nadawcy — odparł.

* * *

Admirał Lands stał ponury i samotny na mostku okrętu flagowego. Causo już wszystko powiedział: użycie systemu DM było bezprawne i wbrew rozkazom. Kiedy wrócą do cywilizacji, Stary

stanie przed sądem wojennym albo i gorzej. Nikt z nim nie rozmawiał, nikt nie śmiał na niego spojrzeć. Lands wiedział, że musi zdać dowództwo i przekazać okręt Causo jako pierwszemu oficerowi, natomiast flotyllę swojemu zastępcy, admirałowi Fukudzie. Gest Causo, który nie aresztował go od razu, był miłosierny, ale bezużyteczny. Skoro poznali prawdę o buncie, oficerowie i żołnierze nie mogliby wykonywać jego rozkazów, a on nie mógłby tego od nich wymagać.

Lands odwrócił się, by wydać polecenie, i zauważył, że pierwszy już biegnie w jego stronę.

— Sir! — Causo zatrzymał się.

— Wiem — rzekł Lands. — Przekazuję panu dowództwo.

— Nie, sir. Proszę za mną.

— Co pan zamierza?

— Oficer ładunkowy zameldował, że coś znalazło się w głównej ładowni statku.

— Co takiego? Causo tylko spojrzał. Lands skinął głową i razem zeszli z mostku.

Jane przeniosła statek nie do przedziału uzbrojenia, gdyż tam zmieściłby się tylko pocisk, a nie puszka, w której się znalazł. Wybrała główną ładownię jako o wiele większą, a także pozbawioną praktycznej możliwości ponownego wystrzelenia systemu DM.

Peter i Wang-mu wyszli ze statku na podłogę.

Potem Jane zabrała statek, zostawiając Petera, Wang-mu i pocisk.

Statek pojawi się na Lusitanii, ale nikt do niego nie wsiądzie. Nie ma potrzeby. System DM nie leci już w stronę planety. Znajduje się w ładowni okrętu flagowego Floty Lusitańskiej, pędzącego z relatywistyczną prędkością ku zniszczeniu. Czujnik zbliżeniowy nie zareaguje, naturalnie, gdyż pocisk nie trafił z pobliże masy planetarnego rzędu. Ale zapalnik czasowy wciąż odmierza sekundy.

— Mam nadzieję, że szybko nas zauważą — szepnęła Wang-mu.

— Nie martw się. Mamy jeszcze sporo minut.

— Ktoś już nas widział?

— W tamtym gabinecie siedział jakiś człowiek. — Peter wskazał otwarte drzwi. — Zobaczył statek, potem nas, a potem pocisk. Teraz go nie ma. To chyba już długo nie potrwa.

Naprzeciwko, w górnej części ściany, otworzyły się drzwi. Trzej mężczyźni wyszli na galeryjkę otaczającą ładownię z trzech stron.

— Cześć — powiedział Peter.

— Kim jesteście, do diabła? — zapytał ten, który miał najwięcej baretek i pasków na mundurze.

— Założę się, że jest pan admirałem Bobbym Landsem. A pan to pierwszy oficer Causo. A pan to oficer ładunkowy Lung.

— Pytałem, kim jesteście, do diabła! — krzyknął admirał Lands.

— Mam wrażenie, że myli pan priorytety — stwierdził Peter.

— Sądzę, że będzie mnóstwo czasu na dyskusję o mojej tożsamości, kiedy już zostanie wyłączony zapalnik czasowy w tym urządzeniu, które tak nieostrożnie wyrzucił pan w przestrzeń w pobliżu zamieszkanej planety.

— Jeśli sądzisz, że…

Ale admirał nie dokończył zdania, ponieważ pierwszy oficer przeskoczył nad relingiem, wylądował na pokładzie ładowni i od razu zaczai otwierać zamki mocujące pokrywę chronometru.

— Causo! — zawołał Lands. — To przecież nie…

— To nasz pocisk, sir — odpowiedział Causo.

— Wystrzeliliśmy pocisk! — krzyknął admirał.

— Z pewnością przez pomyłkę — wtrącił Peter. — Przeoczenie. Ponieważ Gwiezdny Kongres odebrał panu prawo użycia tej broni.

— Kim jesteście i skąd się tu wzięliście? Causo wyprostował się. Pot ściekał mu z czoła.

— Sir, z satysfakcją melduję, że z ponad dwuminutową rezerwą zdołałem uchronić nasz okręt przed rozbiciem na atomy.

— Cieszę się, że do rozbrojenia systemu nie trzeba jakichś bezsensownych kluczy i tajnego kodu — oświadczył Peter.

— Nie. Jest zaprojektowany tak, żeby łatwo dał się wyłączyć — wyjaśnił Causo. — Uzbroić go… O, to jest trudne.

— Ale jakoś wam się udało.

— Gdzie wasz pojazd? — spytał admirał. Schodził po drabince na pokład.

— Przylecieliśmy w takim ładnym pudełku, które wyrzuciliśmy, kiedy nie było już potrzebne — odparł Peter. — Czy jeszcze pan nie zrozumiał, że nie przybyliśmy po to, żeby dać się przesłuchiwać?

— Aresztować tych dwoje! — rozkazał Lands.

Causo spojrzał na dowódcę, jakby ten nagle oszalał. Ale oficer ładunkowy, który zszedł za admirałem na dół, zrobił kilka kroków w stronę Petera i Wang-mu.

Zniknęli natychmiast i pojawili się na galeryjce, w miejscu, gdzie trzej oficerowie weszli do ładowni. Oczywiście, minęła chwila, zanim ich zauważono. Oficer ładunkowy był po prostu zdziwiony.

— Sir — powiedział. — Stali tutaj jeszcze przed sekundą.

Causo za to uznał, że dzieje się coś niezwykłego, co nie jest przewidziane w regulaminie. Dlatego zareagował według innego wzorca: przeżegnał się i zaczai mamrotać modlitwę.

Lands cofnął się o kilka kroków, aż zderzył się z pociskiem. Przycisnął dłonie do powierzchni, a po chwili zaklął i oderwał je, jakby powłoka stała się nagle gorąca.

— Boże — szepnął. — Próbowałem zrobić to, co zrobiłby Ender Wiggin.

Wang-mu nie mogła się powstrzymać. Parsknęła śmiechem.

— To dziwne — stwierdził Peter. — Bo ja próbowałem zrobić dokładnie to samo.

— O Boże… — powtórzył Lands.

— Admirale — rzekł Peter. — Mam pewną propozycję. Zamiast tracić kilka miesięcy czasu rzeczywistego na zwrot i próbę ponownego bezprawnego wystrzelenia tego urządzenia, i zamiast wprowadzać bezużyteczną i demoralizującą kwarantannę wokół Lusitanii, niech pan ruszy wprost do jednego ze Stu Światów… Trondheim jest chyba najbliżej. A po drodze wyśle pan raport do Gwiezdnego Kongresu. Mam nawet kilka sugestii co do sformułowań tego raportu… Jeśli zechce ich pan wysłuchać.

W odpowiedzi Lands wyjął pistolet laserowy i wymierzył w Petera.

Peter z Wang-mu natychmiast zniknęli ze swego miejsca i pojawili się za Landsem. Peter sięgnął ręką i sprawnie rozbroił admirała, pechowo łamiąc mu przy tym dwa palce.

— Przepraszam, wyszedłem z wprawy. Nie używałem sztuk walki od… hm, od tysięcy lat.

Lands osunął się na kolana, podtrzymując zranioną dłoń.

— Peter — odezwała się Wang-mu — poproś Jane, żeby przestała nas tak przerzucać. W głowie mi się kręci. Peter mrugnął do niej.

— Chce pan wysłuchać moich sugestii co do raportu? — zwrócił się do admirała. Lands kiwnął głową.

— Ja również — dodał Causo, który najwyraźniej zrozumiał, że przez jakiś czas przyjdzie mu dowodzić okrętem.

— Moim zdaniem powinniście wyjaśnić, iż z powodu awarii błędnie zameldowano o wystrzeleniu pocisku z systemem DM. W rzeczywistości procedura odpalenia została przerwana na czas, a w celu uniknięcia wszelkiego ryzyka przenieśliście pocisk do głównej ładowni, gdzie został rozbrojony i zdemontowany. Zrozumiał pan tę część o demontażu? — Peter obejrzał się na pierwszego oficera.

Causo pokiwał głową.

— Zrobię to natychmiast, sir. Proszę przynieść narzędzia — polecił oficerowi ładunkowemu.

Lung otworzył ścienną szafkę, a Peter mówił dalej:

— Może pan zameldować o nawiązaniu kontaktu z mieszkańcem Lusitanii… to ja… który przekonał pana, że wirus descolady został pokonany i nikomu już nie zagraża.

— Dlaczego mam w to wierzyć?

— Ponieważ noszę w sobie to, co pozostało z wirusa i jeśli nie jest całkiem pokonany, zarazi się pan descoladą i za parę dni umrze. Oprócz stwierdzenia, że Lusitania nie stanowi już zagrożenia, powinien pan również wyjaśnić, że bunt na Lusitanii był zaledwie

nieporozumieniem, nie było absolutnie żadnej ludzkiej ingerencji w kulturę pequeninos. To tylko pequeninos, jako istoty świadome i gospodarze na własnej planecie, wykorzystali swe prawa, by uzyskać informację i technologię od przyjaznej, odwiedzającej ich obcej rasy, a dokładniej: od ludzkiej kolonii Milagre. Od tego czasu wielu pequeninos opanowało ludzką naukę i technikę. W rozsądnej, choć niedalekiej przyszłości wyślą swoich ambasadorów do Gwiezdnego Kongresu z nadzieją, że Kongres odpowie podobną uprzejmością. Zapamiętał pan?

Lands przytaknął. Causo, rozbierający na części mechanizm zapalnika systemu DM, burknął coś na potwierdzenie.

— Może pan również zameldować, że pequeninos zawarli sojusz z inną obcą rasą, która, wbrew przedwczesnym raportom, nie została całkowicie unicestwiona w niesławnym ksenocydzie Endera Wiggina. Przetrwała jedna królowa kopca w kokonie i to ona była źródłem informacji zawartych w słynnej księdze Królowa Kopca, której prawdziwość obecnie nie podlega żadnej wątpliwości. Królowa Kopca z Lusitanii nie zamierza w chwili obecnej wymieniać ambasadorów z Gwiezdnym Kongresem i woli, by jej interesy były reprezentowane przez pequeninos.

— Wciąż żyją robale? — zdziwił się Lands.

— Technicznie rzecz biorąc, Ender Wiggin nie dokonał ksenocydu. Gdyby nie odwołano wystrzelenia tego oto pocisku, pan byłby sprawcą pierwszego, nie drugiego ksenocydu. Obecnie jednak sytuacja przedstawia się tak, że ksenocyd w ogóle nie nastąpił, choć nie z braku chęci i prób w obu przypadkach.

Łzy pociekły po twarzy admirała.

— Nie chciałem tego zrobić. Myślałem, że to słuszne. Myślałem, że muszę ratować…

— Później zwróci się pan z tym do psychoterapeuty — przerwał mu Peter. — Pozostał nam jeszcze jeden punkt. Dysponujemy techniką lotów międzygwiezdnych, którą Gwiezdny Kongres, jak sądzę, chciałby przejąć. Widzieli panowie demonstrację tej metody. Co prawda zwykle wolimy dokonywać przelotów w naszych niezbyt eleganckich i podobnych do puszek statkach. Niemniej jednak metoda jest całkiem skuteczna i pozwala odwiedzać inne światy, nie tracąc nawet sekundy życia. Wiem, że ci, którzy strzegą kluczy tej techniki, w ciągu najbliższych miesięcy z przyjemnością przetransportują natychmiastowo do celów wszystkie relatywistyczne statki, przebywające obecnie w przestrzeni.

— Ale za pewną cenę — mruknął Causo i pokiwał głową.

— Cóż… Powiedzmy, że to warunek wstępny. Kluczowym elementem naszych natychmiastowych lotów międzygwiezdnych jest program komputerowy, który Gwiezdny Kongres niedawno próbował

wymazać. Znaleźliśmy metodę zastępczą, ale nie jest w pełni zadowalająca ani wystarczająca. Z dużą dozą pewności mogę stwierdzić, że Gwiezdny Kongres nie uzyska dostępu do tej techniki, dopóki ansible Stu Światów nie zostaną na nowo połączone z sieciami komputerowymi na wszystkich planetach, bez opóźniaczy i bez tych irytujących programików kontrolnych, które ujadają bez przerwy jak szczeniaki.

— Nie mam upoważnienia do…

— Admirale, nie wymagam, żeby pan decydował. Ja tylko wyraziłem swoje sugestie co do zawartości raportu, jaki zechce pan przesłać ansiblem do Gwiezdnego Kongresu. Natychmiast.

Lands odwrócił głowę.

— Nie czuję się dobrze — oświadczył. — Nie mogę kierować okrętem. Panie Causo, jako pierwszemu oficerowi, w obecności oficera ładunkowego Lunga, przekazuję panu dowodzenie okrętem i nakazuję, by powiadomił pan admirała Fukudę, że został dowódcą tej flotylli.

— Nic z tego — przerwał Peter. — Raport, który opisałem, musi pochodzić od pana. Fukudy tu nie ma, a ja nie zamierzam mu tego wszystkiego powtarzać. Dlatego to pan napisze raport i zachowa dowództwo floty i okrętu, i nie wykręci się od odpowiedzialności. Niedawno podjął pan trudną decyzję. Dokonał pan błędnego wyboru, ale przynajmniej był pan odważny i konsekwentny. Proszę teraz okazać tę samą odwagę, admirale. Nie ukaraliśmy pana, jeśli nie liczyć spowodowanego moją niezręcznością wypadku z pańskimi palcami. Jest mi naprawdę przykro z tego powodu. Dajemy panu drugą szansę. Niech pan ją przyjmie, admirale.

Lands popatrzył na Petera i łzy pociekły mu po policzkach.

— Dlaczego dajecie mi drugą szansę?

— Bo Ender zawsze jej pragnął. I może dając ją panu, on też ją otrzyma.

Wang-mu wzięła go za rękę i ścisnęła mocno.

Potem zniknęli z ładowni okrętu i pojawili się w sterowni promu krążącego nad planetą descoladores.

Wang-mu rozejrzała się po kabinie pełnej obcych ludzi. W przeciwieństwie do okrętu admirała Landsa, prom nie miał sztucznej grawitacji, ale trzymając Petera za rękę, Wang-mu zdołała nie zemdleć i nie zwymiotować. Nie miała pojęcia, kim są ci ludzie, ale wiedziała, że Gasiogień musi być pequenino, a robotnica przy terminalu należy do gatunku kiedyś znienawidzonego i budzącego przerażenie jako bezlitosne robale.

— Cześć, Elu, Quaro, Miro — rzucił Peter. — To jest Wang-mu. Wang-mu byłaby przestraszona, gdyby nie to, że inni wyraźnie też się przerazili na ich widok. Miro pierwszy się opanował.

— Zgubiliście gdzieś swój statek? — zapytał. Wang-mu parsknęła

śmiechem.

— Witaj, Królewska Matko Zachodu — powiedział Miro, używając imienia bogini czczonej na Drodze. — Słyszałem o tobie od Jane.

Ktoś przepłynął z korytarza do sterowni.

— Val? — zdziwił się Peter.

— Nie — odpowiedziała. — Jestem Jane.

— Jane — szepnęła Wang-mu. — Bogini Malu.

— Przyjaciel Malu — poprawiła ją Jane. — Tak jak jestem twoim przyjacielem, Wang-mu.

— Podeszła do Petera, ujęła go za ręce i spojrzała w oczy. — I twoim także, Peter. Zawsze byłam twoim przyjacielem.

SKĄD WIEMY ŻE NIE TRZĘSĄ SIĘ ZE STRACHU?

O bogowie! Jesteście niesprawiedliwi!
Moja matka i ojciec zasługiwali na lepsze dziecko niż ja!

Z „Boskich szeptów Han Qing-jao”

— Mieliście system DM w rękach i oddaliście go? — spytała z niedowierzaniem Quara.

Wszyscy, nie wyłączając Mira, uznali, że nie ufa żołnierzom, boi się, że użyją go po raz drugi.

— Zdemontowali go na moich oczach — uspokoił ją Peter.

— A można go zmontować z powrotem? Wang-mu spróbowała wytłumaczyć.

— Admirał Lands nie może już iść tą drogą. Nie zostawilibyśmy tej sprawy nie dokończonej. Lusitania jest bezpieczna.

— Ona nie mówi o Lusitanii — wyjaśniła chłodno Ela. — Mówi o tym, co mamy tutaj. O planecie descolady.

— Czy tylko ja o tym pomyślałam? — zdziwiła się Quara. — Powiedzcie prawdę… To przecież zakończyłoby wszystkie nasze zmartwienia o kolejne sondy, o nowe epidemie jeszcze gorszych wersji descolady…

— Myślisz o zniszczeniu świata zamieszkanego przez inteligentną rasę? — upewniła się Wang-mu.

— Nie w tej chwili. — Ton Quary sugerował, że Wang-mu jest najgłupszą osobą, jaką w życiu spotkała. — Jeśli stwierdzimy, że są… no wiecie… Jak to Valentine je określa… Varelse. Niezdolni do porozumienia. Niezdolni do współistnienia.

— Więc uważasz, że… — zaczęła Wang-mu.

— Powiedziałam, co powiedziałam — przerwała jej Quara. Wang-mu mówiła dalej:

— Uważasz, że admirał Lands miał w zasadzie rację, po prostu w tej szczególnej sprawie nie znał wszystkich faktów. Gdyby descolada na Lusitanii wciąż stanowiła groźbę, jego obowiązkiem byłoby zniszczenie planety.

— Czym jest życie mieszkańców jednej planety wobec życia wszystkich świadomych istot?

— Czy to ta sama Quara Ribeira — zdziwił się Miro — która nie

pozwalała nam usunąć wirusa descolady, ponieważ mógł być inteligentny?

— Od tego czasu sporo myślałam. Byłam wtedy dziecinna i sentymentalna. Życie jest cenne. Życie świadome jest jeszcze cenniejsze. Ale kiedy jedna świadoma rasa zagraża przetrwaniu innej, wtedy zagrożony gatunek ma prawo się bronić. Czy nie tak zrobił Ender? I to niejeden raz?

Quara przyjrzała się im tryumfująco.

Peter kiwnął głową.

— Tak — przyznał. — To właśnie zrobił Ender.

— W grze — przypomniała Wang-mu.

— W starciu z dwoma chłopcami, którzy zagrażali jego życiu. Dopilnował, żeby nigdy więcej mu nie grozili. Tak toczy się wojny, choćbyście naiwnie uważali inaczej. Nie uderzasz z minimalną siłą, uderzasz z największą możliwą siłą przy rozsądnych kosztach. Nie po to, żeby obić przeciwnika ani nawet go pokrwawić, trzeba zniszczyć jego zdolność do kontrataku. Taką strategię wykorzystujemy w walce z chorobami. Nie szukasz leku, który zabije dziewięćdziesiąt dziewięć procent bakterii czy wirusów. Wtedy jedynym skutkiem będzie stworzenie nowego szczepu, odpornego na leki. Musisz zabić sto procent.

Wang-mu gorączkowo szukała kontrargumentu.

— Czy choroby to właściwa analogia?

— A jaką proponujesz? — spytał Peter. — Zapasy? Walczysz, aż zmęczysz przeciwnika, żeby nie mógł już się bronić? Świetnie… Pod warunkiem że on przestrzega tych samych reguł. Ale kiedy stajesz gotowa do zapasów, a on wyciąga pistolet albo nóż? Co wtedy? Albo mecz tenisowy. Liczysz punkty, dopóki przeciwnik nie zdetonuje ci bomby pod nogami? Nie ma żadnych reguł. To wojna.

— Na pewno wojna? — spytała Wang-mu.

— Co powiedziała Quara? Jeśli się przekonamy, że nie można z nimi rokować, tak. Wojna. To, co zrobili Lusitanii, co zrobili bezbronnym pequeninos, było morderczą, bezduszną wojną totalną. Nie dbali o prawa drugiej strony. Są naszymi wrogami, chyba że zdołamy ich zmusić do zrozumienia konsekwencji swych czynów. Czy o to ci chodziło, Quaro?

— Właśnie o to.

Wang-mu wiedziała, że w tym rozumowaniu tkwi błąd, ale nie potrafiła go wskazać.

— Peter, jeśli naprawdę tak uważasz, to dlaczego oddałeś system DM?

— Ponieważ możemy się mylić i niebezpieczeństwo jeszcze nam nie zagraża.

Quara prychnęła pogardliwie.

— Nie było cię tutaj, Peter. Nie widziałeś, co nam wysłali: specjalnie zaprojektowanego i wyprodukowanego wirusa, który miał sprawić, że będziemy siedzieć bez ruchu jak idioci, kiedy oni po nas przylecą.

— A jak go wysłali? W ozdobnej kopercie? A może przysłali zakażonego szczeniaczka, bo wiedzieli, że nie potrafimy się powstrzymać, żeby go nie wziąć na ręce?

— Nadali kod — wyjaśniła Quara. — Ale spodziewali się, że zinterpretujemy go, tworząc tę molekułę. Wtedy miałaby takie działanie.

— Nie — zaprzeczył Peter. — Zgadliście, że tak funkcjonuje ich język, a potem zaczęliście działać, jakby wasze domysły były prawdą.

— A skąd wiesz, że nie są?

— Nie mam pojęcia. O to mi właśnie chodzi. Po prostu nie wiemy. Nie możemy wiedzieć. Kiedy zobaczymy, że wysyłają sondy albo próbują zestrzelić nasz statek, wtedy możemy zacząć działać. Na przykład wysłać statki za próbnikami i starannie zbadać wirusy, które przenoszą. Albo, gdyby zaatakowali statek, możemy zrobić unik i przeanalizować ich broń i taktykę.

— Teraz łatwo ci mówić. Teraz, kiedy Jane jest bezpieczna, a matczyne drzewa ocalały, więc może kierować lotami. Teraz możemy przechwycić sondy i odskoczyć z drogi pociskom czy czemu tam jeszcze. Ale wcześniej, kiedy tkwiliśmy tu bezbronni? Kiedy wiedzieliśmy, że zostało nam ledwie parę tygodni życia?

— Wtedy i tak nie mieliście systemu DM, więc nie mogliście rozsadzić ich planety. Pocisk wpadł nam w ręce, dopiero gdy Jane odzyskała zdolność kierowania lotami. A wtedy zniszczenie planety descolady przestało być koniecznością, dopóki zagrożenie nie będzie zbyt wielkie, by walczyć z nim w inny sposób.

Quara zaśmiała się głośno.

— Co się dzieje? Myślałam, że Peter jest gorszą stroną osobowości Endera. A okazuje się, że to sama słodycz i dobroć. Peter odpowiedział uśmiechem.

— Są sytuacje, kiedy bronisz siebie albo kogoś innego przed nieubłaganym złem. I są sytuacje, kiedy jedyną obroną, mającą szansę powodzenia, jest użycie brutalnej, niszczącej siły. W takich chwilach dobrzy ludzie podejmują brutalne działania.

— Czyżbyśmy próbowali się usprawiedliwiać? — zadrwiła Quara. — Jesteś następcą Endera. Wygodnie ci wierzyć, że ci chłopcy, których zabił Ender, byli wyjątkami od ogólnej zasady uprzejmości.

— Usprawiedliwiam Endera ze względu na jego ignorancję i bezradność. My nie jesteśmy bezradni. Gwiezdny Kongres i Flota Lusitańska nie były bezradne. I postanowiły działać, zanim uzupełniły swoją wiedzę.

— Ender zdecydował się użyć systemu DM, mimo że nie dysponował wiedzą.

— Nie, Quaro. Systemu użyli dorośli, którzy wydawali rozkazy. Mogli unieważnić jego decyzję. Mieli na to dość czasu. Ender wierzył, że to tylko gra. Wierzył, że używając systemu DM podczas symulacji, wykaże, że jest niegodny zaufania, nieposłuszny, a nawet zbyt brutalny, żeby powierzyć mu dowództwo. Próbował się wyrwać ze Szkoły Dowodzenia. To wszystko. Robił to, co konieczne, żeby przestali go dręczyć. To dorośli postanowili wykorzystać swoją najpotężniejszą broń: Endera Wiggina. Żadnych prób negocjacji z robalami, żadnej komunikacji. Nawet pod koniec, kiedy już wiedzieli, że Ender zamierza zniszczyć ich rodzinną planetę. Postanowili atakować mimo wszystko. Jak admirał Lands. Jak ty, Quaro.

— Powiedziałam, że zaczekamy, co odkryjemy!

— Świetnie. W takim razie jesteśmy zgodni.

— Ale powinniśmy mieć pocisk tutaj!

— Ten pocisk w ogóle nie powinien istnieć. Nigdy nie był niezbędny. Nigdy nie był odpowiedni. Ponieważ koszty są zbyt wysokie.

— Koszty? — zaśmiała się Quara. — System DM jest tańszy niż dawna broń nuklearna.

— Trzy tysiące lat trwało, zanim odpokutowaliśmy za zniszczenie planety królowych kopców. Taki jest koszt. Jeśli użyjemy tej broni, staniemy się mordercami innych ras. Admirał Lands był taki jak ci, którzy wykorzystali Endera Wiggina. Podjęli decyzję: to jest zagrożenie. To jest zło. To musi zostać zniszczone. Myśleli, że postępują słusznie. Że ratują ludzką rasę. Ale to nieprawda. W grę wchodziły również inne motywy, jednak wraz z decyzją o użyciu systemu DM podjęli drugą: żeby nie komunikować się z przeciwnikiem. Czy próbowali zademonstrować działanie broni na pobliskim księżycu? Lands próbował sprawdzić, czy sytuacja na Lusitanii nie uległa zmianie? A ty, Quaro… Jakich dokładnie metod chcesz użyć w celu określenia, czy descoladores są tak źli, że nie mają prawa do życia? W którym momencie będziesz pewna, że są dla innych świadomych gatunków zagrożeniem, którego nie można tolerować?

— Odwróć pytanie, Peter. W którym momencie będziesz wiedział, że nie są?

— Mamy lepszą broń niż system DM. Ela zaprojektowała kiedyś molekułę blokującą szkodliwe działanie descolady, ale nie usuwającą jej pozytywnego wpływu na florę i faunę Lusitanii, którym umożliwiała przejście kolejnych transformacji. Kto może stwierdzić, że nie da się zrobić tego samego dla każdego wirusa, jaki nam wyślą? Tak długo, aż zrezygnują? Kto może stwierdzić, że nie próbują

rozpaczliwie nawiązać z nami kontaktu? Skąd wiesz, czy ta molekuła, którą nam przesłali, nie była próbą zadowolenia nas w jedyny znany im sposób: przez wysłanie czegoś, co usunie nasz gniew? Skąd wiemy, że nie trzęsą się ze strachu na swojej planecie, ponieważ mamy statek, który potrafi znikać i pojawiać się w innym miejscu? Czy próbujemy z nimi rozmawiać?

Peter rozejrzał się wokół.

— Czy nie rozumiecie? Znamy tylko jedną rasę, która z pełną wiedzą, świadomością i premedytacją próbowała zniszczyć inny inteligentny gatunek bez żadnej próby kontaktu. To my. Za pierwszym razem się nie udało, ponieważ ofiary zdążyły ukryć jedną ciężarną samicę. Za drugim powody były poważniejsze: niektórzy przedstawiciele ludzkości postanowili do tego nie dopuścić. Nie niektórzy, wielu. Kongres. Wielka korporacja. Filozof z Boskiego Wiatru. Samoański prorok i jego współwyznawcy na Pacifice. Wang-mu i ja. Jane. Nawet oficerowie admirała Landsa, kiedy w końcu zrozumieli, jaka jest sytuacja. Rozumiecie? Stajemy się lepsi. Jednak nic nie zmieni faktu, że ludzie są inteligentną rasą, która świadomie rezygnuje z kontaktu z innymi, a zamiast tego próbuje je zniszczyć. Descoladores może są varelse, a może nie. Ale o wiele bardziej przeraża mnie myśl, że my jesteśmy varelse. To jest cena za użycie systemu DM, kiedy nie jest konieczny. I nigdy nie będzie konieczny, wobec innych narzędzi, jakie mamy do dyspozycji. Jeśli zdecydujemy się go użyć, to nie jesteśmy ramenami. Nie można nam ufać. Jesteśmy gatunkiem, który zasłużył na śmierć, by zapewnić bezpieczeństwo innym świadomym istotom.

Quara pokręciła głową, ale ton wyższości zniknął z jej głosu.

— Wydaje mi się, że ktoś tu próbuje uzyskać wybaczenie własnych zbrodni.

— To był Ender — stwierdził Peter. — Przez całe życie próbował zmienić w ramenów siebie i wszystkich innych. Rozglądam się teraz, myślę o tym, co widziałem, o ludziach, jakich poznałem przez ostatnie miesiące, i sądzę, że nasza rasa nie wypada fatalnie. Idziemy we właściwym kierunku. Od czasu do czasu zdarza się krok wstecz, jakaś wojownicza przemowa. Ale ogólnie zbliżamy się do tego, żeby być godnymi związku z królowymi kopców i pequeninos. A jeśli descoladores dzieli od stanu ramenów dystans większy niż nas, to jeszcze nie znaczy, że mamy prawo ich zniszczyć. To znaczy, że tym bardziej powinniśmy okazywać im cierpliwość, pomagać w drodze. Ile lat trwało, zanim przestaliśmy oznaczać pola bitewne stosami ludzkich czaszek? Tysiące. A przez cały czas mieliśmy nauczycieli, którzy próbowali nas zmienić, wskazywali kierunek. Uczyliśmy się powoli. Spróbujmy ich nauczyć… jeśli już teraz nie wiedzą więcej od nas.

— Poznanie ich języka może potrwać lata — zauważyła Ela.

— Transport jest teraz tani — odparł Peter. — Nie chciałem cię urazić, Jane. Możemy przez lata wymieniać kolejne zespoły. To nie problem. Możemy przysłać całą flotę. Z pequeninos i robotnicami obok ludzkich badaczy. Przez wieki. Przez tysiąclecia. Nie ma pośpiechu.

— Uważam, że to niebezpieczne — nie ustępowała Quara.

— A ja uważam, że przejawiasz to samo instynktowne pragnienie, które cechuje nas wszystkich. Wiesz, że umrzesz, i chciałabyś przedtem poznać rozwiązania wszystkich problemów.

— Jeszcze nie jestem stara!

— On ma rację, Quaro — wtrącił Miro. — Odkąd umarł Marcão, czujesz śmierć nad sobą. Zastanówcie się wszyscy. Ludzie są krótko żyjącym gatunkiem. Królowe kopców wierzą, że żyją wiecznie. Pequeninos mają nadzieję na wiele stuleci trzeciego życia. To my się ciągle spieszymy. Próbujemy decydować, nie mając pełnej informacji, ponieważ usiłujemy działać natychmiast, póki mamy jeszcze czas.

— Więc to tak? — spytała Quara. — Tak chcecie postąpić? Niech ta groźba dla wszelkiego życia siedzi tam i knuje, a my będziemy tylko patrzeć z nieba?

— Nie my — rzekł Peter.

— Nie, to prawda. Nie należysz do tego zespołu.

— Owszem, należę. Ale ty nie. Wracasz na Lusitanię, a Jane już nigdy cię tu nie sprowadzi. Dopóki przez lata nie udowodnisz, że opanowałaś już swoje demony.

— Ty draniu! — krzyknęła.

— Wszyscy tu wiedzą, że mam rację — oświadczył. — Jesteś jak Lands. Przejawiasz nadmierną gotowość do podejmowania zabójczo dalekosiężnych decyzji, a potem nie pozwalasz, by jakiekolwiek argumenty zmieniły twoją opinię. Jest mnóstwo ludzi podobnych do ciebie, Quaro. Nie możemy ich dopuścić w pobliże tej planety, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej.

Może nadejdzie dzień, kiedy wszystkie świadome rasy uznają, że descoladores istotnie są varelse i muszą zostać zniszczeni. Ale wątpię, czy ktokolwiek z nas, z wyjątkiem Jane, będzie wtedy wśród żywych.

— A co? Myślisz, że będę żyć wiecznie? — spytała Jane.

— Lepiej niech tak będzie. Chyba że z Miro wymyślicie, jak mieć dzieci, które potrafią przenosić statki. — Peter urwał na chwilę. — Czy możesz zabrać nas teraz do domu?

— Zanim skończę to zdanie.

Otworzyli właz. Wyszli ze statku. Stanęli na powierzchni planety, która jednak nie została zniszczona. Wszyscy z wyjątkiem Quary.

— Quara z nami nie idzie? — zapytała Wang-mu.

— Może chce trochę zostać sama — odparł Peter.

— Zaraz was dogonię.

— Myślisz, że sobie z nią poradzisz?

— Mogę spróbować. Pocałował ją.

— Byłem zbyt surowy. Powiedz jej, że przepraszam.

— Może później sam jej to powiesz — odrzekła.

Wróciła na statek. Quara wciąż siedziała przed terminalem. W powietrzu migotały ostatnie dane, które przeglądała w chwili, kiedy zjawili się Peter i Wang-mu.

— Quaro… — zaczęła Wang-mu.

— Wyjdź. — Chrapliwy głos był wyraźnym dowodem, że płakała.

— Wszystko, co mówił Peter, to prawda.

— Po to wróciłaś? Żeby sypać sól w rany?

— Z wyjątkiem tego, że przecenił skromne postępy ludzkości. Quara pociągnęła nosem. To było niemal potwierdzenie.

— Bo mam wrażenie, że wszyscy tutaj z góry uznali ciebie za varelse. Skazali na wygnanie, bez żadnej szansy ułaskawienia. Nie próbując cię zrozumieć.

— Ależ rozumieją — zapewniła Quara. — Mała dziewczynka, załamana utratą brutalnego ojca, którego jednak kochała. Wciąż szuka jego następcy. Wciąż reaguje na każdego bezmyślną złością, jaką widziała u ojca. Myślisz, że nie wiem, co sobie myślą?

— Napiętnowali cię.

— A to przecież nieprawda. Sugerowałam, że system powinien się znajdować w pobliżu, na wypadek gdyby się okazał konieczny. Nie powiedziałam, że mamy go użyć bez dalszych prób kontaktu. Peter potraktował mnie, jakbym była tym admirałem.

— Wiem.

— Akurat… Akurat ci wierzę, że mi współczujesz i uważasz, że on się pomylił. Daj spokój. Jane już mi powiedziała, że wy dwoje… jak brzmi to kretyńskie określenie… że jesteście zakochani.

— Nie byłam dumna z zachowania Petera wobec ciebie. Popełnił błąd. Czasem je robi. Czasami rani też moje uczucia. Ty również, choćby w tej chwili. Nie wiem dlaczego. Ale i ja czasami ranie ludzi i czasami robię straszne rzeczy, bo jestem pewna, że mam rację. Wszyscy tacy jesteśmy. Wszyscy mamy w sobie trochę varelse. I trochę ramena.

— Co za słodziutka, zrównoważona, naiwna filozofia życia — mruknęła pogardliwie Quara.

— To najlepsze, co mi przyszło do głowy — wyjaśniła Wang-mu. — Nie jestem tak wykształcona jak ty.

— A to już technika wzbudzania poczucia winy?

— Powiedz mi, Quaro, jeśli nie próbujesz odgrywać roli ojca ani go przywołać, to dlaczego tak się ciągle wściekasz na wszystkich?

Quara odwróciła się wreszcie w fotelu i spojrzała na Wang-mu. Tak, rzeczywiście płakała.

— Naprawdę chcesz wiedzieć, dlaczego przez cały czas okazuję irracjonalną furię? — Drwina zniknęła z jej głosu. — Naprawdę chcesz zagrać przy mnie psychiatrę? To posłuchaj. Do szału doprowadza mnie fakt, że przez całe dzieciństwo mój starszy brat Quim napastował mnie w tajemnicy, a teraz jest męczennikiem i zrobią go świętym, nikt się nigdy nie dowie, jaki był zły i jak strasznie ze mną postępował.

Wang-mu znieruchomiała przerażona. Peter opowiadał jej o Quimie: jak zginął, jakim był człowiekiem.

— Och, Quaro… Tak mi przykro…

Na twarzy Quara pojawił się wyraz głębokiego obrzydzenia.

— Ależ idiotka z ciebie. Quim nigdy mnie nie dotknął, ty mała, wścibska, głupia samarytanko. Tak ci zależy na jakimś tanim wyjaśnieniu, czemu jestem taka wredna, że przyjmiesz każdą historyjkę, która wydaje się choćby minimalnie wiarygodna. W tej chwili pewnie wciąż się zastanawiasz, czy przypadkiem nie powiedziałam prawdy, ale się wycofuję z lęku przed konsekwencjami czy z powodu innego bezsensownego merda. Wyjaśnijmy coś sobie. Nie znasz mnie. Nigdy mnie nie poznasz. Nie chcę, żebyś mnie poznała. I nie chcę żadnych przyjaciół. A gdybym nawet chciała, to na pewno nie taką zabawkę Petera. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

W swoim życiu Wang-mu bywała zwyciężana przez ekspertów i obmawiana przez mistrzów. Quara miała zdolności, trudno zaprzeczyć, ale nie aż takie, żeby Wang-mu nie mogła znieść jej słów bez mrugnięcia.

— Zauważyłam — powiedziała — że po tym ohydnym oszczerstwie najszlachetniejszego członka waszej rodziny nie dopuściłaś jednak, żebym nadal w to wierzyła. Czyli jesteś lojalna wobec niego, chociaż on nie żyje.

— Nie rozumiesz aluzji, co?

— Zauważyłam też, że wciąż ze mną rozmawiasz, chociaż mną pogardzasz i próbujesz obrazić.

— Gdybyś stała się rybą, to byłabyś remorą, która przysysa się i trzyma za wszelką cenę.

— Ponieważ w każdej chwili mogłaś zwyczajnie stąd wyjść i nie musiałabyś wysłuchiwać moich żałosnych prób zaprzyjaźnienia się z tobą — dokończyła Wang-mu. — A nie wychodzisz.

— Jesteś niesamowita — westchnęła Quara.

Odpięła pas, wstała i wyszła na zewnątrz.

Wang-mu spoglądała za nią. Peter miał rację. Ludzie wciąż byli najbardziej obcy ze wszystkich obcych ras. Wciąż najbardziej niebezpieczni, najbardziej nierozsądni i najmniej przewidywalni. Mimo to Wang-mu zaryzykowała kilka przepowiedni. Po pierwsze, była przekonana, że pewnego dnia zespół badawczy nawiąże kontakt z descoladores.

Druga przepowiednia była bardziej ryzykowna. To raczej nadzieja, a może tylko życzenie — pewnego dnia Quara powie Wang-mu prawdę. Pewnego dnia zostanie uleczona dręcząca ją ukryta rana. Pewnego dnia staną się przyjaciółkami.

Ale nie dzisiaj. Nie ma pośpiechu. Wang-mu spróbuje pomóc Quarze, ponieważ ona wyraźnie tego potrzebuje, a otaczający ją ludzie mają jej dosyć, więc nie mogą tej pomocy udzielić. Jednak pomoc dla Quary nie była jedynym ani nawet najważniejszym z jej zamiarów. Wyjść za Petera i rozpocząć z nim wspólne życie — te plany miały o wiele wyższy priorytet. Znaleźć coś do jedzenia, wodę do picia i ubikację — to były sprawy kluczowe w tej szczególnej chwili jej życia.

To chyba znaczy, że jestem człowiekiem, pomyślała. Nie bogiem. Może tylko zwierzęciem. W części ramenem. W części varelse. Ale bardziej ramenem niż varelse, przynajmniej w udanych dniach. Peter także — tak jak ona. Oboje należeli do tego samego niedoskonałego gatunku, oboje postanowili się połączyć, by stworzyć mu kilku dodatkowych przedstawicieli. Peter i ja wspólnie przywołamy aiúa z Zewnątrz, niech przejmie maleńkie ciałko, które stworzą nasze ciała, dopilnujemy, żeby dziecko w pewne dni było varelse, a w inne ramenem. W pewne dni będziemy dobrymi rodzinami, a w inne będziemy tragiczni. Czasami będziemy rozpaczliwie smutni, a czasami tak szczęśliwi, że ledwie zdołamy to znieść.

Mogę tak żyć.

DROGA BIEGNIE DALEJ BEZ NIEGO

Słyszałam opowieść o człowieku, co rozpadł się na dwoje. Jedna część trwała wciąż niezmienna, a druga trwała w rozwoju. Niezmienna część wciąż doskonała, rosnąca część ciągle nowa.

I pomyślałam, gdy się skończyło, którą ja jestem, a którą ty połową.

Z „Boskich szeptów Han Qing-jao”

Valentine wstała rankiem w dzień pogrzebu Endera, pełna smutnych myśli. Przybyła na Lusitanię, żeby znowu być przy nim, żeby pomóc mu w pracy. Zraniła Jakta tym, że tak bardzo pragnęła znowu się włączyć w życie Endera. Mimo to mąż porzucił świat swego dzieciństwa i wyruszył wraz z nią. Złożył taką ofiarę… A teraz Ender odszedł.

Odszedł i został. W jej domu spał człowiek, o którym wiedziała, że ma w sobie aiúa Endera. Aiúa Endera i twarz jej brata Petera. Gdzieś w jego wnętrzu pozostały wspomnienia Endera. Jeszcze do nich nie docierał, najwyżej z rzadka i podświadomie. Szczerze mówiąc, schował się u niej w domu, żeby tylko nie rozbudzać tych wspomnień.

— Co się stanie, jeśli zobaczę Novinhę? Kochał ją, prawda? — zapytał niemal natychmiast po wylądowaniu. — Odczuwał wobec niej potworną odpowiedzialność. W pewnym sensie martwię się, że wciąż jesteśmy małżeństwem.

— Interesujący problem tożsamości, prawda? — odpowiedziała mu Valentine.

Ale dla niego to nie był tylko interesujący problem. Peter bał się, że wciągnie go życie Endera. I bał się, że będzie żył przytłoczony poczuciem winy, tak samo jak Ender.

— Porzucenie rodziny — mruknął.

— Człowiek, który był mężem Novinhy, umarł — odpowiedziała Valentine. — Patrzyliśmy, jak umiera. Ona nie szuka młodego męża, który jej nie chce, Peter. I bez tego jej życie jest pełne bólu. Ożeń się z Wang-mu, opuść ten świat, idź dalej, stań się nowym sobą. Bądź prawdziwym synem Endera, prowadź życie, jakie mogłoby być jego losem, gdyby wymagania innych nie skaziły go u samego zarania.

Nie wiedziała, czy przyjął jej radę. Wciąż krył się w domu i unikał

gości, którzy mogliby pobudzić wspomnienia. Przyszedł Olhado i Grego, i Ela, po kolei wyrażając jej współczucie z powodu śmierci brata, a Peter nawet nie wyszedł z pokoju. Przyjęła ich za to Wang-mu, słodkie dziecko, które jednak miało w sobie twardość stali, co bardzo się podobało Valentine. Wang-mu grała rolę wiernej przyjaciółki pogrążonych w żałobie i podtrzymywała rozmowę, kiedy dzieci żony Endera opowiadały, jak zmarły ocalił ich rodzinę i pobłogosławił życie, gdy sądzili już, że żadne błogosławieństwo ich nie dosięgnie.

A w kącie pokoju siedziała Plikt: patrzyła, słuchała, pisała mowę, do której przygotowywała się przez całe życie.

Och, Ender… Przez trzy tysiące lat kąsały cię szakale. Teraz przyszła kolej na twoich przyjaciół. Kiedy to się skończy, czy ślady zębów na kościach będą się czymś różniły?

Skończy się dzisiaj. Inni mogą dzielić czas inaczej, ale dla Valentine dobiegła końca era Endera, która rozpoczęła się próbą ksenocydu, a zakończyła powstrzymaniem, a przynajmniej odsunięciem innych ksenocydów. Ludzkie istoty potrafią może teraz żyć z innymi w pokoju, pracować nad wspólną przyszłością na kilkunastu skolonizowanych planetach. Valentine napisze ich historię, jak pisała o każdym ze światów, które wspólnie z Enderem odwiedzili. Napisze nie proroctwo ani pismo święte, jak to zrobił Ender ze swoimi trzema księgami, Królową Kopca, Hegemonem i Życiem Człowieka. Jej książka będzie naukowa, z cytatami ze źródeł. Nie aspirowała do roli Pawła czy Mojżesza, raczej Tukidydesa. Chociaż zawsze pisała jako Demostenes… dziedzictwo czasów dzieciństwa, kiedy ona i Peter — pierwszy Peter, mroczny, niebezpieczny i wspaniały Peter — wykorzystali słowa, by zmienić świat. Demostenes napisze dzieło o historii ludzkiej obecności na Lusitanii. Będzie tam wiele na temat Endera: jak przywiózł tutaj kokon Królowej Kopca, jak stał się członkiem rodziny kluczowej dla kontaktów z pequeninos. Ale to nie będzie książka o Enderze. Będzie o utlanningach i framlingach, ramenach i varelse. Ender w każdym świecie był obcy, nie należał nigdzie i służył wszędzie, póki tej planety nie wybrał na swój dom — bo nie tylko znalazł tu rodzinę, która go potrzebowała, ale też nie musiał tutaj być do końca członkiem rodzaju ludzkiego. Mógł należeć do plemienia pequeninos, do królowych kopca. Mógł stać się elementem czegoś większego niż ludzkość.

I chociaż nie przyszło na świat dziecko, które miałoby wpisane imię Endera jako ojca na świadectwie urodzenia, tutaj stał się ojcem. Ojcem dzieci Novinhy. W pewnym sensie samej Novinhy również. Młodej kopii Valentine. Jane, pierwszego potomka związku między rasami, teraz jasnej i pięknej istoty żyjącej w matczynych drzewach, w sieciach komputerowych, w filotycznych splotach ansibli i w ciele,

które kiedyś należało do Endera, a dawniej w pewien sposób i do Valentine, gdyż pamiętała, że widziała tę twarz w lustrze i nazywała swoją.

Został też ojcem nowego człowieka, Petera. To już nie ten sam Peter, który pierwszy raz wysiadł ze statku. Nie ten cyniczny, złośliwy, najeżony chłopak, pełen arogancji i wrzący gniewem. Stał się całością. Tkwiła w nim spokojna mądrość lat, choć płonął słodkim ogniem młodości. Znalazł kobietę, dorównującą mu inteligencją, zaletami i wigorem. Miał przed sobą normalne życie jako mężczyzna. Prawdziwy syn Endera… Jeśli ze swego życia nie uczyni czegoś tak dogłębnie zmieniającego świat, jak życie Endera, to w każdym razie będzie szczęśliwszy. Ender nie chciałby dla niego nic więcej, ale i nic mniej. Zmienianie świata jest dobre dla tych, którzy chcą widzieć swoje nazwisko w książkach. Ale być szczęśliwym — to zadanie dla tych, którzy wypisują swe imię w sercach innych i którzy serca innych uważają za najdroższy skarb.

Valentine, Jakt i ich dzieci zebrali się na werandzie domu. Wang-mu czekała tam samotnie.

— Zabierzecie mnie ze sobą? — spytała.

Valentine podała jej ramię. Jak nazwać nasze powinowactwo? — pomyślała. Przyszła żona bratanka? Nie, „przyjaciel” to lepsze określenie.

Plikt Mówiła o śmierci Endera elokwentnie i dosadnie. Dobrze poznała nauki mistrza mówców. Nie traciła czasu na drobiazgi. Zaczęła od jego wielkiej zbrodni, tłumacząc, co Ender myślał wtedy i potem, kiedy odkrywał kolejne warstwy prawdy.

— Takie było jego życie — powiedziała. — Obierał cebulę prawdy. Lecz w przeciwieństwie do większości z nas wiedział, że wewnątrz nie kryje się złote jądro. Są tylko kolejne warstwy iluzji i niezrozumienia. Najważniejsze jednak było poznanie wszystkich błędów, wszystkich usprawiedliwień, pomyłek, zafałszowanych wniosków, by potem nie znaleźć, ale stworzyć jądro prawdy. Zapalić świecę prawdy tam, gdzie żadnej prawdy nie można znaleźć. Taki dar Ender nam ofiarował: wolność od iluzji, że jakieś wyjaśnienie może kiedyś zawrzeć odpowiedź ostateczną na wszystkie wieki, dla wszystkich słuchaczy. Zawsze jest i zawsze zostanie jeszcze coś do poznania.

Plikt mówiła dalej, przytaczała epizody i wspomnienia, anegdoty i dosadne powiedzonka. Zebrani śmiali się, płakali i śmiali znowu, wiele razy milkli, porównując te opowieści z własnym życiem. Jakże jestem podobny do Endera, myśleli czasem, a zaraz potem: Dzięki Bogu, że moje życie jest inne.

Valentine jednak znała historie, które nie miały być opowiedziane, ponieważ nie znała ich Plikt, a w każdym razie nie

mogła ich znaleźć w pamięci. Nie były ważne. Nie objawiały ukrytej prawdy. Były pianą wspomnień ze wspólnie spędzonych lat. Rozmowy, kłótnie, chwile zabawne i smutne na dziesiątkach planet i w rejsach między nimi. A u podłoża wszystkich, wspomnienia dzieciństwa. Dziecko na rękach matki Valentine. Ojciec podrzucający go w górę. Pierwsze słowa, dziecinne paplanie… Zwykłe „gu gu" Enderowi nie wystarczało, potrzebował więcej sylab: „Didul didul", „Uagada uagada". Dlaczego zapamiętałam to jego gaworzenie?

Śliczne dziecko, spragnione życia: dziecinne łzy po upadku… śmiech z najzwyklejszych rzeczy: śmiech z powodu piosenki, śmiech na widok ukochanej twarzy, śmiech, ponieważ życie było wtedy dobre i czyste, i nic nie sprawiało bólu. Otaczały go miłość i nadzieja. Dłonie, których dotykał, były silne i czułe, mógł im ufać. Och, Enderze, pomyślała Valentine. Tak żałuję, że nie mogłeś nadal przeżywać tych radości. Ale to niemożliwe. Przychodzi mowa ze swymi kłamstwami, groźbami, okrucieństwem i rozczarowaniem. Zaczynasz chodzić, a to wyprowadza cię spod osłony rodzinnego domu. Aby zachować tę dziecięcą radość, musiałbyś umrzeć jako dziecko albo żyć jak ono, nie stając się mężczyzną, nie dorastając. Dlatego mogę opłakiwać zagubione dziecko, ale nie żałować, że zastąpił je dobry człowiek, cierpiący i rozdarty sumieniem, który jednak był czuły dla mnie i innych, i którego ja także prawie znałam. Prawie…

Pozwoliła, by popłynęły łzy wspomnień; słowa Plikt oblewały ją, poruszały niekiedy, a czasem nie poruszały, ponieważ wiedziała o Enderze więcej niż inni i tracąc go, najwięcej straciła. Więcej nawet niż Novinha, siedząca z przodu między swoimi dziećmi. Valentine zobaczyła, jak Miro obejmuje matkę ramieniem, cały czas ściskając dłoń Jane. Zauważyła, jak Ela tuli się do Olhada i jak w pewnym momencie całuje jego dłoń, jak zapłakany Grego opiera głowę na ramieniu surowej Quary, a siostra tuli go i pociesza. Oni także kochali Endera, także go znali, ale w rozpaczy wspierali się na sobie, mieli siły, by sobie wzajemnie pomagać, gdyż Ender był kiedyś członkiem rodziny i uleczył ich, a przynajmniej otworzył drogę do ozdrowienia. Novinha przeżyje, może wyrośnie z gniewu na życie i na jego brutalne sztuczki. Strata Endera nie była najgorszym, co się jej przydarzyło, może nawet najlepszym, bo sama pozwoliła mu odejść.

Valentine popatrzyła na pequeninos, niektórzy siedzieli między ludźmi, inni z boku, osobno. Dla nich miejsce pochówku skromnych szczątków Endera było podwójnie święte: między drzewami Korzeniaka i Człowieka, gdzie Ender przelał krew pequenino, by przypieczętować pakt między rasami. Dzisiaj wiele zawiązało się przyjaźni między ludźmi i pequeninos, choć wiele pozostało lęków i wrogości. Jednak zbudowano już mosty, niemałą zasługę położyła tu

książka Endera, dająca pequeninos nadzieję, że kiedyś jakiś człowiek zdoła ich zrozumieć. Ta nadzieja podtrzymywała ich, aż pewnego dnia — z Enderem — stała się prawdą.

W pewnej odległości siedziała nieruchoma robotnica, w pobliżu niej nie zajął miejsca ani człowiek, ani pequenino. Była tylko parą oczu. Jeśli Królowa Kopca rozpaczała po Enderze, zachowywała to dla siebie. Na zawsze pozostanie tajemnicza, chociaż Ender kochał ją także, przez trzy tysiące lat był jej jedynym przyjacielem i obrońcą. W pewnym sensie również zaliczała się do jego dzieci, adoptowanych dzieci, dorastających pod jego opieką.

Plikt skończyła po zaledwie trzech kwadransach. Zakończyła po prostu:

— I chociaż aiúa Endera nadal żyje, jak żyją, nie ginąc, wszystkie aiúa, to człowiek, którego znaliśmy, porzucił nas. Jego ciało zniknęło, a te elementy jego życia i pracy, jakie w siebie przyjmiemy, nie należą już do niego. Są nami, są tkwiącą w nas myślą Endera, tak jak nosimy w sobie także naszych przyjaciół i nauczycieli, naszych ojców i matki, kochanków i dzieci, rodzeństwo, a nawet obcych patrzących na świat naszymi oczami i pomagających nam określić jego sens. Widzę w was Endera patrzącego na mnie. Wy widzicie we mnie Endera patrzącego na was. A przecież nikt z nas nie jest nim naprawdę, każdy jest tylko sobą, a razem jesteśmy grupą obcych podążających własnymi drogami. Przez jakiś czas szliśmy drogą razem z Enderem Wigginem. Pokazał nam rzeczy, których inaczej moglibyśmy nie dostrzec. Ale teraz droga biegnie dalej bez niego. W końcu nie był nikim więcej niż każdy inny człowiek. Ale też nikim mniej.

I koniec. Żadnej modlitwy — wszystkie modlitwy zmówiono przed jej wystąpieniem, albowiem biskup nie zamierzał dopuścić, by ten niereligijny rytuał Mowy stał się częścią nabożeństwa Świętej Matki Kościoła. Płacze też się odbyły, żal uległ oczyszczeniu. Powstali z ziemi: starsi trochę sztywno, dzieci gwałtownie — biegały i krzyczały, by nadrobić długi czas bezruchu. To także był dobry sposób, aby pożegnać Endera Wiggina.

Valentine ucałowała Jakta i dzieci, uścisnęła Wang-mu, po czym samotnie ruszyła przez tłum. Wielu mieszkańców Milagre uciekło do kolonii, teraz, kiedy ich planeta została uratowana, wielu postanowiło wrócić z innych światów. Lusitania była ich domem, nie mieli w sobie ducha pionierów. Jednak wielu innych wróciło wyłącznie na tę ceremonię. Wkrótce Jane przeniesie ich do nowych farm i domów na dziewiczych planetach. Potrzeba generacji lub dwóch, by na nowo wypełnić wszystkie puste domy w Milagre.

Na ganku czekał Peter. Valentine uśmiechnęła się do niego.

— Jesteś chyba umówiony — powiedziała.

Razem wyszli poza Milagre, w młody las, który nie zatarł jeszcze

śladów niedawnego pożaru. Po chwili dotarli do jasnego, lśniącego drzewa. Prawie równocześnie pojawili się inni, idący z miejsca pogrzebu. Jane stanęła pod matczynym drzewem i dotknęła go… Dotknęła części siebie, a przynajmniej swojej drogiej siostry. Potem Peter stanął przy boku Wang-mu, a Miro przy Jane. Kapłan udzielił ślubu obu parom pod matczynym drzewem. Tylko pequeninos na to patrzyli, Valentine była jedynym ludzkim świadkiem ceremonii. Nikt więcej o tym nie wiedział, uznali, że nie wypada odrywać ludzi od pogrzebu Endera i Mowy Plikt. Wystarczy, że później zawiadomią o ślubach.

Kapłan odszedł z przewodnikiem pequenino, który miał mu wskazać drogę przez las. Valentine uścisnęła nowożeńców, zamieniła z nimi kilka słów, pogratulowała. Potem cofnęła się i patrzyła.

Jane przymknęła oczy, uśmiechnęła się i cała czwórka zniknęła. Tylko matczyne drzewo pozostało na środku polany, skąpane w blasku, z konarami ciężkimi od owoców, obwieszonymi kwiatami — wieczny kapłan pradawnej tajemnicy życia.

POSŁOWIE

Wątek Petera i Wang-mu wiązał się z Japonią od samego początku, kiedy jeszcze planowałem tom „Ksenocyd", który w zamierzeniach miał również zawierać całość „Dzieci umysłu". Czytałem o historii przedwojennej Japonii i zaintrygowało mnie odkrycie, że ludzie, pchający naród do wojny, nie byli przedstawicielami rządzącej elity ani nawet przywódcami japońskiej armii, ale raczej młodymi oficerami średniego szczebla. Oczywiście, oficerowie ci uznaliby za bezsensowną sugestię, że w jakikolwiek sposób kierowali wysiłkiem wojennym. Pchali naród do wojny nie dlatego, że mieli władzę, ale dlatego że władcy Japonii nie śmieli okryć się hańbą wobec nich.

Kiedy zastanawiałem się nad tym, przyszło mi na myśl, że siłą napędową wojny było wyobrażenie przywódców o pojęciu honoru wśród oficerów średniego szczebla — projekcja ich własnych wyobrażeń o honorze na podwładnych, którzy mogli, lecz nie musieli reagować na wycofanie się czy rezygnację Japonii w sposób, jakiego obawiali się wyżsi oficerowie. Gdyby więc ktoś próbował zapobiec eskalacji agresji i wojny z Chin na Indochiny, a później na Stany Zjednoczone, nie musiałby zmieniać rzeczywistych przekonań młodych oficerów, ale wierzenia wyższych oficerów o prawdopodobnych poglądach oficerów średniego szczebla. Nie powinien przekonywać wyższych oficerów, że działania wojenne są nierozsądne i skazane na klęskę oni to wiedzieli i świadomie tę wiedzę ignorowali z lęku, że zostaną uznani za pozbawionych honoru. Lepszym wyjściem byłaby próba przekonania wyższych oficerów, że młodsi oficerowie — których opinia była kluczowa dla honoru dowódców — nie potępią ich za wycofanie się w obliczu przeważających sił wroga, ale raczej będą podziwiać za obronę niezależności własnego narodu.

Kiedy jednak przemyślałem sprawę dokładniej, zrozumiałem, że nawet to byłoby działaniem nazbyt bezpośrednim. Trzeba by nie tylko dowieść, że młodsi oficerowie zmienili zdanie, ale wskazać rozsądną przyczynę tej zmiany. A gdyby, myślałem, jakiś wpływowy filozof czy myśliciel, uważany za pochodzącego z „wewnątrz" kultury elity militarnej, przeinterpretował historię w taki sposób, żeby zmienić poglądy wielkich dowódców? Takie idee pojawiały się już wcześniej, zwłaszcza w Japonii, która — mimo pozornie sztywnej i niezmiennej kultury, a może z powodu długiego trwania na obrzeżu cywilizacji chińskiej — odniosła w czasach współczesnych największe sukcesy w adaptacji i asymilacji idei i obyczajów w taki sposób, jakby zawsze w nie wierzyła i je praktykowała. Podtrzymywała zatem wizerunek

tradycjonalizmu i ciągłości, a równocześnie była niezwykle elastyczna. Taka idea mogłaby przeorać militarystyczną kulturę i uświadomić elitom, że wojna nie jest już ani konieczna, ani pożądana. Gdyby zdarzyło się to przed atakiem na Pearl Harbor, Japonia mogłaby jeszcze wycofać się z wojny w Chinach, umocnić swoje zdobycze i podtrzymać pokój ze Stanami Zjednoczonymi.

(Inna sprawa, czy wyszłoby jej to na dobre. Uniknięcie wojny, która pochłonęła tyle ofiar i spowodowała tyle tragedii, wśród nich naloty na japońskie miasta i w końcu użycie — po raz pierwszy i jak dotąd ostatni w historii — broni jądrowej, z pewnością byłoby dobre. Nie wolno jednak zapominać, że klęska w tej wojnie doprowadziła do amerykańskiej okupacji i wymusiła przyjęcie demokratycznych procedur i idei, co pozwoliło na rozkwit japońskiej kultury i gospodarki, być może niemożliwy pod rządami wojskowej elity. Na szczęście nie jest w naszej mocy powtarzanie historii. Inaczej musielibyśmy decydować, czy opłaca się skórka za wyprawkę.)

W każdym razie wiedziałem już wtedy, że ktoś — z początku myślałem, że Ender — będzie musiał wędrować od świata do świata w poszukiwaniu źródła władzy w Gwiezdnym Kongresie: czyją opinię trzeba zmienić, by przekształcić kulturę Gwiezdnego Kongresu i zatrzymać Flotę Lusitańską? Ponieważ wszystkie te przemyślenia zaczęły się od rozważań o historii Japonii, uznałem, że przyszła cywilizacja japońska musi odegrać jakąś rolę w opowieści. Dlatego Peter i Wang-mu przybyli na planetę Boskiego Wiatru.

Do Japonii doprowadził mnie także całkiem inny ciąg myśli. Tak się złożyło, że odwiedziłem w Utah moich przyjaciół, Elizabeth i Vana Gesselów, wkrótce po tym jak Van, wykładowca języka japońskiego na Uniwersytecie Brighama Younga, kupił płytę kompaktową pod tytułem „Muzyka Hikariego Oe". Van zagrał mi ją — mocna, przejmująca muzyka w zachodniej, matematycznej tradycji. Od niego dowiedziałem się też o kompozytorze. Hikari Oe, wyjaśnił mi Van, ma uszkodzony mózg, jest opóźniony w rozwoju, ale wybitnie utalentowany muzycznie. Jego ojciec, Kenzaburo Oe, niedawno otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury. I chociaż Kenzaburo Oe napisał wiele, najsilniej przemawiające z jego dzieł i prawie na pewno te, za które dostał nagrodę, traktują o jego związkach z kalekim synem, o bólu ojca i o jego radości płynącej z odkrycia prawdziwej natury upośledzonego dziecka, jak również prawdziwej natury rodzica, który je kocha.

Natychmiast poczułem duchowe pokrewieństwo z Kenzaburo Oe, nie dlatego że moje pisarstwo jest w jakimkolwiek stopniu podobne do jego, ale ponieważ również mam dziecko z wadą rozwojową mózgu i własną drogą dotarłem do akceptacji faktu jego obecności w moim życiu. Jak Kenzaburo Oe, także nie zdołałem usunąć swojego

kalekiego dziecka z moich utworów, pojawia się stale. A jednak to poczucie pokrewieństwa sprawiło, że unikałem dzieł Oe. Bałem się, że albo będzie prezentował idee dotyczące takich dzieci, z którymi nie mógłbym się zgodzić, a wtedy urazi mnie i rozgniewa, albo jego idee będą tak prawdziwe i sugestywne, że zmuszą mnie do zamilknięcia — nie będę miał już nic do dodania. (To nie jest abstrakcyjna obawa. Podpisałem kiedyś umowę na książkę „Genesis", wkrótce potem przeczytałem powieść Michaela Bishopa „Ancient of Days". Wprawdzie ich fabuły wcale nie były podobne, poza tym, że obie traktowały o ludziach prymitywnych, którzy przetrwali do czasów współczesnych — ale idee Bishopa podziałały na mnie tak silnie, a jego styl był tak przejmujący, że musiałem zerwać kontrakt, nie mógłbym już stworzyć tej książki i zapewne nigdy nie zdołam jej napisać w takiej formie.)

Kiedy powstały już trzy pierwsze rozdziały tej powieści, stojąc przy kasie w księgarni News and Novels w Greensboro, w Karolinie Północnej, zobaczyłem na półce samotny egzemplarz małej książeczki pod tytułem: „Japan, the Ambiguous, and Myself" (Japonia, dwuznaczność i ja). Autor: Kenzaburo Oe. Nie szukałem go, ale on mnie znalazł. Kupiłem tę książkę i zaniosłem do domu.

Przez dwa dni leżała nie otwierana. Potem nadeszła bezsenna noc, kiedy powinienem zacząć pisać rozdział czwarty, gdzie Peter i Wang-mu po raz pierwszy spotykają się z japońską kulturą na planecie Boskiego Wiatru (w mieście, które nazwałem Nagoya, ponieważ w tym właśnie japońskim mieście mój brat Russell pracował jako mormoński misjonarz w latach siedemdziesiątych). Zobaczyłem książkę Oe, sięgnąłem po nią, otworzyłem i przeczytałem pierwszą stronę. Na początku Oe opowiada o swoich długotrwałych związkach ze Skandynawią, rozpoczęły się, kiedy w dzieciństwie przeczytał tłumaczenie (a raczej opowiadanie po japońsku) cyklu skandynawskich historii o postaci imieniem Nils.

Natychmiast przerwałem lekturę, ponieważ nigdy nie przyszło mi do głowy, że istnieją podobieństwa między Skandynawią a Japonią. Ale kiedy trafiłem już na taką sugestię, natychmiast zrozumiałem, że Skandynawowie i Japończycy byli narodami pogranicza. Weszli do świata cywilizowanego w cieniu (czy może oślepieni blaskiem) kultury dominującej.

Zastanowiłem się nad innymi kulturami pogranicza — Arabami, którzy odkryli ideologię, dającą im siłę, by zawojować górujący cywilizacyjnie świat rzymski, Mongołami, którzy zjednoczyli się na czas dostatecznie długi, by podbić Chiny, a potem dać się im wchłonąć, Turkami, którzy z granic świata islamu przedarli się do jego serca, następnie pokonali resztki rzymskiego imperium, a jednak znowu stali się ludem pogranicza, żyjącym w cieniu Europy. Narody

te, nawet gdy władały cywilizacjami, w których cieniu kiedyś tkwiły, nie potrafiły otrząsnąć się z poczucia nieprzynależności, z obawy, że ich kultura jest nieodwracalnie niższa i wtórna. W rezultacie byli zbyt agresywni i zachłanni, rozrastając się poza granice, których mogli bronić, i zbyt niepewni siebie, przez co rezygnowali ze wszystkiego, co w ich kulturze było świeże i dobre, zachowując tylko zewnętrzne pozory niezależności. Na przykład władający Chinami Manchu udawali, że utrzymują dystans od ludu, którym rządzili, aby nie dać się wchłonąć przez pożerającą wszystko paszczę chińskiej kultury. Jednak wynikiem tego nie była dominacja Manchu, ale ich nieunikniona marginalizacja.

Prawdziwych narodów centralnych nie było w historii wiele. Jednym z nich są Egipcjanie. Egipt pozostał cywilizacją centrum, póki nie podbił go Aleksander, nawet wtedy zachował część swej „centralności" — do czasów, kiedy opanowała go potężna religia islamu. Inną cywilizacją centrum mogła się stać Mezopotamia, jednak miasta mezopotamskie, w przeciwieństwie do egipskich, nie zdołały się zjednoczyć i opanować rubieży. W rezultacie terytorium wciąż było podbijane przez kolejne ludy pogranicza. Mezopotamia miała dość siły, by kulturowo wchłaniać najeźdźców, ale wreszcie stała się peryferyjną prowincją, przekazywaną sobie przez Rzymian i Fartów.

Podobnie jak w przypadku Egiptu, jej rola w centrum skończyła się z nadejściem islamu.

Chiny stosunkowo późno stały się cywilizacją centralną, odniosły jednak niezwykłe sukcesy. Droga do jedności była długa i krwawa, ale raz osiągnięta jedność przetrwała — jeśli nie polityczna, to na pewno kulturowa. Władcy Chin, jak władcy Egiptu, starali się zapanować nad rubieżami, ale — znowu podobnie jak Egipt — rzadko próbowali i nigdy im się nie udało na długo zapanować nad prawdziwie obcym ludem.

Przejęty tym pomysłem i innymi, które się z niego rodziły, wymyśliłem rozmowę między Wang-mu i Peterem, w której Wang-mu tłumaczy pojęcie ludów centrum i pogranicza. Usiadłem przy komputerze i zanotowałem ten pomysł. Wśród zapisków znalazł się poniższy fragment:

Ludy centrum nie obawiają się utraty tożsamości. Zakładają, że wszyscy inni chcą być do nich podobni, bo stworzyli najwyższą cywilizację, a pozostałe to nędzne imitacje albo chwilowe pomyłki. Ta arogancja, choć to dziwne, prowadzi do skromności: nie puszą się, nie przechwalają, nie używają przemocy, ponieważ nie muszą dowodzić swej wyższości. Zmieniają się bardzo powoli, zawsze udając, że żadne zmiany nie zachodzą.

W przeciwieństwie do nich ludy pogranicza wiedzą, że nie są najwyżej rozwiniętą cywilizacją. Czasem napadają, grabią i pozostają,

by rządzić — jak wikingowie, Mongołowie, Turcy, Arabowie. Czasami przechodzą radykalną transformację, by podjąć współzawodnictwo — Grecy, Rzymianie, Japończycy. A czasem pozostają zacofani. Ale kiedy się rozwijają, są nie do zniesienia, ponieważ czują się niepewni. Muszą zatem przechwalać się i sprawdzać bez przerwy — dopóki nie poczują się ludem centralnym. Niestety, to uspokojenie staje się ich porażką, ponieważ mimo wszystko nie są kulturą centrum, a przekonanie o tym nie zmienia faktów. Zwycięskie kultury pogranicza nie przeżywają długo, jak Egipt czy Chiny, ale zanikają, jak Arabowie, Turcy, wikingowie i Mongołowie po swych tryumfach.

Japończycy stali się trwałą cywilizacją pogranicza.

Snułem też spekulacje na temat Ameryki, zbudowanej przez uciekinierów z cywilizacji pogranicza, ale zachowującej się jak cywilizacja centrum, opanowująca (brutalnie) swoje rubieże, jednak tylko przelotnie flirtująca z ideą imperium i zadowolona z bycia środkiem świata. Ameryka przejawiała — przynajmniej przez pewien czas — podobną arogancję jak Chińczycy: wiarę, że cały świat chce być taki jak my. Zacząłem się zastanawiać, czy — podobnie jak w przypadku islamu — to jakaś przejmująca idea przekształciła lud pogranicza w lud centrum. Arabowie utracili władzę nad ośrodkiem kultury islamskiej, opanowanym przez Turków, może więc oryginalna angielska kultura Ameryki straciła znaczenie i zaadaptowała się, gdy równocześnie potężny naród amerykański pozostawał w centrum. Ten pomysł wciąż mnie interesuje, choć jego prawdziwości nie jestem w stanie ocenić, jako że większość faktów poznamy dopiero w przyszłości, teraz możemy je tylko zgadywać. Ale wciąż teoria kultur pogranicza i kultur centrum pozostaje intrygująca, wierzę w nią do tego stopnia, że ją rozumiem.

Kiedy spisałem notatki, zacząłem pracować nad tekstem. Doprowadziłem Petera i Wang-mu do posiłku w restauracji i miałem już plany ich pierwszego spotkania z Japończykiem. Jednak była czwarta rano. Moja żona, Kristine, wstała do płaczącej Ziny, naszej rocznej córeczki. Przeczytała napisany fragment. Kładłem się już spać i ona także się zdrzemnęła, ale potem opowiedziała mi sen, jaki miała w tej krótkiej chwili. Śniła, że Japończycy z Boskiego Wiatru noszą popioły swych przodków w szkatułkach czy amuletach na szyi. Peter czułby się niepewnie, gdyż miał tylko jednego przodka i musiał umrzeć, kiedy umrze ów przodek. Natychmiast zrozumiałem, że muszę wykorzystać ten pomysł, położyłem się do łóżka, wziąłem książkę Oe i zacząłem czytać.

Wyobraźcie sobie moje zdumienie, kiedy po pierwszym fragmencie dotyczącym związku ze Skandynawią, Oe zajął się analizą japońskiej kultury i literatury, wprost rozwijając myśli, jakie przyszły mi do głowy po lekturze początkowych, na pozór oderwanych

akapitów o Nilsie. On, człowiek, który studiował i badał peryferyjne (albo: z pogranicza) ludy Japonii, zwłaszcza kulturę Okinawy, doszedł do wniosku, że Japonii zagraża utrata centrum. Poważna literatura japońska, twierdził, upada właśnie dlatego, że japońscy intelektualiści „akceptują" i „podają" zachodnie idee — nie dlatego że w nie wierzą, ale skuszeni modą. Równocześnie ignorują wspaniałe idee yamato (czyli tradycyjnej japońskiej kultury), które dałyby Japonii siłę, by stać się samodzielnie cywilizacją centrum. Oe użył nawet słów „centrum" i „pogranicze" w zdaniu:

Powojenni pisarze szukali innej drogi, która jednak poprowadziłaby Japonię do miejsca w świecie nie w jego centrum, lecz na pograniczu.

Jego wnioski różniły się od moich, ale koncepcja świata, złożonego z centrów i pogranicza, zgadzała się doskonale.

Poglądy Oe na literaturę przyjąłem do siebie, ponieważ — jak on — także jestem elementem kultury „pogranicza", która „akceptuje" bądź „podaje" idee kultury dominującej i której zagraża utrata dążenia do bycia centrum. Mówię tu o kulturze mormonów — zrodziła się na pograniczu Ameryki i od dawna już jest bardziej amerykańska niż mormońska. Tak zwana „poważna" literatura w kulturze mormonów składa się wyłącznie z imitacji — na ogół nędznych, choć czasem całkiem przyzwoitej jakości — „poważnej" współczesnej literatury amerykańskiej, a ta jest dekadencka, wtórna i beznadziejnie powierzchowna; nie ma czytelników, którzy wierzyliby i przejmowali się jej opowieściami, nie ma publiczności zdolnej do rzeczywistej przebudowy społeczeństwa. I, jak Oe — załóżmy, że poprawnie zrozumiałem Oe w tej kwestii — dostrzegam odkupienie (a może powstanie) prawdziwej mormońskiej literatury jedynie na drodze odrzucenia modnie „poważnej" (a w istocie pustej) literatury amerykańskiej i zastąpienie jej taką, która spełnia kryteria Oe dla junbungaku:

Rolą literatury — na tyle, na ile człowiek jest istotą historyczną — jest stworzenie modelu epoki współczesnej, obejmującego też przeszłość i przyszłość, a także modelu społeczeństwa żyjącego w tej epoce.

„Poważna" literatura mormońska nigdy nie próbowała modelować ludzi żyjących w naszej kulturze i w naszych czasach. A raczej próbowała, ale nigdy od wewnątrz; domyślny autor (by użyć terminu Wayne'a Bootha) zawsze pozostawał sceptyczny i na zewnątrz, zamiast krytyczny i wewnątrz. Głęboko wierzę, że prawdziwie narodowej literatury nigdy nie stworzą ci, których wartości pochodzą z zewnątrz narodowej kultury.

Ja jednak nie tworzę wyłącznie ani nawet przede wszystkim literatury mormońskiej. Jestem też, na dobre i złe, amerykańskim

pisarzem tworzącym amerykańską literaturę dla amerykańskiego czytelnika (choć mam nadzieję, że pewne jej wartości wykraczają poza moją „amerykańskość" i „mormoń-skość", przemawiając do ludzi z wielu kultur). Jednak od samego początku mojej kariery odrzuciłem „poważną" literaturę jako gatunek mało obiecujący. Nie miałem nic do opowiedzenia ludziom czytającym taką literaturę — nie są otwarci na przemiany, więc mówienie do nich to tylko strata czasu. Tylko jedna literacka społeczność w Ameryce była nie tylko otwarta, ale wręcz złakniona takich opowieści zmieniających świat — i była nią społeczność science fiction.

Można stwierdzić, jak sam to czyniłem w innym miejscu, że science fiction to nie tylko styl komercyjny (choć to także), ale też „nie zauważona rewolucja" literatury anglojęzycznej, jaka nastąpiła po modernistach. Jednak modernizm pozostał na ołtarzach — czy raczej w grobowcach, na podobieństwo zwłok Lenina na Kremlu — amerykańskich uniwersytetów, z niepodważalnym kanonem i ideami wciąż dominującymi, mimo pseudorewolucji postmodernizmu, minimalizmu i innych nieudanych prób odzyskania znaczenia. Tymczasem science fiction ulegała prawdziwym przemianom, pojawiali się w niej falami nowi, całkiem odmienni pisarze. W ostatnich latach zatruli ją ci, co wierzą, że science fiction będzie dobra tylko wtedy, gdy stanie się równie elitarna, niezrozumiała i nieistotna jak „poważna" literatura amerykańska. Na szczęście nie straciła swej elastyczności: to wciąż jedyna literacka społeczność w Ameryce, gdzie prawdziwie nowe i niezwykłe idee można przedstawić do rozważenia publiczności, chcącej doznać przemiany. Oczywiście, science fiction, w tym moja, często pisana jest szczerze, ale źle; podobnie jak zbliżony odsetek dzieł zwykłej literatury. Jednak w przeciwieństwie do niej, science fiction daje swoim twórcom przynajmniej szansę wpływu na społeczność Ameryki. Może się to dziać na poziomie powierzchownym, jak w niezmiennie prymitywnym, lecz bardzo modnym cyberpunku, a może też sięgać głębiej, do korzeni amerykańskiej kultury. I poza nią. Gdyż science fiction, twór przede wszystkim amerykański (choć jej korzenie sięgają do Verne'a i Wellsa, Francuza i Anglika, a niektóre z najważniejszych dzieł science fiction stworzyli pisarze spoza USA), posiada też moc stania się literaturą przemian w każdym narodzie i kulturze, która ją zaakceptuje. W przeciwieństwie do „poważnej" literatury, przygniecionej martwą ręką uniwersyteckiej nauki, science fiction ma szansę zostania junbungaku.

Wielką przewagą literackiej społeczności science fiction jest fakt, że pisarze badający jej potencjał to właśnie ci, którymi pogardzają literaci, próbujący martwą ręką przygnieść science fiction. Dlatego raczej nie grozi nam wchłonięcie i sterylizacja. Zachowamy swą płodność. Mogę dyskutować o każdej idei, jaka mi przyjdzie do głowy,

badać ją, bawić się nią — czasem w książkach przygodowych i emocjonujących, jak „Gra Endera", a czasem w książkach podobnych do tej, opisujących prawie wyłącznie „gadające głowy" — postacie, których życie zależy od idei, o których rozmawiają. Moje pomysły mogą być przeciwstawne opiniom akademików i literatów, ale pozostanę bezkarny, ponieważ ukłuli mnie już swoją wzgardą i przeżyłem, a nie mają innej broni. Ich literatura jest równocześnie symptomem i jedną z przyczyn rozkładu amerykańskiej kultury, ja jednak — niezależnie od wszystkich moich słabości — nie zapadłem na tę chorobę. Nie jestem samotny w uprawianiu tego połączenia opowieści i eksploracji myśli: ożenek przygody z ideą to najstarsza tradycja science fiction. Nieważne, jak niezgrabnie się tego zwykle dokonuje. Cudem naszego wieku, ery literatury podrzędnej i nieciekawej, jest to, że w ogóle ktoś tego próbuje.

To, czego w japońskiej literaturze poszukuje Kenzaburo Oe, ja również próbuję znaleźć w literaturze amerykańskiej i w mormońskiej. W społeczności mormonów staram się stworzyć taką literaturę w sposób tradycyjny: wspierając pisarzy, którzy na mormońską kulturę spoglądają krytycznie, ale od wewnątrz. W społeczeństwie amerykańskim jednak to miejsce — miejsce powieści współczesnej — zostało już zarezerwowane jako terytorium elity literackiej i akademickiej oraz ich literatury martwych. Jedynie garstka wybranych autorów sensacyjnych może się wdzierać na ich pole. Ja tymczasem będę nadal próbował stworzyć junbungaku, oceniając współczesną cywilizację w przebraniu alegorycznym lub symbolicznym, jak to, świadomie lub nie, czynią wszyscy pisarze science fiction. Czy moje dzieła osiągną status rzeczywistej poważnej literatury, na jaką wskazuje Oe, zdecydować muszą inni. Niezależnie bowiem od jakości pisarstwa, dzieło — aby zyskało moc przemiany — musi mieć czytelników. Liczę więc na aktywnych czytelników, którzy odkryją słodycz i blask, piękno i prawdę wspanialsze, niż autor potrafił stworzyć.

KONIEC